



KARA

THOMAS

MROCZNE
ZAKAMARKI

W prowincjonalnym miasteczku w Pensylwanii,
na każdym kroku czają się ponure tajemnice.

K A R A
T H O M A S

M R O C Z N E
Z A K A M A R K I

Przekład
RADOSŁAW MADEJSKI



Rozdział pierwszy

Jeśli nie wiesz, jak wygląda piekło, wyobraź sobie dwugodzinną przerwę w oczekiwaniu na samolot w Atlancie.

Kobieta po prawej przygląda mi się, odkąd usiadłam. Jest jedną z tych osób, dla których sam fakt, że oddychasz, jest zaproszeniem do rozpoczęcia rozmowy.

Tylko nie patrz jej w oczy, powtarzam sobie w myślach, nie odrywając wzroku od mojego iPada. Nie rozstaję się z nim ani na chwilę, chociaż jest to model, którego Apple nie produkuje już od siedmiu lat, i ma pęknięty wyświetlacz.

Kręci mnie w nosie. Kobieta na fotelu obok porusza się niespokojnie. Zero kontaktu wzrokowego, myślę. I żebym tylko...

Wtedy kicham. Szlag by to trafił.

– Na zdrowie, złociutka! Ale upał, co? – zagaduje kobieta i wachluje się kartą pokładową.

Przypomina mi moją babcię. Jest stara i wygląda na jedną z tych, co wolą raczej przesiadywać w przychodni, niż chodzić do klubu na bingo. Dziękuję jej zdawkowym kiwnięciem głowy, a wtedy ona się uśmiecha i przysuwa bliżej. Próbuję sobie wyobrazić, jak wyglądam w jej oczach. Tłuste włosy spięte w kok. Czarne spodnie i czarna bluzka – wciąż mam na sobie uniform kelnerki z Chili's. Ściskam nogami stojący na podłodze plecak i chyba sprawiam wrażenie, jakbym potrzebowała matczynej opieki.

– Skąd jesteś?

Dziwne pytanie jak na lotniskową poczekalnię. W takich miejscach ludzie zazwyczaj wypytyują się nawzajem o cel podróży.

Przełykam ślinę, żeby zwilżyć gardło.

– Z Florydy.

Kobieta nadal się wachluje, roztaczając wokół woń potu i pudru.

– Och, z Florydy. Cudownie.

Niezupełnie, myślę. Ludzie przeprowadzają się tam, żeby wyzionąć ducha.

– Są gorsze miejsca – odpowiadam.

Wiem o tym doskonale, bo właśnie wybieram się do jednego z nich.

Wiedziałam, że ktoś umarł, kiedy tylko kierowniczka zawołała mnie do telefonu. W drodze z kuchni do jej biura myślałam, że to babcia. Ale kiedy usłyszałam jej głos na drugim końcu linii, miałam wrażenie, że unoszę się na fali ulgi.

– Tesso, twój ojciec... – powiedziała.

Rak trzustki, wyjaśniła. To było ostatnie stadium, ale nawet gdyby więzienni lekarze wykryli go wcześniej, nic by to nie dało. Minęły trzy dni, zanim naczelnik

więzienia zdołał mnie znaleźć. Jakiś klawisz zadzwonił do domu mojej babci na koszt abonenta, kiedy byłam w drodze do pracy. Ojciec mógł nie przeżyć tej nocy, więc babcia przyjechała po mnie do Chili's. Przygotowała nawet mój plecak, który leżał teraz na fotelu pasażera. Chciała lecieć ze mną, ale nie było czasu na wizytę u kardiologa, który powinien wyrazić zgodę na jej podróż samolotem. Zresztą obie wiedziałyśmy, że zakup drugiego biletu byłby marnotrawstwem.

Glenn Lowell nie jest jej synem. W życiu nawet nie widziała go na oczy.

Bilet do Pittsburgha kupiłam na lotnisku. W kasie kosztował dwieście dolarów więcej, niż gdybym go zarezerwowała z wyprzedzeniem. Niewiele brakowało, a machnęłabym na to wszystko ręką. Jesienią za te dwie stówki kupiłabym sobie książki.

Pewnie się zastanawiacie, kto skazałby swojego ojca na samotność w ostatnich chwilach życia, żeby zaoszczędzić dwieście dolarów. Ale mój ojciec postrzelił i omal nie zabił sklepikarza z powodu dużo mniejszej kwoty i kartonu papierosów. Więc to nie tak, że nie chcę się z nim pożegnać. Po prostu rzecz w tym, że dla mnie ojciec umarł już dziesięć lat temu, kiedy sąd skazał go na dożywocie.

Rozdział drugi

Maggie Greenwood czeka na mnie w hali przylotów. Od czasu kiedy widziałam ją ostatnio, przytyła parę kilo, a jej włosy stały się jaśniejsze o kilka odcieni.

To było dziewięć lat temu. Wolę nawet nie myśleć, jak mało się zmieniło przez ten czas. Greenwoodowie znów przygarniają mnie jak bezdomnego kota, tylko że tym razem nie jestem tak wychudzona. Teraz już nie byłoby mi tak łatwo wbić się w obcisłe dzinsy. Chyba wszystkie te obiady w Chili's zrobiły swoje.

– Och, kochanie. – Maggie obejmuje mnie jedną ręką i przyciąga do siebie.

Wzdrygam się, ale przewyciężam opór i moje dłonie stykają się za jej plecami. Maggie chwyta mnie za ramiona i prezentuje jedną ze swoich najsmutniejszych min, ale nie może powstrzymać uśmiechu, który rozlewa się po jej twarzy. Próbuję spojrzeć na siebie jej oczyma. Już nie jestem tamtą kościstą i ponurą dziewczynką z włosami do pasa.

Matka nigdy nie obcinała mi włosów, ale teraz noszę nie dłuższe niż do ramion.

– Cześć, Maggie – mówię.

Kładzie mi dłoń na plecach i prowadzi na parking.

– Callie chciała przyjechać tu ze mną, ale musiała wcześniej się położyć.

Kiwam głową i mam nadzieję, że Maggie nie czuje, jak mój żołądek się kurczy na dźwięk imienia jej córki.

– Jutro rano ma konkurs gimnastyczny – dodaje.

Zastanawiam się, kogo próbuje przekonać. Wiem, że to wszystko mydlenie oczu i Callie nie ruszyłaby się z domu, nawet gdyby ją namawiała.

– A więc nadal się tym zajmuje?

Tak naprawdę myślę: *A więc ludzie wciąż wywijają drążkami i nazywają to sportem, tak?* Ale nie chcę być nieuprzejma.

– Och, tak. Dostała stypendium. – Maggie szczyrzy zęby w uśmiechu, który prawie przepoławia jej twarz. – Na uniwersytecie w East Stroudsburg. Studiuje gimnastykę artystyczną.

Oczywiście wiem to wszystko. Wiem, z kim Callie nadal się przyjaźni (głównie z Sabriną Hayes) i co jadła na śniadanie w zeszłym tygodniu (muffinki cynamonowe ze sklepiku Jima), jak bardzo chce się wyrwać z Fayette (pięć tysięcy mieszkańców) i że imprezuje tak ostro jak żaden z pierwszorzoczników. Chociaż nie rozmawiałam z nią od dziewięciu lat, wiem prawie wszystko, co można wiedzieć o Callie Greenwood. Wszystko oprócz jednej rzeczy, która nie daje mi spokoju.

Czy jeszcze zdarza się jej o tym myśleć?

– Twoja babcia mówiła, że zdecydowałaś się na Tampę, tak?

Przytakuję i opieram głowę o szybę.

Kiedy powiedziałam babci, że zdałam na uniwersytet w Tampie, poradziła mi, żebym naprawdę poważnie się zastanowiła nad studiami w mieście. Bo miasto, powiedziała, przeżuje cię i wypluje.

Maggie skręca w stronę zjazdu do Fayette, a ja myślę tylko o tym, że wolałabym raczej zostać przeżuta i wypluta niż połknięta w całości.

Maggie zatrzymuje się przed białym piętrowym domkiem, który w moich wspomnieniach z dzieciństwa wydawał się dwa razy większy. Zatraskujemy drzwi minivana i psy za płotem sąsiadów zaczynają wściekle ujadać. Dochodzi pierwsza w nocy. Za kilka godzin Rick, mąż Maggie, wstanie do pracy i pojedzie rozwozić chleb. Ogarniają mnie wyrzuty sumienia, kiedy się zastanawiam, czy już śpi, czy może czeka, dopóki Maggie nie wróci bezpiecznie do domu. Bo takim mężem jest Rick.

Za to mój ojciec był takim mężem, na którego matka musiała czekać, odchodząc od zmysłów, a on wracał w środku nocy chwiejnym krokiem i cuchnął whisky.

Psy cichną, kiedy wchodzimy na ganek, jakby już zmęczyły się szczekaniem. Każda działnica w tym miasteczku wyraża własne emocje. Okolica, w której mieszkają Greenwoodowie, emanuje zmęczeniem. Pełno tam rodzin robotniczych, które wstają skoro świt i przez siedem dni w tygodniu wspólnie zasiadają do kolacji, choćby padali ze zmęczenia.

A mnie moja stara działnica kojarzy się z gniewem. Niszczące domy stoją upchnięte tak blisko siebie, że można zajrzeć sąsiadowi do kuchni. Wyobrażam sobie rozsierdzonych starych ludzi, którzy siedzą na gankach i narzekają na spółkę telekomunikacyjną, na demokratów albo na opóźnienia w wypłacie emerytury.

Greenwoodowie mieszkali kiedyś z nami po sąsiedzku. Przeprowadzili się rok przed tym, jak wyjechałam do babci, więc nie mogłam już wpadać po sąsiedzku do Callie, z którą bawiłam się od szóstego roku życia.

Maggie otwiera frontowe drzwi i kiedy w nozdrza uderza mnie ten zapach, od razu wyczuwam różnicę. Mam ochotę ją spytać, czy tęskni za starym domem tak samo jak ja. Ale oczywiście nie tęskni. A zważywszy na to, co wydarzyło się w tamtym domu, takie pytanie byłoby zdecydowanie nie na miejscu.

– Jesteś głodna? – pyta Maggie, zamykając drzwi i przekręcając zamek.
– Wiem, że w samolotach nie dają już teraz nic do jedzenia. Zostało nam trochę lazanie.

Kręcę głową.

– Jestem... naprawdę wykończona.

Maggie robi minę pełną współczucia i zauważam na jej twarzy bruzdy, których nie było dziewięć lat temu. Prawdopodobnie myśli, że skoro przyjechałam

do umierającego ojca, muszę czuć się zdruzgotana. Tessa, którą zapamiętała, byłaby zdruzgotana. Rozpaczałyby wniebogłosy za tatusiem jak tamtego dnia, kiedy gliniarze wyłamali drzwi i wywlekli go z domu w kajdankach. Ale dziś myślę tylko o tym, żeby nie ociągał się z tym swoim umieraniem, bo chcę wracać do domu. Maggie nawet nie wie, że tamtą Tessę zastąpił bezduszny potwór.

– Oczywiście – mówi, ściskając moje ramię. – Zaraz się położysz.

Kiedy wreszcie zasypiam, właśnie wschodzi słońce.

Marzę o prysznicu, ale nie wiem, gdzie Greenwoodowie trzymają ręczniki. W starym domu mieli w łazience bieliźniarkę. Zamiast zejść na dół i zapytać o to Maggie, ochlapuję tylko twarz wodą i wycieram się małym ręcznikiem wiszącym przy umywalce.

Mam opory przed proszeniem ludzi o różne rzeczy. Jestem taka, odkąd pamiętam, ale myślę, że nasiliło się to, kiedy babcia zabrała mnie na Florydę. Zanim urządziła mi pokój w swoim gabinecie, spałam na rozkładanym łóżku. W oknach nie było żaluzji, więc co rano o szóstej budziły mnie promienie słońca i potem nie mogłam już zasnąć. Zaczęłam sypiać pod łóżkiem, bo tam nie docierało światło. Babcia odkryła to dopiero po miesiącu. Teraz mam już żaluzje, ale czasami, kiedy nie mogę zasnąć, wpęłam pod łóżko i gapię się na sprężyny, jakbym oglądała rozgwieżdżone niebo.

Tej nocy nawet nie próbowałam zasypiać. W szafce pod umywalką znajduję butelkę listerine i płuczę usta. Nawet nie zawracam sobie głowy układaniem włosów, których nie rozpuściłam, kładąc się do łóżka. Bo i po co? I tak nie wierzę, żebym wyglądała gorzej od ojca.

Kiedy schodzę na dół, w kuchni bulgocze ekspres do kawy, a Maggie przyrządza grzanki.

– Z mlekiem czy ze śmietanką? – pyta, wskazując na kubek, który dla mnie przygotowała.

Nie mam serca, żeby jej powiedzieć, że nie znoszę kawy. Wzruszam ramionami.

– Obojętnie.

Maggie przechyla patelnię i obraca przypieczoną kromkę.

– Próbowałam obudzić Callie, ale nie czuje się najlepiej.

Siadam przy kuchennym stole. Słyszałam, jak Callie ukradkiem weszła do domu o trzeciej. Idę o zakład, że nie dolega jej nic innego jak kac. Odkąd zaczęła studia, prawie do każdego zdjęcia na swoim facebookowym profilu pozuje, trzymając czerwony plastikowy kubek z drinkiem.

– Zawaliła konkurs. – Maggie marszczy czoło i przykręca palnik kuchenki.

– Ale doszłam do wniosku, że pozwolę jej się trochę poobijać. W końcu są wakacje.

Napnęłam się cała, kiedy uświadamiam sobie, że skoro Callie zostanie

w domu, nie będzie mogła mnie unikać przez cały dzień. Zwłaszcza że jej matka nie zamierza się wtrącać.

Po przeprowadzce na Florydę przez tydzień dzwoniłam do niej codziennie. Za każdym razem odbierała Maggie. Callie albo była na treningu, albo jeździła na rowerze z Ariel Kouchinsky, albo odrabiała lekcje. Z każdym dniem głos Maggie stawał się coraz bardziej zdesperowany i pełen skruchy. Nie chciała, żebym sobie odpuściła.

Z czasem moje próby nawiązania kontaktu ograniczyły się do jednej tygodniowo, potem dzwoniłam już tylko raz w miesiącu, aż w końcu przestałam w ogóle.

W ciągu ostatniego roku Maggie zadzwoniła do mnie, żeby złożyć mi życzenia urodzinowe, i wysłała kartkę na Boże Narodzenie. Ani razu nie wspomniała o swojej córce.

Trzy lata temu natknęłam się na Callie w miejscu, w którym najmniej bym się jej spodziewała – na forum internetowym poświęconym procesowi „Potwora znad Rzeki Ohio”. Zamieściła tylko jeden wpis, tylko dwie linijki, w którym kazała wszystkim się zamknąć. Nie macie pojęcia o tej sprawie, pisała, bo jesteście bandą niedoszłych adwokatów, którzy urzędują u mamusi w piwnicy. Skwitowała wszystko słowami: „Mordercą jest Wyatt Stokes”, a potem nie odezwała się już ani razu, żeby obronić swoje zdanie przed całą masą ludzi, którzy domagali się dowodów.

Wiedziałam, że to Callie, bo użyła tego samego loginu, jakiego używała przy każdej okazji, odkąd skończyłyśmy dziesięć lat – *twirlygirly23*. Założyłam konto i wysłałam do niej wiadomość: „To ja, Tessa. Też to czytałam”. Nie doczekałam się odpowiedzi.

Tak czy inaczej, teraz na pewno nie jest zachwycona, że wróciłam, żeby przypomnieć jej najgorsze lato w naszym życiu.

Maggie przechyła patelnię i grzanka z plaśnięciem spada na mój talerz. Unoszę głowę i odwzajemniam jej błady uśmiech.

Za dnia Fayette wygląda jeszcze gorzej. Gorzej niż w moich wspomnieniach. Maggie zajeżdża do Quick Mart przy Main Street, żeby zatankować. Połowa witryn w galerii handlowej jest zasłonięta płytami wiórowymi albo w drzwiach wiszą tabliczki z napisem *Zamknięte*, które od dawna pokrywają się kurzem.

Znaczna część Fayette podupadła na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy zamknięto tutejsze zakłady metalurgiczne. Jeszcze przed moimi narodzinami ojciec pracował w walcowni w sąsiednim miasteczku. Teraz Fayette sprawia wrażenie, jakby ze wszystkich sił starało się utrzymać przy życiu. Przypuszczalnie dlatego, że wszyscy tutaj są piekielnie uparci. Nikt nie pozwoli, żeby splajtował sklepik Jima czy zakład krawiecki Paula. Ci, którzy tu zostali, ani myślą się wynosić, ale ich dzieci przy odrobinie szczęścia długo nie zagrzeją tu miejsca.

Dojazd do więzienia zajmuje nam pół godziny. Moja noga cały czas podryguje nerwowo i uświadamiam to sobie, dopiero kiedy Maggie zatrzymuje samochód i kładzie rękę na moim kolanie.

– Kochanie, jesteś pewna, że tego chcesz?

Oczywiście, że nie chcę.

– Wszystko w porządku – odpowiadam. – Nie zabawimy tu długo.

Maggie opuszcza osłonę przeciwsłoneczną z lusterkiem i nakłada na usta świeżą warstwę różowej szminki. Wykrzywia w uśmiechu zaciśnięte wargi i krocząc ramię w ramię, dochodzimy do bramy. Obejmuje mnie i nie cofa ręki, chociaż czuje, jak moje mięśnie się naprężają.

Babcia nie jest wylewna. Od lat co wieczór zatrzymuję się w korytarzu pod drzwiami salonu i przyglądam się jej, jak rozwiązuje krzyżówki, mamrocząc coś pod nosem. Stoję tam i czekam jak politowania godna żebraczka spragniona odrobiny uczucia, dopóki ona w końcu nie spojrzy na mnie. No to dobranoc, mała, mówi, kiwając głową. I to wszystko.

Ostatnio robi mi się nieswojo, kiedy ktoś mnie dotyka. Maggie zdaje się nie zauważać, że sięgając do torebki, z której wyciągam komórkę, tak naprawdę uciekam się do fortelu, żeby się od niej uwolnić.

– Prawdopodobnie każą ci to zostawić przy wejściu – mówi, wskazując głową na telefon. – A mnie... chyba tam z tobą nie wpuszczą.

Czuję w ustach gorzki posmak kawy i przełykam ślinę. Domyślam się, że powinnam w tej chwili posmutnieć przytłoczona ciężarem wspomnień. Zamiast tego rozpiera mnie ciekawość. Zastanawiam się, jak on teraz wygląda, czy ma zapadnięte policzki, a jego skóra stała się cienka jak pergamin. Pamiętam, że zawsze był okazem zdrowia. Nigdy nie chodziliśmy do lekarza – matka za nimi nie przepadała, a ojciec twierdził, że nie ma takiej choroby, której nie dałoby się wyleczyć szklaneczką whisky.

W milczeniu podążam za Maggie, która prowadzi mnie do stanowiska wartowniczego. Zza szyby spogląda na nas kobieta w szarym mundurze.

– Jesteście na liście odwiedzających? – pyta ze wzrokiem wlepionym w monitor komputera.

– Wczoraj rozmawiałam z kierownikiem ambulatorium. – Maggie cedzi słowa przez ściśnięte gardło.

– Z kim chcecie się widzieć?

– Z Glennem Lowellem – odzywam się ochryłym głosem.

Strażniczka unosi wzrok i wpuszcza nas do środka.

– Glenn Lowell zmarł dziś rano – oświadcza.

Maggie zaciska mocno szczęki.

– Jak to możliwe?

– Ludzie chorują i umierają – odpowiada strażniczka z kamienną twarzą, ale

kiedy spogląda na mnie, dostrzegam w jej oczach współczucie. Odkłada długopis na biurko. – Pogorszyło mu się w nocy. Przykro mi.

– Czemu, do jasnej cholery, nikt nas nie zawiadomił? To jest jego córka.

Z każdym słowem głos Maggie przybiera na sile. Ludzie, którzy czekają na ławce za naszymi plecami, odrywają wzrok od swoich gazet. Błądząc nerwowo po nogawce dżinsów, mój palec wymacuje na udzie małą dziurkę, która zaczyna się strzępić.

– Jego córka ma prawo go zobaczyć – dodaje Maggie. – Kto jest pani przełożonym?

Strażniczka krzyżuje ręce na piersi. Na jej plakietce widnieje imię „Wanda”.

– Rozumiem pani zdenerwowanie, ale córka Glenna Lowella była tutaj wczoraj wieczorem. Nie uprzedzono mnie, że miał dwie córki.

Nogi uginają się pode mną.

– Chwileczkę. Ona tutaj była?

Czuję, jak stojąca obok Maggie cała tężeje. Strażniczka bez słowa przewraca kartkę w leżącej przed nią na blacie książce odwiedzin, a potem podaje mi ją przez szczelinę pod szklaną taflą. Ręce mi się trzęsą, kiedy przeglądam nazwiska w tabeli.

– Nie ma jej tu – mówię w końcu i chcę odepchnąć książkę z powrotem, ale Wanda powstrzymuje mnie gestem.

– Wczoraj o osiemnastej trzydzieści pięć. Sama ją wpuszczałam.

Jeszcze raz przesuwam wzrokiem w dół strony i zatrzymuję się na Brandy Butler. Rozpoznaję charakter pisma mojej siostry Joslin. Odruchowo podkurczam palce u stóp. Wiem, że to ona. Zawsze nabijałam się z tego jej przesadnie pochyłego „E”, które wyglądało tak, jakby litera miała się przewrócić i zaryć nosem w ziemię.

Maggie nadyma się i wszczyna kłótnię ze strażniczką, żądając spotkania z naczelnikiem więzienia.

– Glenn Lowell nie miał córki, która nazywa się Brandy Butler – oświadcza kategorycznym tonem.

– To ona – wchodzę jej w słowo, a kiedy wlepi we mnie wzrok, dodaję:
– To jest pismo Jos.

Maggie z niedowierzaniem rozdziawia usta, ale na jej twarzy dostrzegam coś jeszcze. Litość. Zaczynam mieć już tego serdecznie dosyć.

– Chodźmy stąd – mówię. – On i tak nie żyje, więc możemy wracać, co?

Moja noga znów zaczyna nerwowo podrygiwać. Maggie waha się przez chwilę. Patrzy na strażniczkę, jakby chciała powiedzieć, że wyciągnie stosowne konsekwencje, a potem chwyta mnie za rękę.

Rozlega się brzęczenie zamka magnetycznego. W otwartych drzwiach obok wartowni pojawia się strażnik z podkładką do pisania w ręku i nie odrywając od

niej wzroku, wykrzykuje nazwisko z listy:

– Edwards!

Z ławki w poczekalni wstaje mężczyzna w garniturze. Jest oszołomiony jak uczeń, którego w połowie lekcji wezwano do gabinetu dyrektora.

– Pański klient już czeka – mówi strażnik.

Edwards przechodzi obok, niosąc pod pachą kartonową teczkę na dokumenty. Chociaż nie wie, kim jesteśmy, uprzejmie kiwa głową w naszą stronę.

Maggie ściska w dłoni moją rękę i już wiem, że też go rozpoznała. Może z filmu dokumentalnego o serii morderstw, *Prawdziwe oblicze potwora*, o ile zmusiła się do jego obejrzenia. A może śledzi postępowanie apelacyjne Stokesa. Może czuje taką powinność, bo ostatnią z jego ofiar była jej siostrzenica. Tak czy inaczej, udziela mi się jej zdenerwowanie i wiem, że obie widzimy dokładnie to samo – adwokata, który przez ostatnie dziesięć lat usiłuje doprowadzić do ponownego procesu Wyatta Stokesa.

Wyatta Stokesa, „Potwora znad Rzeki Ohio”, który siedzi w celi śmierci, bo Callie i ja sprawiliśmy, że się tam znalazł.

Rozdział trzeci

– Wychodzimy stąd, Tesso – rzuca Maggie takim tonem, jakbym to ja się ociągała.

Puszcza moją rękę i rusza w stronę wyjścia, a ja podążam za nią.

Drzwi, za którymi zostawiamy więzienny mrok, zatrząskują się z metalicznym łoskotem. Oślepiają mnie promienie słońca.

Maggie ma taką samą minę jak tamtego dnia przed sądem, kiedy Stokes został skazany na śmierć – jakby przytłoczyła ją cała ciemność wszechświata. Nie byłam na ogłoszeniu wyroku, ale razem z Joslin i mamą siedziałam przed telewizorem w salonie i oglądałam relację w lokalnych wiadomościach.

Kiedy Maggie i Bonnie Cawley, matka Lori, wychodziły z sądu po rozprawie, jeden z operatorów, który czekał na schodach przed gmachem, skierował obiektyw w ich stronę. Nie mogłam pojąć, dlaczego Maggie nie promienieje ze szczęścia. Przecież Stokes został skazany na śmierć, na co wszyscy liczyli. Nie chciała rozmawiać z reporterami, za to Bonnie, zwracając się prosto do kamery, oznajmiła, że na egzekucji Stokesa będzie siedziała w pierwszym rzędzie.

Słyszałam, jak Maggie tłumaczy swojej córce, że ciocia Bonnie zmieniła się po śmierci Lori. Kiedy wkrótce po aresztowaniu Stokes został przewieziony do sądu na pierwsze przesłuchanie, Bonnie czekała tam na niego, żeby patrząc mu w oczy, nazwać go szatańskim pomiotem. Tak bardzo nienawidziła człowieka, który zamordował jej córkę, że nie była w stanie normalnie funkcjonować, dopóki nie dowiedziała się, że został skazany na karę śmierci.

Ale gdy teraz patrzę na Maggie, uświadamiam sobie, że nie można zasiać nienawiści w czyimś sercu, odbierając mu kogoś bliskiego. Albo nosimy w sobie to uczucie, albo nie – ono jest jak komórki rakowe, które ukrywają się w ciele, czekając na sprzyjający moment, żeby się rozwinąć.

Aż do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, że mam w sobie tyle nienawiści. Ale nie do Wyatta Stokesa, który zamienił nasze życie w pasmo strachu. Ani do ojca, chociaż mogłabym go znienawidzić za to, że trafił do więzienia, a jeszcze bardziej za to, że nie zaczekał tych paru godzin, chociaż wiedział, że przyjechałam się pożegnać.

To nienawiść do mojej siostry. Mojej jedynej siostry, która pozwalała mi spać w swoim łóżku, kiedy co wieczór wtulałam się w nią jak mała małpka, i całowała moje opuchnięte od płaczu powieki. Mojej siostry, która opiekowała się mną, kiedy ojciec poszedł do więzienia, a matka na naszych oczach stawała się wrakiem człowieka. Mojej siostry, która obiecywała, że nigdy mnie nie opuści, a dwa dni po moich dziewiątych urodzinach uciekła z domu i już więcej się nie pokazała.

Tylko że teraz wróciła. Ale nie do mnie.

I tak nie wyprawiałabym ojcu pogrzebu, nawet gdyby nie pospieszył się tak z tym umieraniem. Nie mam na to pieniędzy, zresztą nie wyobrażam sobie, kto mógłby się zjawić na nabożeństwie żałobnym w więziennej kaplicy. Wanda? Inni osadzeni? To przygnębiające. Wszyscy ci, na których mu zależało – a było takich naprawdę niewielu – już dawno nie żyją. Dlatego zabukowałam bilet powrotny do Orlando na pojutrze rano.

Ale to było jeszcze, zanim się dowiedziałam, że moja siostra tu jest. A raczej była. Bo któż wie, gdzie może być teraz? Minęło dwanaście godzin i mogła już dawno wynieść się w cholerę z Pensylwanii.

Bez przerwy zachodzę w głowę, skąd wiedziała, że ojciec umiera. Nie była nawet jego córką. Nasza matka porzuciła jej biologicznego ojca, kiedy Joslin miała dwa lata, i wiedziałyśmy o nim tylko tyle, że mieszkał w Luizjanie. Nie byli małżeństwem. Nigdy nie miałam śmiałości zapytać, czy blizna na podbródku mojej siostry ma coś wspólnego z ich rozstaniem.

Jos nazywała Glenna Lowella tatusiem, a w naszym domu nigdy nie wspominało się o tamtym człowieku z Luizjany. Mój ojciec nazywał nas obie swoimi dziewczynkami i Joslin płakała tak samo jak ja, kiedy został skazany za napad rabunkowy z bronią w rękę i usiłowanie zabójstwa.

Wątpię, aby dowiedziała się o jego chorobie od naszej matki, bo matka nie odzywa się do mnie od dziewięciu lat. Babcia nie ma z nią kontaktu prawie trzy razy dłużej. Byłabym skłonna przypuszczać, że to Maggie ją zawiadomiła. Zawsze łączyła ją z ludźmi niemal mistyczna więź, dzięki której potrafiła przejrzeć ich intencje. Ale Maggie była tak samo zaskoczona jak ja, dowiedziawszy się, że Joslin zjawiła się w więzieniu wczoraj wieczorem. Zresztą nigdy nie przepadała za moją siostrą.

Odkąd pamiętam, mówiła o niej „ta cała twoja siostra”, z dezaprobatą odwracając wzrok, chociaż jej córka przyjaźniła się ze mną od przedszkola. Kiedy Callie i ja miałyśmy po osiem lat, w czerwcu przyjechała do Fayette Lori Cawley, żeby spędzić lato u Greenwoodów. Jos miała po wakacjach iść do ostatniej klasy liceum, a Lori właśnie ukończyła pierwszy rok college’u w Filadelfii. Maggie próbowała poznać swoją siostrzenicę z jej rówieśniczkami, ale Lori poznała Jos, która kiedyś mnie odprowadziła, i wtedy się zaczęło. Joslin i Lori zabierały mnie i Callie na kąpielisko prawie codziennie, kiedy tylko moja siostra nie szła do pracy. Pochylały głowy nad „Cosmopolitan” i rozmawiały o rzeczach, które robiły z chłopakami, a jeżeli je podsłuchiwałyśmy, płaciły nam za milczenie ogromnymi porcjami lodów.

To było pierwsze lato, kiedy mama pozwoliła mi zostać na noc w domu przyjaciółki. Wieczorem Callie i ja dwa razy obejrzałyśmy *Mulan* na wideo, bo nie chciałyśmy iść spać. Miałyśmy usta lepkie od słodyczy i bawiłam się tak świetnie,

że leżąc w łóżku, nawet nie tęskniłam za moją siostrą, tak jak w te noce, kiedy zostawiała mnie samą i wymykała się na spotkania ze swoim chłopakiem Dannym.

Ostatni raz spałam u Greenwoodów tej nocy, kiedy zaginęła Lori Cawley. W Fayette krążyły plotki o seryjnym mordercy, który porywał dziewczyny czekające na stopa przy autostradzie międzystanowej I-70. W ciągu poprzednich dwóch lat znaleziono ciała trzech ofiar. Wszystkie były na gigantie i ćpały. Panienki z szemranego towarzystwa.

Takie panienki jak Lori nie miały się czego obawiać. W Fayette były bezpieczne, bo „Potwór” krążył po obrzeżach miasta, gdzie polował na kolejną zdesperowaną dziewczynę, która zechce wsiąść do jego samochodu. Tak wszyscy myśleli, dopóki dzień po zaginięciu Lori policja nie znalazła jej ciała w lesie przy autostradzie.

– Mam zaparzyć herbatę? – pyta Maggie, kiedy wracamy do domu.

Zauważam, że stara się być uprzejma, ale jest wstrząśnięta tym wszystkim, co wydarzyło się w więzieniu, i wolałaby zostać sama. To mi odpowiada.

– Chyba powinnam zadzwonić do babci – mówię.

– Dobrze.

Maggie opiera się plecami o kuchenny blat, zamyka oczy i uciska palcami powieki. Potem opuszcza ręce i mruga tak szybko, jakby zobaczyła mnie pierwszy raz w życiu. Nagle przyłapuje się na tym i na jej twarzy pojawia się wymuszony uśmiech.

– Powiedz mi, gdybyś czegoś potrzebowała. Czegokolwiek.

Nie mogę poprosić o tę jedną rzecz, której naprawdę bym chciała – o podwiezienie do Pittsburgha, żebym mogła zmienić rezerwację biletu na dziś wieczór, bo nie wiem, jak tu wytrzymam do jutra.

To tylko dwa dni, pocieszam się. Jeśli przetrwałaś tu dziesięć lat, dasz radę jeszcze te dwa dni.

– Dziękuję – mamrocę pod nosem i idę na górę.

Moja komórka ładuje się na stoliku nocnym, tam gdzie ją zostawiłam. Wybieram numer telefonu domowego babci i odzywa się automatyczna sekretarka. Zastanawiam się, co jej powiem, słuchając nagranych powitania. Nie mogę powiedzieć, że ojciec zmarł, zanim zdążyłam się z nim zobaczyć. Będzie miała wyrzuty sumienia, chociaż nie jest niczemu winna. Przerывam połączenie.

Moja komórka nie ma dostępu do sieci. Mam wspólny pakiet z babcią, chociaż ona nigdy nie włącza swojego telefonu, który leży zagrzebany wśród rupieci na dnie jej torebki. Gdybym miała okazję spakować się sama, zabrałabym swojego laptopa.

Czuję narastający ucisk w gardle i ciężko przełykam ślinę. Przypominam sobie, że w bawialni na dole widziałam komputer.

Wzdrygam się, kiedy pierwszy ze stopni głośno skrzypi pod moim ciężarem.

Źle się czuję, przebywając w obcym domu, gdzie mogę zwrócić na siebie uwagę najdrobniejszym potknięciem. Nauczyłam się omijać wszystkie takie miejsca w domu babci, jakbym stąpała po polu minowym – rozeschnięty trzeci stopień od dołu w schodach prowadzących na piętro i rama z moskitierą na drzwiach kuchennych, której zawiasy rozpaczliwie domagają się naoliwienia.

Nagle trzaskają drzwi wejściowe i zastygam w bezruchu. Z kuchni dobiega wołanie Maggie:

– Callie?

Wstrzymuję oddech. Czuję się, jakbym znów miała dziesięć lat – jestem wściekła na Callie, że mnie odrzuciła, ale zrobiłabym wszystko, żeby choć przez chwilę na mnie spojrziała.

Przez kilka pierwszych miesięcy po przeprowadzce niewiele się odzywałam. W końcu babcia znużona moją apatią przyparła mnie do muru i wydusiła ze mnie całą prawdę, tak samo jak ojciec, który zaganiał mnie w kąt i wyrwał mi zęby mleczne, kiedy nie mógł już patrzeć, jak próbuję je rozchwiać.

Babcia przypuszczalnie spodziewała się usłyszeć, że tęsknię za mamą i siostrą, ale prawda była taka, że już się pogodziłam z ich odejściem. Została mi tylko moja przyjaciółka, ale Maggie nawet nie potrafiła jej nakłonić, żeby podeszła do telefonu i porozmawiała ze mną.

– Tak?

Głos Callie jest niski i lekko chrapliwy. Zupełnie niepodobny do tego, który zapamiętałam. Słyszę, jak coś rzuca na sofę w przedpokoju, zapewne torebkę, a potem jej kroki cichną, kiedy wchodzi do kuchni.

Zaciskam dłonie na poręczy. Wiem, że to śmieszne. Nie mogę się ukrywać przez dwa dni w pokoju gościnnym. Skradam się na dół po schodach i słyszę dobiegające z kuchni ściszone głosy. Przystaję w przedpokoju i odnoszę wrażenie, że nie chciałyby, żebym brała udział w tej rozmowie. Docierają do mnie strzępki zdań.

– ... wiem, że to dla ciebie trudne – mówi Maggie. – Ale ona nie miała gdzie się podziać.

– Nie prowadzimy hotelu, mamó – odpowiada Callie.

Jest wyraźnie rozdrażniona. Obracam się z powrotem w stronę schodów i podłoga skrzypi pod moją nogą. W kuchni zapada cisza.

– Tesso, skarbie? – pyta Maggie i w jej głosie słyszę nerwowe napięcie. – To ty?

Psiakrew. Mocno zaciskam powieki.

– Chciałam tylko napić się wody.

Maggie pojawia się w salonie i podchodzi do mnie.

– Och, oczywiście. Dobrze, że zeszłaś na dół. Nie zgadniesz, kto przyszedł.

Prowadzi mnie arkadowym przejściem do kuchni. Callie unosi wzrok znad

stołu. Ma na sobie zieloną bluzę East Stroudsburg University, a wokół jej piwnych oczu ciągną się rozmazane linie wczorajszego tuszu do rzęs. Jest piękna, a jej uroda zawsze sprawiała, że czułam się przy niej jak kopciuszek.

Napotyka moje spojrzenie i krew odpływa jej z twarzy. To jest moment, w którym spoglądając na siebie, widzę dokładnie to co ona – Tessę Lowell, żalostną dziewczynę z plebsu, szkolną koleżankę, której widok przypomina o zmarnowanym roku dzieciństwa.

Maggie przenosi wzrok ze swojej córki na mnie. Ma zaczerwienione oczy. Musiała wymknąć się z domu, kiedy wróciliśmy z więzienia, żeby się wyrzucić po spotkaniu z Timem Edwardsem.

– Tak się cieszę, dziewczęta, że spędzicie trochę czasu razem – mówi.

Callie prychnęła ze złością.

– Bo akurat cię o to prosiłam.

Wstaje od stołu i z powrotem przysuwa krzesło. Wychodzi, zanim wyraz zaskoczenia na twarzy jej matki przeradza się w gniew. Maggie spogląda na mnie. Po jej minie widać, że z trudem dochodzi do siebie.

– Tesso, tak mi...

– W porządku – przerywam jej. – Naprawdę.

Chwyta mnie za rękę i zaciska palce.

– Muszę kupić kilka rzeczy. Chcesz ze mną jechać do supermarketu?

Kręcę głową i mówię, że chciałabym się położyć, a potem wracam na górę do pokoju gościnnego. Siedzę na brzegu łóżka, opierając dłonie na kolanach, i czekam. Kiedy słyszę szcęk zamykanych drzwi, zbiegam z powrotem na dół do saloniku, gdzie stoi komputer. Tyle razy wstukiwałam jego imię i nazwisko, że moje palce same układają się na klawiaturze. *Wyatt Stokes*. Wzmianki na jego temat nie pojawiają się już tak często, ale ostatni artykuł pochodzi z zeszłego tygodnia. Musiałam go przeoczyć, kiedy brałam wszystkie dodatkowe zmiany, żeby zapłacić w terminie drugą ratę czesnego.

Sędzia przychyliła się do wniosku o dopuszczenie dodatkowego materiału dowodowego w postępowaniu apelacyjnym Wyatta Stokesa.

Oczywiście wiedziałam, że się odwoływał. Kiedy Stokes został skazany, zrezygnował z usług swojego pierwszego obrońcy i na jego miejsce zatrudnił Tima Edwardsa. Po latach starań o unieważnienie wyroku sędzia nie zgodził się na ponowne rozpatrzenie sprawy, twierdząc, że w pierwszym procesie nie było żadnych uchybień.

– Tak się zawsze dzieje, ale nigdy nic z tego nie wychodzi – tłumaczyła mi matka, kiedy obawiałam się, że Stokes może wyjść na wolność i zemścić się na Callie i na mnie za to, że zeznawałyśmy przeciwko niemu.

Już wtedy wiedziałam, że winny czy nie, nikt nie poddaje się bez walki.

Przeoglądam artykuł, ale nie ma w nim żadnej wzmianki, co to za materiał

dowodowy. Nie ma też informacji o terminie nowej rozprawy. To może trwać lata. Więźniowie w celi śmierci nie mają nic oprócz czasu. Aż do dnia, w którym i to się kończy.

Czuję bolesny ucisk w trzewiach, które zamieniają się w twardy węzeł.

Na piętrze trzaskają drzwi.

O cholera! W pośpiechu usuwam adres artykułu z historii przeglądania. Kiedy wykasowuję słowa „Wyatt Stokes” z pamięci wyszukiwarki, kroki słychać już na dole. Odskakuję od biurka i w tej samej chwili zza rogu wyłania się Callie. Nieruchomieje na mój widok. Spodziewam się, że mnie zignoruje, jakbym była niewidzialna, rozciągnie się na sofie i włączy telewizor.

Jednak ona bierze głęboki wdech. Wydaje mi się, że czuję od niej alkohol. Dotyka przedziałka, przyglądając i tak już gładkie blond włosy. Jako dziecko wrywała je sobie i robiła to z takim zapamiętaniem, że kiedy zeznawałyśmy w sądzie, miała na głowie placek gołej skóry.

Nawzajem mierzymy się wzrokiem. Pomieszczenie jest ciasne, a ona stoi w drzwiach, blokując mi drogę odwrotu.

Callie zawsze górowała nade mną pod każdym względem. Zawsze byłam tą biedniejszą koleżanką, której czegoś brakuje. Ale teraz nie zamierzałam ani chwili dłużej stać jak wryta. Teraz to jej brakowało ikry, żeby wydać z siebie głos.

– Co u ciebie? – zagaduję.

– Nie mam nastroju.

Naciąga na głowę kaptur bluzy i przechodzi obok mnie. Mam ochotę pchnąć ją na ścianę i wytargać za włosy, ale tłumię to w sobie. Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak silny jest mój gniew.

Ostatni raz pobiłam kogoś pod koniec dziesiątej klasy. To był Bobby, taki jeden głupek o wystających zębach, który na wiedzy o społeczeństwie musiał dorzucić swoje trzy grosze o bonach na żywność. Bezmyślnie powtarzał wszystko, co jego matka mówiła o kobietach, które przychodziły do jej sklepu wydawać pieniądze podatników, obnosząc się przy tym z najnowszymi modelami iPhone’a, modnymi ciuchami i piątką bachorów. Zaczekałam na niego po lekcji i zapytałam, czy jego zdaniem te bachory zasłużyły na to, żeby głodować. Może matka wychowuje je samotnie, bo jej mąż nie żyje albo siedzi. Ale on tylko przeszedł obok, ocierając się o mnie ramieniem, i mruknął do swojego kolegi, jaka to ze mnie hołota. Dосkoczyłam do niego i uderzyłam jego twarzą o drzwiczki metalowej szafki.

Kiedy babcia przyszła po mnie do szkoły, na oczach zastępcy dyrektora chwyciła mnie mocno pod brodę, wbijając mi paznokcie w skórę.

– Nie myl mojej dobroci ze słabością, Tesso.

Wtedy to właśnie uświadomiłam sobie, że moja matka mimo wszystko wdała się w nią. Obie nosiły w sobie pokłady agresji, która wyzierała spod na pozór

łagodnej powierchowości.

Callie siedzi na kanapie z kolanami pod brodą. Wyciąga komórkę i ostentacyjnie wbija w nią wzrok, dzięki czemu nie musi zwracać uwagi na moją obecność. Nie ruszam się z miejsca.

– Czego chcesz? – odzywa się końcu.

Żebyś na mnie spojrzała, myślę. Żebyś odłożyła ten pieprzony telefon i przestała się zachowywać, jakbyś nigdy nie była moją najbliższą przyjaciółką.

Ale nie mam odwagi, żeby to powiedzieć. Nigdy nie potrafiłam się na to zdobyć i chyba tak już zostanie.

– Nie czepiaj się swojej mamy o to, że tu jestem – mówię. – Dziś rano pojechaliśmy razem do więzienia.

– Wiem. – Callie kładzie komórkę na kolanie i widzę, jak wyświetlacz powoli wygasa. – Przykro mi z powodu twojego taty – dodaje po chwili namysłu.

– To nie przez niego... Nie to wytrąciło ją tak z równowagi.

Callie wzdryga się i z jakiegoś powodu dodaje mi to odwagi.

– Spotkałyśmy jego adwokata – ciągnę. – Tego, który złożył odwołanie.

– Jasne.

Mówi to takim tonem, jakby nie rozumiała, po co jej o tym wszystkim opowiadam, ale widzę, jak zaciska dłoń, wbijając palce w podłokietnik kanapy. Wzruszam ramionami.

– Pomyślałam, że powinnaś wiedzieć. Pewnie będą o tym mówić w wiadomościach.

Na jej twarzy pojawia się jedna z min, którą miałam okazję dobrze poznać. Kiedyś wystrzegałam się jej, bo była jak czarne chmury zwiastujące nadejście burzy. Ale teraz cieszę się, że jest wściekła. Cieszę się, że to ja ją do tego doprowadziłam.

– Po jaką cholere w ogóle o tym wspominasz? – wysyczała Callie, czerwieniąc się ze złości.

– Bo to nas dotyczy.

– Już nie. Jest winny i nigdy nie wyjdzie na wolność.

Bez wątpienia są to słowa, które Maggie przez lata wkładała jej do głowy. Wypowiadając je, jest nawet podobna do swojej matki, kiedy w takim samym przekornym grymasie napina górną wargę. Nie mogę wspomnieć o artykule, w którym jest mowa o nowych dowodach, bo zacznę dopytywać o szczegóły, a kiedy nie będę chciała jej powiedzieć, pośle mi jedno z tych spojrzeń, które zrówna mnie z ziemią.

To Callie była zawsze osobą, której inni słuchali. Stara maleńka, powiedziałyby Maggie. Ale nawet teraz, kiedy obie jesteśmy już dorosłe, czuję się przy niej jak głupia smarkula.

– Sytuacja się zmieniła – mamrocę niepewnie.

– O czym ty mówisz? – Callie zrywa się z kanapy i zamyka drzwi. – Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że naczytałaś się tych bzdur na forach i chcesz cofnąć swoje zeznania.

A więc jednak coś do niej dotarło.

– Oczywiście, że nie – odpowiadam. – Ale minęło dziesięć lat. Jeśli zechcą ponownie zbadać dowody, nigdy nie wiadomo, na co trafią.

Moja przyjaciółka krzyżuje ręce na piersi.

– Tesso, ten człowiek śledził Lori, a potem ją zabił. Groził jej wtedy na kąpielisku i byłaś przy tym, nie pamiętasz?

Oczywiście pamiętałam. Wspominałam to codziennie przez ostatnie dziesięć lat. Szłyśmy we trójkę do samochodu Lori, a Wyatt Stokes stał oparty o ogrodzenie z siatki i palił skręta. Dzień wcześniej Joslin pozwoliła mu skorzystać z zapalniczki. Nie wiem, co takiego powiedział, ale Lori czuła się przy nim nieswojo i nie zwracała na niego uwagi.

– Co to jest, białe, czerwone, niebieskie i pływa? – zapytał, wydmuchując dym, a kiedy Lori pchnęła nas w stronę samochodu, krzyknął za nami: – Martwa dziwka!

Oddalając się, słyszałyśmy za plecami jego śmiech, który niósł się echem po lesie.

Widzę błysk w oczach Callie i uświadamiam sobie, że nie odpowiedziałam na jej pytanie.

– Ja go widziałam – mówi, ale domyślam się, co tak naprawdę chce powiedzieć.

Wyatt Stokes jest człowiekiem, który zamordował jej kuzynkę. Już samo rozważanie innej ewentualności jest zdradą.

Zadzieram głowę, żeby spojrzeć jej w oczy. Callie zawsze była wyższa. Teraz góruje nade mną, a nad linią biodrówek widzę skrawek jej płaskiego brzucha.

– Jak możesz pamiętać, co widziałas? – pytam trzęsącym się głosem. – Było ciemno i miałaś tylko osiem lat.

Callie śmieje się nerwowo i chwyta za klamkę.

– Już nie chcę o tym rozmawiać.

Wzdrygam się odruchowo, kiedy gwałtownym ruchem obraca się w moją stronę. Jej twarz łagodnieje, a może tylko mi się wydaje, bo teraz znów przeszywa mnie złowrogim spojrzeniem.

– Tylko nie zapominaj, co sama zeznałaś. Nie możesz powiedzieć, że skłamałam, bo oskarżysz siebie o to samo.

Callie wychodzi, zatraskując z hukiem drzwi. Ten odgłos brzmi jak przypieczone wyroki. Wyatt Stokes jest winny.

Dwa dni w Fayette. Wydaje mi się, jakbym musiała tu spędzić dwa lata.

Ublagałyśmy Lori, żeby pozwoliła nam spać na werandzie domu Greenwoodów. Chcieliśmy rozbić namiot na podwórku, ale Maggie oświadczyła, że to wykluczone. Obiecała, że urządzimy sobie biwak innym razem, kiedy ona i Rick będą w domu i spędzą tę noc w namiocie razem z nami.

Weranda też się świetnie do tego nadawała. Lori była pełna obaw, bo od świata zewnętrznego oddzielały nas tylko siatkowe drzwi, ale Callie przekonywała ją, że w naszej dzielnicy nigdy nie wydarzyło się nic złego. W końcu Lori dała za wygraną i przekopałyśmy cały ekwipunek biwakowy, który leżał pod schodami prowadzącymi do piwnicy, żeby znaleźć dla mnie stary śpiwór. Zarzekałyśmy się, że będziemy czuwać przez całą noc i wypatrywać niedźwiedzi, ale o dziesiątej już odpłynęłyśmy w błogi sen.

Obudziłam się, czując, jak Callie potrząsa mnie za ramię.

– Ktoś tam jest – powiedziała, otulając się śpiworem.

Nie przypominam sobie, że bym się wtedy bała. Myślałam, że to jakieś zwierzę, dopóki nie rozległ się trzask łamanej gałązki. Ktoś się skradał. Callie wbiła paznokcie w moją rękę.

– A jeśli to ten facet z kąpieliska?

Uciszyłam ją syknięciem i obie zaczęłyśmy wpatrywać się w mrok przez siatkę. Nagle Callie krzyknęła, kiedy na brzegu podwórka zamajaczyła jakaś ciemna sylwetka. Ciągnąc ją za sobą, pchnęłam drzwi i wpadłyśmy do salonu, gdzie na kanapie przed ściszonego telewizorem drzemała Lori, trzymając na brzuchu książkę zwróconą grzbietem do góry.

– Ktoś się kręci koło domu – powiedziała moja przyjaciółka i rozplakała się.

– To pewnie szop – uspokoiła ją Lori, chwytając latarkę. – Zaczekajcie tu na mnie.

Czekałyśmy, tuląc się do siebie, dopóki nie wróciła po kilku minutach.

– Nikogo tam nie ma – oznajmiła. – Ale dziś śpijcie już w środku, dobrze?

– Mogłabyś spać z nami? – zapytała Callie, jakby nie zdawała sobie sprawy, że łóżko w jej pokoju jest za ciasne dla nas trzech.

Jej kuzynka roześmiała się i zapewniła, że w domu jesteśmy bezpieczne. Usłyszałam później, jak moja matka mówi Maggie, że strach pomyśleć, co by było, gdyby tam z nami została. Lori była naszym aniołem stróżem.

Kiedy Maggie i Rick wrócili z przyjęcia u przyjaciół, nie zastali Lori w pokoju gościnnym, a jej łóżko było wciąż zaścielone. Pokój Callie znajdował się na drugim końcu domu i niczego nie słyszałyśmy. Kiedy emocje już opadły, Lori prawdopodobnie znów zasnęła na kanapie w salonie przekonana, że wszczęłyśmy fałszywy alarm. Morderca musiał ją zaskoczyć. Nawet nie zdążyła krzyknąć.

Callie i ja tyle razy musiałyśmy opowiadać o wszystkim, co wydarzyło się tamtej nocy, że w końcu same zaczęłyśmy się czuć jak podejrzane. Maggie powtarzała nam w kółko, że śledczy robią wszystko, żeby złapać człowieka, który

skrzywdził Lori. Wytykali nam luki w naszych zeznaniach i szukali wątków, które się nie pokrywały. Callie popłakała się, kiedy zastępca prokuratora okręgowego wypytywał ją, co jadłyśmy na kolację. Powiedziałam, że Maggie zostawiła nam gotowaną kukurydzę i hot dogi, a Callie zapomniała o kukurydzy. Każdą niespójność należało wyeliminować – miałyśmy zeznać, że widziałyśmy, jak Wyatt Stokes zakradał się na posesję Greenwoodów, ale nie mogłyśmy wypaść niewiarygodnie, bo to by mogło pogрузić linię oskarżenia.

Teraz już sama nie pamiętam, czy jadłam kukurydzę. Nie przypominam sobie, jak smakowały hot dogi ani jaką miałam na sobie piżamę. Ale czy teraz w ogóle ma jakieś znaczenie, że tamtej nocy Callie i ja tak naprawdę nie widziałyśmy twarzy Stokesa? Kiedy trafił do więzienia, przestały ginąć dziewczęta.

Marisa Perez. Rae Felice. Kristal Davis. Wszystkie zostały uduszone i obrabowane, a ich półnagie ciała leżały porzucone na brzegu rzeki Ohio. Trzy dziewczęta, które tak bardzo różniły się od Lori, a jednak ona też stanęła na drodze Wyatta Stokesa.

Po prostu nam powiedz, co widziałaś, kochanie. Nie ma złych odpowiedzi.

Od czasu do czasu z mrocznych zakamarków mojej pamięci wyłania się inna wizja tego, co wydarzyło się tamtej nocy. Zazwyczaj rozgniatam ją jak natrętnego komara, bo nie ma sensu rozwodzić się nad pytaniami, na które nikt nie potrafi udzielić odpowiedzi. Ale teraz, kiedy się tu znalazłam, nie mogę dłużej ignorować pewnych rzeczy.

Jest na tym świecie coś gorszego od potworów i jakoś zawsze potrafi mnie dopaść.

Rozdział czwarty

Słońce już zachodzi, kiedy budzę się zwinięta w kłębek na łóżku w pokoju gościnnym. Leżę z głową do połowy zsuniętą z poduszki i zauważam, że nawet nie zdjęłam butów, więc szybko siadam zawstydzona, opuszczając nogi na podłogę.

Rozlega się pukanie i Maggie niepewnie uchyla, drzwi, zaglądając do środka.

– Przespałaś się trochę?

Próbuję sobie przypomnieć, co robiłam kilka godzin temu, ale nie mogę zebrać myśli. Całą dobę spędziłam na nogach i chyba jeszcze nie doszłam do siebie.

– Już niedługo pora kolacji – mówi Maggie, a z korytarza dobiega odgłos zamykanych drzwi. – Pomyślałam, że moglibyśmy wybrać się we czwórkę do Boathouse.

Spodziewam się, że wyjaśni, co dokładnie miała na myśli, mówiąc „we czwórkę”, ale nad jej ramieniem pojawia się głowa Callie.

– Wybieram się dzisiaj do Em na imprezę z okazji dyplomu. Mówiłam ci o tym.

Maggie zerka na córkę, a potem przenosi wzrok na mnie.

– Cóż, to był męczący dzień, a jest zbyt gorąco na gotowanie w domu, więc Rick i ja z wielką przyjemnością zaprosimy cię na kolację.

Rick Greenwood wypowiedział do mnie może z dziesięć słów przez te wszystkie lata, odkąd go znam. Nic do mnie nie ma, po prostu taki jest. To typ milczka, który po powrocie z pracy zasiada przy komputerze, żeby zaaplikować sobie leczniczą partyjkę pokera w sieci. Podczas występów Callie zawsze siedział na widowni z kamienną twarzą i ciężko wzdychając, odwracał wzrok za każdym razem, kiedy choreografia obejmowała kręcenie tyłkiem.

– Mogę ją zabrać ze sobą – proponuje Callie i kiedy zauważa, że obie patrzymy na nią w niemym osłupieniu, zaczyna szarpać palcami swój kucyk. – To znaczy, jeśli ma ochotę.

Nie wiem, czy mam być jej wdzięczna za wybawienie od najbardziej drętwej kolacji wszech czasów, czy powinnam się na nią wkurzyć, że składając tę propozycję, nie potrafi spojrzeć mi w oczy.

– Tessa zna Emily – dodaje w odpowiedzi na sceptyczne spojrzenie, które posyła jej Maggie. – Przyjaźniły się w dzieciństwie.

– Nie zostałam zaproszona – rzucam i obie spoglądają na mnie, jakby zapomniały o mojej obecności.

– To dom otwarty – odpowiada Callie, najwyraźniej wychodząc z założenia, że Maggie i ja potrzebujemy jakichś wyjaśnień. – Pewnie połowa ludzi, którzy tam

przyjdą, też nie została zaproszona.

Maggie marszczy czoło i jej uniesione brwi przybierają kształt litery V.

– Mamo, to organizują jej rodzice. Nie będzie żadnej popijawy ani niczego takiego. Chcę, żeby Tessa poszła ze mną.

Jej wzrok ucieka w prawo. Więc tak naprawdę nie chce, żebym z nią poszła. W takim razie po jaką cholere mnie zaprasza?

Ale nawet gdyby rzeczywiście zależało jej na moim towarzystwie, nie miałabym ochoty iść z nią na tę imprezę. Najchętniej bym tu została, żeby znów zasiąść przy komputerze Greenwoodów i zbadać dokładniej pierwszy ślad mojej siostry, na jaki natrafiłam od wielu lat. Ale znam Maggie i wiem, że nie pozwoli mi zostać samej w domu.

Unoszę na nią wzrok, przetykając ślinę.

– To może pójde na tę imprezę. Jeśli nie masz nic przeciwko.

Widzę, jak lekko wykrzywia usta w ledwie zauważalnym grymasie, ale szybko się opanowuje.

– Absolutnie. Tylko uważajcie na siebie, dziewczynki, dobrze?

Callie wywraca oczami.

– Wyślę ci SMS-a, jak tylko tam dojedziemy.

Jej matka uśmiecha się, życzy nam dobrej zabawy i przypomina, żebyśmy wychodząc, zamknęły drzwi. Callie daje mi znak, kiwając nieznacznie głową, jakby chciała powiedzieć: „No to załatwione”, a potem znika w swoim pokoju.

Oglądam swoją bluzę. Mam na rękawie tłustą plamę po opiekanym serze, który Maggie przyrządziła na lunch. Będę musiała jakoś to przeżyć – nie zabrałam żadnych dodatkowych ubrań na chłodne wieczory. Zresztą przypuszczam, że i tak będzie zbyt ciemno, żeby ktoś to zauważył.

Kiedy mocuję się z włosami, próbując ułożyć nowy kok, w drzwiach staje Callie. Ma na sobie biodrówki i bawełnianą bluzkę.

– Gotowa?

Nie, nie jestem gotowa.

– Tak – odpowiadam, podwijając mankiety, żeby ukryć plamę, i schodzę za nią na dół. – Nie powinnyśmy czegoś przynieść ze sobą? – pytam, wskazując na jej puste ręce, kiedy zamyka za nami drzwi.

Callie jest już na podjeździe. Idę kilka kroków za nią.

– Nie ma żadnej imprezy – odpowiada.

– A więc też dałam ci się nabrać.

Jej twarz odbija się w przedniej szybie minivana Maggie. Widzę złość w jej oczach.

– Wołałabyś spędzić cały wieczór w tym przygnębiającym domu?

Otwiera drzwi i wsiadamy do samochodu.

Callie nie ma pojęcia, co to znaczy przygnębiający dom. W domu babci jest

pełno popielniczek i gazet z czasów, kiedy zginęła księżna Diana. Mimo to nie odpowiadam na jej pytanie, a ona nie draży tematu. Wjeżdża na główną ulicę, a ja udaję pochłoniętą oglądaniem billboardów na każdym skrzyżowaniu. Jeden z nich reklamuje ścieżkę strachu ustawioną za remizą strażacką na Halloween – dziewięć miesięcy temu.

Callie chrząka i traci nadzieję, że resztę podróży spędzimy w milczeniu. Kiedy na nią spoglądam, ma taką minę, jakby zaraz miała zemdleć.

– Nie bierz tego do siebie – mówi i tak mocno zaciska dłonie na kierownicy, że bieleją jej paznokcie. – Tego, jak się zachowałam, kiedy stąd wyjechałaś... Po prostu było mi ciężko.

Gdyby starczyło mi odwagi, zapytałabym, czy uważa, że mnie nie było ciężko. Że nic nie czułam, kiedy opuściła mnie matka? Kiedy musiałam się przeprowadzić do kobiety, której nigdy w życiu nie widziałam?

– To było dawno temu – mówię tylko.

Callie odrywa dłoń od kierownicy i zakłada kosmyk włosów za ucho. Przez chwilę trzyma uniesioną rękę, jakby nie mogła nad nią zapanować. Niewiele brakuje, żeby zrobiło mi się jej żal. Ale jednak czegoś mi brakuje.

– Zabrałaś mnie ze sobą, żebym nie została z twoją mamą? – pytam. – Boisz się, że coś jej powiem?

Callie opiera dłoń na udzie.

– Nie ma nic, co mogłabyś jej powiedzieć.

Niepewność, którą słyszałam w jej głosie jeszcze pół minuty temu, teraz znika bez śladu. Przeciskam palec przez dziurę w nogawce moich džinsów.

– Ten proces omal nie zniszczył mojej rodziny – dodaje spokojnym tonem. – Moja mama obwiniała się przez wiele lat. Mówiła, że gdyby tamtej nocy nie pojechała z tatą do znajomych, Lori nadal by żyła.

Patos. Poznałam to pojęcie w zeszłym roku w szkole na zajęciach z wystąpień publicznych i prowadzenia dyskusji. Patos to odwoływanie się do cudzych emocji. Przesłanie Callie jest jasne – jeśli będę próbowała drażnić sprawy, o których po procesie wszyscy woleli zapomnieć, przysporzę tylko cierpienia jej rodzinie.

Sprawię ból Maggie. Tej Maggie, która tamtej nocy zabrała mnie ze stacji benzynowej, dzięki czemu uniknęłam tułaczki po rodzinach zastępczych. Tej Maggie, która wkładała dodatkową kanapkę do pudełka Callie, na wypadek gdyby ojciec wykradł mi pieniądze na śniadanie z kieszeni kurtki, kiedy spałam.

Siedzę ze wzrokiem utkwionym w punkt na horyzoncie, w którym zachodzi słońce. Myślę o Lori Cawley, o jej dłoniach, które zawsze pachniały liliowym balsamem i którymi odgarniała mi z czoła niesforny kosmyk włosów. Wyobrażam sobie jej ciało, obrzękłe od wody i pozbawione kolorów z wyjątkiem siniaków otaczających jej szyję. Tylko potwór mógł zrobić coś takiego, oświadczył

prokurator, pokazując członkom ławy przysięgłych zdjęcia ofiar. Znow czuję ten mdlący skurcz żołądka.

Nie po raz pierwszy przez chwilę zazdroścę Wyattowi Stokesowi. Bo jeżeli jest winny, przynajmniej nie będzie musiał długo żyć z samym sobą.

Rzekoma impreza okazała się ogniskiem na obrzeżach miasta przy autostradzie, naprzeciwko osiedla przyczep, gdzie mój ojciec czasami grywał w pokera z kumplami z pracy. Parkujemy w wysokiej trawie i idziemy wydeptaną ścieżką, która prowadzi na polanę. W blasku ognia widzę zarys jakiejś szopy w oddali. Rozmowy cichną, kiedy wszyscy odwracają głowy, żeby zobaczyć, kto przyszedł. Pierwsza zbliża się do nas dziewczyna, która trzyma w ręku papierową torbę na zakupy.

– Nie spodziewałam się, że przyjdiesz – mówi i cmoka Callie w policzek.

Wzdrygam się na myśl, że ze mną przywita się tak samo, chociaż najwyraźniej nie ma takiego zamiaru. Robi krok w tył. Kasztanowe włosy, których końcówki opadające na ramiona mają jaśniejszy kolor.

– O ja pierdziele – woła. – Tessa?

Zerkam na Callie, która wybałusza oczy, jakby chciała powiedzieć „I co się na mnie gapisz?”. Chrząkam i kiwam głową. Gdyby nie fryzura, mogłabym powiedzieć, że Sabrina Hayes w ogóle się nie zmieniła.

– Cześć, Sabrino.

Przy ognisku ktoś nachyla się do siedzącej obok osoby i półgłosem wypowiada moje imię. Omiatam wzrokiem towarzystwo siedzące na rozkładanych krzesłach i plastikowych skrzynkach. Jest ich siedmioro. Jakiś facet w czapce z logo Steelersów ogląda się przez ramię w moją stronę, pociąga łyk piwa i z powrotem obraca głowę. Widocznie nie zrobiłam na nim wrażenia.

– To dlatego byłaś nieuchwytna przez cały weekend? – pyta Sabrina, przysuwając się do Callie.

Z mroku wyłania się chłopak w kapturze na głowie. Przystaje obok mojej przyjaciółki, ściąga kaptur i przygląda dłonią krótkie włosy.

– Nie było jej dla nikogo. Teraz panna studentka jest za dobra na nasze towarzystwo.

Callie zaciska wargi, a krótkowłosa uśmiecha się drwiąco. Stoi tuż obok, ocierając się o jej ramię, i jest w tym jakaś dziwna zażyłość. I nagle dociera do mnie, że Callie pewnie z nim sypia. To Ryan Elwood, który w wakacje codziennie grał w piłkę, podczas gdy Callie, Ariel i ja zrywałyśmy szczypior i bawiłyśmy się w gotowanie zupy. Ryan miał wtedy pucołowate policzki i nosił fryzurę na grzybka. Z wiekiem wyszczuplał i nabrał muskulatury, ale wciąż ma w sobie coś z nieśmiałego chłopca. Tak jak teraz, kiedy wciąż unika mojego wzroku.

– Hej – zagaduje do mnie. – Jak leci?

Sabrina podsuwa Callie papierową torbę, ale moja przyjaciółka kręci głową.

– Mam swoją.

Trzyma się na uboczu, kiedy wszyscy podchodzimy do ogniska, a potem wyjmuję z torebki piersiówkę. Najprawdziwszą piersiówkę, jaką można zobaczyć już tylko w starych westernach, a przynajmniej tak mi się wydawało. Też kręcę głową, kiedy Sabrina podaje mi torbę, w której podzwaniają małe buteleczki z alkoholem. Ktoś musi bezpiecznie dowieźć nas do domu.

Ryan podchwytuje moje spojrzenie i wskazuje głową skrzynkę na mleko, jakby chciał mi powiedzieć, że mogę na niej usiąść. Zajmuję miejsce obok dziewczyny w dżinsowych szortach i kowbojkach, która zgina długie opalone nogi i prostuje się, żeby mi się przyjrzeć.

– Nie wierzę, że to ty – mówi z lekkim przestraczem.

Odwzajemniam jej niepewny uśmiech. Nosi kolczyk w dolnej wardze, a złote jedwabiste włosy, których kiedyś jej zazdrościłam, ma zafarbowane na platynowy blond.

– Nie chciałabym cię urazić ani nic takiego, ale co tu robisz? – pyta.

Obracam w dłoniach puszkę piwa, którą ktoś mi wręczył.

– Wpadłam odwiedzić ojca.

Emily potakuje uprzejmie i nie potrafię wyczuć, czy pamięta, że jestem córką faceta, który został skazany za napad z bronią w rękę. Postanawiam nie mówić nikomu, że właśnie zmarł. Nawet jeżeli nie jest to impreza z okazji dyplomu Emily, przypuszczalnie znajdą się tu tacy, którzy uważają, że ta noc należy do nich i nie ma w życiu nic lepszego niż błogie chwile upojenia pod bezchmurnym letnim niebem. A ja nie mam zamiaru im tego psuć.

– Czy ktoś wie, co u Ari? – Emily zwraca się do wszystkich, jakby rozpaczliwie szukała pretekstu, żeby przerwać rozmowę ze mną.

Callie i Sabrina siadają na ostatniej wolnej skrzynce, opierając się plecami o siebie, żeby jakoś się pomieścić. Callie spuszcza wzrok. Nie mam pojęcia, dlaczego nie utrzymuje już kontaktów z Ariel Kouchinsky i jest to jedyny wątek, jakiego nie zdołałam poskładać w spójną całość na podstawie samego jej profilu na Facebooku.

Ariel napisała do mnie kilka listów, kiedy wyprowadziłam się na Florydę. Przychodziły w kwiecistych kopertach ozdobionych tyloma naklejkami z bajek Disneya, że listonosz ledwie mógł odczytać mój adres. Rodzice nie pozwalali jej do mnie dzwonić – ojciec był gburowatym gnojkiem, który zawsze na nas pokrzykiwał, żebyśmy nie pętały się po domu, tylko wyszły pojeździć na rowerze.

Mniej więcej rok temu zauważyłam, że Callie usunęła ją z listy znajomych. A może było odwrotnie.

– Zaprosiłaś ją? – Sabrina zaciąga się dymem i końcówka papierosa w jej palcach żarzy się na pomarańczowo. – Trochę niezręcznie wyszło.

– A mnie to zwisa.

Te słowa nie padają z ust Callie. Wypowiada je ten koleś w czapce Steelersów. Ten, którego nie znam. Siedząc przy ognisku, mogę mu się lepiej przyjrzeć. Ma szeroką twarz, a jego szczękę porasta rudawa szczecina. Jest bardziej masywny niż większość chłopaków z Fayette, a na jego ustach ani razu nie pojawia się uśmiech.

Dociera do mnie, że skądś go kojarzę – zanim Ari kilka miesięcy temu zlikwidowała swój profil na Facebooku, wkleiła kilka jego zdjęć. To jest jej chłopak. A raczej odnoszę wrażenie, że były chłopak.

Koleś zgniata w dłoni puszkę po piwie i rzuca ją w ogień. Widzę, jak Emily zerka na wyświetlacz komórki i ściąga usta, robiąc zmartwioną minę.

– A w ogóle wiesz, co u niej, Nick? – zwraca się do niego.

Nick wzrusza ramionami.

– Jej stary dobijał się do mnie dziś rano i pytał o nią – mówi. – Chyba dała nogę.

Emily marszczy czoło.

– Dokąd?

– A żebym ja to, kurwa, wiedział.

Nick otwiera kolejną puszkę piwa i opada na oparcie drewnianego fotela. Przychodzi mi na myśl, że jest tu gospodarzem i zaczynam jeszcze bardziej czuć się jak intruz. Zauważa, że gapię się na niego, i moją twarz zalewa tak silny rumieniec, jakbym zaraz miała spłonąć żywcem. Spuszczam głowę i wbijam wzrok w ogień.

– Mam nadzieję, że wszystko u niej w porządku – odzywa się cicho Sabrina.

Callie wciąż siedzi ze spuszczonego wzrokiem i odciąga przód swojego klapka, zahaczając go o ziemię. Potem unosi nogę i gumowa podeszwa z plaśnięciem uderza o jej stopę.

– Znasz to jej gadanie. – Nick ściąga czapkę i ugniata ją w dłoniach.

– Zawsze mówi, że musi stąd wyjechać i znaleźć sobie własne miejsce.

Ariel ma czwórkę rodzeństwa. Zawsze kłóciła się ze swoją siostrą, Katie, która jest młodsza od niej tylko o dziesięć miesięcy. Kiedyś ojciec przyprowadził im kundelka, który przyplątał się do niego w drodze z budowy, więc Callie i ja przyszliśmy go zobaczyć. Ari tak strasznie pokłóciła się z siostrą o to, jakie nadać mu imię, że obie aż się popłakały. Kiedy pan Kouchinsky usłyszał ich krzyki, zdjął strzelbę ze ściany nad kominkiem i poszedł za dom, gdzie był przywiązany pies. Ari wczepiła się w jego nogawkę i wrzeszczała wniebogłosy, dopóki nie oderwał jej od siebie. Kiedy wrócił, oznajmił nam, że dokonał aktu miłosierdzia, bo pies był strasznie wygłodzony i zapchlony. Siedzieliśmy na kanapie, zanosząc się histerycznym płaczem, a on przeszedł obok nas, jak gdyby nic się nie stało.

Nie dziwię się Ariel, że chciała stamtąd uciec. Czasami myślę, że gdybym została w Fayette, musiałabym zrobić to samo. Pójść w ślady siostry. Ale nie łudzę

się, że zdołałabym przeżyć na własną rękę jak Jos.

Moja siostra zawsze potrafiła wręcić się do kogoś na kolację, tymczasem ja tylko jęczałam, że jestem głodna i dostawałam co najwyżej porcję makaronu z serem. Kiedy moja siostra spadała z roweru, zaraz wskakiwała z powrotem na siodełko, tymczasem ja płakałam nad poharatanym kolanem. Nawet teraz wolę nic nie zjeść albo oszukać głód chipsami, zamiast zebrać się na odwagę i podjechać do okienka drive-through, bo obawiam się, że coś zawalę.

Ari nigdy nie stanie sama na nogi, myślę. Była jeszcze bardziej niewydarzona ode mnie; zawsze wybuchała płaczem, kiedy w drodze do szkoły odkrywała, że zapomniała torebki z drugim śniadaniem. W pierwszej klasie nauczycielka musiała stawiać na jej ławce pudełko chusteczek, bo jeśli Ari zapomniała wytrzeć nos, gile ściekały jej po twarzy, kiedy przepisywała litery w zeszytach ćwiczeń.

Czuję bolesny ucisk w piersi. Chciałabym, żeby teraz tu ze mną była, żeby wczepiała się we mnie kościstymi palcami o obgryzionych do krwi paznokciach.

– Gdyby Ari zamierzała wyjechać, powiedziałałaby mi o tym – mówi Emily.

Otwierając puszkę piwa, łamię sobie paznokieć i krzywięc się z bólu, wkłada kciuk do ust.

– Mój stryj nic nie mówił – odzywa się Ryan i zauważam, że on również nie pije. – Gdyby to było coś poważnego, jej rodzice zgłosiliby zaginięcie.

W mojej głowie odżywają wspomnienia. Widzę zdjęcie na pierwszej stronie lokalnej gazety. Posterunkowy Jason Elwood w galowym mundurze jako jeden z niosących trumnę na pogrzebie Harveya Elwooda. Ojca Ryana. Oprócz niego zginęło wtedy jeszcze czterech innych strażaków. To był wielki pożar w opuszczonym magazynie i w ciągu niespełna godziny straż pożarna z Fayette straciła prawie połowę swoich ludzi. Ryan miał wtedy pięć lat.

Jego stryj, Jay, nie został przydzielony do sprawy Lori Cawley, ale zjawił się na procesie, żeby wesprzeć funkcjonariuszy, którzy mieli zeznawać. Zresztą przyszli wszyscy z lokalnego posterunku.

Ryan zerka w stronę Callie. W jego spojrzeniu jest coś, co sprawia, że czuję lekkie ukłucie zazdrości. Danny, chłopak mojej siostry, też tak na nią patrzył.

– Kochasz go bardziej ode mnie – pożałowałam się jej pewnej nocy, kiedy wśliznęła się pod kołdrę po powrocie z potajemnej schadzki.

Czuć było od niej pot, dym papierosowy i jeszcze coś, czego nie potrafiłam nazwać. Spodziewałam się, że mnie uszczypnie i powie, że zawsze będzie mnie kochała najbardziej, ale zamiast tego syknęła: „Przestań truć. Gadasz jak mama”, a potem odwróciła się twarzą do ściany.

Zawsze myślałam, że to było pierwsze pęknięcie, które zapoczątkowało rozdźwięk między nami. Ale teraz wydaje mi się, że to nastąpiło wcześniej – kiedy nasz ojciec został aresztowany i nagle zaczęłam się budzić z histerycznym

płaczem. Prawdopodobnie dla Jos, która musiała ze mną spać, to było nie do wytrzymania.

Tak samo Callie jest teraz wściekła, że siedzę jej na karku.

Przy ognisku wszyscy wracają do swoich pogaduszek. Słyszę, jak Callie mówi szeptem do Sabriny:

– Nie wierzę, że Ari tak po prostu uciekła.

– A ty co byś zrobiła? Gdybyśmy nie poszły na studia, też byśmy musiały tu tkwić przez resztę życia.

Callie podciąga kolana pod brodę.

– Nie chcę o tym myśleć.

– Nie musisz. Jeszcze tylko niecałe dwa miesiące i wyniesiemy się stąd na dobre.

Moja przyjaciółka wreszcie unosi wzrok i spogląda prosto na mnie. Dobrze wiem, co teraz myśli.

O ile Tessa wszystkiego nie spieprzy.

Rozdział piąty

Maggie zmywa naczynia, kiedy rano schodzę po cichu na dół. Spogląda na mnie i odkłada gąbkę. Żołądek podjeżdża mi do gardła. Kiedy wróciłyśmy w nocy, ona i Rick już spali. Czyżby się domyśliła, że prowadziłam jej samochód, bo Callie się zaprawiła?

Ale Maggie się uśmiecha.

– Tak się cieszę, że w końcu spędziłyście razem trochę czasu. Dobrze się bawiłyście?

– Tak – kłamię. – Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli się przejdę? Chciałabym się spotkać z paroma osobami.

– Oczywiście, że nie. – Maggie zakręca kran i wyciera ręce w ściereczkę. – Mogę cię podwieźć?

– Nie, dziękuję. Raczej wolałabym być sama, jeśli to ci nie przeszkadza.

Maggie kiwa głową z nieobecny wyrazem twarzy. Wszystko byłoby o wiele prostsze, gdybym mogła ją poprosić, żeby pozwoliła mi skorzystać z tego cholernego komputera. Wiem, że muszę nad tym popracować.

Nie chodzi nawet o to, że obawiam się odmowy. Oczywiście by się zgodziła. Rzecz w tym, że zawsze było mi niesłychanie trudno wyciągnąć rękę, kiedy coś dostawałam od ludzi. Zwłaszcza od jednej osoby, poprawiam się w myślach.

Biblioteka jest oddalona od domu Greenwoodów o dwadzieścia minut marszu, ale i tak nie mam karty, żeby skorzystać tam z komputera. Znacznie bliżej jest do punktu poligraficznego przy Main Street, który oferuje dostęp do internetu, więc kieruję się w tamtą stronę.

Napieram ramieniem na drzwi i wchodzę do środka. W głębi lokalu rozlega się dźwięk dzwonka. Tuż przy wejściu zauważam komputer, a nad nim zalaminowaną wywieszkę, która głosi: „Tylko do wydruków!!!”. Podkreślone wyrazy i pogrubiona czcionka wyglądają tak obrzydliwie, że nabieram jeszcze większej ochoty, żeby zignorować ten komunikat.

Wpisuję słowa Brandy Butler w okno wyszukiwarki i uzyskuję dwa trafienia. Jedno to facebookowy profil jakiejś kobiety w średnim wieku z Delaware, która z całą pewnością nie jest moją siostrą. Jos ma teraz dwadzieścia sześć lat.

Drugie trafienie to rejestr publiczny kredytów samochodowych. Cztery lata temu niejaka Brandy Butler złożyła wniosek o taki kredyt w miejscowości o nazwie Catasauqua. Wstukuję tę nazwę i sprawdzam odległość. Coś ściska mnie w trzewiach, kiedy widzę, że Catasauqua to miasteczko na obrzeżach Allentown, oddalone od Fayette o pięć godzin jazdy samochodem. Podróż autobusem trwa jeszcze dłużej. Kiedy otwieram rozkład jazdy linii Greyhound, na biurku przede mną opiera się włochata ręka. Właściciel zakładu, krępy facet w przepoconej

koszulce polo, gapi się na mnie.

– Komputer służy tylko do wydruków – warczy.

Pospiesznie omiatam wzrokiem wynik wyszukiwania. Ostatni autobus do Allentown odjeżdża za piętnaście minut z przystanku na parkingu dla ciężarówek. Stąd pół godziny na piechotę.

– Przepraszam – mówię, zamykając okienka na monitorze i zrywam się z krzesła.

– Hej!

Facet mnie nie goni, ale i tak nie przestaję biec. Kogoś mi przypominał, ale kiedy dzieli mnie od niego kilka przecznic, dochodzę do wniosku, że go nie znam. Tutaj wszyscy wyglądają tak samo.

Kiedy został mi już niecały dzień do odlotu, dowiaduję się, że moja siostra najprawdopodobniej mieszka w Pensylwanii. Przez tyle lat żyłam w przeświadczeniu, że zaszła się w górach Kolorado albo na jakiejś wyspie na Pacyfiku, tymczasem okazuje się, że jest tak blisko.

Mam wrażenie, jakby cały wszechświat drwił ze mnie, a potem uświadamiam sobie, że nawet jeśli uda mi się zdążyć na ten autobus, będę musiała wrócić do Fayette jutro przed piątą rano. To prawie tak samo niewykonalne jak odnalezienie jednej kobiety w przeszło pięciotysięcznym mieście. Prawie.

Skręcam w zaułek między pizzerią a trafiką, której nie było tu przed laty, i znów powracam myślami do mojej siostry. Nikt tutaj specjalnie się nie zdziwił, kiedy wyjechała. Była jak modelka z okładki „Sports Illustrated” otoczona tłumem płaskich jak dechy dziewcząt o krzywych zębach. Żadna kobieta nie chciałaby, żeby Jos oglądała się za jej synem. Albo za mężem. Wyleciała ze studiów na pierwszym roku, a kilka miesięcy później zniknęła. Krążyły plotki, że zaszła w ciążę, że matka wyrzuciła ją z domu albo jedno i drugie.

A teraz znów się pojawia. Nie ma znaczenia, czy chce się ze mną zobaczyć, czy nie. Zna odpowiedzi na pytania, które nie dają mi spokoju, i wiem, że już nigdy nie będę miała okazji tak bardzo się do niej zbliżyć. Tym razem nie pozwolę jej się wymknąć.

Nie wrócę teraz na Florydę.

Maggie powiedziała, że mogę u niej zostać tak długo, jak zechcę, ale ze względu na Callie takie wyjście odpada. Wczoraj na ognisku przekonałam się, że nie ma tu dla mnie miejsca. Kluczając wśród obcych, szukam Joslin, po której być może już zaginął ślad.

Przecinam Main Street i staję na chodniku jak wryta. Przed niebieskim domem z rozlatującym się drewnianym gankiem stoją trzy radiowozy. Na trawniku leżą piłka i hulajnoga. Znam ten dom. Czasami na widok bezdomnego psa słyszę huk wystrzału i zawodzenie Ari. Na rogu po przeciwnej stronie ulicy zebrała się grupka nastolatków. Stoją tyłem do mnie, więc nie wiem, czy ich znam. A raczej

znałam.

– Zamknij się, stary – odzywa się jeden z nich do rudowłosego kolegi, który opiera nogę na deskorolce.

– A ja ci mówię, że to ona.

– Jaka ona?

Obaj odwracają się i patrzą na mnie, jakbym była przybyszem z obcej planety. Chłopak z ciemnymi włosami, który kazał rudzielcowi się zamknąć, to Decker Lucas. W podstawówce ciągle się z nim stykałam, bo był tuż za mną na liście uczniów. Nauczyciele często go o coś besztali – o to, że zapomniał przynieść tenisówki na gimnastykę albo zostawił pod ławką kanapkę z mortadela.

Niewiele się zmienił, ale czegoś brakuje. Okularów. Mruga, patrząc na mnie tymi swoimi niebieskimi oczami, i rozdziawia usta. Wygląda jak postać z komiksu, która nagle ożyła.

– O ja cię... Tessa Lowell.

– Co się stało u Kouchińskich?

Dłubię w przetartej nogawce na udzie, żeby zająć czymś rękę. Jeśli nie przestanę, dziura zrobi się tak duża, że każdy ją zauważy, ale nie mogę się powstrzymać. Widok tyłu radiowozów budzi we mnie niepokój.

Rudzielec spluwa na chodnik, a jego małe oczka omiatają mnie od stóp do głów.

– Ariel zaginęła – mówi – a gliniarze z Mason znaleźli dziś rano jakieś ciało.

– Ale nie wiadomo, czyje to ciało – przerywa mu Decker. – To mógł być ktokolwiek inny. Ktoś stary na przykład.

Oddech więźnie mi w piersi. Znów ją widzę, jak wczepia się w nogę ojca. Widzę dziecinne naklejki na purpurowych kopertach. „Odpisz koniecznie!!!”

– Gdzie dokładnie znaleźli to ciało? – pytam zachrypłym głosem. – Nie przy autostradzie, co?

Rudowłosy kolega Deckera wzrusza ramionami, a potem wskakuje na deskorolkę i stoi w miejscu, kołysząc się w przód i w tył. Wszyscy w milczeniu wlepiamy wzrok w niebieski dom.

Nagle coś zaczyna się dziać. Umundurowany funkcjonariusz wyprowadza na ganek poszarzały strzep kobiety – rozpoznaję matkę Ariel. Skurczyła się i wychudła, odkąd ostatnio ją widziałam, jak gdyby ubywało jej z każdym rokiem. Osuwa się w ramiona policjanta i z jej ust wydobywa się rozdzierający szloch. W oknie za jej plecami dostrzegam dwie małe twarzyczki.

Rudzielec znowu spluwa i manewruje deskorolką, żeby nie wjechać w kałużę.

– Coś mi się nie widzi, żeby to był ktokolwiek inny.

Rozdział szósty

Kiedy dom Greenwoodów pojawia się w zasięgu wzroku, moja koszulka na plecach jest mokra od potu, a spieczony słońcem nos robi się czerwony. Większość drogi pokonuję biegiem, bo chcę jak najszybciej się przekonać, czy to prawda.

Słyszę trzaśnięcie siatkowych drzwi. Callie zbiega po schodach, ale nie zauważa mnie na chodniku. Przystaje w połowie podjazdu i chowa twarz w dłoniach, a wtedy żołądek podjeżdża mi do gardła.

A więc to prawda i wszystko dotarło już do niej w ciągu tych piętnastu minut, kiedy ja wracałam do domu.

Callie odwraca się i rusza w stronę podwórka, ale nie potrafię wydobyć z siebie głosu, żeby ją zawołać. Opieram się o skrzynkę na listy i próbuję złapać oddech. Mam wrażenie, jakby w moich płucach jeżyły się tysiące drobniutkich igiełek.

Na wczorajszej imprezie wszyscy myśleli, że Ari uciekła, a może ona właśnie umierała, kiedy my siedzieliśmy przy ognisku.

Gdy mój oddech wraca do normy, okrążam dom, idąc wzdłuż ogrodzenia. Callie zostawiła otwartą furtkę. Widzę ją, jak siedzi na trawniku, zakrywając twarz dłońmi. Muszę chrząknąć, żeby na mnie spojrzała.

– Czego chcesz? – pyta i na mój widok jej policzki nabierają kolorów.

– Czy Ariel nie żyje?

Moja przyjaciółka zrywa gwałtownym ruchem garść trawy i przesypuje żdźbła między palcami.

– Muszą jeszcze zidentyfikować zwłoki, ale tak, to ona.

Zwłoki. Wyobrażam sobie Ariel porzuconą przy barierce autostrady. Widzę jej łokcie i kolana pokryte bliznami po upadkach z roweru, jej różowe usta pachnące sztucznym aromatem truskawkowej pomadki do ust, którą wszędzie ze sobą nosiła, żeby Katie jej nie ukradła.

Wtedy dociera do mnie, że wyobrażam sobie Ariel taką, jaka była przed dziesięciu laty. Czuję ucisk w żołądku.

– Jak umarła?

– Nie mam pojęcia – odpowiada Callie. Wciąż ma czerwoną twarz i spodziewam się, że zaraz straci panowanie nad sobą, rozpłacze się albo wpadnie w szal, ale ona bierze głęboki oddech i patrzy mi prosto w oczy. – Dziś wieczorem będzie czuwanie w szkole. Gdybyś chciała przyjść.

Wredna Tessa chce odmówić. Ilekroć umiera ktoś młody, zbiera się mnóstwo ludzi, a ja z reguły unikam miejsc, w których gromadzą się tłumy. W takich sytuacjach ludzie są zdruzgotani albo kieruje nimi niezdrowa ciekawość, a ja nie wiem, do której z tych grup sama należę. Od lat nie zamieniłam nawet

słowa z Ari.

Ale była moją przyjaciółką i Maggie poczuje się zawiedziona, jeśli tam nie pójdę. Z jakiegoś powodu ma to dla mnie znaczenie. Może dlatego, że jest tak niewiele osób, którym mogłabym sprawić zawód.

Stoimy w kolejce samochodów, czekając na wjazd na parking. Liceum w Fayette jest niewielkie. Kiedy chodziłam do podstawówki, cały mój rocznik liczył niespełna setkę dzieciaków. Tuż przed moim wyjazdem odsetek uczniów przerywających naukę był tak duży, że ludzie wpadli w panikę i zaczęli zabiegać o przywrócenie programów szkolenia zawodowego.

Maggie siedzi w fotelu pasażera, patrząc przed siebie, i trzyma na kolanach bochenek chleba z cukinią.

– Może was tu wysadzimy, dziewczynki – proponuje. – Tato i ja wstąpimy na chwilę do Ruth, a potem po was wrócimy.

Callie odpina pas i wysiada bez słowa. Maggie ogląda się przez ramię i posyła mi bezradne spojrzenie. Gdyby nie było tu Ricka, powiedziałabym jej, co mi chodzi po głowie – że prawdopodobnie odkryłam, gdzie jest moja siostra i muszę zostać jeszcze kilka dni w Pensylwanii, żeby to sprawdzić. Zamiast tego dziękuję jej za podwiezienie i ruszam w ślad za Callie, która zdążyła się już oddalić o kilka kroków.

– Hej – wołam za nią. – Nie jesteś zbyt miła dla swojej mamy.

Moja przyjaciółka spina się, ale nie przestaje iść. Doganiam ją i wyczuwam w jej oddechu jakąś cierpką woń.

– Czy ona wie, że masz problem z alkoholem? – pytam.

– To pogadanka umoralniająca? – Callie zatrzymuje się tuż przed drzwiami sali gimnastycznej i jej wojowniczą minę przysłania jakiś cień. – Jeszcze nie chcę tam wchodzić.

– Nie ma sprawy.

Odsuwamy się na bok, żeby przepuścić ludzi, którzy idą za nami. Opuszczam rękawy bluzy, która wciąż zalatuje dymem z ogniska. Callie okrąża budynek i idzie w stronę auli, przed którą codziennie po lekcjach zatrzymują się autobusy. Nie protestuje, kiedy ruszam za nią. W głębi parkingu rośnie dąb, pod którym stoi trzech chłopaków. Z daleka widzę, jak wypuszczają kłęby dymu. Kiedy podchodzimy bliżej, rozpoznaję Nicka, tego samego, który zeszłej nocy nosił czapkę Steelersów. Ma zaczerwienione oczy, a w blasku księżyca jego twarz jest trupio blada.

– Pierdolić to – odzywa się, podając Callie skręta.

Moja przyjaciółka kręci głową i krzyżuje ręce na piersi.

– Masz coś jeszcze?

Nick sięga do kieszeni i wyciąga pozbawioną etykiety butelkę, w której połyskuje jakiś bursztynowy płyn. Callie chwyta ją, zanim przychodzi mi do

głowy, że powinnam wyrazić swoją opinię na temat częstowania się podejrzanymi wyglądającymi napojami. Jest bardzo podobna do opinii na temat spotykania się z ludźmi na ciemnych parkingach.

Callie zdejmuje zakrętkę i pociąga łyk.

– Co to jest?

– Mocniejszego w życiu nie piłaś – odpowiada Nick i zabiera butelkę, gdy Callie jednym haustem opróżnia ją do połowy. – Spokojnie, wyhamuj.

Moja przyjaciółka ociera usta wierzchem dłoni.

– Dobre rzeczy przynosisz.

– Cóż, nie zdarza się codziennie, że ktoś morduje twoją byłą.

Gorycz w jego głosie działa na mnie przygnębiająco. Jego koledzy – jednego z nich pamiętam z wczorajszego ogniska – zerkają na siebie i mamroczą, że pora już iść do środka. Callie odciąga Nicka na bok.

– Potrzebuję jeszcze chwilę – mówi.

Czekam na nią cała spięta, zamiast iść na czuwanie sama. Po minucie podbiega do mnie. Wydaje się rozluźniona i zauważam, że wkłada do ust listek gumy do żucia, kiedy przeciskamy się przez tłum przy wejściu do sali.

Tuż obok drzwi ktoś ustawił sztalugę z arkuszem grubego brystolu, na którym wisi kilkanaście zdjęć Ariel. Przyglądając się tym najstarszym, z zaskoczeniem rozpoznaję siebie na paru z nich. Mam ochotę oderwać je i schować do kieszeni. W domu nie mieliśmy własnego aparatu, a jedyne fotografie rodzinne, jakie udało nam się skądś wytrzasnąć, trafiły na śmietnik, kiedy matka i ja zostałyśmy eksmitowane.

Na środku arkusza ktoś napisał srebrnym markerem: „Lepiej spłonąć, niż się wypalić – Kurt Cobain”. Callie w milczeniu patrzy na te słowa.

– Tak naprawdę to z piosenki Neila Younga – odzywam się. – Kurt Cobain tylko wykorzystał ten cytat w swoim liście pożegnalnym.

– Boże, jakie ma znaczenie, kto to powiedział? – syczy.

Nadašana odchodzi energicznym krokiem, a jej reakcja przypomina mi, dlaczego jestem taka małowówna. Ludziom najwyraźniej nie podoba się to, co mam do powiedzenia.

Ktoś trąca mnie w ramię i przesuwam się, żeby stojące za mną dziewczęta mogły obejrzeć zdjęcia. Na podłodze pod sztalugą leży już kilka pluszowych misiów z dyskontu i migocą diody w sztucznych zniczach. Staję pod ścianą i wodzę wzrokiem dookoła, wypatrując Callie, ale wygląda na to, że gdzieś przepadła.

Spodziewałam się, że więcej osób zwróci na mnie uwagę – ot, taka ze mnie niegroźna socjopatka ze skłonnością do narcyzmu. Tymczasem stoję w kącie niczym upiór i udaję, że nie dostrzegam zmieszania w oczach ludzi, którzy od czasu do czasu zerkają w moją stronę.

W Fayette zawsze umiałam wtopić się w tłum. Dostawałam na tyle dobre oceny, że rodzice nie byli wzywani do szkoły, ale nie aż tak dobre, żeby się wyróżniać. Nosiałam ubrania po Jos, ale wśród dzieciaków, które miały starsze rodzeństwo, nie było to nic nadzwyczajnego. Jedna dziewczyna z mojej klasy nosiła nawet rzeczy po swoim bracie.

Zaciskam pięści, wbijając w skórę tępe paznokcie. Jeśli nie przestanę ich obgryzać, miękkie ciało pod spodem będzie pękać i krwawić. Patrząc w dół i widzę, jak moją dłoń oplatają chude sękaty palce. Kiedy unoszę głowę, napotykam spojrzanie wodnistych niebieskich oczu.

– To ty! Ray, chodź tutaj. To ona!

Wyrywam rękę. Kim, do cholery, jest ta starucha i dlaczego mnie dotyka?

– To ty – powtarza kobieta chrapliwym głosem.

Wychudzony starszy mężczyzna podchodzi do nas chwiejnym krokiem, podpierając się laską. Ma coś białego w kąciку ust. Cukier puder z wyłożonych na stole ciasteczek, których kilka chyba schował do kieszeni.

– Tak, to ja – odpowiadam, wykrzywiając w uśmiechu zaciśnięte usta.

– Nie do wiary! Tessa Lowell wróciła! – mówi, wlepiając we mnie wzrok.

– Nie poznajesz nas, co? To ja, Marie Durels. Marie i Ray, twoi dawni sąsiedzi.

– Ach, no tak... A jak się państwo czują?... Reumatoidalne zapalenie stawów? Coś okropnego... Jesienią wybieram się na studia...

Zmuszam się do uprzejmej rozmowy, ale moje myśli krążą gdzie indziej. Jestem na Sycamore Street, na trawniku przed moim dawnym domem. Mam sześć lat, jestem ubrana w bikini stylizowane na kostium Małej Syrenki i piję wodę z węża ogrodowego, który trzyma Joslin, polewając mi twarz, jakbym była golden retrieverem. Marie Durels stoi na ganku swojego domu i przygląda się nam z dezaprobatą.

– To straszne, nie sądzisz? – Marie chwyta mnie za ramię i wskazuje w stronę zapłakanych dziewcząt, które otaczają prowizoryczną tablicę pamiątkową Ariel.

Kiwam głową.

– Mam nadzieję, że znajdą tego, kto jej to zrobił.

– Och, z pewnością – potwierdza Marie i mocniej zaciska dłoń na moim ramieniu. – Znajdą go i wsadzą, jak tego potwora, który zabił te wszystkie dziewczęta.

Ray przytakuje jej skinieniem głowy, nie zdając sobie sprawy, że ma twarz brudną od cukru. Muszę stąd wyjść, uciec z tej zatłoczonej dusznej sali, od tej żałoby, w której nie mam najmniejszej ochoty brać udziału. Byłoby dalej od tych ludzi, którym udało się przenieść mnie z powrotem na Sycamore Street do tamtego domu o brązowych ścianach i z rozchwianymi schodami na ganek.

Marie nachyla się do mnie i czuję na szyi jej gorący oddech, który zalatuje

czosnkiem i sosem marinara. Idę o zakład, że była z mężem we włoskiej restauracji, zanim przyszli tu na darmowy deser. Zaciskam pięści, kiedy skrzeczy mi prosto do ucha:

– Serce mi się kraje, kiedy pomyślę o Ruth Kouchinsky. Ludzie mówią, że Ariel pracowała w Mason, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Mason jest miejscem, do którego dojechałyśmy, kiedy moja matka zdecydowała, że musimy opuścić Fayette, zanim ludzie się zorientują, że od dwóch tygodni mieszkamy w samochodzie. Nawet Callie o tym nie wiedziała. Minęły już cztery miesiące od zniknięcia Jos i jedenaście od śmierci Lori. Tamtej nocy, kiedy zatrzymałyśmy się na stacji benzynowej, matka zostawiła mnie w samochodzie i poszła do łazienki. Otworzyłam schowek w poszukiwaniu mojej ulubionej zabawki, lepkiej żelowej rączki, którą rzuca się na sufit i czeka, aż odpadnie. Zobaczyłam pistolet.

Pobiegłam na drugą stronę autostrady, w kierunku świateł na parkingu dla ciężarówek. Weszłam do sklepu, poprosiłam o telefon i zadzwoniłam do Maggie. Opowiedziałam jej o wszystkim – że mieszkamy w samochodzie, że matka mnie przeraża – o wszystkim z wyjątkiem tego pistoletu. Przyjechała z Rickiem pół godziny później. Czekałam na nich w sklepie, czytając program telewizyjny, modliłam się, żeby moja matka nie wezwała glin, odkrywszy, że mnie nie ma.

Maggie poszła sama na tamtą stację benzynową. Nie wiem, co się tam wydarzyło, ale wróciła z numerem telefonu mojej babci. Od tamtej pory nigdy więcej nie zobaczyłam matki.

Rick czekał ze mną w sklepie, a Maggie wyszła na zewnątrz, żeby zadzwonić do swojej bliskiej przyjaciółki, Angeli.

– Musimy to załatwić bez angażowania opieki społecznej – mówiła do telefonu, siedząc na krawężniku.

Kiedy Rick i ja jedliśmy doritos i rozmawialiśmy o komecie, która niebawem miała się pojawić – bo zawsze interesowały mnie takie rzeczy – do sklepu weszły dwie dziewczyny. Wyglądały na niewiele starsze od mojej siostry. Podczas gdy jedna z nich kupowała kartę telefoniczną, ta druga miętosiła w palcach brzeg dżinsowej koszuli i starała się nie patrzeć w naszą stronę. Miałam już dziesięć lat i dobrze wiedziałam, co tu robią.

Dowiedziałam się tego od ojca, jak większości nieprzyjemnych rzeczy. Opowiadał o dziewczynach, które zaczepiały go na parkingach przy autostradzie, kiedy w latach osiemdziesiątych włóczył się po kraju w poszukiwaniu pracy, zanim dostał posadę w walcowni i osiadł tutaj. Kiedy w okolicy zaczął grasować „Potwór znad Rzeki Ohio”, władze postanowiły ukrócić prostytucję przy autostradzie – zlikwidowano niechlujne sklepiki całodobowe, w których można było kupić suszoną wołowinę i pisma pornograficzne, a ich miejsce zajęły McDonald's i Dunkin' Donuts.

Mogę sobie wyobrazić Ariel pracującą za ladą w Burger Kingu, ale nie w szoferce jakiejś ciężarówki. A Marie Durels jest prawdziwą francuzką, skoro insynuuje takie rzeczy, kiedy ludzie przyszli tu oplakiwać Ari.

Zerkam nad jej ramieniem, wypatrując drogi odwrotu, i zauważam Ryana Elwooda. Właśnie pojawia się w podwójnych drzwiach prowadzących na korytarz i trzyma w ręku puszkę jakiegoś napoju gazowanego. Podchodzi do trybuny, gdzie siedzi Callie, która sprawia wrażenie, jakby zaraz miała zwymiotować. Przypominam sobie piersiówkę w jej torebce i zastanawiam się, czy wyszła do toalety, żeby opróżnić ją do dna.

– Miło było państwa spotkać – kłamię, żegnając się z Marie.

Przeciskam się przez tłum, torując sobie drogę łokciami, ale przystaję, kiedy Ryan nachyla się i mówi Callie coś do ucha. Moja przyjaciółka odskakuje od niego i porywa leżącą na ławce torebkę. Ryan wyciąga rękę, żeby pomóc jej pozbierać rzeczy. Widzę, że cały czas coś mówi, a Callie robi się biała jak ściana.

Docieram do nich, kiedy Callie właśnie próbuje wstać i traci równowagę. Gdybym nie złapała jej za rękę, wywaliliby się jak długi.

– Co się z tobą dzieje? – syczę.

– Muszę już do domu – odpowiada, bełkocąc. – Ryan mnie odwiezie. Znaczą nas. Chyba że wolisz zadzwonić po moich rodziców.

Wolałabym raczej wracać na piechotę, niż dzwonić po Maggie i Ricka, ale nie zamierzam pozwolić, aby moja przyjaciółka kompletnie nawalona sama wsiadła do samochodu z jakimś facetem, nawet jeśli jest to tylko Ryan Elwood. Wychodzę za nimi na parking, gdzie Ryan przystaje obok czerwonego pikapa. Callie, zataczając się, podchodzi do drzwi. Jestem pewna, że zaraz zarzyga cały chodnik, ale ona gramoli się do środka i rozpiera na tylnej kanapie.

Opanowuję zakłopotanie, które zawsze mnie ogarnia, kiedy muszę usiąść z przodu obok obcego kierowcy. Ryan zajmuje miejsce w fotelu i zaciska dłoń na kierownicy. Kilka minut później Callie zaczyna lekko pochrapywać. Rozluźniam się trochę – dopóki wydaje jakieś odgłosy, nie muszę się obawiać, że zadławi się własnymi wymiocinami.

Silnik zaczyna pracować z basowym pomrukiem. Ryan sięga w stronę radia, ale w ostatniej chwili cofa rękę, prawdopodobnie uświadomiwszy sobie, że nie są to odpowiednie okoliczności do słuchania muzyki.

– Co jej powiedziałaś? – pytam.

– Ja nic... – Zawiesza głos i unosi brwi.

– Widziałam was tam na trybunie. Powiedziałaś jej coś, co ją przeraziło.

Ryan pociera dłonią szczękę. Wykonuje zbędny gest, poprawiając lusterko wsteczne.

– Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Zapomniałem o jej kuzynce.

Moje serce na moment zamiera.

– O jej kuzynce Lori?

– Tak.

Samochód podskakuje na progu zwalniającym przy wyjeździe z parkingu. Callie przetacza się na tylnym siedzeniu i wydaje z siebie ciche sapnięcie.

– Przepraszam – mruczy Ryan.

Wpatruję się w jego profil, aż w końcu obraca głowę i spogląda mi w oczy.

– Co jej powiedziałaś?

Ryan pociera nos kciukiem. Bębni nerwowo palcami na kierownicy.

– Powiedziałem jej, jak Ari została zamordowana.

Jak została zamordowana. Nie jak umarła. Te słowa są jak cios w brzuch. Gdyby powiedział „umarła”, oznaczałoby to, że na przykład wsiadła do swojego samochodu na parkingu przy autostradzie, zamknęła oczy i było po wszystkim. Może wada serca albo atak migreny, który okazał się zabójczy.

Ale „zamordowana” oznacza, że dokładnie wie, co jej się stało. Ciężko przełykam ślinę, próbując uspokoić natarcywe myśli. Wyobrażam sobie, jak Ari błaga o darowanie życia. Jak krzyczy, próbując się bronić.

– Skąd to wiesz? – pytam. – Przecież... Nikt nie ogłosił, jak to się stało.

Ryan milczy. Powracam myślami do wczorajszego wieczoru. Przypominam sobie, jak mówił, że jego stryj by wiedział, gdyby ktoś zgłosił zaginięcie Ari. Jego stryj jest gliniarzem. Krople zimnego potu występują mi na czoło i uświadamiam sobie, że cokolwiek od niego usłyszę, będzie to prawda.

Ryan miarowo uderza małym palcem w kierownicę, wybija rytm jak metronom. Mam wrażenie, że zaraz wybuchnę.

– Byłam jej przyjaciółką.

Jego palec nieruchomieje.

– Ale nie możesz tego nikomu powtórzyć – odzywa się po chwili wahania.

– Jasne?

– Nawet nie mam komu.

Wiem, że prawdopodobnie nie jest to odpowiedź, jakiej oczekiwał. Ryan wzdycha ciężko.

– Została uduszona. I była naga.

Przełykam ślinę. To nie może być to, o czym myślę, ale on najwyraźniej też zauważył jakieś powiązania, w przeciwnym razie nie powiedziałby o niczym Callie.

– Gdzie ją znaleźli? – pytam, choć już podejrzewam, jaka będzie odpowiedź.

– Przy siedemdziesiątce, niedaleko parkingu dla ciężarówek. Jakiś kierowca tam stanął, żeby się odlać, zobaczył jej ubranie, zadzwonił na policję i znaleźli ją kilka kilometrów dalej. Leżała nad rzeką.

Jak tamte dziewczyny. Przesuwam dłonią wzdłuż brzegu fotela i natrafiam na miejsce, z którego wydostaje się wypełnienie. Wyobrażam sobie, jak rozdieram

tapicerkę i wpełzam do środka. Żeby już nigdy nie wyjść.

Nie powinnam była w ogóle tu wracać.

– Sam nie wiem. Dostawałem już mdłości od tego rozmyślenia. – Ryan zerka w lustro, które opuścił tak, żeby widzieć twarz Callie. – Nie wiem, dlaczego jej powiedziałem... Nawet rodzina Ari jeszcze o tym nie wie, więc proszę cię, nie mów nikomu.

Patrzę w okno na przemykające za szybą latarnie, które zdają się wyliczać nazwiska w mojej głowie. Marisa Perez. Rae Felice. Kristal Davis. Lori Cawley. A teraz Ariel Kouchinsky.

– Oczywiście policja nie chce, żeby prasa się dowiedziała, jak umarła – ciągnie Ryan. – Będą próbowali to przedstawić jako sprawkę kolejnego seryjnego mordercy.

Cisza, jaka zapada po jego słowach, zdaje się trwać całą wieczność. Aż się dziwię, że Callie nie czuje tego napięcia i nadal śpi.

– Nie wydaje ci się dziwne, że została zamordowana w taki sam sposób i w tym samym miejscu co kuzynka Callie? – odzywam się wreszcie, przerywając milczenie.

Ryan zastanawia się przez chwilę, gładząc się kciukiem po brodzie.

– Facet, który zabił tamte dziewczęta, siedzi w więzieniu. To musi być zbieg okoliczności. Albo jakiś rąbnięty świr, który ma obsesję na punkcie tamtych morderstw.

Przypadek.

Naśladowca.

Jest też trzecia możliwość. Ale nie mam odwagi o tym mówić, kiedy Callie siedzi tuż obok, bo wiem, co to dla nas oznacza.

To wszystko było jedną wielką pomyłką. Policja była w błędzie co do zabójcy Lori i tamtych trzech dziewcząt. Pomylili się i „Potwór znad Rzeki Ohio” nadal jest na wolności.

Pomogliśmy im wsadzić niewłaściwego człowieka i być może dlatego zginęła Ari.

Z tylnego siedzenia dobiega ledwie dosłyszalny bełkot, ale udaje mi się rozróżnić słowa.

– Już nigdy nie będę mogła jej przeprosić.

Rozdział siódmy

Ryan pomaga mi położyć Callie do łóżka. Kiedy zostajemy same, wyciągam komórkę z jej kieszeni i wysyłam SMS-a do Maggie: „Źle się poczułam. Tessa i ja wróciłyśmy do domu”. Otwieram okno, żeby przewietrzyć pokój. Trucizna, którą w siebie wlała, wychodzi z niej porami skóry. Na zewnątrz zaczyna lać rzęsisty letni deszcz.

Zamykam się w pokoju gościnnym. Przebrana w piżamę wczołguję się pod łóżko i wkładam sobie słuchawki do uszu. Tak bardzo trzęsą mi się ręce, że dopiero za trzecim podejściem znajduję piosenkę, której szukam – *Red Rain* Petera Gabriela.

Kiedy opuszczam powieki, oczyma wyobraźni widzę Ariel. Ma ze sobą ten swój plecak z Tęczulką, a jej nagie ciało zwrócone twarzą w dół unosi się na falach rzeki Ohio.

Widzę puste spojrzenie Wyatta Stokesa i jego jasne włosy spięte w kucyk.

Wyatta Stokesa, który dusił swoje ofiary i porzucał ich nagie ciała na brzegu rzeki Ohio w zachodniej Pensylwanii.

Wyatta Stokesa, który nie mógł zamordować Ariel, bo jest zamknięty w celi śmierci.

Stokes miał dwadzieścia trzy lata, kiedy zginęła pierwsza ofiara – Marisa Perez, siedemnastolatka, która uciekła z domu. Osiem miesięcy później została zamordowana Rae Felice, dwudziestoletnia prostytutka. Po roku znaleziono ciało dziewiętnastoletniej Kristal Davis, uzależnionej od narkotyków striptizerki, która zaginęła miesiąc wcześniej. Ktoś zdradził dziennikarzom, że w hrabstwie Fayette grasuje seryjny morderca, ale nikt tak naprawdę się tym nie zmartwił. Ofiarami były takie dziewczęta, o które nie miał kto się martwić.

Dopóki nie zginęła Lori Cawley. Studentka pierwszego roku na Uniwersytecie Drexela. Prymuska w liceum Lehigh Valley. Dziewczyna, która swoim uśmiechem przyciągała uwagę na każdym zdjęciu klasowym.

Żaden z mieszkańców Fayette tak naprawdę nie wątpił, że to Stokes jest zabójcą. Został wydalony ze szkoły średniej i spędził dwa lata w poprawczaku, bo puścił z dymem garaż swojej macochy. Miał długie tłuste włosy opadające na ramiona i nieobecne spojrzenie. Typ faceta, na którego widok każdy woli przejść na drugą stronę ulicy. Po prostu wyglądał na seryjnego mordercę, jak stwierdził Charlie Volk, detektyw, który go aresztował. Dziś te słowa nie przyniosłyby mu chluby.

A do tego Stokes zaszkodził sobie jeszcze bardziej swoim zachowaniem. Ciągłe paplał, a kiedy na posterunku pokazano mu zdjęcia ofiar, dotykał ich z uśmiechem na twarzy. W jego przyczepie policjanci znaleźli niepokojące rysunki.

Przedstawiały martwe nagie dziewczęta, a na każdym skrawku wolnej przestrzeni powtarzało się słowo „dziwka”.

Po ogłoszeniu wyroku Stokes udzielił wywiadu, w którym oświadczył, że tak naprawdę został osądzony przez media i gdyby był czarny, jego sprawą już dawno zajęliby się adwokaci z jakiegoś stowarzyszenia broniącego praw kolorowych.

Więc owszem, większość ludzi była zdania, że nawet jeśli Stokes nie zamordował tych dziewczyn, i tak powinien siedzieć.

Akt oskarżenia przeciwko niemu miał wiele słabych punktów. Z zeznań świadków wynikało, że kupował narkotyki albo szukał dorywczych prac na parkingach, na których widziano również jego ofiary. Był znany również z tego, że groził wielu swoim byłym dziewczynom i byłym szefom – każdemu, kto nie dał mu tego, czego żądał.

Ale jedynym konkretnym dowodem, który pozwalał na powiązanie go z morderstwami, był zwierzęcy włos znaleziony na ciele Kristal Davis. Śledczy ustalili, że to sierść owczarka niemieckiego, który należał do matki Stokesa. Świadek widział Kristal w przyczepie Stokesa w dniu, w którym zginęła. Podczas przesłuchania Stokes utrzymywał, że ostatni raz spotkał się z nią kilka tygodni wcześniej, ale potem zmienił zeznanie i oświadczył, że tamtego dnia rano razem dali sobie w żyłę.

Jednak to ja i Callie pogrożyłyśmy go ostatecznie. Nasze zeznania, które składałyśmy przed kamerą w przedostatnim dniu procesu, były transmitowane na żywo na sali sądowej. Opowiedziałyśmy, co się wydarzyło tamtego ranka na kąpielisku, i potwierdziłyśmy, że to Wyatt Stokes groził wtedy Lori. Oświadczyłyśmy również, że to ten sam człowiek, który zakradał się na podwórko Greenwoodów tamtej nocy, kiedy zginęła Lori.

Przysięgli obradowali cały dzień i uznali go za winnego popełnienia wszystkich czterech morderstw. A potem cały świat zapomniał o małym miasteczku Fayette w Pensylwanii i uduszonych dziewczętach.

Nie mogę zasnąć ani zmusić się do spakowania plecaka przed jutrzejszą podróżą, więc leżę w ciemności, słuchając muzyki i odtwarzając w pamięci całą rozmowę z Marie Durels, aż twarze Ariel i Lori zlewają się ze sobą. Po wysłuchaniu kilku piosenek ściszam iPod, kiedy wyczuwam czyjąś obecność w pokoju. Widzę spod łóżka, jak uchylają się drzwi i zaciskam dłonie, wbijając sobie palce w uda. Tuż obok mojej twarzy bose stopy bezgłośnie stąpają po dywanie. Zauważam turkusowy lakier na paznokciach i wzdycham z ulgą.

– Tesso? – szepcze Callie i zdumiona unosi brwi, widząc, jak wyczołguję się spod łóżka. – Spałaś tam?

Wygląda o wiele lepiej. Nie jest już taka blada, wzięła prysznic i upięła włosy w kok.

– Ja... A co ty tu robisz? – pytam, jakby to ona zachowywała się dziwnie.

Wstaję z podłogi i siadam na łóżku. Zegar na ścianie pokazuje pierwszą w nocy.

– Musimy porozmawiać – mówi szeptem Callie.

Przysiada na drugim końcu łóżka i podwija nogi pod siebie. Rozgląda się po pokoju, jakby była w obcym domu.

– O czym?

Dobrze znam odpowiedź, ale muszę to usłyszeć z jej ust. Kiedy trwał proces, nie mogłyśmy rozmawiać na ten temat, więc nasze matki izolowały nas od siebie. A po wszystkim nasza przyjaźń niestety nie wyglądała tak samo. Callie rzadko zapraszała mnie do siebie, a kiedy już miała ochotę pobawić się ze mną, jej matka zawsze czuwała w pobliżu, jakbyśmy miały zniknąć, gdy tylko odwróci się do nas plecami. Nawet gdybym miała odwagę zapytać moją przyjaciółkę, czy rzeczywiście widziała tamtej nocy, kto zakrada się na jej podwórko, nigdy nie zostawałam z nią sam na sam.

– O tym, co Ryan powiedział ci w samochodzie. – Callie zaciska powieki, ale zbiera się w sobie i wzdycha. – Mimo wszystko to mógł być zbieg okoliczności.

– Być może.

Callie opiera brodę na kolanach. W ciszy rozlega się tykanie zegara, które zdaje się wypełniać przestrzeń między nami.

– Czytałam o jego apelacji... Wielu ludzi naprawdę wierzy, że to nie on.

– Wiem.

Wiem o tym, odkąd podrosłam na tyle, by zacząć szukać odpowiedzi. Kiedy tylko nauczyłam się samodzielnie korzystać z internetu, dowiedziałam się, że zdaniem niektórych osób Wyatt Stokes nie jest „Potworem znad Rzeki Ohio”.

Callie opuszcza wzrok i dotyka odpryskującego lakieru na paznokciu dużego palca u nogi.

– Tym razem może dojść do ponownego procesu. Jeśli znajdą powiązanie między Ari i tamtymi dziewczynami... mogą go wypuścić.

Wyatt Stokes na wolności. Wyatt Stokes, który zna nasze nazwiska.

– Moich rodziców nie stać na kolejną przeprowadzkę – dodaje. – Ja wyjadę do Stroudsburga, ale oni nie mogą opuścić Fayette ze względu na pracę taty.

– Callie – mówię i jej imię brzmi dziwnie obco w moich ustach. – Co naprawdę widziałaś tamtej nocy?

Po jej policzku ścieka łza.

– Nie skłamałam.

– Nigdy cię o to nie oskarżyłam – zapewniam ją i przez chwilę patrzymy sobie w oczy. – Naprawdę widziałaś jego twarz?

Spodziewam się, że wpadnie w złość, że zaczniesz na mnie krzyczeć, ale kiedy mi odpowiada, jej głos brzmi łagodnie.

– Sama już nie wiem.

Zapada pełne napięcia milczenie, a tykanie zegara wisi w powietrzu, jakby zwiastowało wybuch bomby.

– Co znaczy, że nie wiesz?

– To znaczy, że byłam wtedy dzieckiem i mogłam się mylić. Oczywiście myślałam, że to on, bo Stokes był jak zły duch i bałam się, że przyjdzie skrzywdzić Lori po tym, co jej powiedział.

Po jej twarzy płyną łzy bezsilnej złości. Już nie patrzy mi w oczy. Mam ochotę ją zapytać, czy to dlatego mnie unikała. Bo myślała, że podejrzewam ją o kłamstwo?

– Nawet jeżeli się myliłam, znaleziono dowody na to, że zabił tamte dziewczyny – ciągnie Callie. – Podczas procesu nawet temu nie zaprzeczył. Mieli podstawy, żeby go skazać.

– Być może – odpowiadam.

Ale nie jestem pewna, czy kiedykolwiek do końca w to wierzyłam. Przecież wiem, co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy. Wiem o tym, czego nie usłyszeli przysięgli. O tym, z czego Callie wciąż nie zdaje sobie sprawy. Ciężko przełykam ślinę i ugniatam narzutę w zaciśniętej dłoni.

– Co im powiedziałaś, kiedy cię przesłuchiwali? – szepcze moja przyjaciółka.

– Że mnie obudziłaś, bo zobaczyłaś kogoś przed domem. Jakiś człowiek przemknął skrajem podwórza. Słyszałam, jak mówiłaś, że to Stokes. Śledczy w kółko wałkowali to z nami, żeby nasze zeznania się zgadzały. – Zawieszam głos, strzepuję kłaczek z narzuty. – Więc powiedziałam, że to był Stokes, chociaż nie widziałam twarzy tego człowieka.

– Jego twarzy – poprawia mnie Callie.

Nic nie odpowiadam.

– Ty nie wierzysz, że on to zrobił – odzywa się moja przyjaciółka po chwili milczenia.

Z jej miny odczytuję to, czego się obawiałam. Uważa, że dopuściłam się najgorszej zdrady. Co innego podważać to, co widziałyśmy tamtej nocy, ale w domu Greenwoodów nikt nie wątpi, że Wyatt Stokes jest „Potworem znad Rzeki Ohio”. Dla nich to niepodważalny fakt.

– Ja tylko chcę wiedzieć, co się stało – mówię.

A właściwie muszę to wiedzieć. Mam wrażenie, że jeśli się tego nie dowiem, pewnego dnia coś mnie rozsadzi.

– Jeśli to oznacza, że prawdziwy „Potwór” wciąż jest na wolności, musimy ustalić, co się wtedy wydarzyło – dodaję. – Mogło zginąć więcej dziewcząt. Może nigdy nie przestał zabijać, tylko policja nie znalazła innych ofiar.

Czuję gorzkawy posmak w ustach i przełykam ślinę. Myślę o wszystkich tych dziewczętach, na które nikt nie czekał i których smutne szczątki prąd rzeki

wyrzucił na brzeg.

– Chcesz powiedzieć, że musimy odwołać swoje zeznania? – szepcze Callie.

– Moja rodzina mi tego nie wybaczy.

– Nie. Nie możemy tego zrobić, dopóki nie będziemy absolutnie pewne. Nie możemy mieć żadnych wątpliwości.

– Jak to sobie wyobrażasz? To się wydarzyło dziesięć lat temu. Gdyby ktoś oprócz nas cokolwiek widział, zgłosiłby się wtedy na policję.

W moim żołądku otwiera się bezdenna czeluść.

– Chyba że miał powód, aby milczeć.

– Od czego w ogóle miałybyśmy zacząć? – pyta. – Chcesz znaleźć mordercę?

Albo morderców. Nie mam odwagi tego powiedzieć, ale dopuszczam możliwość, że Lori nie zginęła z ręki „Potwora”, tylko zamordował ją ktoś, kto chciał sprawić wrażenie, żeby tak to wyglądało. Wycieram spocone dłonie w nogawki piżamy. W małym i dusznym pokoju jest gorąco jak w saunie.

– Byłyśmy w domu, kiedy Lori została porwana. Musiałyśmy coś przeoczyć... Coś, co mogłoby nam pomóc poskładać to wszystko w logiczną całość.

– Ale ty jutro wracasz do domu – przypomina mi Callie.

Czuję się dziwnie, słysząc, kiedy ktoś nazywa Florydę moim domem. Dla mnie zawsze było to tylko miejsce, gdzie mieszka babcia. Przystanek w mojej wędrówce po gigantycznym kręgu, który zataczam w życiu. Fayette też nie jest moim domem. To tylko miejsce, z którego wyruszyłam w drogę. Zrobiłabym wszystko, żeby już nigdy tu nie wrócić i być może mi się to uda, jeśli teraz wyprostujemy całą tę sprawę ze Stokesem.

– Przełożę lot.

– Dobrze. – Callie wydaje z siebie ciche westchnienie. – To od czego zaczniemy?

– Jeszcze nie wiem.

Oczywiście to kłamstwo, zważywszy na pewien wątek, który trzymałam w tajemnicy przez wszystkie te lata. Coś, o czym nie powiedziałam śledczym, bo nie chciałam, żeby Jos miała kłopoty i żeby nas rozdzielono. Już prawie przekonałam samą siebie, że to nie miało żadnego znaczenia, ale teraz wiem, że się oszukiwałam.

Moja siostra coś wie o wydarzeniach tamtej nocy. Wie, kto oprócz Wyatta Stokesa mógł skrzywdzić Lori. Jestem tego pewna, bo zanim poszłyśmy spać tamtej nocy, słyszałam, jak Lori dzwoni do Joslin i mówi jej, żeby się od niej odpieprzyła.

Rozdział ósmy

Owszem, skłamałam, ale jeśli o to chodzi, muszę coś powiedzieć na swoje usprawiedliwienie.

Po pierwsze, pochodzę z rodziny kłamców. Najgorszy z nas był chyba ojciec, który potrafił zadzwonić do banku i zgłosić kradzież karty kredytowej, żeby odzyskać dwadzieścia dolarów ze swojego konta.

Moja siostra też potrafiła kłamać. Obserwowałam ją, gdy do naszego domu przyszli gliniarze i pytali ją, kiedy ostatni raz widziała Lori. Joslin trzymała dłonie w tylnych kieszeniach dżinsów i powiedziała, że ostatni raz rozmawiała z nią rano, a przecież Lori zadzwoniła do niej tamtego wieczoru.

Po drugie, miałam wtedy osiem lat. Niewiele wiedziałam o świecie, ale zdawałam sobie sprawę, że okłamywanie policji to coś złego i gdybym wspomniała o tamtej rozmowie telefonicznej, mogłabym wpakować Jos w tarapaty. Dlatego kiedy kazali mi opowiedzieć o wszystkim, co wydarzyło się tamtego wieczoru, pominęłam ten jeden szczegół.

Co miałam zrobić? To moja siostra i bałam się, że mi ją zabiorą. Myślałam, że pójdzie do więzienia za okłamywanie policji. Musiałam strzec jej tajemnicy. Dopiero kiedy Joslin zniknęła, coś mnie tknęło. Zaczęłam w ogóle dopuszczać taką możliwość, że moja siostra, która nie skrzywdziłaby nawet muchy, mogła mieć coś wspólnego ze śmiercią swojej przyjaciółki.

To było małe niewinne kłamstwo – po prostu nie wspomniałam policji o ich wieczornej rozmowie. Ale to niewinne kłamstewko rozrosło się do monstrualnych rozmiarów i za bardzo się bałam, żeby ujawnić prawdę, bo byłam wtedy małym tchórzem.

Ale teraz nie mogę zebrać się na odwagę i powiedzieć o tym Callie, bo nadal jestem tchórzem.

Maggie budzi mnie o szóstej i mówi, że w kuchni czeka śniadanie. Narzucam bluzę na podkoszulek, w którym spałam, i schodzę na dół. Czuję, jak wzbiera we mnie niepokój.

Maggie odsuwa sobie krzesło po drugiej stronie stołu i siada. Zauważam, że ma zaczerwienione oczy. Zajmuję miejsce naprzeciwko niej, gdzie czeka na mnie talerz z porcją jajek sadzonych. Nie mogę uwierzyć, że po tylu latach pamięta, jak bardzo je lubię.

– Jak czuwanie?

– Ciężko.

Rozgrzebuję żółtko widelcem. Ekspres do kawy wydaje piskliwy sygnał, informując, że dzbanek jest już pełny, i Maggie wstaje od stołu.

– Chcesz skorzystać z komputera, żeby sprawdzić lot? – pyta.

Odkładam widelec.

– Hm, właściwie chciałabym zadzwonić i przełożyć rezerwację na koniec tygodnia, żeby pójść na pogrzeb Ari. Mogłabym u ciebie zostać?

Maggie wygląda na zmieszaną i czuję skurcz w żołądku, ale moją uwagę odwracają kroki na schodach. Callie, powłócząc nogami, wchodzi do kuchni i pociera zaspane oczy.

– Zobacz, kto zdecydował się do nas dołączyć – mówi Maggie. – Czemu wstałaś tak wcześnie?

Moja przyjaciółka nalewa sobie kawy, opiera się o blat i wzrusza ramionami.

– No to jak? – pytam. – Mogłabym zostać jeszcze kilka dni?

– Oczywiście. – Maggie znów skupia na mnie uwagę. – Możesz tu zostać tak długo, jak zechcesz. Ale będziesz potrzebowała jakiegoś ubrania na pogrzeb. Może wybierzemy się w trójkę na zakupy?

Callie spogląda na nas znad kubka z kawą.

– Szczerze mówiąc, wybieramy się dzisiaj do Emily. Jest jej teraz bardzo ciężko.

– Och. – Maggie jest trochę zbита z tropu, ale po chwili na jej twarzy pojawia się uśmiech. – W takim razie może jutro...

– Pewnie. Na razie Tessa może nosić moje ubrania – mówi Callie i wskazuje głową w stronę schodów. – Pokażę ci, co mam w szafie.

Nikt nie zwraca uwagi na fakt, że moja przyjaciółka nosi ubrania dwa rozmiary mniejsze niż ja. Jest oczywiste, że Callie po prostu chce porozmawiać ze mną na osobności i chociaż jeszcze dwa dni temu traktowała mnie jak przybłądę, a teraz chce mnie stroić w swoje ciuszki, jej matka najwyraźniej nie widzi w tym nic dziwnego.

Dziękuję za śniadanie, odnoszę talerz do zlewu i idę na górę do pokoju Callie. Okno jest wciąż otwarte, a odór przetrawionego alkoholu zastąpiła unosząca się w powietrzu woń mokrej ziemi. Po opadach w Orlando wilgoć wisi w powietrzu, które jest tak duszne, że ledwie daje się oddychać. Czuję zapach deszczu i próbuję sobie wyobrazić, jak musiało wyglądać Fayette, zanim ludzie nie zniszczyli go całą swoją ohydą.

Callie siada przy swoim biurku i zaczyna zaplatać włosy w warkocz.

– Myślałam o tym dziś w nocy. Zastanawiałam się, dlaczego to spotkało właśnie Ari. Nie była taka jak tamte dziewczyny.

– Tak samo Lori – odpowiadam.

– Tak, ale od niej też się różniła. – Callie zbiera się w sobie, jak gdyby uważała, żeby nie powiedzieć niczego okrutnego. – Chodzi mi o to, że Ari była ładna, ale brakowało jej pewności siebie. Uważała się za cwaniaczkę, ale była trochę nieporadna.

Nick mówił, że Ariel chciała wyjechać z miasta. Może chciała złapać stopa

i wsiadła do niewłaściwego samochodu.

Albo jeszcze gorzej, myślę, przypominając sobie gorący oddech Marie Durels na swojej szyi.

– Czy Ari pracowała w Mason? – pytam.

Callie rezygnuje z warkocza i odkłada gumkę na blat.

– Nie sądzę. W gimnazjum dorabiała jako niańka, ale kiedy jej mama poszła znów do pracy, ojciec kazał jej się opiekować Kerry Ann i Dave'em.

Rozparta na łóżku wyciągam nogi przed siebie i moje kolana cicho strzykają. Nie wiem, jak nawiązać do tego, co powiedziała mi Marie, żeby nie zabrzmiało to tak, jakbym oskarżała Ariel o prostytutkę. Przypominam sobie, jak będąc dziećmi, bawiłyśmy się w hotel w domu Callie. Siedmioletnia Ari była recepcjonistką i siedziała cierpliwie przy składanym stoliku ubrana w stary żakiet Maggie, z satynową apaszką na szyi. W cokolwiek byśmy się bawiły, zawsze pokornie przyjmowała każdą rolę, jaka przypadała jej w udziale.

Callie zauważa moje zamyślenie i przygląda mi się badawczo.

– Co jest?

– Na czuwaniu Marie Durels tak jakby zasugerowała, że Ari była... No wiesz, że się sprzedawała.

Moja przyjaciółka prychnęła pogardliwie.

– Ta twoja stara sąsiadka? O tak, jest bardzo wiarygodna. Ari nie była prostytutką.

Podciągam nogi i siadam po turecku. Bolał mnie łydki od wczorajszego chodzenia.

– Marie musiała gdzieś to usłyszeć.

– Ludzie w tym miasteczku opowiadają najróżniejsze pierdoły. – Callie obraca się do lustra i rozplata włosy, żeby upiąć je w niedbały kok. – Dziewczyny z liceum nie puszczają się na parkingu w Mason.

Może w twoim świecie, mam ochotę powiedzieć. Ale nie zamierzam wbijać jej szpili tylko dlatego, że nadarza się okazja.

– Zdziwiłabyś się – mówię za to. – Było w mediach głośno o dziewczynach z Columbii, które robiły takie rzeczy. Dawały ogłoszenia w sieci i zarabiały tysiące dolarów tygodniowo.

Moja przyjaciółka lekko rozchyła usta.

– O czym myślisz? – pytam.

– W zeszłym roku słyszałam, jak rozmawiała z Nickiem przy lunchu. – Callie mówi do mojego odbicia w lustrze. – Pytała go, czy potrzebna jej zgoda rodziców na założenie rachunku bankowego.

Siedzę, wpatrując się w swoje brudne skarpetki.

– To logiczne, jeśli chciała zataić, ile zarabiała.

– Albo dlatego, że jej ojciec jest kompletnym świrem, który musi wszystkimi

rządzić.

Jej twarz pochmurnieje. Wiem, że Daryl Kouchinsky zawsze ją przerażał. Jak na ironię nigdy nie bała się mojego ojca, który szczyrzył poźółkłe od żucia tytoniu zęby i bez skrępowania palił trawkę na ganku przed domem. Ale chyba właśnie dlatego, że tak się wydzierał na mnie i na Jos i groził, że spierze nas na kwaśne jabłko, nigdy nas nawet nie tknął.

– Czy Ari powiedziała jeszcze coś dziwnego? – pytam.

Callie wzrusza ramionami.

– Nie rozmawiałam z nią od końca drugiej klasy.

Milczę, kiedy ściąga podkoszulek z emblematem stanowych mistrzostw gimnastycznych, w którym spała. Nasze spojrzenia spotykają się w lustrze i jej twarz zalewa rumieniec. Chyba zapomniała, że od dziesięciu lat nie rozbierałyśmy się przy sobie. Odwracam wzrok, kiedy wkłada koszulkę na ramiączkach.

– Co się między wami wydarzyło? – pytam.

– O czym mówisz?

– O tobie i Ari. Wczoraj w samochodzie powiedziałaś, że już nigdy nie będziesz mogła jej przeprosić.

Callie usunęła również Ariel z grona znajomych na Facebooku, ale nie mogę jej powiedzieć, że o tym wiem. Musiałabym się przyznać, że jestem wścibską mendą, która śledziła ją przez te wszystkie lata.

Moja przyjaciółka zмага się z fryzurą. Jest wyraźnie zażenowana.

– Właściwie nic się nie stało. Byłam dla niej wredna i chyba w końcu ją to zmęczyło.

– I to wszystko? – pytam, unosząc brwi.

– Kiedy stąd wyjechałaś, została moją najbliższą przyjaciółką, chyba przez niedopatrzenie. Zawsze była taka biedna i to działało mi na nerwy. – Callie wzdycha ciężko i odgarnia grzywkę na bok. – Jeśli faktycznie to robiła, to nikomu z nas o tym nie powiedziała. Nikt nie potrafiłby utrzymać języka za zębami.

– Ktoś musiał o tym wiedzieć – mówię i czuję, jak ogarnia mnie frustracja.

Prędzej bym się zapadła pod ziemię, niż zapukała do drzwi Marie Durels, żeby zapytać, kto jej powiedział, że Ariel puszczała się za pieniądze.

Callie unosi wzrok i na chwilę zastyga w bezruchu.

– Jest jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć – odzywa się w końcu.

– Możemy pojechać na ten parking i popytać, czy ktoś ją tam widział.

Uważam, że byłaby to strata czasu. Wszystkie dziewczęta, które pracują na parkingu, zmyją się w strachu przed glinami, kiedy tylko w ich ręce trafi dzisiejsza gazeta ze zdjęciem Ariel na pierwszej stronie. Pewnie będą trzymać się z dala od tego miejsca przez kilka dni. Te, które zostaną, prawdopodobnie nie będą chciały rozmawiać. Na pewno nie z nami.

Ale po drodze na parking znajduje się Zakład Karny Hrabstwa Fayette.

Kiedy Joslin odwiedziła mojego ojca, mogła tam zostawić jakieś dane kontaktowe.

– Jasne – mówię. – Możemy od tego zacząć.

Wyteżam wszystkie siły, żeby nie zacząć przebierać nogami z niecierpliwości, kiedy Callie prosi matkę o pożyczenie samochodu. Czuję to. Czuję, że wyjdę z tego więzienia z numerem telefonu albo adresem mojej siostry. Muszę tylko przekonać Callie, żeby zatrzymała się tam w drodze powrotnej z Mason.

Maggie mówi nam, żebyśmy nie jadły lunchu na mieście, bo ma w domu mnóstwo wędlin, które będzie musiała wyrzucić pod koniec tygodnia. Uśmiechnięta stoi w oknie salonu, kiedy zatrzymujemy się na podjeździe i machamy jej na pożegnanie. Zapinam pas i wyciągam z kieszeni iPoda. Callie zerka na mnie z ukosa.

– Słuchasz tego na okrągło.

Wzruszam ramionami.

– Pomaga mi odciąć się od hałasu.

Moja przyjaciółka marszczy czoło. Taką samą minę robiła jako dziecko, ilekroć zdarzyło mi się powiedzieć coś, co nie przypadło jej do gustu. Pewnego wieczoru, który spędzałam u Greenwoodów, nie spodobało się jej, że po kolacji wracam do domu.

– Dlaczego muszę odrabiać zadanie? – narzekała jękliwym głosem.

Maggie traciła już cierpliwość.

– Żebyś miała dobre oceny, dostała się na dobre studia i miała dobrą pracę – warknęła.

Pamiętam, że uniosłam głowę, wkładając buty.

– Jaki sens ma życie – zapytałam – skoro chodzimy do szkoły, potem do pracy, a na koniec umieramy?

Maggie spojrzała na mnie z przerażeniem.

Zawsze byłam małą nihilistką. To przez pijackie tyrady mojego ojca. Zaczął je wygłaszać z jeszcze większą swadą, kiedy stracił pracę w hurtowni piwa, która splajtowała pół roku później.

Przez piętnaście lat zarzyznałem się dla Eda, a on nawet nie potrafił mi tego powiedzieć prosto w oczy, biadolili. Ktokolwiek stworzył tę przeklętą planetę, ludzkość nie jest dla niego niczym więcej jak tylko głównym przyklejonym do buta.

W każdym razie Callie i ja zostałyśmy wychowane inaczej i daje się to zauważyć za każdym razem, gdy otwieram usta.

Callie sięga do radia.

– Nie będzie ci przeszkadzać...?

Kręcę głową i chowam z powrotem iPoda do kieszeni. Z głośników dobiegają szmery, aż w końcu moja przyjaciółka wybiera jakąś rockową stację. Czekam na blok reklamowy, żeby coś powiedzieć.

– Tak sobie pomyślałam... Jeśli chcemy się dowiedzieć, co tak naprawdę spotkało Lori tamtej nocy, chyba powinniśmy znaleźć moją siostrę.

Callie wyłącza radio.

– Znaleźć ją?

– Odkąd zniknęła, nie miałam od niej żadnych wieści – odpowiadam, patrząc przez okno.

– To naprawdę przesrane. Tak mi przykro, Tesso.

Ton współczucia w jej głosie sprawia, że mam ochotę rozpląnąć się w powietrzu. Starannie dobieram słowa w myślach, zanim wypowiadam kolejne zdanie.

– Wróciła tu. Odwiedziła ojca kilka godzin przed jego śmiercią.

– Naprawdę? – Callie jest tak samo zaskoczona jak ja, kiedy się o tym dowiedziałam. Pewnie nie może pojąć, dlaczego Joslin przyjechała zobaczyć ojca, ale nie spotkała się z nami wszystkimi. – Więc jej poszukajmy.

– Już próbowałam. Używa innego imienia i nazwiska, ale chyba udało mi się ją znaleźć. Myślę, że mieszka w Allentown.

Callie milczy.

– Nie namawiam cię, żebyśmy tam jechały... – odzywam się po chwili i czuję, że zaczynam gubić wątek. – Ale warto byłoby z nią porozmawiać.

– To nie tak. – Moja przyjaciółka zawiesza głos i teraz to ona ostrożnie waży słowa. – Chodzi o to... Bez urazy, ale twoja siostra kompletnie cię olała. Nawet jeśli może nam pomóc... niekoniecznie będzie chciała.

Trudno mi z tym polemizować – przecież teraz moja siostra nawet już nazywa się inaczej – więc nic nie mówię i nadal wpatruję się w okno. Po drugiej stronie autostrady stoi wielka tablica podświetlona na pomarańczowo. „Roboty drogowe – objazd”. Czuję lekkie ukłucie paniki. Będziemy wracały okrężną drogą i nie pojedziemy obok więzienia.

Na próżno ćwiczyłam w myślach tę kwestię. Hej, skoro jesteśmy w okolicy, może warto sprawdzić, czy Joslin zostawiła w więzieniu jakieś namiary? Zresztą Callie dała już jasno do zrozumienia, co sądzi o mojej siostrze. Nie mam czasu na przekonywanie jej do poszukiwań Jos. Przed nami pojawia się tablica „Zakład Karny Hrabstwa Fayette – najbliższy zjazd”.

– Mogłybyśmy tam wstąpić? – pytam. – Powinnam zabrać jego rzeczy. Rzeczy ojca.

– Och. – Callie przygryza wargę. – Nie wydali ci ich przedwczoraj?

– Nie upomniałam się – wyjaśniam i nie jest to kłamstwo. – Po prostu pomyślałam, że byłoby miło je zatrzymać.

Wzrusza ramionami.

– Dobra, ale musisz wpisać adres do nawigacji.

Dziesięć minut później zajeżdżamy na parking przed więzieniem. Kiedy

Callie się zatrzymuje, mam już odpięty pas.

– Wróć za parę minut – mówię. – Nie musisz ze mną iść.

Zatraskuję za sobą drzwi, nie czekając na odpowiedź. Zresztą wiem, że nawet gdyby wyraziła chęć towarzyszenia mi, byłoby to tylko ciche gadanie. Nie dziwię się jej. Na jej miejscu nie miałabym ochoty tam wchodzić. Zwłaszcza że za tymi murami siedzi Wyatt Stokes.

Poczekalnia wygląda na wymarłą w porównaniu z tym, co działo się tu w sobotę rano. Za szybą siedzi ta sama strażniczka, Wanda. Rozpoznaje mnie i odkłada długopis. Sprawia wrażenie, jakby się spodziewała, że przyjdę się jej czepiać o niezaplanowaną śmierć ojca, tak jak robiła to Maggie. Patrzymy sobie w oczy i każda z nas czeka, aż ta druga się odezwie. Wanda nawet nie wie, że gdybym musiała, mogłabym tak przed nią stać cały dzień. Jeśli chodzi o wprawianie ludzi w zakłopotanie swoją obecnością, mam w tym sporą wprawę.

W końcu pęka i do głosu dochodzi ta bardziej dobroduszna część jej natury.

– Jak masz na imię, dziecko?

– Tessa.

Wanda krzyżuje ręce na piersi i odchyła się na oparcie krzesła.

– Co cię sprowadza, Tesso?

– Moja siostra tu była przedwczoraj wieczorem – zaczynam, starając się jak najlepiej wyrazić to, o co mi chodzi. – Próbuję ją znaleźć. Może zostawiła numer telefonu albo...

– Nie możemy udostępniać takich informacji – przerywa mi Wanda, od razu przechodząc do sedna.

Ogarnia mnie desperacja.

– Ale to jest moja siostra. Ja tylko chcę jej numer telefonu albo jakiś namiar.

Twarz strażniczki przybiera łagodniejszy wyraz. Na pewno pamięta, że nie zdążyłam się pożegnać z ojcem. Jeśli mi współczuje, mogę to wykorzystać.

– Proszę – mówię, udając smutną sierotę. – Nie widziałam jej od dziesięciu lat.

Wanda odpycha się i odjeżdża na krzesle od biurka. Podchodzi do komputera i dopiero kiedy zaczyna uderzać w klawiaturę, odrywa wzrok od moich oczu. Stoję, wbijając palce w nogę, która podryguje nerwowo. Słyszę warczenie drukarki i po chwili wraca Wanda, trzymając kartkę, którą podaje mi przez szczelinę pod szybą.

Przede mną leży skan prawa jazdy Brandy Butler. Zaciskam dłoń w pięść, żeby nie dotknąć twarzy na zdjęciu. Chociaż jest czarno-białe, widzę, że Joslin ma włosy ufarbowane na jasny blond. Widzę też, że nie rozjaśniła sobie brwi, które nadal są grube i ciemne. Jak u Brooke Shields, mówiła Lori.

Ale po tej minie rozpoznałabym ją wszędzie. Ma szeroko otwarte oczy – zbyt szeroko. Jos zawsze mrugała, kiedy błyskał flesz, więc kiedy musiała pozować przed obiektywem, wręcz wybałuszała oczy i wyglądało to tak zabawnie,

że na jej widok niemal popuszczalam ze śmiechu. W domu nie było naszych fotografii z dzieciństwa, bo rodzice nigdy nie dorobili się aparatu. Zawsze zostawałyśmy w domu, kiedy do szkoły przyjeżdżał fotograf, bo matka nie miała pieniędzy na zdjęcia i chciała nam oszczędzić zakłopotania, kiedy przychodziło do płacenia.

Ale nie potrzebuję żadnych innych zdjęć, żeby mieć pewność, że Brandy Butler to moja siostra. Wanda podaje mi plik karteczek samoprzylepnych. Sięgam po długopis przytwierdzony łańcuszkiem do blatu i zapisuję adres: Federal Street 34 E, Allentown, Pensylwania.

– Nigdy tego nie widziałaś – mówi łagodnym tonem.

Spoglądam jej w oczy i kiwam głową.

– Hm... A co z Annette? – odzywam się niepewnie, próbując znaleźć odpowiednie słowa. – Żoną Glenna. Czy odwiedziła go, żeby się pożegnać?

Współczucie na twarzy Wandy zamienia się w szczerą litość. Nie mam już wątpliwości, że moja matka się nie zjawiła.

– Annette figuruje w aktach jako jego najbliższa rodzina – wyjaśnia strażniczka. – O ile mi wiadomo, nie było jej tutaj od lat. Próbowaliśmy się do niej dodzwonić, ale zostawiła tylko numer do pracy. Przypuszczalnie tam też się nie pokazywała od dłuższego czasu.

Kiwam głową. Nie chcę dać po sobie poznać, że od lat nie dowiedziałam się tak wiele o mojej matce, jak teraz. Kiedy byłam dzieckiem, matka nigdy nie wspominała o babci, najwyraźniej chcąc nas wszystkich utwierdzić w przekonaniu, że jej rodzice nie żyją. Kiedy babcia dowiedziała się o mnie, nie wyglądała na zaskoczoną moim istnieniem. Chyba że moja matka kłamała.

– Powtórzę ci to, co powiedziałam twojej siostrze. – Wanda pochyla się nad biurkiem. – Nie wolno mi udzielać informacji na temat rodzin osadzonych, ale numer telefonu do Black Rock Tavern jest ogólnie dostępny, więc nie można nikomu zabronić, żeby tam zadzwonił i zapytał o ich byłą pracownicę.

„Co powiedziałam twojej siostrze”. Nogi uginają się pode mną. Czuję się, jakby ktoś zaszedł mnie od tyłu i uderzył pod kolana kijem baseballowym.

– Moja siostra... pytała, jak znaleźć matkę?

Wanda mruga, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem, że córka chce się spotkać z matką. W każdej innej rodzinie byłoby to normalne.

– Dobrze się czujesz? – pyta, marszcząc czoło.

– Tak, chodzi tylko o to... – Chodzi tylko o to, że tak się czuję, jakbym zaraz miała zwrócić całe dzisiejsze śniadanie. – Nieważne. Dziękuję pani.

Chodzi tylko o to, że Joslin nienawidziła naszej matki, a jednak znalazła czas, żeby o nią zapytać. Chodzi tylko o to, że moja siostra dobrze wiedziała, gdzie się zatrzymam, jeśli tu przyjadę, mimo to nie znalazła chwili, żeby chociaż zadzwonić.

Będąc już przy drzwiach, przypominam sobie, jakiego pretekstu użyłam, namawiając moją przyjaciółkę, żebyśmy tu wstąpiły. Obracam się na pięcie. Cała się trzęsę. Callie miała rację, mówiąc, że moja siostra może mnie tylko rozczarować.

– Czy zostało coś po moim ojcu? – pytam. – Jakież rzeczy osobiste?

Wanda marszczy czoło.

– Zwykle wszystko wyrzucamy, jeśli rodzina się nie upomni. Zadzwoń do szefa oddziału.

Chowam ręce w kieszeniach bluzy, żeby je ogrzać. Klimatyzacja jest ustawiona na pełną moc i włoski na moim karku stają dęba. Myślę o Callie, która siedzi w nagrzanym od słońca samochodzie.

Czuję się fatalnie, ale nie aż tak bardzo, żeby wyjść stąd bez jakiejś rzeczy po ojcu. To mogłoby wyglądać podejrzanie.

Wanda odkłada słuchawkę i prosi, żebym usiadła i zaczekała na naczelnika. Postanawiam wysłać Callie SMS-a, żeby ją zawiadomić, że to jeszcze chwilę potrwa. Wyjmuję komórkę z tylnej kieszeni dzinsów i wtedy sobie uświadamiam, że nie znam jej numeru.

Skupiam uwagę na małym telewizorze, który wisi w kącie pod sufitem. Jest ustawiony na lokalny kanał informacyjny. Tylko dlatego, że staram się ignorować nudny serwis na temat nadchodzącej fali upałów, zauważam zwięzłą informację na pasku u dołu ekranu.

W październiku Federalny Sąd Apelacyjny ma rozpatrzyć nowe dowody w sprawie Wyatta Stokesa skazanego za serię morderstw. Jeśli nie dojdzie do ponownego procesu, Stokes zostanie stracony już w przyszłym roku.

Podciągam suwak bluzy pod samą szyję. W październiku. To już za kilka miesięcy.

Jakie nowe dowody mają jego adwokaci? Dlaczego ich nie ujawniają?

Brzęczenie zamka magnetycznego wrywa mnie z zadumy i do poczekalni wchodzi przysadzisty mężczyzna z gęstą brodą ubrany w mundur strażnika.

– Lowell?

Nogi trzęsą się pode mną, kiedy wstaję z krzesła. Zauważam foliowy worek na śmieci w jego ręku.

– To wszystko, co miał – oznajmia i wykrzywia zaciśnięte usta w uśmiechu.

Ludzie w więzieniu nie powinni być tak uprzejmi. Chwytam worek i wychodzę bez słowa podziękowania, bo chyba już wyczerpałam swój limit wdzięczności wobec ludzi, którzy okazują mi współczucie.

Na zewnątrz opieram się plecami o ceglana ścianę i zaciskam powieki. Nie chcę żadnych głównianych pamiątek po nim. Nie chcę, żeby cokolwiek przypominało mi o człowieku, który nas opuścił, kiedy skończyły się pieniądze, i raz w roku dzwonił do nas z więzienia, żeby coś wyzebrać.

Zaglądam do worka. Wyczuwam palcami jego zawartość przez warstwę folii. W środku jest Biblia, której widok przyprawia mnie o pusty śmiech, i jakieś kartki. Mnóstwo kartek, a na nich szkice.

A więc mój ojciec zajął się w więzieniu rysowaniem. Lepsze to niż jego dawne zainteresowania, które sprowadzały się głównie do nadużywania prochów i okradania ludzi.

Powiedziałam sobie stanowczo, że nie obchodzi mnie, co jest w tym worku, i wiedzioną tylko czystą ciekawością wyciągam wciśniętą z boku kopertę. Jest na niej imię wypisane nierównymi drukowanymi literami. TESSA.

Unoszę twarz ku niebu i tak długo wpatruję się w słońce, aż w moich oczach przestają zbierać łzy. Nie zamierzam rozczulać się nad jakimś nierobem, który uważał, że rabowanie pieniędzy na wódę i fajki jest ważniejsze od wychowywania dzieci.

Złapali go po trzecim napadzie na sklep, podczas którego postrzelił Manuela Gonzala w klatkę piersiową. Adwokat przydzielony mu z urzędu przedstawił go jako ojca rodziny, którego kryzys i bezrobocie popchnęły do desperackiego kroku. Jako człowieka, który kiedyś był uczciwy i ciężko pracował. Oczywiście nie miał zamiaru skrzywdzić Manuela Gonzala, ale wpadł w panikę, widząc, jak sklepikarz wyciąga broń spod lady, więc strzelił pierwszy.

Nawet jako dziecko wiedziałam, że to wciskanie kitu. Mój ojciec wszedł do tego sklepu uzbrojony i miał konkretny plan. Każdy z nas ma wybór i on swojego dokonał.

Obracam kopertę w dłoniach i przesuвам palcami po brzegach. Ktoś ją rozdarł. Jest pusta. Znow unoszę twarz ku słońcu.

Jesteś teraz już tylko martwym ciałem, myślę, a jeszcze udało ci się sprawić mi zawód.

Słyszę silnik nadjeżdżającego samochodu i kiedy opuszczam wzrok, widzę Callie, która patrzy na mnie ze złością przez otwarte okno po stronie pasażera, unosząc ręce, jakby chciała powiedzieć: „Co ty, do cholery, wyprawiasz?”. Siadam obok niej i rzućam worek z rzeczami ojca na podłogę.

– Przepraszam.

– Musimy wracać do domu – mówi, zaciskając dłonie na kierownicy tak mocno, że bieleją jej knykcie. – Moja mama dzwoniła. Policja chce rozmawiać ze mną o Ari.

Mówi coś jeszcze, ale jej słowa są jak jednostajny szum w moich uszach. Wciąż nie mogę się otrząsnąć z tego, co powiedziała mi Wanda.

Jos cały czas była o krok przede mną. Mogła zobaczyć się z naszą matką albo do niej zadzwonić. Jedyнным tropem prowadzącym do mojej siostry jest osoba, która niczego tak bardzo nie pragnie, jak odizolować ją ode mnie.

Callie jest tak zdenerwowana, że omal nie zapomina przestawić lewarka na

pozycję parkowania, kiedy dojeżdżamy do domu. Przy krawężniku po drugiej stronie ulicy stoi radiowóz, a w oknie salonu Greenwoodów widzę tył głowy jakiegoś mężczyzny.

– To stryj Ryana – mówi półgłosem Callie, kiedy wchodzimy po schodach na ganek. – Mam przesrane. Pod moim łóżkiem jest cała bateria wody.

– To są detektywi z wydziału zabójstw. Wątpię, żeby ich obchodziły twoje zapasy.

Kiedy wchodzimy do salonu, Maggie wita nas z poważną miną.

– Tesso, w kuchni są kanapki – zwraca się do mnie. – Pewnie jesteś głodna.

Jay Elwood dobiega pięćdziesiątki i ma gładko ogoloną twarz. Wbija we mnie badawcze spojrzenie stalowoszarych oczu i zastanawiam się, czy wie, kim jestem. Popija łyk z kubka i odstawia go na stolik. Jego partner siedzi na sofie, której drugi koniec zajmuje Maggie.

– Jasne – odpowiadam.

Kuchnia przylega do salonu, więc jeśli nie będą szeptać, usłyszę całą rozmowę. Na blacie stoi półmisek z wędliną, serem i bułkami. Wkładam do ust plasterek sera i staję obok lodówki, skąd mogę obserwować skrawek salonu.

– Jak się trzymasz? – pyta Jay.

Żadnej odpowiedzi.

– To jest Pete – znów odzywa się Jay. – Mam nadzieję, że wiesz, co nas sprowadza.

– Jeśli chodzi wam o Ariel, chyba powinniście porozmawiać z jej przyjaciółmi.

– Odniosłem wrażenie, że byliście sobie bliskie.

Jay wyjmuje długopis z kieszeni koszuli i pstryka przyciskiem. Dwa razy.

– To było dawno temu – odpowiada Callie po chwili wahania. – Od pewnego czasu nie rozmawialiśmy ze sobą... Więcej się dowiedcie od Emily Raymes.

Znów rozlega się pstrykanie długopisu.

– A Nick Synder?

Przed oczami staje mi Nick, który wręcza Callie butelkę przed wejściem na czuwanie. Przypominam sobie, jaki był załamany, kiedy spotkałyśmy go na parkingu.

– Co z nim?

– Ariel była jego dziewczyną, zgadza się?

– Tak, przez dwa miesiące. Ale zerwali ze sobą przed końcem roku.

Jay znów pstryka długopisem.

– Chyba był na nią wściekły.

Pete, ten drugi detektyw, pochyla się do przodu, opierając łokcie na kolanach.

– Dobrze znasz Nicka? – zwraca się do Callie.

– Obracamy się w tym samym towarzystwie.

– Często go ponosi? – draży Pete.

Callie milczy. Czuję, że wytrąciło ją z równowagi to, jak szybko detektywi skierowali rozmowę na temat Nicka. Oczywiście szukali potwierdzenia, że były chłopak Ari jest niezrównoważony.

Callie coś mamrocze. Opieram się o framugę drzwi, żeby lepiej ją słyszeć.

– Uważacie, że on jej to zrobił?

Detektywi nie odpowiadają. W końcu Jay przerywa milczenie.

– Chcemy tylko ustalić, z kim spędzała czas – wyjaśnia.

– No to powinniście zacząć od jej ojca. Ari się go bała i chciała jak najszybciej uciec z domu, do którego wprowadził nazistowską dyktaturę.

– Callie – przerywa jej matka. – Już wystarczy.

Z salonu dobiegają niezrozumiałe szepty. Potem wszyscy wstają i Jay chowa długopis do kieszeni.

– Jeżeli Nick coś wie, lepiej niech się do nas zgłosi, zanim wszystko zacznie się komplikować.

– O czym pan mówi? – pyta Callie.

Jay patrzy na nią z beznamiętną miną.

– Ten chłopak jest pełnoletni. Jeżeli to był wypadek, a on do wszystkiego się przyzna, może poprawić swoją sytuację.

Ściskam kurczowo uchwyt na drzwiach lodówki. Moja przyjaciółka milczy. Przesłanie Jaya jest proste – Nick Synder ma już tyle lat, że w Pensylwanii może zostać skazany na karę śmierci.

Rozdział dziewiąty

Kiedy detektywi wychodzą, Maggie wymyka się na patio z telefonem w dłoni. Po tonie jej głosu domyślam się, że dzwoni do Ricka. Ludzie zmieniają intonację w zależności od tego, z kim rozmawiają. Kiedy Maggie rozmawia z mężem, mówi rzeczowym i konkretnym tonem, chociaż jest roztrzęsiona, bo pali. Nie mam co do tego wątpliwości – ostatni raz widziałam ją z papierosem, kiedy byłam małą dziewczynką.

Wracam do salonu, gdzie Callie wodzi palcem po wyświetlaczu komórki, pisząc wiadomość.

– To jakaś bzdura – mówi, nie odrywając wzroku od telefonu. – Tylko tracą czas.

Odniosłam podobne wrażenie. Detektywi wiedzą, że Ariel została zamordowana w taki sam sposób jak ofiary „Potwora znad Rzeki Ohio”. Czy naprawdę uważają, że Nick zabił swoją byłą dziewczynę i tak to uporzadkował, żeby wyglądało jak dzieło naśladowcy „Potwora”? Czy może chcą szybko znaleźć kozła ofiarnego? Wyobrażam sobie, jak komendant posterunku w Fayette dzwoni do redaktorki lokalnej gazety i mówi jej, żeby nie publikowała niczego, co mogłoby na nowo ożywić pogłoski o niewinności Stokesa.

Do czasu „Potwora znad Rzeki Ohio” w rejonie Fayette nigdy nie było tak głośnej sprawy, a na pewno takiej, z którą miejscowi stróże porządku potrafiliby sobie poradzić. Detektyw, który znalazł sierść psa przy zwłokach Kristal Davis, awansował na komendanta policji. Prokurator, który oskarżał Stokesa w procesie, został szefem prokuratury okręgowej. Dzięki tej sprawie wielu ludzi wspięło się na szczyt. Jeśli teraz się okaże, że wszyscy byli w błędzie, czeka ich bolesny upadek.

Wszystkich nas to czeka, uświadamiam sobie. Jeśli Maggie się dowie, że zataiłam tamtą rozmowę telefoniczną, już nigdy nie spojrzy na mnie tak samo.

A Callie... Jej powinnam o tym powiedzieć. Już nie muszę chronić mojej siostry. Przez te wszystkie lata sama całkiem skutecznie zdołała odciąć się od tego wszystkiego. Ale Callie zasługuje na to, żeby dowiedzieć się o tym telefonie, zwłaszcza że teraz wspólnie szukamy prawdy.

Nie wiem tylko, jak jej wytłumaczyć, dlaczego przez tyle lat trzymałam to w tajemnicy. Z początku bałam się, że Jos pójdzie do więzienia tak jak ojciec, jeżeli się wyda, że okłamała policję. Nie potrafiłam znieść myśli, że mogłoby jej zabraknąć, ale kiedy uciekła, strach przed utratą siostry ustąpił miejsca czemuś znacznie gorszemu.

A jeśli Joslin rzeczywiście miała coś wspólnego ze śmiercią Lori? A ja bezwiednie pomogłam jej uniknąć odpowiedzialności?

Byłoby to jeszcze bardziej niewybaczalne niż kłamstwo w sprawie Wyatta

Stokesa, którego twarzy nie widziałam tamtej nocy.

Muszę ci coś powiedzieć. Słowa same cisną mi się na usta, gdy kieruję wzrok w stronę Callie, ale ona ciągle wpatruje się w wyświetlacz komórki.

– Idę do Ryana – oświadcza. – Nikt nie może skontaktować się z Nickiem. Muszę się upewnić, czy wszystko jest w porządku.

– Dobra.

Czuję się trochę niezręcznie, bo nie zaproponowała mi, żebym z nią poszła. Stojąc przy drzwiach, Callie woła, że niedługo wróci, i wymyka się z domu. Po chwili do salonu wraca Maggie. Wciąż ma na sobie piżamę. Posyła mi anemiczny uśmiech i mówi, że idzie wziąć prysznic.

Zostaję sama. Teraz mogę skorzystać z komputera.

Najpierw dzwonię do babci i zostawiam jej na automatycznej sekretarce informację, że nie wracam dziś po południu do Orlando. Zmarła nagle przyjaciółka z dzieciństwa, zostaję na jej pogrzebie, nie martw się, wszystko u mnie w porządku. Aha, no i dokarmiam tego jednookiego kota, który przychodzi na ganek, więc gdybyś mogła mnie zastąpić, to pod moim łóżkiem znajdziesz kilka puszek z karmą. Przepraszam za kłopot.

Potem dzwonię do Jany, mojej szefowej z Chili's, i mówię jej, że muszę wziąć jeszcze kilka dni wolnego, bo zmarł mój ojciec. Zapewnia mnie, że da mi tyle wolnego, ile potrzebuję. Tak naprawdę potrzebuję pieniędzy, ale trzymam ją za słowo, że praca będzie na mnie czekała, kiedy wrócę – chociaż to Orlando, gdzie nie brakuje odrzutów z parku rozrywki Disneya chętnych do sprzątnięcia stolików w sieciowej restauracji.

Jeśli czegoś nauczyłam się o życiu, to tego, że nie każdemu jest dane pocić się w kostiumie Myszki Mickey.

Kiedy z łazienki na górze dobiega odgłos lejącej się wody, włączam komputer. To ten sam dell, którego Greenwoodowie mieli dziewięć lat temu. Tyle razy przechodził przywracanie systemu, że jest powolny jak pacjent po lobotomii. Rick popadł kiedyś w poważne uzależnienie od pornografii internetowej. Zapewne terapeuta, do którego posłała go Maggie, zalecił mu, aby zamienił ten nałóg na pokera w sieci.

Kiedy komputer budzi się do życia, szukam adresu, który przepisałam z prawa jazdy mojej siostry. Według Google dom z numerem 34 E przy Federal Street w Allentown jest wystawiony na sprzedaż. Został zajęty z powodu obciążonej hipoteki. Na zdjęciach widzę gołe ściany z niedbale zagipsowanymi ubytkami. Wykładzinę, która kiedyś miała beżowy kolor. Kuchnię pozbawioną wyposażenia.

Anons głosi, że w budynku znajduje się osobny lokal pod wynajem. Zdjęcia przedstawiają wydzielony apartament z jedną sypialnią.

Z ogłoszenie wynika, że oferta jest aktualna od osiemdziesięciu czterech dni.

Ktokolwiek mieszkał w tym domu, musiał się wyprowadzić jakiś czas temu. Mimo to przeglądam wszystkie zdjęcia. Według większości standardów to odrażająca rudera, ale i tak trzęsę się cała z zazdrości. Był czas, kiedy moja siostra tu mieszkała. Samodzielnie. Prawdopodobnie podnajmowała komuś ten apartament.

Przypominam sobie, jak gnieździłyśmy się razem w ciasnym pokoju na piętrze naszego domu. Przypominam sobie leżące na ganku szczątki fotela bujanego porąbanego na kawałki w akcie desperacji, kiedy nie było czym napełnić żeliwnego piecyka, którym ogrzewaliśmy salon. W naszym domu zawsze cuchnęło dymem i alkoholem, a pozostawione przez poprzednich lokatorów dywany wydzielały odrażającą woń brudu.

Jos uciekła daleko od tego wszystkiego. Daleko od nas.

Usuвам adres domu w Allentown z historii wyszukiwania. A potem, chociaż jestem gotowa wybić to sobie z głowy, wpisuję nazwę Black Rock Tavern w okienko Google.

Na monitorze pojawia się adres i numer telefonu restauracji w Clearwater. Ma nawet niższe notowania na Yelp niż Chili's na Florydzie, w której pracuję. W każdym razie wygląda na to, że moja matka nie uciekła tak daleko jak Jos. Clearwater dzieli od Fayette około pół godziny jazdy. Wybieram numer restauracji w komórce, dokładnie sprawdzając każdą cyfrę. Po drugim sygnale odbiera jakiś mężczyzna.

– Restauracja Black Rock.

Kiedy postanowiłam odnaleźć moją siostrę, nie brałam pod uwagę takiej ewentualności, że będę zmuszona skorzystać z pomocy matki. Jest to problem z dwóch powodów.

Po pierwsze, matka jest jedyną osobą z mojej przeszłości, której nie mam ochoty oglądać jeszcze bardziej niż ojca.

Po drugie, cipa ze mnie.

Rozłączam się.

Raz ojciec przysłał mi list z więzienia. Zapełnił obydwie strony jednej kartki, opisując szczegółowo moje życie, tak jak je zapamiętał. Napisał, że byłam rozwrzeszczana jako niemowlę i kiedy wtykał mi w usta smoczek od butelki, żebym przestała się drzeć, Jos mówiła: „Nie, tato, nie w ten sposób”, i demonstrowała mu na swojej lalce, jak należy to robić. Wspomniał również o naszych wspólnych wieczorach w Boathouse, restauracji na rzece. Jedliśmy razem lody z pucharka i graliśmy w kółko i krzyżyk na papierowej podkładce pod zastawę.

Ale ja zapamiętałam to wszystko inaczej. Pamiętam, jak ojciec krzyczał na Jos, że ma już dziesięć lat i jest zbyt duża, żeby wszędzie nosić ze sobą tę cholerną lalkę. Pamiętam, jak co dwa miesiące przynosił do domu skromniutką premię i ciągnął mnie ze sobą do Boathouse, zanim matka zdążyła wrócić z pracy. Sadzał

mnie przy stoliku z pucharkiem lodów, a sam przepijał resztę pieniędzy przy barze.

Ale najbardziej wryła mi się w pamięć reakcja matki, kiedy znalazła ten list pod moją poduszką. Kartka miała na brzegach ślady zatłuszczonych palców, a tusz zdążył już wyblaknąć na zgięciach od częstego składania i rozkładania. Matka wrzuciła list do pieca w salonie, a kiedy zaczęłam płakać, złapała mnie za ramiona i krzyknęła:

– On już nigdy nie wróci!

Już wtedy wiedziałam, że właśnie tego matka zawsze pragnęła najbardziej, żeby mieć Jos i mnie wyłącznie dla siebie. Zawsze pielęgnowała w sobie przeświadczenie, że bardziej należymy do niej niż do kogokolwiek innego, i chyba dlatego miała taki wielki żal do ojca i Joslin. Moja siostra stała się podobna do niego, choć nawet nie była jego dzieckiem. Obydwoje mieli prostackie poczucie humoru, śmiali się, oglądając *South Park* w telewizji, i kiedy ojciec obcinał sobie paznokcie szczypcami do drutu, chociaż matka piszczała z obrzydzenia na ten widok.

Ale najbardziej bolało ją to, że Joslin jej nie potrzebuje. Ilekroć matka wpadała w panikę, co zdarzało się jej często, kiedy któraś z nas się skaleczyła albo nie mogła przestać wymiotować, ojciec krzyczał na nią:

– Na litość boską, Net, weź się w garść. Dzieci są odporniejsze, niż ci się wydaje.

Zawsze wiedziałam, że kiedy to mówi, tak naprawdę ma na myśli Joslin.

Nigdy więcej nie dostałam od niego listu. Jeżeli napisał do mnie, matka wszystko przechwyciła i spaliła.

W każdym razie nie boję się mojej matki. Nie boję się tego, co zrobię, kiedy ją zobaczę.

Kiedyś została mi tylko ona, ale pozwoliła, żeby babcia zabrała mnie z jedyne go domu, jaki znałam. Tej rany nie uleczył czas. Za to czas pozwolił mi uzbroić się w gniew, którego mam w sobie tyle, że wystarczy, abym zniszczyła samą siebie i pociągnęła ją za sobą, jeśli będę zmuszona.

Z czasem upodobiłam się bardziej do ojca.

Biorę głęboki wdech i ponownie wybieram numer.

– Restauracja Black Rock.

Tym razem w głosie mężczyzny słychać irytację.

– Hm... Czy pracuje u was ktoś o imieniu Annette?

– Od ponad roku już nie.

– Och. No to przepraszam – mówię, skubiąc nitkę, która wystaje z nogawki moich džinsów. – A nie wie pan, gdzie mogłabym ją teraz znaleźć?

Domowy telefon Greenwoodów zaczyna dzwonić, prawie całkiem zagłuszając odpowiedź mężczyzny. Zatykam palcem jedno ucho.

– ...mieszkała w Deer Run, ale to było ponad rok temu, jak powiedziałem.

– Rozumiem. Dzięki. – Rozłączam się.

Deer Run to osiedle przyczep kempingowych położone na obrzeżach Cleerwater. W okolicy znajduje się Walmart, co oznacza, że moja matka nie musiała jeździć na zakupy do Fayette, które słynie z galerii handlowych.

Nie mogę powiedzieć, abym była zaskoczona, że Annette wylądowała w takim miejscu. W poszukiwaniu przytulnych małych mieszkań do wynajęcia należałoby się zapuścić jeszcze dalej na północ. W tamtej okolicy stoją tylko wystawione na sprzedaż przez bank puste domy i osiedla przyczep. Wiele takich osiedli.

Maggie wciąż jest w łazience i w domu Greenwoodów panuje cisza. Mam nadzieję, że przynajmniej ten jeden raz uda mi się wymknąć i nie będę musiała się tłumaczyć. Nie chcę okłamywać Maggie, ale prędzej bym umarła, niż powiedziała jej prawdę – że w ciągu ostatnich dziesięciu lat moja matka ani razu nie zadzwoniła, nie napisała ani mnie nie odwiedziła i nawet nie jestem pewna, gdzie jej szukać.

Kiedy przygotowuję się do wyjścia, słyszę skrzypienie schodów. Maggie zawiązuje pasek szlafroka i patrzy na mnie, przechylając głowę.

– Wychodzisz? – pyta.

– Tylko... na chwilę.

– Jeśli nie chcesz, żebym cię podwiozła, w garażu jest rower Callie. Nie jeździła na nim od lat.

– Dziękuję. To świetny pomysł.

Idę okrężną drogą przez salon i wychodzę z domu kuchennymi drzwiami. Żółty rower, na którym moja przyjaciółka jeździła w dzieciństwie, wisi kołami do góry pod sufitem garażu. W kącie, oparty o stół warsztatowy, stoi drugi, większy. Ma niebieską ramę w stylu retro i biały koszyk, z którego uciekają pająki, kiedy dotykam kierownicy. Odwracając wzrok od pajęczyn między szprychami, wyprowadzam rower na podjazd.

Nie jeździłam na rowerze od dzieciństwa. Chcę wskoczyć na siodełko, ale biorę za duży rozmach i omal nie ląduję na chodniku. Mam nadzieję, że nikt tego nie widział.

Nie bez powodu mówi się, że coś jest łatwe jak jazda na rowerze, przypominam sobie, wyjeżdżając niepewnie na ulicę i starając się utrzymać prosty kurs. Kilka razy mocniej naciskam na pedały i łapię równowagę, ale dla pewności robię próbną rundkę wokół kwartału. Dziś nie zamierzam się zabić.

Ból w łydkach i rześki powiew na karku natychmiast mnie ożywiają. Myśl, że nie będę już musiała przemieszczać się na piechotę, jest podniecająca. Zmieniam przekładkę i pedałuje jeszcze mocniej. Słyszę zgrzytanie łańcucha i uświadamiam sobie, że powinnam go nasmarować, skoro Callie nie używała tego roweru od lat.

Nagle dostrzegam czerwone światło na rogu Main Street i kiedy naciskam

hamulce, rozlega się niepokojący trzask. Ulica jest pusta, ale ostrożnie spycham rower na chodnik, żeby zobaczyć, co się stało.

– A niech to szlag – cedzę słowa przez zaciśnięte zęby. – Psiakrew, pieprzony sukinsyn. Jasny szlag by to trafił.

Nie ma szans, żebym przejechała prawie dwadzieścia kilometrów do Deer Run i z powrotem z przebitą oponą. Zdażyłam się już oddalić kawałek od domu Greenwoodów, więc gdybym teraz chciała zawrócić, czekało mnie dziesięć minut marszu, ale kilkaset metrów dalej jest stacja benzynowa, gdzie mogłabym napompować koła. Może dętki w rowerze Callie są po prostu stare i tylko uszło z nich powietrze.

Ocieram pot z czoła rękawem podkoszulka. Muszę się dostać do Deer Run i jeśli nie chcę wlec się tam na piechotę, mam tylko jedno wyjście. Ruszam w stronę Quik Mart, pchając rower. Na parkingu rozpoznaję chłopaków, z którymi wczoraj stałam przed domem Ari, kiedy była tam policja. Paru z nich jeździ na deskorolkach, a Decker Lucas przygląda się im, siedząc na krawężniku z paczką żelek.

– Hej – woła, machając do mnie. – To znowu ty.

– Znowu ja.

– Ojej! – Decker wskazuje głową na przednie koło. – Jak ty na tym jeździsz? Częstuje się żelką z paczki, tymczasem on uważnie ogląda sflaczałą oponę.

– Przebita – oświadcza. – Ale mam łątki.

– Masz?

Jestem gotowa rzucić mu się na szyję. Chcę jak najszybciej dotrzeć do Deer Run i niecierpliwość aż mnie rozsadza od środka.

– Ale w domu – dodaje, a mnie opuszcza entuzjazm.

– Aha – wzdycham apatycznie.

– Mieszkam tuż za rogiem, koło szkoły – mówi Decker. – Możemy tam podejść.

– To wspaniale. Dzięki. Kupię ci więcej żelek.

Decker śmieje się i lekceważąco macha ręką. Nie mówi kolegom, dokąd się wybiera, ale ich niespecjalnie to obchodzi. Prowadzę rower wzdłuż krawężnika, a Decker toczy się ulicą na deskorolce. Nagle zatrzymuje się i czeka, aż go dogonię, prawdopodobnie uświadomiwszy sobie, że to nieelegancko tak zostawiać mnie w tyle.

– A więc... wróciłaś? – zagaduje.

Właściwie to proste pytanie, ale nie jest mi łatwo na nie odpowiedzieć.

– Do Fayette?

– Tak. Zamieszkaś tu na stałe?

– Nie – odpowiadam, skubiąc łuszczącą się gumę na okładzinie kierownicy.

– Mój ojciec był ciężko chory. Przyjechałam się pożegnać.

Zerkam na niego. Widzę zaskoczenie w jego szeroko otwartych oczach.

– Przykra sprawa – mówi. – Tędy, pójdziemy skrótem przez boisko.

Idę za nim wdzięczna, że mogę zdać się na niego. Po prawej ciągnie się siatkowe ogrodzenie, za którym znajduje się plac zabaw przy podstawówce. Wymieniono całe wyposażenie od czasów mojego dzieciństwa.

– Mieszkam za ulicą – odzywa się Decker. – Uważaj na gęsie kupy.

Omijamy zielonkawe placki, jakbyśmy szli przez pole minowe, i przez zagajnik za boiskiem docieramy do ulicy. Czekamy, aż przejedzie samochód, przechodzimy na drugą stronę.

Na podjeździe przed zielonym domem w farmerskim stylu stoi jakiś archaiczny samochód. Kiedy Decker otwiera kłódkę i unosi drzwi garażowe, staje się jasne, dlaczego samochód parkuje na zewnątrz. W środku nie ma miejsca. Wszędzie piętrzą się kartonowe pudła pokryte wilgotnymi plamami i sterty starych książek telefonicznych. Wszystko to wygląda jak sceneria w jednym z tych programów, które ogląda babcia, gdzie jakiś facet w kombinezonie ochronnym wchodzi do budynku, znajduje martwego kota, a może dwa, a na koniec wszyscy płaczą ze szczęścia.

– Moja mama nie lubi niczego wyrzucać – wyjaśnia Decker.

– Całkiem tu fajnie – mówię, kiedy zauważam, że czerwienią mu się uszy.

– To głównie graty ojca – ciągnie. – Minęło jedenaście lat, a mama ciągle myśli, że on wróci, żeby coś zabrać.

Dotyka palcem zagłębienia na środku podbródka, jakby zapomniał, po co tu przyszliśmy.

– Och, tak! Łatki do opon.

Stoję z rękami w kieszeniach, kiedy znika w głębi garażu. Z wnętrza dobiega jakiś łoskot i po chwili wraca z zestawem naprawczym w ręku. Siadam na trawniku i z brodą opartą na kolanach przyglądam mu się, jak naprawia rower.

– Więc na jak długo tu przyjechałaś? – pyta.

– Już dawno miałam wrócić do domu, ale postanowiłam zostać, żeby pójść na pogrzeb Ariel Kouchinsky.

– Pamiętam, jak w przedszkolu bawiłyście się tymi małymi plastikowymi misiami. Pani Brogan mówiła, że służą do nauki liczenia, ale wy zawsze urządzałyście walki niedźwiedzi. – Decker wysuwa język z kącika ust, uważnie oglądając łańcuch. – Nie mogę uwierzyć, że ona nie żyje. Kto mógł jej to zrobić? Była taka miła.

Bo nieszczęścia zawsze przytrafiają się właśnie tym miłym dziewczętom. Jak gdyby los czerpał jakąś niezdrową satysfakcję z unicestwiania miłych dziewcząt, tymczasem świat przygląda się temu i czerpie niezdrową satysfakcję z oplakiwania kolejnej ofiary.

– To pewnie jakiś przypadkowy świr.

Decker zaczyna pompować jedną z opon.

– Słyszałem plotki, że to znowu „Potwór” – mówi, a kiedy nie odpowiadam, bierze moje milczenie za objaw konsternacji. – „Potwór znad Rzeki Ohio”. Wybacz, ciągle zapominam, że wyjechałaś, kiedy tu grasowałeś.

– Od kogo słyszałeś te plotki?

– Od mojej mamy. – Decker wygląda na zmieszanego. – Ale ona czyta różne takie bzdury. Teorie spiskowe, że niby gliniarze złapali nie tego faceta i wiedzą o tym, ale nigdy się do tego nie przyznają, a „Potwór” nadal jest na wolności.

A więc Decker nie pamięta, że zeznawałam przeciwko Stokesowi. A może nigdy się o tym nie dowiedział. Ponieważ Callie i ja byłyśmy nieletnie, w gazetach nie pojawiły się nasze nazwiska, a sędzia wydał zakaz publicznego komentowania naszych zeznań, żeby nas chronić. Wiele osób wiedziało, że mamy coś wspólnego z tym procesem, ale większość naszych kolegów z klasy nie miała pojęcia, dlaczego tak często jesteśmy zwalniane z lekcji. Zazdrościli nam i nawet nie wiedzieli czego.

Podnoszę z trawnika małą gałązkę i łamię ją w palcach.

– Nie sądzę, że to „Potwór”. Policjanci są przekonani, że to sprawka byłego chłopaka Ariel.

– Nicka Snydera? – Decker wpada w zadumę. – Ten gość jest nienormalny. Kiedy byliśmy w dziesiątej klasie, walnął mnie pięścią w twarz. A niczym sobie na to nie zasłużyłem. Przynajmniej wtedy.

Czuję, że mimowolnie się uśmiecham.

– Co zrobiłeś?

– Nic – odpowiada, wycierając w szorty tłuste od smaru ręce. – Uśmiechałem się tylko do siebie, bo tak czasami robię, a Nick to zobaczył i oskarżył mnie, że się z niego śmieję. Dlatego mnie uderzył.

Uśmiech znika z mojej twarzy. Robi mi się żal tego chłopaka. W tym miasteczku trudno zachować dobry nastrój. Na każdym kroku możesz trafić na kogoś, kto będzie chciał zabić w tobie ducha.

Kiedy wstaję z trawnika, kręci mi się w głowie.

– Dzięki za to – mówię, wskazując na rower.

Decker promienieje.

– Zawsze do usług. Może dostanę pracę w tym sklepie rowerowym. Mógłbym ci wtedy założyć nowe opony.

Tak rozpaczliwie stara się być pomocny, więc nie chcę mu mówić, że to nawet nie jest mój rower.

– Jasne. Nie ma sprawy.

Decker drapie się po karku i jego koszulka unosi się lekko, odsłaniając skrawek bladego owłosionego brzucha.

– Gdzie masz komórkę? Dam ci mój numer.

Sięgam do tylnej kieszeni dzinsów, ale telefon wyslizguje mi się z dłoni i upada na podjazd, tuż pod jego nogami. Podnosi go szybko, zanim zdążę się schylić, a potem otwiera klapkę i marszcząc czoło, zaczyna wprowadzać swój numer. Mam ochotę mu go wyrwać, żeby przypadkiem nie zauważył, że w moim spisie telefonów figuruje Zakład Karny Hrabstwa Fayette, ale wyraz jego twarzy się nie zmienia. W końcu oddaje mi komórkę i widzę na wyświetlaczu, że zapisał się na liście kontaktów jako „Decker, Twój przyjaciel ^_^”.

Macham mu na pożegnanie i wsiadam na rower. Postanawiam zachować jego numer. Tutaj nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać pomoc przyjaciela.

Do Deer Run jadę prostą drogą, która prowadzi na południe. Po obu stronach ciągną się kilometrami połacie spieczonej od słońca brązowej ziemi. Matka zawsze mówiła, że trzeba nam porządnego oberwania chmury. Ale kiedy do Fayette wreszcie przychodzi deszcz, wydaje się, jakby padało od wielu dni.

Napis na tablicy głosi: „Witamy w Deer Run”. Dwaj półnaczy faceci około dwudziestki, którzy grają na trawniku w piwnego ping-ponga, odwracają głowy i gapią się na mnie.

Osiedle nie wygląda na przybytek narkomanów. Mieszkają tu głównie rodziny, co mogę wywnioskować z prania, które suszy się na sznurach rozpiętych przed każdym domem. Spodnie od piżamy, pieluchy, dziecięce podkoszulki.

Wyobrażam sobie, jak matka i Jos rządzą sobie w jednej z tych przyczep jakiegoś poronione spotkanie rodzinne po latach, na które nie zostałam zaproszona, i mam ochotę zawrócić.

Kieruję się tam, skąd dobiega hałas – piskliwe okrzyki dzieci, plusk wody i muzyka z radia – i dojeżdżam do białego budynku z napisem „Obsługa techniczna”. W środku obok wentylatora siedzi jakaś kobieta i czyta „People”. Kiedy chrząkam, unosi głowę i spogląda na mnie.

– Szukam Annette Lowell.

Kobieta zerka z powrotem na magazyn i przewraca stronę.

– Już tu nie mieszka.

Tyle mogłam wywnioskować sama. Innym razem zmyłabym się stąd zawstydzona samym faktem, że w ogóle otworzyłam usta, ale nie po to przejechałam w upale taki kawał drogi, żeby teraz odejść z kwitkiem.

– Muszę ją znaleźć.

Jestem wstrząśnięta stanowczym tonem własnego głosu. Kobieta odkłada magazyn.

– Więc kiedy ją znajdziesz, to jej powiedz, że zalega z czynszem za dwa miesiące.

Zaciskam pięści.

– Dobra. Będę tu chodzić od drzwi do drzwi, dopóki nie trafię na kogoś, kto wie, gdzie jej szukać.

Oczekuję, że okaże mi więcej zainteresowania albo powie, że to bez sensu, bo nikt tu nie wie, gdzie jest Annette Lowell. Ale ona wzrusza ramionami.

– No to chyba powinnaś zacząć od Maddie.

– Maddie?

Nagle uderza mnie przerażająca myśl. Czy Maddie jest moją przyrodnią siostrą? Przecież minęło tyle lat. Moja matka miała dość czasu, żeby założyć nową rodzinę.

– Opiekuje się dziećmi – wyjaśnia kobieta. – Z tyłu za domem.

Kiwam jej głową i wracam tą samą drogą, którą przyjechałam. Okrażam budynek, za którym na zalanym betonem skrawku ziemi stoi kilka huśtawek i piaskownica. Żałosna namiastka placu zabaw. Dalej mieści się basen, gdzie grupka starszych dzieci gra w Marco Polo, krzycząc bez przerwy. Obok mnie zatrzymuje się mała dziewczynka, która pcha wózek spacerowy z brudnym kocykiem w środku. Jest ubrana tylko w różowe majteczki od kostiumu kąpielowego. Wyjmuje z ust kciuk, żeby do mnie zagadnąć.

– Cześć.

– Cześć – odpowiadam. – Gdzie jest Maddie?

Mała pokazuje na rząd foteli ogrodowych. Na jednym z nich ze wzrokiem wlepionym w wyświetlacz komórki siedzi dziewczyna, która może mieć nie więcej niż piętnaście lat. U jej stóp stawia niepewne kroki niemowlak w pieluszcze, ściskając dmuchawiec w pulchnej rączce.

Kiedy idę w jej stronę, nagle ogarnia mnie zdenerwowanie. Dziewczyna ma na sobie biustonosz bikini i džinsowe szorty. Wszystko mnie w niej razi, od zbyt jaskrawych pasemek po ociekające tuszem rzęsy, ale tak naprawdę jest ładna. Nie ma znaczenia, że jestem od niej co najmniej trzy lata starsza. Czuję się mała jak ossek.

– To ty jesteś Maddie?

Dziewczyna odkłada telefon. Jest rozdrażniona.

– Tak.

– Szukam Annette Lowell – wyjaśniam. – Znasz ją?

– Opiekowała się tu dziećmi i w ogóle. – Maddie wzrusza ramionami.

– Przede mną.

– Dawno temu?

– Nie zabawiała tu długo. Niewiele ponad rok. Phoebe się do niej przywiązała.

Maddie spogląda na dziewczynkę z wózkiem, która właśnie poprawia kocyk z niezwykle starannością. Wygląda na pięć, góra sześć lat. Muszę stąd zniknąć, byle dalej od tego dziecka, które doprowadza mnie do rozpacz, pchając wózek z niewidzialnym niemowlakiem. Czy Phoebe płakała, kiedy moja matka ją opuściła? Nie potrafię nawet o tym myśleć.

– A taka blondynka, dwadzieścia sześć lat? – pytam, wpychając palec z dziurę w nogawce. – Szukała tutaj Annette w tym tygodniu?

Dziewczyna trzepocze rzęsami, gdy tak naprawdę po raz pierwszy spogląda w moją stronę. Wzbiera we mnie nadzieja, ale ona sięga z powrotem po swoją komórkę.

– Nie.

Ogarnia mnie rozczarowanie i jestem o to na siebie wściekła.

– Kiedy Annette się wyprowadziła?

– Dwa miesiące temu. Powiedziała, że teraz zamieszka w jakiejś chatce, która należy do jej rodziny. To wszystko, co wiem.

Maddie znów wlepia wzrok w wyświetlacz telefonu. Niemowlak u jej stóp wpęłza pod fotel i wyłania się z drugiej strony. Potem rusza w kierunku basenu zaintrygowany dobiegającymi stamtąd dźwiękami muzyki.

– Powinnaś uważać na to dziecko. Furtka na basen jest otwarta.

Nie czekając na reakcję Maddie, odwracam się i odchodzę. Kilka kroków dalej zatrzymuje mnie delikatne szarpnięcie za rękę.

– Czy u Nettie wszystko dobrze?

Phoebe wpatruje się we mnie szeroko otwartymi błękitnymi oczami.

– Nie wiem – odpowiadam. – Ale postaram się ją odnaleźć.

Dziewczynka mruży oczy i puszcza moją dłoń. Powiedziałam coś, co wzbudziło jej nieufność.

– Nie dasz rady – mówi głuchym szeptem. – Ona się ukrywa przed potworem.

Rozdział dziesiąty

Kopię podpórkę roweru trochę mocniej niż to konieczne i przeklinam pod nosem, kiedy stłuczony palec u nogi promieniuje bólem. Jos nie przyjechała tutaj szukać mojej matki, a ja nie zbliżyłam się ani o krok do odnalezienia żadnej z nich.

Dojeżdżam do głównej drogi, próbując przekonać samą siebie, że zaczynam sobie coś roić. Niemożliwe, żeby ta dziewczynka mówiła o „Potworze znad Rzeki Ohio”. Przez ten upał mój mózg doszukuje się czegoś więcej w tym, co usłyszałam.

Ale o jakiego potwora mogło jej chodzić? Czy moja matka zetknęła się tutaj z jakimś agresywnym mężczyzną albo przestępcą? Czy to przed nim uciekła z Deer Run, a małej powiedziała o potworze, żeby nie było jej przykro?

A może po prostu Phoebe to sobie wymyśliła, bo jest dzieckiem, a dzieci wymyślają różne bzdury. Ale jeśli moja matka rzeczywiście jej powiedziała, że ukrywa się przed potworem? Tym „Potworem”. Czy moja matka wie, kto zamordował te wszystkie dziewczęta?

Czy ona i Jos wiedzą, kim jest morderca? Czy to dlatego matka mnie zostawiła i trafiłam pod opiekę babci – żeby ochronić mnie przed „Potworem”?

Myśli kotłują się w mojej głowie. Ojciec znał wielu podejrzanych typów, a niektórym z nich był winien pieniądze. Facetów o ziemistej cerze w znoszonych skórzanych kurtkach. Facetów, którzy wozili w swoich pikapach strzelby i psy o groźnych przekrwionych oczach. Każdy z nich mógłby kogoś zabić.

Może „Potwór” zabił Lori, a Jos nie zdołała temu zapobiec? Nie puściła pary z ust, bo go znała – może wszyscy go znaleźmy. A uciekła nie dlatego, że miała coś do ukrycia, tylko nie chciała zostać jego kolejną ofiarą.

Nie mam na to żadnych dowodów, jednak wiem, że mogło tak być. Przypominam sobie tę pustą kopertę z moim imieniem i zaczynam snuć szalone domysły, że mogła zawierać jakąś informację o „Potworze”.

Wszyscy w mojej rodzinie mają tajemnice. Czemu mój ojciec miałby być wyjątkiem?

Kiedy wracam do domu Greenwoodów, Callie jeszcze nie ma. Wbiegam na górę, przeskakując po dwa stopnie, i wycieram podkoszulkiem pot z czoła. Cuchnę, jakbym spędziła ostatnią noc w stajni. Foliowy worek z rzeczami ojca leży na łóżku, gdzie rzuciłam go przed wyjazdem do Deer Run. Wysypuję jego zawartość na narzutę i biorę do ręki rozdartą kopertę.

Ojciec chciał mi coś przekazać, skoro na kopercie napisał moje imię. To nie był list do Jos ani do Annette. Może myślał, że nie przyjadę się z nim pożegnać, i dlatego do mnie napisał. Oczyma wyobraźni widzę matkę stojącą przy żeliwnym piecyku w salonie naszego starego domu; widzę płomienie, które pożerają łąpczywie list w jej ręku. List do mnie.

Coś ściska mnie w piersi.

Ale to nie ona otworzyła tę kopertę. Według Wandy nie odwiedzała ojca od lat. Ktokolwiek to zrobił, musiał mieć powód. Może to jakiś chytry klawisz, który spodziewał się znaleźć w środku pieniądze?

Albo ktoś, kto nie chciał, żebym poznała treść listu.

Annette nie przyjechała w odwiedziny do mojego ojca, kiedy leżał na łożu śmierci. Ale Joslin u niego była.

Odkładam kopertę na bok, żeby na nią nie patrzeć.

Zawsze najbardziej kochałam moją siostrę. Wiedziałam, że doprowadzała matkę do szału, kiedy Jos nosiła mnie na rękach, huśtała albo wirowała na środku salonu, trzymając mnie w objęciach. Matka krzyczała wtedy: „Zostaw ją”, i za każdym razem słyszałam jadowity ton w jej głosie. Nie chodziło o to, że coś mi się stanie, tylko nie mogła patrzeć, jak moja siostra wywołuje u mnie śmiech.

Bałam się matki. Bałam się, że pewnego dnia odizoluje mnie od siostry, którą kochałam najbardziej na świecie, tak jak próbowała odizolować mnie od Greenwoodów.

Tylko raz poczułam strach przed Jos. Kłóciła się z matką, a kiedy skończyła szesnaście lat, żarły się na okrągło. To były okropne awantury, które przeczekiwałam, chowając się w szafie. Te najgorsze wybuchały o to, że matka nie pozwalała Joslin zrobić prawa jazdy. Kilka miesięcy wcześniej niedaleko szkoły doszło do strasznego wypadku. Dwaj chłopcy – Rob McQueen i Tyrone Williams, obaj z klasy maturalnej, jeden nawet miał dostać stypendium uniwersytetu stanowego – zabili się, wracając z treningu drużyny futbolowej. Ich zmasakrowane ciała leżały na poboczu, a samochód prawie złamał się na pół od uderzenia w słup telefoniczny. Jechali zbyt szybko. W miejscu, gdzie to się stało, wciąż stoi drewniany krzyż z ich imionami.

Matka zawsze o nich wspominała, jak gdyby Joslin nigdy nie mijala ich na szkolnych korytarzach i nie kibicowała im na meczach. Byli jak pokutujące duchy, a ich tragiczny los miał służyć ku przestrodze. I właśnie dlatego matka zdecydowała, że Jos nie siądzie za kierownicą, dopóki nie będzie pełnoletnia.

Pewnej nocy usłyszałam jakiś hałas i zbiegłam na dół po schodach.

Moja siostra stała w kuchni, trzymając w ręku stłuczoną szklankę, a w oczach miała obłęd, jakby opętał ją jakiś zły duch. Tak właśnie żartował ojciec, ilekroć był w pobliżu i mógł je rozdzielić.

– Nie zbliżaj się do mnie! – wrzeszczała, wymachując ostro zakończonym szkłem jak nożem.

Ale kiedy zobaczyła, że stoję w drzwiach i płaczę ze strachu, zmieniła się w mgnieniu oka, jakby ktoś nacisnął w niej jakiś przełącznik. Odrzuciła szklankę i podbiegła, żeby mnie uspokoić.

– Nigdy, przenigdy nie zrobiłabym ci krzywdy, Tesso.

Choć wcale mi się to nie podoba, ciągle wracam myślami do tamtej nocy, kiedy próbuję przekonać samą siebie, że Joslin nigdy by nie pozwoliła, aby ktokolwiek skrzywdził Lori. Wcale mi się to nie podoba, ale zastanawiam się, co by zrobiła z tą szklanką, gdybym wtedy nie stanęła w drzwiach i jej nie powstrzymała.

Burczy mi w brzuchu, więc wygrzebuję z plecaka ostatni z batoników, które babcia spakowała mi na drogę. Zdzieram folię zębami i zaczynam przeglądać rysunki ojca.

Muszę przyznać, że rysuje całkiem nieźle. Rysował. Jestem ciekawa, czy nauczył się tego w więzieniu, czy zawsze miał taki talent, tylko nie zdawał sobie z tego sprawy. Patrzę na szkic przedstawiający wodospad, który jest tak dokładny, że wręcz mogłabym policzyć wszystkie kropelki wody unoszące się w powietrzu. W rogu u dołu kartki jest coś napisane. „Rattling Run, 1986”.

Przeoglądam inne rysunki, głównie krajobrazy i scenki rodzajowe. Ale dostrzegam w nich coś szczególnego. Jeden przedstawia widok z okna na podwórko i dwie dziewczynki gnieźdzące się w plastikowym fotelu.

„Urodziny Jos, lato 2001” – głosi dopisek u dołu.

To nie są zwykłe rysunki. To jego wspomnienia.

Choć robię to wbrew sobie, szybko przerzucam kartki w poszukiwaniu tej jednej sceny. Muszę się dowiedzieć, czy o tym też pamiętał. O naszej wycieczce do Laurel Caverns. Miałam wtedy pięć lat i była to jedyna wycieczka, na którą wybraliśmy się całą rodziną.

Kiedy jestem w połowie pliku, moją uwagę przyciąga rysunek przedstawiający domek na leśnej polanie. Unoszę go do lampy, żeby lepiej mu się przyjrzeć, i nie mogę opanować drżenia rąk. Właściwie lepszym określeniem byłaby chatka – budynek stoi na drewnianej platformie i ma przeszkloną werandę. Ojciec narysował nawet rozdartą moskitierę w jednym z okien. W dolnym rogu napisał „Bear Creek, 1986”.

Wyteżam umysł, szukając w pamięci miejsca o takiej nazwie, ale na próżno. O ile mi wiadomo, to nawet nie jest w Pensylwanii. Czy mój ojciec bywał w tej chatce jako chłopiec? Dlaczego nigdy nie wspomniał, że jego rodzina miała domek w lesie? Ale zaraz... Czy Maddie nie powiedziała, że Annette przeprowadziła się do chatki, która należy do jej rodziny?

Chowam rysunki z powrotem do worka, który wsuwam pod łóżko. Na widocznym z okna podjeździe nie ma samochodu, więc Callie jeszcze nie wróciła. Wystawiam głowę na korytarz. Drzwi jej pokoju są lekko uchylone. Zaglądam jeszcze do sypialni Maggie, żeby się upewnić, że jej tam nie ma, a potem zakradam się do pokoju mojej przyjaciółki. Zaaminowana błękitna karta leży na toalecie, gdzie widziałam ją już wcześniej. Biblioteka Publiczna w Fayette.

Na dole Maggie krząta się w kuchni, przygotowując kolację. Rozmawia

przez telefon, ale z tonu jej głosu wnioskuję, że tym razem nie z Rickiem. Przechodzę obok niej i tylnymi drzwiami wymykam się do garażu, gdzie zostawiłam rower.

Hej, Maggie, mogłabym powiedzieć, muszę skorzystać z komputera, żeby sprawdzić rozkład lotów. To byłoby takie proste. Oczywiście by mi nie odmówiła. Ale nie mogę pozwolić sobie na ryzyko, że zobaczy w historii przeglądania, czego szukałam w sieci. Nie uniknęłabym wówczas pytań, na które nie mogłam jej odpowiedzieć.

Biblioteka mieści się niedaleko domu Deckera, kawałek za szkołą podstawową. Zostawiam rower na stojaku, chociaż nie mam czym go przypiąć. Ale w pobliżu nie widzę nikogo, kto mógłby mi go ukraść, a nie mam zamiaru wchodzić z nim do środka.

Drzwi rozsuwają się z cichym szumem i w twarz uderza mnie zimny podmuch. Kiedy byłam małą dziewczynką, matka przyprawiała nas tutaj w upalne dni, żebyśmy mogły skorzystać z darmowej klimatyzacji.

Widzę, że teraz wiele osób robi to samo. Przechodząc między regałami, muszę przestąpić nad małym brzdącem, który bawi się nagą Barbie, uderzając jej włosami o podłogę. Na półce z napisem „Nowości” dostrzegam powieść Jamesa Pattersona, która ukazała się w zeszłym roku. Rozpoznaję ją, bo babcia nie potrafiła załadować jej do tabletu i potrzebowała mojej pomocy.

Wchodzę do czytelnicy, gdzie znajdują się stanowiska komputerowe, i loguję się do internetu, używając kodu dostępu z karty bibliotecznej Callie.

Zaczynam od Bear Creek. Pod okienkiem wyszukiwarki pojawia się pytanie, czy chodzi mi o Bear Mountain, oddalone o dwie i pół godziny jazdy, jak wynika z mapy. Kiedyś mieścił się tam ośrodek narciarski, ale został zamknięty w latach osiemdziesiątych. W Bear Creek działało kilka restauracji dla narciarzy, ale żadna z nich nie przetrwała. Nie znajduję też danych statystycznych dotyczących tej miejscowości. Na dobrą sprawę nie wiem nawet, czy w ogóle ktoś tam mieszka na stałe. Rysunek ojca sugeruje, że najprawdopodobniej przyjeżdżał tam na narty i spędzał weekendy w tym drewnianym domku.

Moja rodzina nigdy nie była nadziana. Dociera to do mnie teraz i czuję lekkie rozczarowanie. Ludzie, którzy coś mają, nie wyciągają ręki po cudzą własność.

Odchylam się na oparcie krzesła, nieco przytłoczona perspektywą nieograniczonego dostępu do internetu. W końcu robię to co zawsze, kiedy zasiadam przy komputerze – szukam informacji na temat Wyatta Stokesa.

Znajduję artykuł, który ukazał się rano i nawiązuje do tego, co widziałam na ekranie telewizora w więziennej poczekalni. Sędzia wyznaczył na październik termin przesłuchania, podczas którego miał zdecydować, czy nowy materiał dowodowy pozwala na wznowienie procesu Stokesa. Żadnej wzmianki o tym, co to

za dowody. Przecieram oczy i wpatruję się w ostatni akapit:

„Chociaż adwokaci Stokesa nie ujawnili, jakie dowody zamierzają przedstawić przed sądem apelacyjnym, niektórzy spekulują, że w grę mogą wchodzić materiały, które zostały odrzucone podczas pierwszego procesu. Pod paznokciami dwóch ofiar śledczy zabezpieczyli ślady biologiczne, ale na podstawie badania DNA nie byli w stanie jednoznacznie rozstrzygnąć, czy należą one do Stokesa. Zdaniem Rachel Steinhoff, profesor prawa karnego z Northeastern University, jeśli te próbki zostaną porównane z bazą danych CODIS zawierającą materiał genetyczny sprawców brutalnych przestępstw, istnieje duże prawdopodobieństwo, że policja znajdzie nowego podejrzanego”.

Zamykam stronę z artykułem. Już przed laty czytałam o tej ekspertyzie DNA i wiem, że pod paznokciami Kristal Davis i Lori Cawley nie znaleziono żadnych dowodów. Była to jedna z drobnych nieścisłości, którą wyjaśnił prokurator – Kristal i Lori nie miały pod paznokciami tkanek mordercy, bo żadna z nich się nie broniła.

Zamykam oczy i widzę moją siostrę. Widzę stłuczoną szklankę w jej dłoni.

Czasami myślę, że z biegiem lat wyolbrzymiłam znaczenie tamtej rozmowy telefonicznej. Przyjaciółki czasem się kłóca. Jos i Lori wydawały się nierozłączne, ale przecież były nastolatkami. W pewnym momencie musiały się posprzeczać, prawdopodobnie o jakąś kompletną bzdurę. Tylko że im akurat nie było dane się pogodzić.

Próbowałam sobie przypomnieć jakąś sytuację poprzedzającą tamtą noc, coś, co wskazywałoby na to, że moja siostra groziła Lori – jakiś szept albo dziwne spojrzenie – ale takie rozgrzebywanie przeszłości było jak błędzenie po omacku.

Tego dnia nie znalazłam niczego, co mogłoby mnie naprowadzić na ślad Joslin – ani matki – dlatego postanawiam, że nie wyjdę z biblioteki z pustymi rękami. Nawet gdyby to miało być tylko nazwisko. Muszę znaleźć kogoś, kto nadal tu mieszka i z kim mogłabym porozmawiać. Kogoś, kto mógłby rzucić trochę światła na przyjaźń Lori i mojej siostry i odpowiedzieć na pytanie, czy dochodziło między nimi do tarć.

Kogoś, kto zechce porozmawiać z dziewczyną, która zapuka do jego drzwi jak natarczywa dziennikarka.

Prasa. Przecież to oczywiste. Miejscowa gazeta na pewno przeprowadziła wywiady z mieszkańcami Fayette, którzy znali Lori, a może i Jos.

Wylogowuję się z sesji internetowej i podchodzę do stanowiska obsługi wypożyczalni. Za biurkiem siedzi kobieta o czerstwym wyglądzie. Ma na sobie poncho, a zafarbowane na rudo włosy sięgają jej do pasa. Kiedy przychodzi moja kolej, zauważa, że nie mam w rękach żadnej książki.

– Czego szukasz, dziecko?

– Starych gazet.

– Przechowujemy tylko „Gazette” – mówi, jakby to stanowiło poważny problem.

– Może być.

Bibliotekarka mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów i marszczy czoło.

– Darius, gdzie mamy stare roczniki „Gazette”? – zwraca się do mężczyzny, który ustawia książki na półce parę metrów od nas.

Darius mamrocze coś, co byłoby niezrozumiałe, nawet gdybyśmy stały tuż obok niego. Kobieta odpędza mnie machnięciem dłoni.

– Ten człowiek ci pomoże.

– Dziękuję – zwracam się do Dariusza, który do mnie podchodzi.

Nie wygląda na zadowolonego z faktu, że musiał zostawić wózek z książkami. Prowadzi mnie do piwnicy i mamrocze pod nosem słowa, które z trudem udaje mi się zrozumieć.

– Na co ci te gazety?

– Szukam czegoś – odpowiadam.

– Jak my wszyscy, nie?

Naciska przełącznik światła i wraca na górę po schodach. Światłówki pod sufitem buczą, jakby w środku miotał się uwięziony rój os. Już mam się odwrócić i zapytać Dariusza, gdzie są gazety, kiedy je zauważam. Przede mną piętrzą się stosy pudeł kartonowych z datami wypisanymi flamastrem. Małe usprawnienie w porównaniu z garażem Deckera.

Znajduję pudło z rocznikiem 2006, ale stoją na nim dwa inne i przychodzi mi na myśl, że mam cholernego pecha. Nie wierzę, że uda mi się to udźwignąć, ale i tak próbuję i wydaję westchnienie ulgi, bo wcale nie są takie ciężkie. Ustawiam pudła wokół siebie niczym mur obronny i siadam na podłodze, krzyżując nogi.

„Gazette” ukazuje się w Fayette w co drugi piątek rano. Lori została zamordowana w czwartek późnym wieczorem, a jej ciało znaleziono w nocy z piątku na sobotę, więc informacja o jej śmierci nie zdążyła trafić na pierwszą stronę. Największą sensacją tego numeru był za to wybuch w Arnold, miejscowości położonej na południe od Fayette. Jakaś domowa wytwórnia amfy wyleciała w powietrze.

Odkładam gazetę na miejsce i przytrzymując ją kciukiem, wyciągam następny numer, który ukazał się dwa tygodnie po śmierci Lori.

Na pierwszej stronie widnieje jej zdjęcie z ostatniej klasy liceum, a nad nim nagłówek: *Ostatnia droga studentki z Drexel*. Autorką artykułu jest Shana Rosenberg.

„Odbył się pogrzeb dziewiętnastoletniej Lori Michelle Cawley z Chesterton. Panna Cawley przebywała z wizytą w Fayette u swojej ciotki i wuja, którzy zgłosili jej zaginięcie w zeszły czwartek wieczorem.

Ojciec ofiary, James Daniel Cawley, zginął rok temu w wypadku podczas

wyścigów motocyklowych. Ostatnim prezentem, jaki podarował córce, był srebrny naszyjnik z jej imieniem. Właśnie w tym naszyjniku i w kurtce motocyklowej ojca została pochowana.

Policja twierdzi, że Lori Cawley jest ostatnią ofiarą «Potwora znad Rzeki Ohio», seryjnego mordercy, który grasował na terenie hrabstw Fayette i Westmoreland. Chociaż przez ostatnie cztery lata pozostawał nieuchwytny, w tym tygodniu policja ogłosiła przełom w śledztwie. Zamieszkały w Fayette Wyatt Paul Stokes, 24 lata, został aresztowany w związku z serią morderstw. Prawdopodobnie pozbawił życia również Marisę Perez (17 lat), Rae Felice (20 lat) i Kristal Davis (17 lat)».

Zastanawiam się, skąd Shana Rosenberg wiedziała o tym naszyjniku. Maggie obawiała się, że na pogrzebie będzie pełno dziennikarzy, chociaż ceremonia odbyła się w rodzinnym mieście Lori oddalonym od Fayette o sto pięćdziesiąt kilometrów. Lokalna policja obiecała nie wpuszczać reporterów. Shana Rosenberg musiała uciec się do podstępu, a może czekała przed kościołem i nakłoniła któregoś z żałobników do rozmowy.

Tyle wysiłku, żeby zamieścić w artykule jeden mało znaczący szczegół. A przynajmniej ona uważała, że jest mało znaczący.

Z mojej pamięci zaczyna się wyłaniać mglisty obraz. Lori wynurza się z wody na kąpielisku i odruchowo sięga dłonią do naszyjnika, żeby się upewnić, że go nie zgubiła. Rzadko wspominała o swoim tragicznie zmarłym ojcu, ale nigdy nie zdejmowała tego naszyjnika.

Ale skoro została w nim pochowana, to oznacza, że morderca go nie ukradł. Cholera jasna.

Zwijam gazetę w ciasny rulon i chowam w nogawce, żeby nikt nie zauważył, że ją wynoszę.

To naprawdę poważna sprawa.

Podczas procesu nie było wzmianki o skradzionej biżuterii. Po pierwsze, w przyczepie Wyatta Stokesa policja nie znalazła żadnych przedmiotów należących do zamordowanych dziewcząt. Fakt, że „Potwór” zabierał biżuterię swoich ofiar, wypłynął dopiero po latach – jako szczegół, który miał ubarwić filmy dokumentalne i książki dla miłośników historii o seryjnych mordercach.

Jak wynikało z zeznań osób, które znały Marisę Perez i Kristal Davis, dziewczęta nie miały przy sobie biżuterii, kiedy znaleziono ich ciała. Jednak wszyscy wiedzieli, że Kristal często zastawiała swoje rzeczy, żeby zdobyć pieniądze na prochy, więc nie dało się ustalić, czy miała przy sobie coś, co „Potwór” mógł jej zabrać.

Wątek zaginionej biżuterii nabrał mocy dopiero kilka lat po skazaniu Stokesa, kiedy matka Rae Felice oświadczyła, że w rzeczach córki brakowało złotego medalionu, który był pamiątką po jej prababce. Nie znalazła go wśród

przedmiotów, które zabezpieczono w mieszkaniu Rae. Ale wtedy to nie miało znaczenia.

To tylko rzucona od niechcienia wzmianka w prowincjonalnej gazecie. Została pochowana właśnie w tym naszyjniku. Shana Rosenberg na pewno nie zdawała sobie z tego sprawy, ale to jedno zdanie oznaczało, że Lori Cawley być może nie zginęła z ręki „Potwora”.

Sprawca nie zabrał naszyjnika, bo nie wiedział, że musi to zrobić, aby jego morderstwo zostało przypisane „Potworowi znad Rzeki Ohio”. obrońcy Stokesa z pewnością o tym wiedzą. Musieli dokładnie przeanalizować każdy aspekt sprawy w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby podważyć wersję wydarzeń przedstawioną przez prokuratora.

Prawdopodobieństwo, że Lori Cawley nie była ofiarą „Potwora znad Rzeki Ohio”, mogłoby postawić całą sprawę na głowie. Jeżeli działało wówczas dwóch morderców, skąd w ogóle pewność, że Wyatt Stokes był jednym z nich?

Czy to naszyjnik jest tym nowym dowodem, który znaleziono? Czy może szykują jeszcze większą bombę, która pozwoli udowodnić, że Wyatt Stokes nie zabił Lori? Coś mocniejszego od ekspertyzy DNA.

Po plecach ścieka mi kropelka potu. Dwaj mordercy. A jeżeli Stokes rzeczywiście jest niewinny, obaj są wciąż na wolności.

Zamiast wyjść z biblioteki, wracam do komputera, z którego wcześniej korzystałam. Ponownie loguję się do internetu, otwieram swoją skrzynkę mailową i zaczynam pisać wiadomość do naczelnika Zakładu Karnego Hrabstwa Fayette.

Rozdział jedenasty

Udaje mi się zdążyć na kolację, z czego Maggie jest niebywale zadowolona. Podsuwa mi talerz z pieczonym kurczakiem. Nikt nie komentuje mojego wyglądu, ale zauważam, że Callie marszczy nos, siadając obok mnie.

– Dokąd cię zaniósł? – pyta Maggie i podaje mi miskę zielonego groszku.
– Mam nadzieję, że nie jesteś odwodniona.

Callie patrzy na mnie znad szklanki, jakby nie mogła się doczekać mojej odpowiedzi.

Wzruszam ramionami.

– Nie wiedziałam, że tak bardzo mi brakuje jazdy na rowerze. Na Florydzie jest na to zbyt parno.

– Cóż, tu teraz nie jest lepiej – odpowiada Maggie i zwraca się do Ricka:
– Naprawdę powinieneś wstawić ten panel w oknie, żeby Tessa miała klimatyzację w pokoju.

Kiedy Rick odburkuje coś niezrozumiałego, Callie trąca moje kolano pod stołem.

– W moim pokoju – bezgłośnie porusza ustami. – Po kolacji.

Jestem cała mokra od potu, ale nie od jazdy na rowerze. Nie wiem, jak długo jeszcze zdołam zachować to wszystko dla siebie. Callie potrafi być bezwzględna. W dzieciństwie zawsze zmuszała mnie do wyjawiania tajemnic. Miałyśmy po osiem lat, kiedy po raz pierwszy zadurzyła się w chłopaku, Evanie Murillu, i była przekonana, że mnie też podoba się ktoś z naszej klasy, więc tak długo wierciła mi dziurę w brzuchu, aż na odczepnego rzuciłam jej pierwsze lepsze imię.

Jeśli Callie wyczuje, że coś przed nią ukrywam, będzie mnie przyciskać, dopóki nie wydusi ze mnie prawdy.

Dyskusja na temat klimatyzacji dobiega końca i kiedy Maggie opowiada, że natknęła się na Emily Rymes, która pracuje w sklepie spożywczym, postanawiam powiedzieć dzisiaj mojej przyjaciółce o wszystkim. I to naprawdę o wszystkim – o tamtej rozmowie telefonicznej, o naszyjniku, a także o dręczącej mnie obawie, że nie szukamy jednego, ale dwóch morderców.

Kiedy kończymy jeść, Callie dziękuje i odchodzi od stołu. Wstaję i idę za nią na górę. Jestem zbyt podminowana, żeby mieć wyrzuty sumienia, że nie pomogę przy zmywaniu.

– Musisz zobaczyć, co Ryan mi pokazał – mówi, gdy tylko zamykają się za nami drzwi jej pokoju.

Daje mi ręką znak, żebym podeszła do biurka. Na monitorze jej laptopa otwarta jest witryna internetowa. Nazywa się Connect. Proste czarne litery. Dyskretna grafika.

– Co to jest? – pytam.

– Taka obleśna strona, na której ludzie szukają podrywu w swojej okolicy. Niektóre anonse są naprawdę odrażające.

Przeoglądam kilka wpisów na stronie głównej i mam ochotę odwrócić wzrok. „Żadna przygód para szuka chętnych do trójkąta – Filadelfia i okolice”.

Callie wybiera na pasku opcję „Przygodne spotkania” i ustawia kryteria wyszukiwania. Maksymalny wiek – 19 lat. Rejon – hrabstwa Fayette i Somerset. Kiedy ładują się wyniki, pojawia się niezbyt przekonujący komunikat, który zachęca nas do zgłaszania potencjalnych przypadków wykorzystywania nieletnich. Moja przyjaciółka przewija stronę w dół, jakby widziała to wszystko już wcześniej. Klika na anons zatytułowany: „Miła dziewczyna pozna pana, który nie boi się trochę poświntuszyć – fotki”.

– Dziewiętnastoletnia brunetka dla dojrzałego mężczyzny spragnionego towarzystwa – czyta Callie. – Dogadajmy się. Tylko poważne propozycje.

Dziewczyna na zdjęciu nosi czarną sukienkę, która jest tak obcisła, jakby była namalowana na jej ciele. Stoi przed lustrem obrócona bokiem, żeby wyeksponować krągłość tyłka, a jej twarz znajduje się poza kadrem. Ciemnobrązowe włosy sięgają jej aż do kościstych łokci.

Jedną rękę opiera na biodrze, ale Callie wskazuje na tę drugą. Dziewczyna trzyma w dłoni aparat cyfrowy wymierzony w lustro, a między jej kciukiem a palcem wskazującym daje się zauważyć jaśniejsze znamię na skórze. Zawsze mówiłyśmy, że ma kształt Alaski.

– Ariel – wyrzucam z siebie zduszony szept.

Chcę przeczytać tekst pod zdjęciami, ale Callie zamyka stronę.

– Ryan mówi, że to sformułowania typowe dla spotkań sponsorowanych – wyjaśnia spokojnym tonem. – Dogadajmy się. W ten sposób dają do zrozumienia, że oczekują pieniędzy. Tylko nie rozumiem dlaczego.

– Pewnie żeby uniknąć oskarżenia o prostytutkę.

– Nie, chodzi mi o to, dlaczego ona to robiła. Rozumiem, twoje życie jest do dupy i chcesz się stąd wyrwać, ale żeby iść do łóżka z pierwszym lepszym popaprańcem za pieniądze?

Na jej twarzy pojawiają się czerwone plamy. Wstaje gwałtownie i odwraca się do mnie plecami, ale udaje mi się jeszcze zauważyć łzy w jej oczach.

– Nazwałam ją kurwą – odzywa się w końcu po chwili milczenia. Jej głos brzmi mizernie, a ona wygląda nie lepiej, kiedy siedzi oparta plecami o wezglowie łóżka z kolanami podciągniętymi pod brodę. – Nazwałam Ari kurwą, bo zaczęła chodzić z chłopakiem, który mi się podobał. Wściekłam się i rzuciłam jej to prosto w twarz. To było dwa lata temu. To dlatego przestałyśmy ze sobą rozmawiać.

Nie odzywam się. Czuję, że Callie nie chce, abym to komentowała.

– O niczym nie wiedziałam – mówi. – Nigdy, przenigdy nie powinnam była

tego mówić... Po prostu nie miałam o niczym pojęcia.

Po raz pierwszy, odkąd tu jestem, potrafię zrozumieć Callie. Wiem, jak się teraz czuje – prawie jak gdyby odkrycie prawdy o drugim życiu Ari wstrząsnęło jej światem.

Można kogoś poznać, naprawdę dobrze poznać. Ale zaczynam nabierać przekonania, że większość z nas nawet nie próbuje zbliżyć się do drugiego człowieka, dopóki nie jest za późno, żeby go ocalić.

Moja przyjaciółka wyjmuje chusteczkę z pudełka stojącego na szafce nocnej i wyciera oczy. Mnie też chce się płakać. Postanawiam, że dzisiaj nie powiem jej o Joslin. Dochodzę do wniosku, że pozostaje nam tylko pluć sobie w brodę, jeżeli mogłyśmy postąpić inaczej, zanim coś nieodwracalnie się popsuło.

Bez dostępu do komputera Ari nie mamy szans się dowiedzieć, kogo poznała za pośrednictwem tego portalu. Dlatego postanawiamy realizować mój plan i odszukać osoby, które tamtego lata zadawały się z Jos i Lori, żeby sprawdzić, czy policja nikogo nie pominęła.

Do tego towarzystwa należał Danny, chłopak mojej siostry. Wyższy od niej o głowę, chudy jak tyka, spodnie zawsze wisały mu na biodrach. Miał zęby żółte od nikotyny i w trakcie całej naszej znajomości powiedział do mnie nie więcej niż kilka słów. „Nie tykaj mojego wozu, smarkulo”.

Danny nadal mógł mieszkać w Fayette. Z pewnością nie był na tyle rozumny ani obrotny, żeby się stąd wyrwać, przynajmniej w czasach, kiedy spotykał się z moją siostrą. Nawet jeśli nie ma pojęcia, gdzie jest teraz Jos, może wiedzieć, o co pokłóciła się z Lori tamtego wieczoru.

Jeśli Lori nie było w pobliżu, Joslin każdą chwilę poświęcała Danny’emu.

– Za dużo czasu spędzasz z tym chłopakiem – besztła ją matka, choć przecież Danny był już mężczyzną.

Miał dziewiętnaście lat, dwa lata więcej niż Jos.

– Wyjeżdżam pod koniec wakacji, a z nim możesz się widywać przez cały rok – powiedziała Lori, kiedy moja siostra pewnego ranka poszła do Danny’ego, zamiast wybrać się z nami na kąpielisko.

Nie wiem, co Danny będzie w stanie mi powiedzieć, jeśli go znajdę. Wiem, co chciałabym od niego usłyszeć – że dziewczyny wdały się w głupią sprzeczkę, bo Jos spotykała się z nim, a Lori czuła się zaniedbywana. Danny słyszał całą wymianę zdań, bo moja siostra wtedy u niego była, tak jak zeznała. Jos nie wspomniała detektywom o tej rozmowie telefonicznej, bo to nie miało żadnego znaczenia. To „Potwór znad Rzeki Ohio” zabił Lori, a moja siostra nie miała z tym nic wspólnego.

Leżę w łóżku i pozwalam, aby poczucie niespełnienia rozplątywało się po moim ciele niczym tępy ból. I po raz pierwszy, odkąd wylądowałam w Pensylwanii, zasypiam bez muzyki.

Zaspałam. Wiem o tym, bo przez szczelinę między zasłonami sączą się promienie słońca. Ale to nie światło mnie obudziło, tylko dzwonek mojej komórki.

Żołądek podjeżdża mi do gardła, kiedy widzę kilka pierwszych cyfr na wyświetlaczu. To numer telefonu, który widziałam na stronie zakładu karnego, kiedy wczoraj wysyłałam tamten e-mail.

Choć już oswoiłam się z myślą, że czeka mnie rozmowa z Wyattem Stokesem, ta perspektywa wciąż wydaje mi się przerażająca. Wpatruję się w komórkę, jakby miała wybuchnąć mi w dłoni. Myślałam, że minie kilka dni, zanim się do mnie odezwie, jeśli w ogóle.

Nie mam pojęcia, co mu powiedzieć.

Odbieram połączenie, nie czekając, aż włączy się poczta głosowa. W słuchawce odzywa się komunikat głosowy automatycznej centrali.

– Tu Zakład Karny Hrabstwa Fayette. Masz połączenie oczekujące od...
– następuje pauza, a potem słyszę chrząknięcie i głos, który przyprawia mnie o dreszcz: – Wyatt Stokes. – Wszystkie moje zakończenia nerwowe ogarnia martwota. Na linii znów rozlega się nagranie z automatu. – Rozmowa jest opłacona przez dzwoniącego. Jeśli chcesz przyjąć połączenie, naciśnij jeden.

– Halo?

Słyszę własny głos, który rozbrzmiewa echem w mojej głowie, jakby to wszystko było snem.

– Halo.

Jego głos się zmienił. Nie jest tak ciężki, jakim go zapamiętałam. Nie wzbudza już takiego strachu. Stokes wydaje się wręcz znudzony, jak gdyby zadzwonił tylko dlatego, że nie ma nic ciekawszego do roboty. Prawdopodobnie tak jest, ponieważ siedzi w więzieniu.

Biorę głęboki wdech i wyrzucam z siebie słowa.

– Nazywam się Tessa Lowell. Nie wiem, czy mnie pamiętasz.

– Pamiętam cię – odpowiada. Słyszę stłumione kichnięcie. – Wyjaśnisz mi, dlaczego złożyłaś wniosek o rozmowę ze mną? Wiem, że nie zamierzasz mnie ewangelizować.

Musiałam wybrać jedną z opcji, żeby uzasadnić chęć kontaktu z osadzonym. Zdziałało. Nie mogę w to uwierzyć, ale działo się. Nagle zaczynam tak obficie się pocić, że komórka omal nie wyslizguje mi się z dłoni.

– Bo chcę ci zadać kilka pytań.

– Dlaczego uważasz, że odpowiem na twoje pytania?

Teraz mówi jak człowiek, którego zapamiętałam. Który podczas przesłuchań doprowadzał śledczych do furii i na którego sędziego i prokurator patrzyli z pogardą. Wyrzutek społeczeństwa. Czciiciel diabła. Pomyleniec. Socjopata. Potwór.

W jednej ze scen filmu dokumentalnego poświęconego serii morderstw reporter pyta go, dlaczego sądzi, że policja się na niego uwzięła. Stokes patrzy

prosto w kamerę i mówi, jakby miał przygotowaną odpowiedź:

– Oni chcą wierzyć, że ja to zrobiłem. Nie sądzę, aby bali się mnie dlatego, że jestem inny. Według mnie oni się boją, że „Potworem” okaże się ktoś, kto wygląda jak jeden z nich.

Przekładam telefon do drugiej ręki i wycieram spoconą dłoń w pościel. Nasłuchuję, czy nikogo nie ma za drzwiami. Na korytarzu panuje cisza.

– Byłam blisko Lori Cawley – mówię głosem prawie tak cichym jak szeptał.
– Chcę się dowiedzieć, co ją spotkało.

– Masz mnie za głupka? Teraz chcą ze mną rozmawiać tylko ci, którzy są przekonani, że tego nie zrobiłem. Więc albo oświadczysz, że prowadzimy tę rozmowę, bo zmieniłaś zdanie na mój temat, albo się rozłączam.

– Nie uważam, że zabiłeś Lori Cawley – odpowiadam. – Nie wiem, czyimi ofiarami były pozostałe dziewczęta, ani czy ty masz z tym coś wspólnego, ale myślę, że ktokolwiek zabił Lori, chciał to tak upozorować, żeby wyglądało na dzieło „Potwora”.

– Tamtych dziewcząt też nie zabiłem.

Zaciskam palce na komórce.

– Wierzę ci.

I naprawdę mu wierzę, bo ktoś udusił Ariel Kouchinsky i porzucił jej nagie ciało nad rzeką. W tej sprawie jest zbyt wiele znaków zapytania – jak choćby dlaczego „Potwór” nie dawał o sobie znać przez dziesięć lat albo czy Ariel miała jakąś biżuterię, którą zabrał morderca – ale na razie szukam odpowiedzi, które znajdują się w moim zasięgu, a nie tkwią zagrzebane wśród wspomnień tamtej nocy, kiedy zginęła Lori.

Na linii panuje milczenie.

– Wiesz, że to wszystko się nagrywa – odzywa się w końcu Stokes.

– Tak, wiem.

Słyszę jakiś szum, jakby przekładał słuchawkę do drugiej ręki.

– A więc, Tesso Lowell, jeżeli nie ja zabiłem twoją przyjaciółkę, to kto to zrobił?

Przez chwilę myślę, że chodzi mu o Ariel, ale on mówi o Lori.

Wolałabym nie znać odpowiedzi na to pytanie. Wolałabym nigdy nie zobaczyć, jak Joslin grozi matce stłuczoną szklanką. Wolałabym nigdy nie usłyszeć strachu w głosie Lori, kiedy krzyczała do słuchawki, rozmawiając z moją siostrą.

Miałam nadzieję, że jeśli zostanę w Fayette, dokopię się do czegoś, co pomoże mi rozproszyc wątpliwości i podejrzenia, które kielkują w mojej głowie, odkąd dotarło do mnie, z kim Lori pokłóciła się tamtego wieczoru. Miałam nadzieję, że uda mi się poukładać na nowo wszystkie wątki i uporządkować je tak, aby nie prowadziły mnie wciąż do tego samego wniosku.

Że Joslin nie tylko wie, kto zamordował Lori. Że sama to zrobiła, zaciskając

dłonie na szyi swojej przyjaciółki.

Rozdział dwunasty

Robię siku, wyciągam zaschnięte grudki z kącików oczu i powłóczę nogami, schodzę na dół, gdzie Callie, która zdążyła już się ubrać, przygotowuje sobie kawę. Zerka na mnie i przygryza dolną wargę, jakby coś nie dawało jej spokoju.

Słyszała, jak rozmawiam przez telefon, myślę i nogi uginają się pode mną. Ale ona mówi tylko:

– Długo spałaś.

Cyfrowy zegar na kuchence pokazuje dwie minuty po dziewiątej. Codziennie już o siódmej jestem na nogach i od lat nie udało mi się złamać tego schematu. Przynajmniej nigdy nie spóźniłam się do szkoły.

– Chyba byłam wykończona.

Siadam przy kuchennym stole, na którym Maggie zostawiła talerz z dwoma bajglami, ale nie potrafię zmusić się do jedzenia. To było głupie, tak strasznie głupie z mojej strony, że rozmawiałam w tym domu z Wyattem Stokesem.

Wiem, że Callie by nie zrozumiała, dlaczego musiałam to zrobić. Teraz grzebie w przeszłości razem ze mną, ale kieruje nią tylko obawa, że policja oskarży Nicka o morderstwo Ari, a prawdziwy „Potwór” nadal będzie grasował. Dręczy ją sumienie po tym, jak potraktowała Ari, i przeraża ją, że mogliśmy przyczynić się do jej śmierci. A na domiar złego może wyjść na jaw nasze małe kłamstwo sprzed lat, właśnie teraz, kiedy mamy wkroczyć na nową drogę studenckiego życia i czeka nas świetlana przyszłość.

Ale moja przyjaciółka nie chce, aby Stokes został zwolniony z więzienia. Obawia się, że jeśli wyjdzie na wolność, może szukać zemsty.

Czy to dlatego poczułam, że muszę z nim porozmawiać? Żeby utwierdzić się w przekonaniu, że nie chce zrobić nam krzywdy?

Odrywam kawałek bajgla i wkładam do ust. Callie przygląda mi się, popijając kawę.

– Myślałam o tym, co powiedziałaś wczoraj wieczorem o chłopaku swojej siostry. Chyba warto od niego zacząć.

Kiwam głową i przelkam kęs pieczywa.

– Ale nawet nie znam jego nazwiska.

– Może znajdziemy księgę pamiątkową jego klasy?

– Nie wiem, gdzie chodził do szkoły, ale na pewno nie w Fayette. I nigdy jej nie ukończył.

Callie chwyta kubek w obie dłonie.

– No to już nie wiem. Nie widziałam go od tamtych wakacji.

– Więc mógł wyjechać krótko po mojej siostrze – mówię i wyteżam umysł,

próbując sobie przypomnieć, czy widziałam Danny'ego w ciągu tych paru miesięcy między zniknięciem Jos a przeprowadzką do babci.

– Myślisz, że to o czymś świadczy? – Callie patrzy na mnie sceptycznie.

– Pytasz, czy myślę, że razem uciekli? Nie mam pojęcia.

Nigdy nawet nie przyszło mi na myśl, że prostoduszny Danny mógłby mieć coś wspólnego z tym, co wydarzyło się tamtej nocy. Zawsze spędzał czas wyłącznie z Jos, może dlatego, żeby się przekonać, że nie zadaje się z pierwszą lepszą dziewczyną z ogólniaka. Nie poświęcał Lori wiele uwagi poza zdawkowym skinieniem głowy, kiedy wszyscy go spotykaliśmy. Czasami siedząc na kanapie w salonie, słyszałam, jak rozmawia z moją siostrą. Jos suszyła mu głowę, że unika towarzystwa jej przyjaciółki, a on odpowiadał, że Lori zadziera nosa. Ale nie zauważyłam, żeby czuł do niej wrogość. Traktował ją tak samo jak mnie, czyli jak drobne utrapienie, które staje mu na drodze, ilekroć zabiega o uwagę Joslin.

– Przecież twoja siostra zeznała, że była z Dannym tamtej nocy, kiedy zginęła Lori. – Callie spogląda na mnie i widzę, że trybiki w jej głowie pracują na wysokich obrotach.

– Tak. A gdybyśmy spytały kogoś na kąpielisku? – mówię, zmieniając temat.

– Danny pracował dla firmy, która czyściła basen.

Moja siostra nigdy nie interesowała się chłopakami ze swojej szkoły, chociaż matka ciągle próbowała wbić jej do głowy, że starsi faceci to same kłopoty. Matka nigdy nie wspominała o ojcu Joslin poza tym, że miał dwadzieścia lat, kiedy jako siedemnastolatka zaszła z nim w ciążę, a on obiecał zapewnić jej opiekę i nie dotrzymał słowa.

Jos poznała Danny'ego w weekend przed Dniem Poległych, a latem tego roku Lori przyjechała na wakacje. Zapamiętałam to tylko dlatego, że matka nie pozwoliła nam nigdzie wychodzić, kiedy sama szła do pracy przy sprzątanii domów, ale gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Jos pokazała mi, że ma już na sobie kostium kąpielowy. Greenwoodowie spędzali weekend na kempingu w Cranberry Run, więc poszliśmy na kąpielisko tylko we dwójkę.

Ćwiczyłam puszczanie bąbelków w płytkiej części basenu, kiedy zauważyłam, że Jos gapi się na chłopaków, którzy wybierają liście z rynny. Danny posłał jej uśmiech, ale ona nie odpowiedziała mu tym samym, za to na jej twarzy pojawił się wyraz determinacji, jakby zobaczyła coś, co chce mieć. I od tego się zaczęło.

Callie przesuwając palcem po ekranie swojej komórki.

– Jest otwarte do piątej – mówi. – Chodźmy.

Miejska karta parkingowa tkwiąca za szybą minivana Maggie jest nieważna, więc drogę na kąpielisko pokonujemy na piechotę. Cała ta sytuacja wydaje mi się tak znajoma, że zaczynam czuć się nieswojo, więc zwracam uwagę na wszystko, co nie jest takie samo. Nie mamy ręczników przewieszonych przez ramię, a nowy

dom Greenwoodów stoi dalej i musimy iść inną trasą.

Dłuższy spacer wcale mi się nie uśmiecha, bo to oznacza więcej czasu na gadanie o niczym. W końcu Callie dochodzi do wniosku, że nie ma co się wysilać; wyciąga komórkę i zaczyna pisać wiadomości, odrywając wzrok od wyświetlacza tylko wtedy, gdy przechodzimy przez ulicę.

Jestem zła na siebie, że tak bardzo chcę nadrobić zaległości w naszej przyjaźni i opowiedzieć jej o tym, jak potoczyło się moje życie, chociaż wcale mnie o to nie pyta. Chcę się pochwalić, że jesienią zacznę studiować astronomię w Tampie. Chcę jej opowiedzieć o osiedlu emerytów, na którym mieszkam razem z babcią; o jej upierdliwym sąsiedzie, Franku, który nigdy nie przepuści okazji, żeby zaznaczyć, że moja obecność narusza dolną granicę wieku mieszkańców; i o listach od Ariel, które wysyłała mi w różowych kopertach, domagając się usilnie za każdym razem, żebym odpisała, chociaż zawsze to robiłam.

Ale nawet nie próbuję i jestem wściekła na samą siebie i na Callie, że czuję się jak żałosna frajerka. Utwierdza mnie to tylko w przekonaniu, że jeszcze nie mogę jej powiedzieć o Joslin. Nie zrozumiałaby, dlaczego tyle lat trzymałam to w tajemnicy.

Zanim kąpielisko ukazuje się naszym oczom, słyszymy dobiegający z niego plusk wody i okrzyki, wśród których od czasu do czasu rozbrzmiewa gwizdek ratownika. Parking jest pełny i musimy kluczyć między samochodami, idąc w stronę starej rozchwianej furtki, przy której wisi tablica z regulaminem kąpieliska.

Baru z przekąskami już nie ma, a na jego miejscu znajduje się wybetonowany plac z rzędem leżaków. Jeden z chłopaków, którzy tam pracowali, zeznawał podczas procesu. Miał na imię Kevin i czasami po kryjomu wynosił frytki dla mnie i dla Callie.

Po plaży krąży ociekający potem facet, który bez zapału pcha chłodziarkę na kółkach z mrożonymi snickersami i lodami. Zauważam, że Callie obserwuje grupę dziewcząt, które wkładają džinsowe szorty i pakują swoje rzeczy. Patrzą na nas – czy raczej na moją przyjaciółkę – i nachylają się do siebie, wymieniając szeptem jakieś uwagi.

Callie opuszcza zatknięte na czole okulary przeciwsłoneczne.

– Boże, jak na nienawidzę tego miejsca.

Nie wiem, czy ma na myśli Fayette, czy kąpielisko, czy jedno i drugie.

– Chodźmy – mówię.

Czuję się skrępowana tym, jak tamte dziewczyny na nas patrzą.

Biuro kąpieliska mieści się w tym samym szkaradnym budynku o ciemnozielonych ścianach co dziewięć lat temu. Na taborecie obok automatu z napojami siedzi facet o twarzy pokrytej bliznami po trądziku i przegląda dzisiejszą gazetę. Mimo upału nosi džinsy i wygląda tak, że na oko trudno

powiedzieć, czy ma trzynaście czy trzydzieści lat.

– Cześć – zagaduje do niego Callie. – Szukamy kogoś, kto pracował tu kilka lat temu.

Ospowaty facet składa gazetę i wsuwa ją pod pachę.

– Nie trzymamy tu rejestru zatrudnionych. Zapytajcie w ratuszu.

– Ale on pracował w firmie ogrodniczej – wyjaśniam.

– W której? – pyta facet i przesuwa się razem z taboretami, żeby odpędzić gołębia, który wszedł przez otwarte drzwi. – W ciągu ostatnich dziesięciu lat miasto miało umowy z czterema, może pięcioma takimi firmami.

Próbuję odtworzyć w pamięci wygląd pikapa, którym jeździł Danny.

– Wydaje mi się, że miała logo w kształcie liścia – mówię, a Callie wywraca oczami, jakby chciała powiedzieć: „Akurat to coś da”. – To było jakieś dziesięć lat temu. Wie pan, która to mogła być firma?

Ospowaty wzrusza ramionami.

– Wtedy jeszcze tu nie pracowałem. Przykro mi.

– I tak dzięki – zwraca się do niego Callie i rusza w stronę wyjścia.

Ale ja nadal mu się przyglądam. Przypuszczam, że może być w wieku mojej siostry.

– Chodził pan do tutejszego liceum? – pytam, a kiedy przytakuje, idę za ciosem: – A znał pan Joslin Lowell?

Czuję, jak stojąca obok moja przyjaciółka sztywnieje.

– Brzmi znajomo. – Ospowaty krzyżuje ręce na piersi. – Myślę, że była dwie klasy niżej ode mnie.

– A chłopak imieniem Danny? – ciągnę. – Bardzo szczupły, miał jasne włosy i palił.

Im dokładniej staram się go opisać, tym mniej charakterystyczny staje się obraz jego twarzy, jaki zachowałam w pamięci. Czy miał jakieś znamię? Wystające zęby? Nie potrafię sobie przypomnieć.

Facet przygląda mi się, mrugając, a Callie szarpie mnie za rękę.

– Jeszcze raz dzięki – powtarza i wyciąga mnie na zewnątrz.

– On mógł znać Danny’ego – mówię. – Nie jest aż tak dużo starszy.

– Nie o to chodzi. W tej chwili muszę stąd wyjść.

Idę za nią z powrotem w stronę parkingu. Zwalnia, pozwalając, żebym ją dogoniła. Słyszę jej urywany oddech. Jej twarz przybiera kolor popiołu. Wiem, co się z nią dzieje, bo sama to przechodziłam.

– Kiedy zaczęłaś cierpieć na ataki paniki?

Callie wzrusza ramionami.

– Miałam jedenaście lat. Mieszkaliśmy już jakiś czas w nowym domu i nagle odkryłam, że są w nim okna, o których nie miałam pojęcia. I drzwi od piwnicy. Byłam przerażona, bo uświadomiłam sobie, że jeśli nawet nie znam wszystkich

wejść do swojego domu, nie mogę zadbać, żeby nie dostał się tam ktoś obcy.

Schylamy się i przechodzimy pod nisko zwieszonym konarem rozłożystego dębu, który rośnie po drugiej stronie ogrodzenia.

– Ja też je miałam – odpowiadam po chwili. – Kiedy zaczęłam chodzić do nowej szkoły i okazało się, że w klasie nie ma łazienki tak jak w naszej dawnej podstawówce.

Pomijam to, że zsikałam się w spodnie i nauczycielka posłała mnie do higienistki, a kiedy babcia wyjaśniła jej przez telefon, że przed rokiem byłam świadkiem morderstwa, stała się dla mnie miłsza, co miało poprawić moje samopoczucie, ale tak naprawdę czułam się przez to żałośnie.

Poza tym w rzeczywistości nie byłam świadkiem śmierci Lori. Nie wiem, czy babcia nie zadała sobie trudu, żeby wszystko opowiedzieć dokładnie, czy przedstawiła taką wersję, która była łatwiejsza do strawienia.

– Od tamtego czasu nie byłam na kąpielisku – mówi Callie słabym głosem. – W ósmej klasie wybrałam się tu z Sabriną, ale spanikowałam, kiedy jej mama nas tu podwiozła. Musiałyśmy po nią dzwonić, żeby przyjechała z powrotem. – Spogląda mi prosto w oczy i dodaje: – Ja po prostu... chcę się stąd wynieść. Nigdy nie będę czuła się tu bezpiecznie i to jest najgorsze, bo nie znam żadnego innego miejsca na ziemi. Ty przynajmniej jesteś z dala od tego wszystkiego.

Kiwam głową i kopię odłupany kawałek płyty chodnikowej. Callie nareszcie otwiera się przede mną po tych wszystkich latach i nie chcę tego zniweczyć, mówiąc jej, jak bardzo się myli. Nie ma na świecie takiego miejsca, które jest bezpieczne. Nieważne, jak daleko będziemy próbowały uciec przed wspomnieniami, zmory tamtego wieczoru wszędzie nas dopadną.

Nie przychodzi nam do głowy żadna wymówka na wypadek, gdyby Maggie zapytała, czemu tak szybko wróciłyśmy z kąpieliska, więc zatrzymujemy się w pobliskim parku. Callie znajduje numer Miejskiego Wydziału Rekreacji i dyktuje mi go.

Urzędniczka w ratuszu podaje mi nazwę firmy – Faber i Synowie, Architektura krajobrazu – z której usług miasto korzystało dziesięć lat temu, ale kiedy moja przyjaciółka wpisuje ją w wyszukiwarce, trafiamy na wygasłą domenę. Dzwonimy pod jedyny numer telefonu, jaki udało nam się znaleźć, ale nikt nie odbiera.

– Pewnie splajtowali – kwituje Callie, chowając komórkę. – Jak wszyscy w tej gównianej dziurze.

Trudno mi się z tym nie zgodzić. Z pewnością wielu ludzi nie pała sympatią do swoich rodzinnych stron, ale Fayette to naprawdę gówniane miejsce. Poważnie, już przy zjeździe z autostrady zalatuje tu krowimi plackami. To miejsce jest zbyt zurbanizowane jak na sielską prowincję, wysunięte zbyt daleko na wschód, by korzystać z sąsiedztwa przecinających stan arterii komunikacyjnych, i zbyt daleko

na północ, by mogło uchodzić za biedną rolniczą pipidówkę z Południa. Fayette po prostu istnieje – to jedna z tych miejscowości, którymi nikt nie zawraca sobie głowy. Ludzie tutaj dorastają i wyjeżdżają, a jeśli zapytasz o kogoś po latach, wydaje się, jakby zapadł się pod ziemię.

– Znajdziemy go – mówię bardziej do siebie niż do Callie.

Muszę znaleźć Danny’ego i to nie tylko dlatego, że może wiedzieć, co naprawdę zaszło tamtego wieczoru między Lori i Jos. Nie chodzi już nawet o morderstwo Lori. Mój ojciec nie żyje, matka przepadła bez śladu i nie zamierzam opuścić Fayette, dopóki nie odzyskam mojej siostry.

Tuż po przeprowadzce na Florydę wspominałam o Jos od czasu do czasu. Kiedy babcia dawała mi na kolację makaron zapiekany z serem, mówiłam, że moja siostra przyrządzała mi to samo. Kiedy zasiadałyśmy przed telewizorem, żeby obejrzeć jakiś sitcom, mówiłam, że moja siostra lubi *Przyjaciół*. Na twarzy babci pojawiał się wyraz konsternacji i współczucia, jakbym to wszystko sobie wymyśliła. Jakby siostra była wytworem mojej wyobraźni, urojoną postacią, którą wykreowałam, żeby sobie poradzić ze wstrząsem po rozstaniu z matką.

Tłumię narastający żal do babki, która nigdy nie chciała rozmawiać o mojej rodzinie. Nigdy nie poznała Glenna Lowella ani Joslin, a ilekroć wspominałam o matce, w jej oczach pojawiała się znużenie. Widziałam, że jest rozczarowana tym, jak zachowała się jej jedyna córka. Bolało ją, że moja matka zerwała z nią kontakt, więc po prostu o niej nie rozmawiałyśmy.

Może gdyby babcia zdołała się przełamać, wiedziałabym o Annette wystarczająco dużo, by odnaleźć ją i moją siostrę. Może nie czułabym się tak cholernie zagubiona w tym miasteczku, w którym spędziłam połowę życia.

W drodze powrotnej do domu milczymy. Cokolwiek sprawiło, że moja przyjaciółka była skłonna porozmawiać ze mną o swoich atakach paniki, musiało już zniknąć bez śladu. Callie nie odzywa się do mnie aż do momentu, gdy przekręca klucz w zamku i otwiera drzwi domu.

– O Jezusie – mówi i odskakuje do tyłu, wpadając na mnie.

W salonie w fotelu Ricka siedzi Maggie, rozparta na poduszkach, jakby na nas czekała.

– Nie miałam ochoty dłużej czekać, aż posprzątasz swój pokój, więc zrobiłam to za ciebie.

Jej głos brzmi dziwnie, jakby słowa zlewały się ze sobą. Przed nią na stoliku do kawy stoi butelka wódki. Jest prawie pusta. Callie zastyga w bezruchu. To zapewne jest ten zapas, który zakamuflowała pod swoim łóżkiem.

Wiem, że nie powinnam być przy tym obecna, więc czmycham po schodach na górę. W drodze do pokoju gościnnego słyszę urywki ich kłótni.

– ...nie tak cię uczyliśmy rozwiązywać problemy – mówi Maggie.

– Mam za sobą ciężki tydzień, rozumiesz? I nie są to rzeczy, o których

mogłabym z tobą porozmawiać.

– Nie bądź śmieszna. Ze mną możesz rozmawiać o wszystkim.

– O wszystkim oprócz Lori!

Puszczam klamkę i opieram się o ścianę korytarza, czekając na odpowiedź Maggie. Ale kolejne zdanie pada z ust mojej przyjaciółki. Jej głos się łamie, jakby płakała.

– Ani razu wtedy nie zapytałaś, czy chcę zeznawać.

– No bo przecież chciałaś. Chciałaś pomóc.

– Nieprawda. To przez ciebie czułam się, jakbym nie miała wyboru, jakby mieli go wypuścić, jeśli Tessa i ja nie powiemy, że widziałyśmy...

– Przestań! – krzyczy Maggie. – Sama nie wiesz, co mówisz.

– Owszem, wiem. Nie mam już ośmiu lat. Jestem już na tyle dorosła, żeby zdawać sobie sprawę, że mogłyśmy się mylić, a to, co zrobił nam ten gliniarz, to czyste skurwysństwo...

Słyszę stłumiony trzask. Coś jakby klaśnięcie. Ciężko przełykam ślinę. Maggie ją spoliczkowała.

– Callie, zaczekaj. Przepraszam cię...

Na schodach dudnią kroki. Wchodzę do pokoju i zamykam za sobą drzwi, ale jest już za późno. Callie przebiega tuż obok. Wie, że wszystko słyszałam. Maggie, zataczając się, idzie na górę. Wstrzymuję oddech.

– Nie wiem, czemu to zrobiłam – mówi, stojąc pod drzwiami pokoju Callie.

– Poniosło mnie. Proszę, otwórz.

Żadnej reakcji. Przyciskam ucho do drzwi akurat w chwili, kiedy dodaje:

– Ona ci to powiedziała? Czy ona próbuje cię przekonać, że nie powinnyście były wtedy zeznawać?

Ona, to znaczy ja. Zdaniem Maggie wróciłam do Fayette z jakimś wariackim pomysłem w głowie i twierdzę, że tak naprawdę nie widziałyśmy Stokesa tamtego wieczoru na jej podwórku.

W końcu Maggie daje za wygraną i po chwili zamyka za sobą drzwi swojej sypialni. Odczekuję dwadzieścia minut, dopóki nie nabieram pewności, że nieprędko wyjdzie, a potem chyłkiem zbiegam na dół i wymykam się na zewnątrz.

Wsiadam na rower Callie i pedałuję, zostawiając za sobą dom Greenwoodów. Trzymam się głównej drogi i dojeżdżam do Deer Run. Okrążam osiedle przyczep, zastanawiając się, co w tej chwili robi Phoebe, ta mała dziewczynka z wózkiem. Zastanawiam się też, czy Maddie bardziej uważa na swojego podopiecznego w pobliżu basenu.

Jeżdżę w kółko, dopóki słońce nie zaczyna zachodzić, i przychodzi mi na myśl, że ktoś mógł zacząć mnie szukać.

Kiedy wracam, Maggie nadal śpi w swoim pokoju. Rick jest już w domu i Callie wyjaśnia mu, że matka źle się poczuła i całe popołudnie spędziła w łóżku.

Rick każe jej zamówić pizzę dla nas wszystkich.

Po kolacji wymykam się do pokoju gościnnego i tak długo przeglądam rysunki ojca, aż powieki zaczynają mi ciążyć. Powtarzam w myślach słowa Maggie, które usłyszałam przed kilkoma godzinami, jakbym obracając je w głowie, próbowała się zobojętnić na ich wydźwięk.

„Czy ona próbuje cię przekonać, że nie powinniście być wtedy zeznawać?”

Maggie naciskała na moją przyjaciółkę, aby zeznała, że tamtego wieczoru widziała Stokesa. Tyle wywnioskowałam ze słów Callie, które dzisiaj wykrzyczała. Zawsze podejrzewałam, że Maggie chciała w ten sposób pogrążyć Stokesa, wtrącić do więzienia zabójcę swojej siostrzenicy i położyć kres cierpieniu. Zależało jej, żeby Stokes został skazany. Była przekonana, że to on zamordował wszystkie te dziewczęta, a Callie i ja postępujemy słusznie, obciążając go przed sądem.

Czasami w bezsenne noce ogarniało mnie przeświadczenie, że wszystkie te pytania, jakie nasuwały mi się w związku ze śmiercią Lori i zniknięciem mojej siostry, będą mnie zdręzczały w nieskończoność. Przerazało mnie, że mija rok za rokiem i w końcu znajdę się u kresu życia, wciąż nie wiedząc, co tak naprawdę wydarzyło się tamtego wieczoru.

Zawsze uważałam, że te wątpliwości mnie wykończą. Ale teraz się zastanawiam, czy ich przeciwieństwo nie jest groźniejsze – czy rzeczy, których jesteśmy tak bardzo pewni, nie są dla nas bardziej zabójcze.

Przypominam sobie, jak Bonnie Cawley krzyczy na Wyatta Stokesa, że będzie smażył się w piekle. Przypominam sobie, jak Maggie z kamienną twarzą prowadzi Callie na salę rozpraw, odwracając od niego wzrok.

Zawsze były przekonane, że to przez niego straciły Lori. Ale cóż im zostanie, jeśli stracą także jego i już nie będą mogły piętnować go jako mordercy?

Moje tętno zgrywa się z wahadłem zegara wiszącego na ścianie pokoju. Wkładam słuchawki do uszu i pogląśniam *Us and Them* Floydów. Ojciec puszczał mi ten kawałek, kiedy odkrył, że przy nim zasypiam.

Teraz mogę z tego skorzystać. Jutro rano jest pogrzeb Ariel.

Rozdział trzynasty

Jest wpół do dziesiątej, nabożeństwo zaczyna się za pół godziny. Mam na sobie czarne dżinsy, w których tu przyleciałam, i czarny podkoszulek. Niewykluczone, że ktoś mnie weźmie za pracownicę firmy cateringowej. Callie wychodzi ze swojego pokoju i wzdycha na mój widok. Jest ubrana w czarną wąską spódnicę i bluzkę. Ma opuchnięte oczy.

Zawraca i po chwili przynosi rozpinany czarny sweter, który sięga mi do połowy uda. Jest wymięty i pachnie perfumami, jakby Callie wyciągnęła go ze sterty brudnych ubrań i chciała ukryć nieświeżą woń.

– Dzięki – mówię, wkładając sweter, i schodzę za nią na dół. – Dobrze się czujesz? – pytam, kiedy widzę, że w kuchni i w salonie nikogo nie ma.

– W porządku – odpowiada tonem, który jasno daje do zrozumienia, że to nie temat do dyskusji. – Ona wypila ponad połowę tej butelki. Aż dziwne, że to przeżyła.

Na pogrzeb wybieramy się wszyscy razem. Rick wchodzi do salonu ubrany w szary garnitur, a nogawki spodni unoszą mu się do kostek, kiedy zasiada w fotelu. Wziął sobie dzień wolnego. Maggie schodzi na dół ostatnia. Uśmiecha się do mnie blado. Jej twarz pokrywa gruba warstwa pudru.

Odpowiadam jej wymuszonym uśmiechem i udaję, że nie słyszałam wczorajszej wymiany zdań między nią i Callie. Mam przeczucie, że po pogrzebie zaczniesz mnie wypytywać, kiedy zamierzam wrócić na Florydę.

W drodze do kościoła nikt się nie odzywa. Wcześniej byłam tam tylko raz. W tamte wakacje Lori zabrała nas na letni festyn przy kościele. Callie i ja jadłyśmy placek jagodowy, a ona oglądała kolczyki domowej roboty na jednym ze straganów. Jos była wtedy w pracy.

Rick parkuje na uboczu, przed wejściem do szkółki niedzielnej. Kościół wygląda tak samo z wyjątkiem nowego przesłania umieszczonego na tablicy przy bramie: „Siedem dni bez modlitwy odbiera ci siłę”.

Przed drzwiami kościoła zebrała się już kolejka, chociaż przyjechaliśmy dwadzieścia minut wcześniej. Ktoś woła Callie po imieniu. Obracam głowę i widzę Sabrinę, która przedziera się przez tłum w naszą stronę.

– Wyglądasz jak półtora nieszczęścia – mówi.

Callie ogląda się przez ramię, ale jej rodzice są zajęci pogawędką z jakąś parą, która stoi za nami.

– Ciężka noc – odpowiada półgłosem.

Posuwamy się do przodu krok za krokiem, a gdy w końcu wchodzimy do środka, odrywamy się od Ricka i Maggie, żeby usiąść z dala od nich, i zajmujemy miejsca w czwartym rzędzie od przodu. Gotuję się w swetrze Callie, a wentylatory

nad naszymi głowami tylko niemrawo miałą rozgrzane powietrze.

Na środku nawy stoi powiększone zdjęcie Ariel z klasy maturalnej, na którym jej włosy wydają się oklapnięte od wrześniego upału. Stojąca obok trumna pokryta białymi goździkami jest pusta – dowiaduję się o tym, bo ktoś w rzędzie za nami szepcze, że ciało Ariel jest dowodem w śledztwie i leży zamknięte w metalowej szufladzie chłodni. Prawdziwy pogrzeb będzie musiał poczekać.

Patrzę wprost przed siebie i próbuję się odciąć od szlochów, które rozbrzmiewają dookoła. Myślę o Lori Cawley złożonej do trumny w naszymyjkę z jej imieniem. Nie zdaję sobie sprawy, że moje kolano podskakuje, dopóki Callie nie spogląda na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Weź się ogarnij”.

Czy Ari miała na sobie jakiś naszymyjkę, kiedy znaleziono jej ciało? Mam ochotę o to zapytać, chociaż nie wiem, do kogo się zwrócić. A może kolczyki albo jeden z tych pierścionków z kryształem zmieniającym kolor w zależności od nastroju, które kiedyś tak uwielbiała?

Czy brakowało czegoś? Co „Potwór” jej zabrał?

– To okropne – odzywa się Sabrina siedząca po drugiej stronie Callie.

Obie nie odrywają wzroku od Kouchinskych, którzy stoją obok ambony i witają żałobników. Rodzeństwo Ari stoi w szeregu jak na apelu – Kyle, jej starszy brat, ma na sobie przepoconą koszulę z krótkimi rękawami, a David, najmłodszy z nich, stoi z boku i obraca w palcach miniaturową deskorolkę. Kiedy ostatni raz go widziałam, nosił jeszcze pieluchy, a teraz jest wyższy od swojej starszej siostry, Kerry Ann, która ma już prawie czternaście lat. Obok niej stoi Katie, teraz najstarsza z sióstr, ubrana w prostą czarną sukienkę, która sięga jej za kolana. Prawdopodobnie należała kiedyś do Ari. Kyle ściska panią Kouchinsky za rękę, jakby starał się utrzymać ją w pionie. Nie mogę znieść ich widoku.

– Może podejmiemy do niej? – szepcze Callie.

Zerkam w jej stronę i uświadamiam sobie, że zwraca się do Sabriny, nie do mnie.

– Lepiej poczekajmy, aż...

Sabrina zawiesza głos, ale nie musi kończyć zdania.

Pan Kouchinsky stoi po drugiej stronie żony, a jego dłoń spoczywa na ramieniu Katie. Nawet z miejsca, w którym siedzimy, widać wyraźnie, że jego gest nie ma w sobie nic opiekuńczego. Dziewczyna stoi sztywno niczym posąg. Muszę zamrużyć, żeby dotarło do mnie, że nie patrzę na Ariel. Katie jako jedyna z całego rodzeństwa jest do niej podobna. Chuda, smagła i ciemnowłosa. Reszta dzieciaków ma zaokrąglone policzki, delikatną cerę i ciemnoblonde włosy jak ich matka.

Katie i Ari odziedziczyły karnację po ojcu. Pan Kouchinsky jest wysoki, a długie kościste ręce upodabniają go do modliszki. Włosy ma zaczesane na bok tak samo jak na zdjęciach sprzed dwudziestu lat. Nosi bujne wąsy, które sprawiają

wrażenie, jakby cały czas warczał. Odkąd pamiętam, zawsze wzbudzał w nas paniczny strach.

– Słyszałam, że wściekł się na nią – szepcze Sabrina.

– Na kogo? – pyta Callie. – Ari?

– Na Katie, bo kryła Ari, kiedy zrywała się z domu. To dlatego zgłosili zaginięcie dopiero następnego dnia.

W kościele jest gorąco jak w piecu, mimo to Katie ma na sobie sukienkę z długimi rękawami. Wyobrażam sobie ukryte pod warstwą tkaniny siniaki na jej rękach.

Pastor stuka palcem w mikrofon i prosi zebranych o zajęcie miejsc. Jego głos niesie się echem po całym kościele, ale ja słyszę tylko histeryczny płacz Ari i huk wystrzału, kiedy jej ojciec zabija tamtego psa.

W sali szkółki niedzielnej czekają przygotowane przekąski i napoje. Kiedy kroczymy nawą w stronę wyjścia, w kieszeni Callie wibruje komórka.

– To mama – mówi półgłosem. – Czeka na nas w samochodzie.

Maggie i Rick musieli wymknąć się z kościoła przed końcem nabożeństwa. Niepokój zaczyna ścisnąć moje trzewia. A jeżeli Maggie zamierza ukarać Callie za tę butelkę, odsyłając mnie dziś wieczorem na Florydę?

Callie osłania dłonią oczy przed promieniami słońca, kiedy wychodzimy z kościoła. Zdejmuję sweter, mając nadzieję, że mój podkoszulek jest dostatecznie ciemny, aby nie było widać plam potu na plecach i pod pachami.

– Hej. – Z tyłu dobiega nas jakiś męski głos.

Podchodzi do nas Ryan. Ma ogoloną twarz i nosi krawat. Ledwie go rozpoznaję.

– Nie zauważyłem was w środku – mówi i wsuwa ręce w kieszenie.

– Widziałyście Nicka?

Wzruszam ramionami, kiedy Callie posyła mi pytające spojrzenie. W kościele było tyle ludzi, że nie wypatrzyłabym go, nawet gdyby do mnie machał.

– Nie sądzę, żeby się tu zjawił – odzywa się moja przyjaciółka po chwili wahania.

Ryan trzaska knykciami i omiata wzrokiem tłum wylewający się z kościoła.

– Mam nadzieję, że się mylisz.

– To nic takiego – odpowiada Callie. – Wiele osób nie przyszło.

– Tak, ale jego szuka policja. – Ryan ścisza głos. – To go stawia w bardzo złym świetle.

– Boże, mówisz jak twój stryj.

– Niektórzy mogliby to uznać za komplement.

Za nami stoi Jay Elwood ze swoim partnerem. Obaj mają marynarki i kabury z bronią przy paskach.

– Czy Nick Synder kontaktował się dzisiaj z wami? – pyta Jay i jego wzrok prześlizguje się po mnie, jakbym była niewidzialna. Callie i Ryan kręcą głowami.
– Jesteście pewni?

– Tak – potwierdza Ryan. – A co? Czy coś się stało?

Drugi z detektywów wydaje głuche chrząknięcie i podciąga spodnie. Jay pociera dłonią podbródek i patrzy na bratanka.

– Rano wstąpiliśmy do jego ojczyma – mówi. – Wygląda na to, że Nick Synder ulotnił się dzisiejszej nocy.

Rozdział czternasty

Rick zatrzymuje się przy sklepie spożywczym, żeby kupić bułki. Czekamy na niego w milczeniu. Maggie manipuluje przy radiu, wciąż zmieniając stacje. Unika naszego wzroku.

Callie trąca mnie w bok i pokazuje swoją komórkę. Na ekranie widnieje wiadomość, którą napisała: „On tego nie zrobił”.

Sięgam do kieszeni i przypominam sobie, że mój telefon leży w pokoju gościnnym podłączony do ładowarki. Biorę komórkę Callie i odpowiadam: „Skąd wiesz?”.

Marszczy czoło. Zerkam nad jej ramieniem i widzę, jak wymazuje poprzednie zdania i pisze: „Bo znam Nicka”.

Przypomina mi się scena z dokumentu *Prawdziwe oblicze Potwora*. Reporterzy przeprowadzili wywiad z matką Wyatta Stokesa, co było nie lada wyczynem, bo musieli ją zastać na tyle trzeźwą, aby była w stanie odpowiadać przed kamerą na pytania. Siedziała w swojej przyczepie na wytartej kanapie otoczona chmurą tytoniowego dymu i zapewniała, że zna swojego syna. Nie mógł być mordercą dziewcząt.

Zastanawiam się, czy Callie zna Nicka tak dobrze, jak się jej wydaje, czy próbuje odwrócić bieg historii, widząc, że policja traktuje go tak samo jak kiedyś Stokesa. Może po prostu nie chce dopuścić, żeby do więzienia trafił pierwszy podejrzany, jaki się nawinie, bo policja chce jak najszybciej zakończyć śledztwo.

Nawet jeżeli to Nick Synder zamordował Ariel. Kompletnie go nie znam, ale nie wygląda mi na kogoś aż tak bystrego, kto upozorowałby wszystko na podobieństwo seryjnego mordercy sprzed dziesięciu lat.

Kiedy zginęła Lori, sytuacja wyglądała inaczej. Wszędzie było głośno o morderstwach „Potwora”, a media zamieszczały tyle szczegółów, że na dobrą sprawę ułatwiały zadanie jego naśladowcom.

Albo jej. Nie mogę powstrzymać tej myśli.

Rick wychodzi ze sklepu, niosąc torbę z brązowego papieru. Chwytam komórkę Callie i piszę: „Co o nim wiesz?”. Kiedy Rick wyjeżdża z parkingu, pokazuje mi odpowiedź. „Mieszkał z ojcem w Karolinie Północnej, ale się nie dogadywali. Kiedy był w pierwszej klasie, przeprowadził się tu do matki i jej faceta. Matka zmarła dwa lata temu na raka jajników. Jej facet to kutas, ale Nick nie może się go pozbyć”.

Kończę czytać i od razu zadaję kolejne pytanie. „Co się stało z jego ojcem?”. Callie marszczy czoło. „Czy to ważne?”.

Wzruszam ramionami. Brakuje mi słów na wyrażenie tego, co tak naprawdę chcę powiedzieć. Dlatego odchylam się na oparcie i myślę o twarzy mojego ojca

uwiecznionej przez kamerę monitoringu przed sklepem, w którym postrzelił Manuela Gonzala. Myślę o mojej siostrze z rozbitą szklanką w rękę, wymierzoną w matkę niczym sztylet.

Myślę o tym, jak zaczęłam uderzać głową Bobby'ego o metalową szafkę w szatni, o tym, co się wtedy we mnie uwolniło i jak nie przestawałam, dopóki jakiś nauczyciel nie odciągnął mnie od niego.

Wszyscy jesteśmy zdolni do przemocy, ale niektórzy mają to we krwi. Nie było mnie jeszcze na świecie, kiedy mój ojciec podobno tak ciężko pobił kogoś w knajpie, że facetowi założyli dwadzieścia szwów. Nick też mógł to mieć we krwi. Czasami wystarczy spojrzeć na korzenie, żeby zobaczyć, że całe drzewo jest chore.

Po powrocie do domu mówię Callie, że musimy się dowiedzieć, czy zginęła jakaś biżuteria Ari.

– Nic z tego – odpowiada, kręcąc głową. – Jeszcze nawet jej nie pochowali. Co mam zrobić? Napisać do Katie i poprosić, żeby przekopała graty zmarłej siostry?

Siedzimy przy stoliku na patio, żeby nie wchodzić w drogę Maggie, która odkurza dywan w salonie. Chyba ma nadzieję, że odgłos odkurzacza rozproszy myśli o nabożeństwie żałobnym Ari i wspomnienie pogrzebu Lori. Maggie chciała zostać sama. Dostrzegłam to w jej oczach, kiedy po lunchu zaczęłyśmy sprzątać ze stołu, a ona powiedziała, że da sobie radę.

Obserwuję badawczo twarz mojej przyjaciółki, która właśnie odrywa etykietkę z butelki mrożonej herbaty.

– Ktoś musi sprawdzić jej biżuterię – mówię. – Jeśli coś zginęło, mamy dowód, że to robota „Potwora”.

– Rany boskie, Tesso. Oni nawet nie powiedzieli jej rodzicom, jak została zabita. – Callie zerka w stronę drzwi, ale z wnętrza domu dobiega tylko szum odkurzacza. – Nie damy rady przejrzeć rzeczy Ari ani nawet zbliżyć się do Katie.

Strzepuję z kolana pyłek, który zleciał z pobliskiego drzewa.

– Dziś rano był jej pogrzeb – dodaje Callie po chwili milczenia. – Nie możemy przynajmniej tego uszanować? Musi być jakiś inny trop.

Nic nie odpowiadam. Jej słowa mnie przekonują. Zostawiamy w spokoju rodzinę Ari i jej przyjaciół. W takim razie pozostaje nam niewiele poza nazwą firmy – Faber i Synowie, Architektura krajobrazu – w której pracował Danny.

Po wczorajszej wyprawie na kąpielisko nie udało się nam znaleźć w sieci niczego na temat tej firmy, więc postanawiamy popytać na mieście. Chcę poczekać na zewnątrz, kiedy Callie pójdzie poprosić o kluczyki do samochodu, ale ona ciągnie mnie ze sobą.

– Czy Tessa i ja mogłybyśmy pojechać do Emily Raymes? – zaczyna, kiedy przystajemy w drzwiach. – Zaprosiła trochę znajomych.

Rick wyszedł do bawialni z butelką piwa, ale jest na tyle blisko, żeby wszystko słyszeć. Wykrzywiona twarz Maggie przybiera groźny wyraz.

– Wołałabym, żebyś została w domu, Callie – mówi.

Może nie powiedziała Rickowi, co znalazła w pokoju córki, ale nie zamierza jej odpuścić, bez względu na pogrzeb.

Callie robi zawiedzioną minę.

– O mnie nic nie mówiła – odzywam się półgłosem, kiedy Maggie wychodzi z salonu.

– Tak, ale co ty zrobisz beze mnie? – szepcze Callie. – Tak naprawdę nikogo już tu nie znasz.

– Znam parę osób.

Przypominam sobie Deckera Lucasa i przed oczyma staje mi wewnątrz jego garażu wypełnione stertami pudeł i książkami telefonicznymi. Jego życzliwy uśmiech.

Książki telefoniczne. Decker powiedział, że jego matka przechowuje szpargały sprzed ponad jedenastu lat. A więc w jednej z nich musi znajdować się jakaś informacja na temat firmy Faberów. Dotykam tylnej kieszeni dzinsów i przypominam sobie, że zostawiłam komórkę w pokoju gościnnym. Callie patrzy na mnie zdziwiona.

– Co ty chcesz...

– Powiem ci, jak to znajdę – odpowiadam, idąc po schodach na piętro.

Podnoszę telefon ze stolika nocnego i przeglądam listę kontaktów. Jego numer jest blisko początku, tam gdzie go umieścić. Decker, Twój przyjaciel ^_^.

„Cześć. Może to dziwne pytanie, ale czy któraś z tych książek telefonicznych w twoim garażu pochodzi sprzed dziesięciu lat?” Wysyłam mu wiadomość tekstową, bo rozmowa przez telefon jest upokarzająca. Nie rozumiem, czemu ludzie wciąż korzystają z połączeń głosowych, skoro każdy tak bardzo ich nie znosi.

Każdy, ale nie Decker. Mija minuta od wysłania wiadomości, kiedy moja komórka dzwoni.

– Po co ci dziesięcioletnia książka telefoniczna? – pyta.

– Po prostu kogoś szukam.

Trącam nogą lekko uchylone drzwi pokoju, żeby je zamknąć.

– Próbowłaś w internecie?

Jezu. Przyciskam dłoń do czoła.

– Tak, próbowałam, ale to firma, która wypadła z obiegu wiele lat temu. Jeśli znajdę adres, może uda mi się dowiedzieć, gdzie jest właściciel.

– Rozumiem – odpowiada. – A więc bawisz się w Sherlocka Holmesa.

Wiem, że żartuje, ale kurczę się w sobie, słysząc te słowa. Gdyby tylko wiedział...

– Miałbyś coś przeciwko temu, gdybym wpadła i poszukała tej książki? Nie zajmę ci dużo czasu.

– Tak! To znaczy nie, nie miałbym...

Rozłączam się i biegnę do garażu po rower.

Decker czeka na mnie na podjeździe ubrany w te same brudne szorty, które nosił przedwczoraj. Rękawki granatowego podkoszulka zwisają luźno wokół jego ramion, które przypominają gałązki przy grubych jak konary rękach Ryana Elwooda. Wygląda na to, że Decker ćwiczy wyłącznie za pomocą konsoli do gier.

Nie wiem, kiedy zaczęłam zwracać uwagę na takie szczegóły jak obwód męskiego bicepsa, ale moje zainteresowanie nie jest podszyte erotyzmem ani niczym takim.

– Siemanko – odzywa się na powitanie.

– Dziękuję ci. To nie potrwa długo.

Przynajmniej taką mam nadzieję. Wnętrze garażu wypełnia woń stęchlizny. Decker unosi kartonowe pudło, które stoi na stercie książek telefonicznych. Zerkam do środka i widzę sporą kolekcję modeli samochodów.

– Wciąż powtarzam mamie, że powinniśmy urządzić wyprzedaż garażową.

Przypominam sobie, jak mówił mi przedwczoraj, że większość tych rzeczy należy do jego ojca.

– Widujesz go czasem? – pytam. – Swojego tatę.

Decker wzrusza ramionami. Wyciąga z pudełka zielony kabriolet i przesuwa palcem po kółkach.

– Właściwie to nie. On teraz mieszka w Jersey.

Książki telefoniczne nie są ułożone w porządku chronologicznym. Wodzę palcem po grzbietach, aż wreszcie odnajduję tę wydaną w roku, w którym zginęła Lori.

– A ty widziałaś się z ojcem? Wiesz, kiedy...

– Kiedy był w więzieniu? – dokańczam, nie odrywając wzroku od książki.

– Nie.

Szukając firm o nazwie zaczynającej się na F, przerzucam oferty adwokatów specjalizujących się w odszkodowaniach i reklamy salonów sprzedających dwa samochody w cenie jednego. Jestem przekonana, że już wyczerpaliśmy temat, ale Decker znów się odzywa.

– A dlaczego?

Przygryzam dolną wargę.

– Mama nie chciała, żebym tam chodziła.

– A ty chciałaś?

– Tak, i to bardzo – odpowiadam zaskoczona tym, że słowa zdają się płynąć z moich ust. – Mama uważała, że więzienie nie jest odpowiednim miejscem dla dzieci.

Wzruszam ramionami, widząc przerażoną minę Deckera.

– Aha – mruczy pod nosem i to jest cała jego odpowiedź.

Nie odzywam się więcej. Zastanawiam się, czemu w ogóle mu to powiedziałam. Nikt nie rozumie, jak to jest mieć ojca w więzieniu. Callie nie potrafiła tego pojąć, więc czemu Decker miałby być inny?

W spisie branżowym odnajduję dział *Usługi: trawniki i baseny*. Natrafiam na reklamę firmy Faber i Synowie, Architektura krajobrazu z nieaktualnym obecnie numerem telefonu, na który próbowałyśmy się wczoraj dodzwonić. Są też dane właściciela – Joe Faber.

Fachowa obsługa, satysfakcja gwarantowana.

Niestety, nikt nie zagwarantował Joemu Faberowi fachowej obsługi przy składaniu tekstu.

Zapisuję adres w komórce, żeby go nie zapomnieć: South Township Road 312.

Decker zaproponował mi podwózkę, ale na tylnym siedzeniu i w bagażniku jego samochodu było tyle gratów, że nie zmieściłby się rower Callie. Zresztą i tak chciałam załatwić to sama, żeby nie musiała tłumaczyć kolejnej osobie, jak trudne są moje relacje rodzinne.

South Township Road nie należy do bezpiecznych dróg. Wyblakły drewniany krzyż postawiony w miejscu śmierci Roba McQueena i Tyrone'a Williamsa jest milczącą przestrożą, która każe kierowcom zwolnić na zakrętach. Nie zmienia to jednak faktu, że kawałek dalej stoi przydrożna knajpa, South Township Inn.

Krażyły plotki, że Rob i Tyrone wstąpili tam przed wypadkiem, ale ludzie zawsze zwalają winę na ostre zakręty. Teraz wzdłuż drogi ciągnie się barierka i jadąc, trzymam się jak najbliżej niej, chociaż nie wyprzedza mnie aż tak wiele samochodów. Najbardziej godnym uwagi obiektem przy tej ulicy jest szkoła średnia, zamknięta na okres wakacji.

Numer 312 znajduje się w tym samym rzędzie budynków co South Township Inn. Knajpa sąsiaduje ze sklepem spożywczym, do którego z drugiej strony przylega zakład fryzjerski Lemon Tree.

Wjeżdżam na chodnik, żeby przyjrzeć się dokładniej. Okazuje się, że pod 312, gdzie kiedyś swoją siedzibę miała firma Joego Fabera, mieści się sklep spożywczy, w tej chwili zamknięty. Wisząca za szybą tabliczka informuje, że w dni robocze jest czynny do siedemnastej. Spóźniłam się kwadrans. Ze złością kopię krawężnik.

Opieram rower o ceglany murek przed zakładem fryzjerskim i wchodzę do środka. Czuję ucisk w żołądku.

Joslin nienawidziła, kiedy matka cesała jej włosy, bo ciągnęła zbyt mocno i brutalnie rozrywała splecione kosmyki. Po takich zabiegach kładłyśmy się spać

obołałe i bliskie płaczu. Na domiar złego nigdy nie obcinała nam włosów. Mówiła, że sama jako dziecko chciała mieć długie włosy jak Barbie, ale babcia strzygła ją na pazia.

W końcu Jos nie wytrzymała, pewnej nocy zamknęła się w szafie z nożyczkami i obcięła sobie włosy. Matka zaprowadziła ją wtedy do Lemon Tree, żeby naprawili jej fryzurę.

– Na strzyżenie?

Głos dobiega od strony umywalk, gdzie rudowłosa dziewczyna około dwudziestki wciera szampon we włosy klienta. Dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że mówi do mnie.

– Hm, nie. Chciałam tylko o coś spytać.

– Chwileczkę – odpowiada.

Splukuje pianę i wyciera głowę mężczyzny ręcznikiem, a potem sadza go w fotelu przez lustrem i podchodzi do mnie.

– Zna pani firmę ogrodniczą Faber i Synowie? – pytam. – Mieli siedzibę tuż obok.

Fryzjerka opiera łokcie na kontuarze.

– Odkąd tu pracuję, obok zawsze był sklep.

Nazwiska Faber też nigdy nie słyszała. Dziękuję jej i wzdychając ciężko, wychodzę na zewnątrz. Z otwartych drzwi baru dobiegają dźwięki muzyki. W oknie zauważam napis: „W każdy czwartek jazzowe wieczory na żywo!”. Słyszę zbliżające się głosy i zza rogu wychodzi jakaś para. Przystają i chłopak się nachyla, żeby przypalić dziewczynie papierosa. Rozmawiają przez chwilę, a potem on wchodzi z powrotem do knajpy. Teraz wyraźnie widzę dziewczynę.

Rozpoznaję Emily Rymes, tę samą, która na ognisku niepokoiła się o Ariel. Stoi oparta o ceglana ścianę i zaciąga się papierosem. Nie widzi mnie. Wypuszczając nosem kłęby dymu, zerka na wyświetlacz komórki, po czym chowa ją do kieszeni i znika za rogiem.

Prowadząc rower, mijam frontowe drzwi knajpy, w których stoi zwałisty mężczyzna zwrócony do mnie plecami. Idąc śladem Emily, okrążam róg budynku, gdzie za kontenerem na śmieci znajdują się tylne drzwi. Są otwarte na oścież i podparte betonowym pustakiem.

Zaglądam do środka. Tego wejścia nikt nie pilnuje, więc przestępuję próg i idę w głąb słabo oświetlonego korytarza, w którym unosi się woń toalet.

Panujący wewnątrz baru półmrok skrywa brudne linoleum na podłodze i pokrywające ściany drewniane panele w stylu lat siedemdziesiątych. W głębi jakiś starszy facet z mikrofonem próbuje zmuszać ludzi do udziału w konkursie karaoke. Na ekranie jednego z telewizorów ukazują się zwycięskie numery loterii Quick Draw, podczas gdy drugi jest ustawiony na transmisję z meczu baseballowego.

Klientela jest mieszana, ale nie zauważam żadnej kobiety przed czterdziestką

z wyjątkiem Emily, która stoi w kącie z dwoma facetami. W jednym z nich rozpoznaję tego, z którym paliła na zewnątrz. Kiedy zostawiają ją samą i idą w stronę stołu bilardowego, orientuję się, że są dużo starsi, niż mi się wydawało. Mają co najmniej trzydzieści parę lat.

Podchodzę do Emily, która właśnie podnosi drinka do ust. Zauważa mnie i szeroko otwiera oczy ze zdumienia.

– Cześć. Jak tu weszłaś?

Tak samo jak ty, myślę.

– Tylnymi drzwiami.

– Och. – Emily skubie brzeg plastikowego kubka. – Mam swoje sposoby. Ale jak się będziesz zachowywać i nie zaczniesz rozrabiać, Tom jest całkiem w porządku.

Zerka w stronę barczystego mężczyzny, który właśnie opuszcza posterunek przy wejściu. Staje za barem i wyciera szmatą kratkę pod dystrybutorem piwa. Jest łysy i nosi gęstą brodę z pasemkami rudych włosów. Pewnie jest właścicielem, który występuje w roli barmana i wykidajły.

Emily unosi kubek i zauważam, że ręce jej się trzęsą.

– Dobrze się czujesz? – pytam.

Spogląda mi w oczy.

– Chyba tak. Lepiej niż Ari – mówi, po czym wypija łyk i oblizuje wargi.

– Byłaś tam dziś rano?

Nabożeństwo żałobne. Już mam wrażenie, że wydarzyło się to wieki temu, jakbym w Fayette przebywała nie od paru dni, ale od tygodni.

– Byłam.

– Bardzo chciałam powiedzieć coś od siebie. – Emily pociera palcem kącik oka i ogląda opuszkę w poszukiwaniu resztek tuszu do rzęs. – Chodzi o to, że byłam jej najbliższą przyjaciółką.

Pastor wygłosił mowę pochwałą na cześć Ariel – dwa krótkie akapity, które napisała pani Kouchinsky, ale zbyt mocno płakała, aby je odczytać.

– Ona była po prostu dobra, wiesz? – dodaje Emily i pociąga kolejny łyk.

– O nikim nie powiedziałaaby złego słowa. Nawet o tych, którzy naprawdę zaleźli jej za skórę.

– Jak Callie?

Staram się mówić swobodnym tonem, żeby nie sprawiać wrażenia wścibskiej. Ale Callie niekoniecznie powiedziała mi wszystko o swoim starciu z Ari, a to może być ważne.

Emily omiata mnie wzrokiem, rozgryzając kawałek lodu.

– Tak. To było świństwo, co jej zrobiła. Ale Callie czuje się teraz zbyt doskonała dla nas wszystkich, może z wyjątkiem Sabriny, która też idzie na studia.

Czuję, że jakaś niewidzialna siła przyciąga mnie do Emily. Doskonale znam

to uczucie. Callie potrafi sprawić, że można się poczuć w jej towarzystwie kimś zbędnym, kogo jak najszybciej chce się pozbyć.

Na drugim końcu sali jakiś facet śpiewa coś niezrozumiałego do mikrofonu, a na monitorze obok niego przesuwają się słowa. *Mam zwyczajnych przyjaciół...*

– Callie chyba przyjaźni się z Nickiem.

Jestem zaskoczona, że to powiedziałam, ale tak naprawdę chcę zapytać, dlaczego Callie jest tak pewna, że to nie on zabił Ari. Jeżeli moja przyjaciółka coś przede mną ukrywa, teraz mam okazję się tego dowiedzieć.

– To nie jest bliska zażyłość – odpowiada Emily. – Tak naprawdę nikt się do niego nie zbliżył. Mówiłam Ari, że to podejrzany typ, ale to jeszcze bardziej ją w nim pociągało. Ona była taka naiwna, wiesz? Chciała być twarda, ale to nie leżało w jej naturze.

Zerkam na barmana, który napełnia szklankę piwem z dystrybutora. Obserwuje nas, ściągając krzaczaste brwi. Chowam ręce w kieszeniach i obracam się do niego bokiem.

– W jakim sensie podejrzany? Mówisz o tej historii z jego ojcem? – zadaję pytania w pośpiechu, bo nie wiem, ile czasu mi jeszcze zostało, zanim Tom wywali mnie z lokalu.

Emily przygląda mi się zmieszana, marszcząc nos.

– Z jego ojcem?

– Callie mówiła, że wyrzucił go z domu.

– Ach, mówisz o tym, co stało się z jego braciszkiem. – Emily zniża głos do szeptu. Ma zaczerwienione oczy, a jej oddech zalatuje syropem cytrynowym i papierosami. – To dopiero porąbana sprawa. Nikt nie wie, co tak naprawdę się stało, ale Nick ma młodszego brata przyrodniego. Jego macocha wyszła, chyba na zakupy, a kiedy wróciła, pod domem stał ambulans. Podobno Nick się wkurzył, kiedy mały wszedł do jego pokoju, i pchnął go na ścianę. Dzieciak uderzył głową o jakiś kant, doznał urazu mózgu i spędził jakiś czas w ośrodku rehabilitacyjnym.

Skreca mnie w żołądku. Nie mam ochoty myśleć o pękającej czaszce małego chłopca.

– Porąbana sprawa – powtarza Emily, patrząc w dal nieobecny wzrokiem. Potem nagle otrząsa się z zadumy i kręci głową. – Ale ja myślę, że to zupełnie coś innego, niż kogoś zabić. Ale teraz wszyscy mówią, że Nick dał nogę. Tylko dlaczego miałyby uciekać, skoro nie zrobił nic złego?

Najwyraźniej nie oglądała *Ściganego* – może też użyłabym takiego argumentu, gdybym nie próbowała wyjaśnić, dlaczego moja siostra postąpiła tak samo.

Emily patrzy na coś ponad moim ramieniem, a potem wlepia wzrok w swój kubek, jakby nagle jego zawartość stała się niezwykle interesująca. Oglądam się i widzę Toma, który wyciera blat sąsiedniego stolika i zbiera pozostawione kubki.

– A tak w ogóle co tu robisz? – pyta Emily, kiedy barman podchodzi do następnego stolika.

– Próbuję znaleźć kogoś, kto pracował w sąsiednim budynku. Nazywa się Joe Faber.

– Nie znam. – Emily obraca kolczyk tkwiący w płatku nosa. – Powinnaś spróbować na Facebooku. Masz swój profil?

Jasne. Ale służy mi tylko do sporadycznego śledzenia moich szkolnych przyjaciółek z Fayette.

– Rzadko z niego korzystam.

– Dodam cię do znajomych, kiedy wrócę do domu. – Głos Emily staje się bełkotliwy i wątpię, czy w ogóle będzie pamiętała naszą rozmowę po powrocie do domu. – Muszę wracać do chłopaków. Niedługo kończy się happy hour.

Obejmuje mnie jedną ręką, potem zataczając się, odchodzi w stronę grupki facetów, którzy otaczają stół bilardowy. Gdy kieruję się do wyjścia, drogę zastępuje mi zwalista postać. Barman Tom.

– Przepraszam – mruczę pod nosem. – Już wychodzę.

– Słyszałem, że pytałaś o Joego Fabera – mówi.

Jego baryton brzmi groźnie, ale twarz ma łagodny wyraz. Może przez tę brodę. Potakująco kiwam głową.

– Czemu, na Boga, taka dziewczyna jak ty szuka Joego Fabera?

– Muszę znaleźć kogoś, kto pracował w jego firmie – wyjaśniam i krzyżuję ręce na piersi. – Ma na imię Danny.

Tom marszczy czoło.

– Joe wyprowadził się jakiś czas temu.

Może to z niewyspania, a może to miejsce przyprawia mnie o obłąd, ale mam wrażenie, że zaraz coś we mnie pęknie. Tom przygląda mi się badawczo, trzymając w zgięciu łokcia wieżę z pustych kubków. Przyciskam dłonie do oczu. Weź się w garść, mówię sobie.

– Próbuję odszukać moją siostrę, a ona spotykała się z facetem, który pracował u Joego.

Jego mina łagodnieje. Przekłada kubki do drugiej ręki i przerzuca ścierkę przez ramię.

– Melissa, była żona Joego, nadal tu mieszka. Ale wątpię, żeby ci powiedziała, gdzie go szukać, nawet gdyby wiedziała.

Ale mimo wszystko to jakiś trop. Po raz pierwszy tego dnia pozwalam sobie na przebłysk nadziei.

– Wie pan, gdzie ona mieszka?

– Kawalek w bok od Main Street, w czerwonym domu naprzeciwko tego kościoła, który się spalił. Ale żeby nie było, że cię nie ostrzegalem.

– Dzięki. Naprawdę mi pan pomógł.

Jestem zaskoczona, kiedy Tom podaje mi rękę. Jest wilgotna od ścierki, którą trzymał. Moja dłoń ginie w uścisku jego potężnych palców.

– Wiesz co – mówi, przyglądając mi się. – Kogoś mi przypominasz.

Wzruszam ramionami. Nagle ogarnia mnie rozpaczliwe pragnienie, aby się stąd wydostać.

– To chyba tylko przypadek.

Nie zamierzam mu się przyznawać, że nazywam się Lowell. Był dla mnie miły i nie chcę tego zepsuć.

Rozdział piętnasty

Kiedy wracam do Greenwoodów, zapada już zmierzch. Na ganku pali się światło, a Maggie z myślą o mnie nie zamknęła jeszcze drzwi na klucz. Po cichu wchodzi do środka. W kuchni jest ciemno, a z bawialni dobiegają stłumione głosy Maggie i Ricka. Idę na górę.

Drzwi pokoju Callie są zamknięte. Nogi bołą mnie od pedałowania i marzę tylko o tym, żeby się położyć. Wiadomość o żonie Joego Fabera może zaczekać do rana.

Kiedy się budzę, na zewnątrz jest ciemno. Opieram się na łokciu i sięgam po leżącą na stoliku nocnym komórkę. Jest za piętnaście pierwsza.

Zza otwartego okna dobiega mnie skrzypienie desek na ganku. Ktoś jest przed domem.

Pewnie jakiś kot, uspokajam się w myślach, przełykając ślinę przez ściśnięte gardło. Wstaję i skradam się do okna. Jakaś postać w bluzie z kapturem naciągniętym na głowę przemyka przez podjazd. W świetle padającym z ganku widzę kosmyki jasnych włosów wymykające się spod kaptura.

To Callie.

Uderzam dłonią w ramę z moskitierą. Słyszac cichy wibrujący odgłos, Callie przystaje. Uderzam jeszcze raz. Obraca głowę i patrzy w stronę okna, nerwowo jak szczur schwytyany w pułapkę. Macham do niej, a wtedy ona kuca za samochodem i kilka sekund później mój telefon wibruje. Maggie musiała jej podać numer mojej komórki.

Odczytuję wiadomość. „Wracaj do łóżka”.

Akurat wróce. Czy Callie naprawdę jest aż tak głupia, żeby po ostatniej wpadce wymykać się na szybki numer z Ryanem? Jeśli to się wyda, Rick i Maggie mogą ją ukarać, odsyłając mnie do domu. Odpisuję na wiadomość.

„Czekaj. Schodzę.”

Cienki promień księżycowej poświaty na tyle rozprasza mrok, że bez trudu znajduję tenisówki. Sięgam po bluzę, którą wczoraj rzuciłam na fotel, i odkrywam, że jest złożona w kostkę. Przykładam ją do twarzy i pociągam nosem. Świeżo wyprana. Przypominam sobie, co Maggie powiedziała o mnie zeszłego wieczoru – jej zdaniem próbuję przekonać Callie, że nie powinnyśmy były zeznawać – i zastanawiam się, czy jej życzliwość wobec mnie jest podszyta tylko współczuciem.

Ale takie rozmyślenia do niczego nie prowadzą. Wkładam bluzę i otwieram drzwi pokoju, jakby były ze szkła.

Na korytarzu przystaję, żeby się upewnić, czy nikogo nie obudziłam, ale zza drzwi sypialni Maggie i Ricka dobiega tylko jednostajny szum klimatyzatora.

Oslaniam dłonie rękawami i przytrzymując się poręczy, przemykam bezszelestnie na dół.

Callie siedzi za kierownicą minivana. Odblokowuje drzwi po stronie pasażera i piorunuje mnie wzrokiem.

– Nie mam na to czasu. Tato wstaje za kilka godzin.

Powstrzymuję się od ironicznego prychnięcia.

– Ryanowi potrzeba więcej niż kilka minut?

Callie rozchyła usta i odruchowo dotyka palcami przedziałka na środku głowy. Trzęsą się jej ręce.

– Co się dzieje? – pytam.

– To Nick. Jest w motelu przy dziewięćdziesiątce piątce. Przesłał mi SMS-a z prośbą o pomoc.

Zdaniem Emily nie łączy jej z Nickiem bliska zażyłość. Więc dlaczego, do cholery, jest gotowa rzucić wszystko i popędzić do niego w środku nocy?

– Pomoc?

– Pieniądze, jedzenie i trochę rzeczy – wyjaśnia. – Musi się zaszyć, dopóki gliny nie złapią tego, kto naprawę to zrobił, a on będzie mógł wrócić.

Innymi słowy Callie pomaga podejrzanemu o morderstwo.

– To szalony pomysł. A jeśli twoja mama się dowie?

Moja przyjaciółka tak mocno zaciska dłonie na kierownicy, że bieleją jej knykcie.

– Nawet nie myśl, że wysiądę z tego auta.

– W takim razie jedźmy – mówię, zapinając ostentacyjnie pas bezpieczeństwa.

– Tesso...

– Nie – przerywam jej. Jestem zaskoczona stanowczym tonem swojego głosu. – Nie pojedziesz sama do jakiegoś obscurnego motelu. Bez względu na to, jak bardzo mu ufasz, nigdy nic nie wiadomo.

Jestem pewna, że Callie zacznie się sprzeciwiać, ale ona bez słowa przekręca kluczyk w stacyjce. Odzywa się, dopiero kiedy zjeżdżamy na stację benzynową przy autostradzie.

– Idziesz ze mną?

Wchodzę za nią do sklepu, zastanawiając się, co my najlepszego robimy. Moja przyjaciółka wypłaca z bankomatu osiemdziesiąt dolarów i znika między regałami. Zatrzymuję się przy stojaku z prasą i zerkam na wczorajszą gazetę. Na pierwszej stronie jest artykuł o schwytaniu jakiegoś wysokiego rangą taliba.

Callie podchodzi do kasy i kładzie na kontuarze paczkę chipsów, litrową butelkę oranżady, paczkę suszonej wołowiny i batonik proteinowy. Chcę ją zapytać, co planuje zrobić oprócz tego, czego jestem w stanie się domyślić, czyli przyprawić Nicka o rozwolnienie. Ale wiem, że mnie zabije, jeżeli pisnę choćby

słowo przy kasjerce. Wystarczy spojrzeć na jej minę.

Kiedy znów wsiadamy do samochodu, Callie wpisuje adres do nawigacji w swojej komórce. Odzywa się kobiecy głos, który każe nam zjechać na autostradę. Callie patrzy prosto przed siebie.

– Skąd jesteś taka pewna, że to nie on ją zabił? – pytam.

– Po prostu jest na to za głupi – wyjaśnia moja przyjaciółka i uświadamiam sobie, że przemyślała to wszystko lepiej, niż przypuszczałam. – Zaaranżować miejsce zbrodni w taki sposób, żeby to wyglądało na kolejne morderstwo „Potwora”? Nick myślał, że Władimir Putin to postać ze *Zmierzchu*.

W jej głosie słychać wręcz czułość. Zastanawiam się, czy Nick nie udaje uroczonego głupka, żeby omamiać swoich znajomych.

Cyfrowy głos z komórki każe nam jechać autostradą przez najbliższe szesnaście kilometrów. W końcu zatrzymujemy się przed motelem Doyle Motor Inn, który sąsiaduje z barem Denny's i sex shopem o nazwie Playtime Boutique. Nick zajmuje pokój numer 112 mieszczący się pod schodami. Obok drzwi stoi zepsuty automat z lodami.

Callie puka do drzwi. Stoję za jej plecami i bawiąc się suwakiem bluzy, wyobrażam sobie, jak Maggie i Rick się budzą i odkrywają, że obie zniknęłyśmy. W pokoju słychać kroki, na chwilę zapada cisza, a potem podzwania łańcuch. Nick otwiera drzwi i jego twarz pochmurnieje, kiedy mnie zauważa.

– Nie przyszłaś sama?

– Cześć – odzywam się. – Jestem Tessa.

– Ona jest w porządku – uspokaja go Callie. – Wpuść nas.

Chłopak odsuwa się na bok i zamyka za nami drzwi. W pokoju śmierdzi dymem papierosowym. Nick wyłącza telewizor, w którym oglądał jakiś sitcom z wyciszonym głosem.

– Nikt cię nie śledził?

– Kto mógłby mnie śledzić o pierwszej w nocy? – odpowiada moja przyjaciółka.

Nick przygląda mi się badawczo, a ja zerkam w stronę drzwi, żeby się upewnić, że mamy którąś uciekać, gdyby to nocne spotkanie przybrało niepożądany obrót.

Moja przyjaciółka rzuca zakupy na jedno z podwójnych łóżek, a Nick natychmiast wyciąga z torby suszoną wołowinę i rozdziera opakowanie zębami. Callie przysiadła na łóżku i gładzi narzutę dłonią, a na jej twarzy nagle pojawia się wyraz skrepowania.

– Może trzeba zadzwonić do Ryana – mówi. – Gdyby pogadał ze swoim stryjem...

– Myślisz, że dlaczego tu siedzę? Oni już nie chcą rozmawiać. Oni chcą mnie wsadzić. – Nick nerwowo pociera twarz dłońmi. W jego głosie słychać strach.

– Chcieli pobrać ode mnie próbkę DNA i wtedy spanikowałem.
– Dlaczego po prostu się nie zgodziłeś? – wtrącam. – To by cię uwolniło od podejrzeń.

Chłopak posyła mi spojrzenie typu: „A coś ty, do cholery, za jedna?”.

– Dlaczego? – pyta Callie ostrym tonem, przyciągając znów jego uwagę.

Nick strzela knykциями.

– Bo Ari była u mnie rano i poszliśmy do łóżka.

Moja przyjaciółka wydaje przeciągłe westchnienie.

– Rany boskie, ty idioto. Dlaczego nie powiedziałeś o tym glinom?

– Ja pierdolę, przecież powiedziałem! Ale jej durna siostra im powiedziała, że Ari spędziła cały dzień z nią. Ich ojciec nie chciał, żeby się ze mną widywała i Katie nie chciała oberwać od niego za to, że ją kryła. – Nick zrywa się i zaczyna chodzić po pokoju. Nagle przystaje i wymierza palec w Callie. – A myślisz, że komu wierzą gliny? Nie chciałem, żeby zrobili test DNA, a potem powiedzieli, że ją zgwałciłem albo coś takiego. Nie po tym, co się stało z moim komputerem.

– Z twoim komputerem?

Moja przyjaciółka robi wymach ręką w powietrzu tuż przed swoją twarzą. Między nami przelatuje mucha i zderza się z oknem. Zawraca i brzęcząc, atakuje szybę.

– Kazali mi go oddać do ekspertyzy, więc tak zrobiłem. To wtedy odkryli anons Ari na tej stronie. Pytali, jak na niego trafiłem, i wciąż powtarzali, że musiałem się wkurwić, kiedy się dowiedziałem, że moja dziewczyna zarabia pięć stów tygodniowo, dając dupy innym facetom.

Nick podchodzi do stolika pod ścianą, podnosi z niego książkę telefoniczną i uderza nią w okno, pozostawiając na szybie żółtawą smugę w miejscu, gdzie siedziała mucha. Podskakuję wystraszona hukiem uderzenia, a on gapi się na mnie, jakby wciąż nie mógł pojąć, co tu robię.

– Ale ja wiedziałem, czym ona się zajmuje – mówi. – Pokazała mi tę stronę kilka miesięcy temu.

– Pokazała? – pytam. – Kiedy ze sobą chodziliście?

– Po pierwsze, spotykaliśmy się tylko od czasu do czasu, a ja nie zamierzałem jej mówić, jak ma żyć. Za godzinę pracy dostawała pięć razy więcej, niż gdyby pilnowała dzieci.

Skręca mnie w żołądku, kiedy mówi o pracy, jak gdyby chodziło o frytkownicę w McDonalddie, a nie tylne siedzenie samochodu jakiegoś faceta.

– Zeszłej jesieni zamieściła swoje zdjęcie na jednej takiej stronie dla modelek – ciągnie Nick. – Tylko okazało się, że to nie jest agencja modelek. Jeśli chciała dostać kasę, musiała flirtować z facetami na Skypie, no i wiecie, robić to przed kamerą. No i robiła to przez jakiś czas. Same wiecie, że jest gotowa na wszystko, jeśli ktoś poświęci jej odrobinę uwagi albo powie, że jest ładna.

Zaczyna robić się ponuro. Zerkam w stronę mojej przyjaciółki, która siedzi ze wzrokiem wlepionym w narzutę na łóżku. Ari umówiła się z chłopakiem, który podobał się Callie, chociaż o tym wiedziała. Straciła najbliższą przyjaciółkę, żeby zdobyć względy jakiegoś faceta. A potem natrafiła na takiego, który pozbawił ją życia.

Nick pociąga łyk z butelki.

– Ari kochała pieniądze, ale nienawidziła tych facetów. To byli popaprańcy. Zaczęła rozmawiać z inną dziewczyną pracującą na tym portalu, która szukała klientów na Craigslist, zanim zlikwidowali dział dla dorosłych. Ta panienka jej powiedziała, że można lepiej zarobić, spotykając się z nimi na żywo. To nie to samo co w sieci, mówiła, gdzie wydaje im się, że mogą mówić albo robić wszystko. Powiedziała jej o Connect i pomogła się zarejestrować. Ari przychodziła do mnie i korzystała z mojego komputera, żeby zalogować się na swoje konto, bo w domu mógłby ją przyłapać ojciec. Ale policyjny informatyk przeanalizował moją historię wyszukiwania, więc przez pięć godzin trzymali mnie w pokoju przesłuchań i próbowali zmusić, żebym się przyznał, że to ja tak często wchodziłem na tę stronę. Że niby ją śledziłem i od dawna planowałem morderstwo. – Nick przestaje chodzić i opada na krzesło. – Gdyby znaleźli jej telefon, mogliby namierzyć wszystkich tych zboków, którzy do niej pisali. Ale morderca go zabrał. Tak samo jak bransoletkę, którą ode mnie dostała.

Moje serce zaczyna uderzać żwawiej.

– Bransoletkę?

Nick odwraca się plecami do nas. Pociera twarz.

– Taka tandeta z paciorkami. Znalazłem ją w rzeczach mamy, ale Ari się spodobała, więc powiedziałem, że może sobie ją wziąć.

– Skąd wiesz, że morderca ją zabrał? – pytam. – Gliniarze ci powiedzieli, że została obrabowana?

– Domyśliłem się. To znaczy pytali mnie, co zazwyczaj przy sobie nosiła, a kiedy opisałem telefon i bransoletkę, to powiedzieli, że nie znaleźli przy niej żadnej z tych rzeczy.

Zerkam w stronę Callie. Ma zaciśnięte usta i patrzy na mnie.

– „Potwór” też rabował swoje ofiary – mówię.

Nick obraca się gwałtownie i wbija we mnie wzrok.

– Jaki, kurwa, „Potwór”?

– Wyatt Stokes, seryjny morderca. Dziesięć lat temu zabił cztery kobiety w okolicy Fayette. Jak to możliwe, że nic o nim nie wiesz?

– Mieszkam tu dopiero od czterech lat. Ale co to ma wspólnego z Ari?

Callie spogląda na mnie, a jej mina wyraża dokładnie to, co myślę. Jeżeli Nick kłamie, zasłużył na Oscara.

– Została zamordowana w podobny sposób – wyjaśnia chłopakowi.

– No to czemu przyczepili się do mnie? Skoro jest jakiś seryjny, to czemu jego nie szukają?

Przez chwilę nie odpowiadamy na jego pytania. W końcu Callie przerywa milczenie.

– Bo się ukrywasz – mówi. – A to, co znaleźli w twoim komputerze, też nie wygląda korzystnie.

– Musicie mi uwierzyć, że to nie ja. Zresztą gdybym ja to zrobił, czemu miałbym ją porzucać przy autostradzie, gdzie ktoś mógłby znaleźć ciało. Mój dom stoi na dużej działce i mógłbym ją zakopać pod stodołą.

Zaczynam rozumieć, dlaczego gliniarze uwzięli się na Nicka.

– Może lepiej im tego nie mów – sugeruję.

Callie spogląda na swoją komórkę.

– Musimy już wracać – oświadcza i daje Nickowi zwitek banknotów. – Nigdzie się stąd nie ruszaj ani z nikim nie rozmawiaj, dopóki Tessa i ja nie wyjaśnimy paru rzeczy. Kiedyś się rozliczymy.

– Jestem ci winien życie – mówi Nick, odprowadzając nas do drzwi.

W pomarańczowym blasku latarni ulicznej twarz mojej przyjaciółki wygląda posępnie.

– Miejmy nadzieję, że nie.

Gdy tylko odjeżdżamy spod motelu, w mojej głowie zaczynają się kłębić dziesiątki pytań, których nie zadałam Nickowi. Jeżeli Ariel mówiła mu o swoich klientach, być może wspomniała o kimś, kto budził w niej strach. Może tamtego ranka wspomniała o mężczyźnie, z którym miała się spotkać w ostatnią noc swojego życia. Może powiedziała coś, co pozwoliłoby ustalić jego tożsamość.

Po dziesięciu minutach jazdy Callie zaczynają opadać powieki. Trącam ją w ramię.

– Znalazłam coś w starym numerze „Gazette” – mówię. – Artykuł, który ukazał się po pogrzebie Lori... Była tam wzmianka o tym, że została pochowana w naszymytniku ze swoim imieniem.

– Och, tak. – Callie włącza wycieraczkę. – Zawsze go nosiła.

– Nie zdejmowała go przed snem?

Moja przyjaciółka zastanawia się przez chwilę.

– Nie, nigdy się z nim nie rozstawała. Za bardzo się obawiała, że go zgubi.

– Więc musiała go mieć na sobie, kiedy została zamordowana.

– Jasne. Byłoby dziwne, gdyby go nie miała.

– A morderca go zostawił. Każdej z ofiar coś zabierał, jakąś biżuterię, ale naszymytnika Lori z jej imieniem nie ruszył.

Krople deszczu uderzają o przednią szybę w jednostajnym rytmie.

– Jak... – Callie zawiesza głos, a jej otwarte usta zastygają w bezruchu. – Jak gliniarze mogli przeoczyć coś tak poważnego?

– Niczego nie przeoczyli.

Opowiadam jej o matce Rae Felice, która dopiero po latach ogłosiła, że zaginął medalion jej córki. Kiedy kończę, na twarzy Callie maluje się wyraz osłupienia.

– Jasny szlag – mamrocze, wpatrując się przed siebie, i jeszcze mocniej zaciska dłoń na kierownicy. – Jasny szlag.

– To nigdy nie trzymało się kupy, że Stokes mógłby wybrać kogoś takiego jak Lori. Ktokolwiek ją zamordował... musiał mieć osobisty motyw.

– Ale dlaczego? – szepcze Callie. – Kto mógł tak bardzo jej nienawidzić? „Odpieprz się ode mnie”.

Jeden szczegół może zmienić całą historię. Teraz to rozumiem. Naszyjnik. Rozmowa telefoniczna. Najmniejszy drobiazg może wyznaczyć granicę między czyimś życiem lub śmiercią. Ale nie do mnie należy decyzja, który szczegół ma znaczenie, a który nie. Teraz to rozumiem.

– Joslin – wyduszam z siebie jej imię. – Tamtego wieczoru rozmawiała z Lori przez telefon. Klóciły się, ale nie wiem o co. Poszłam zrobić siku i usłyszałam, jak Lori powtarza: „Odpieprz się ode mnie”, a kiedy się rozłączyła, nacisnęłam ponowne wybieranie i usłyszałam automatyczną sekretarkę w moim domu.

Moja przyjaciółka milczy. Naciska hamulec, kiedy jakiś samochód przed nami gwałtownie zwalnia. Rzuca nami do przodu, a gdy z powrotem opadam na oparcie fotela, przychodzi mi na myśl, że Callie powie o wszystkim matce i na tym się to skończy.

– Detektywi przesłuchiwali Jos – mówię. – Nie powiedziała im o tamtej rozmowie, więc pomyślałam, że jeśli ją wydam, pójdzie do więzienia za okłamywanie policji. Im starsza byłam, tym bardziej to wszystko wydawało mi się podejrzane... Mogła skłamać, bo była winna. To ona mogła zabić Lori.

Callie sprawia wrażenie zagubionej. Widzę napięcie na jej twarzy.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – odzywa się po długim milczeniu.

– To moja siostra. Gdybym komuś o tym powiedziała... Nie wiedziałam, co się z nią stanie. Teraz wiem, że dałam ciała, bo gdybym wtedy powiedziała prawdę, policja zbadałaby inne ślady oprócz Stokesa. Jeśli Jos zabiła Lori, to z mojej winy uszło jej to na sucho.

– Tesso, nie zrobiłaś nic złego.

Głos mojej przyjaciółki brzmi stanowczo i czuję, jak ogarnia mnie ulga. Dopóki tego nie powiedziała, nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mi zależy, żeby to od niej usłyszeć.

– Ale jeśli to Jos ją zabiła...

Callie unosi rękę.

– Nie słuchasz mnie. To jest niemożliwe.

– O czym ty mówisz?

– O oknie w pokoju gościnnym. Stokes albo ktoś, kto zamordował Lori, przeciął moskitierę, żeby dostać się do środka.

Wyteżam pamięć, żeby przypomnieć sobie ten szczegół. W protokołach procesu, które zostały opublikowane, nie było żadnej wzmianki o oknie. A czytałam je wszystkie.

– Jesteś pewna?

– Tak – potwierdza Callie. – Musieliśmy ją naprawić, zanim sprzedaliśmy dom. Zastanów się. Joslin nie musiałyby rozcinać moskitiery, żeby wejść do pokoju Lori.

– Bo wiedziała, gdzie trzymacie zapasowy klucz.

Greenwoodowie nie zadali sobie trudu, żeby dorobić klucz dla Lori, ona jednak wchodziła i wychodziła z domu bez przeszkód, korzystając z klucza ukrytego pod kamieniem, który pomalowała Callie. Ileż to razy nasza czwórka wracała z kąpieliska na lunch pod nieobecność Maggie, a Callie, Jos i ja czekałyśmy owinięte w ręczniki, aż Lori wyjmie klucz ze skrytki i otworzy drzwi?

– Gdyby Jos chciała dostać się do domu, weszłyby frontowymi drzwiami – mówi Callie. – To nie ma sensu.

Ma rację. Przecięta moskitiera świadczy o tym, że do sypialni zakradł się ktoś obcy.

– Dlaczego Lori nie zamknęła okna? Przecież wiedziała, że zauważyłyśmy kogoś na podwórku... Powinna była się zabezpieczyć, zwłaszcza że spała na parterze.

Moja przyjaciółka owija kosmyk włosów wokół palca.

– Nie mieliśmy klimatyzacji w pokoju dla gości – mówi. – W środku było zbyt gorąco, by dało się spać. A może po prostu nie uwierzyła, że ktoś się kręcił w pobliżu domu.

Nagle olśniewa mnie pewna myśl.

– Albo kogoś się spodziewała.

– Jakiegoś faceta? – Callie marszczy czoło. – Miała chłopaka na uczelni.

Odchylam się na oparcie.

– Niekoniecznie o to chodziło. Mogła się wpakować w jakieś szemrane towarzystwo, kiedy tu była.

– Jak na przykład narkomani? Lori taka nie była.

Callie zawiesza głos, jakby chciała dodać: „W przeciwieństwie do twojej siostry”.

Czy Joslin zażywała narkotyki? To z pewnością tłumaczyłoby jej zachowanie w okresie poprzedzającym zniknięcie – schudła, stała się humorzysta i wracała do domu o różnych porach. Ale przecież rozpaczała po śmierci Lori. A jeśli ukrywała jakąś tajemnicę związaną z tamtą nocą? Nigdy nie brałam pod

uwagę, że mogło ją gnębić jeszcze coś innego.

– Danny mógł być dilerem – zastanawiam się na głos. – Matce się nie podobało, że Jos z nim chodzi, bo nie skończył szkoły i w ogóle.

Callie w milczeniu zastanawia się nad moimi słowami.

– Jeśli Lori odkryła, że Danny handluje prochami, mogła wpaść w panikę – odzywa się w końcu.

A on ją zamordował, żeby go nie wydała.

– Podobno moja siostra była z Dannym tamtej nocy. A jeśli ją zastraszył i dlatego nie puściła pary z ust, chociaż wiedziała o morderstwie? Może wyjechała z Fayette, żeby przed nim uciec.

Moja przyjaciółka znów nic nie mówi.

– Co? – pytam. – Nie przemawia to do ciebie?

– Nie w tym rzecz. To by tłumaczyło wiele rzeczy, jeśli byli w jakiś sposób zamieszani. Ale jeśli masz rację i znajdziemy Danny'ego, najmniejszym problemem będzie to, że nie zechce z nami rozmawiać, wiesz?

Wiem, ale to nie oznacza, że mam zamiar się wycofać. Jeśli to Danny jest człowiekiem, przed którym moja siostra ukrywała się przez wszystkie te lata – jeśli zabił Lori, a ja zdołam to w jakiś sposób udowodnić – Joslin nie będzie już musiała się ukrywać.

Moja siostra nie jest morderczynią. Dopuszczam do siebie tę myśl. Wierzę w to po raz pierwszy od wielu lat. Bardziej niż czegokolwiek w życiu pragnę, żeby to okazało się prawdą.

Moja siostra nie zabiła Lori. Jeżeli się dowiem, kto to zrobił, może Joslin w końcu do mnie wróci.

Rozdział szesnasty

Niepostrzeżenie przemykamy do domu. Ledwie udaje mi się zasnąć, kiedy budzi mnie parcie na pęcherz. Zegar na ścianie pokazuje dziesięć po czwartej. Z łazienki na drugim końcu korytarza dobiega odgłos prysznica. Rick myje się przed wyjściem do pracy. Czekam, aż otworzą się drzwi i Rick poczłapie z powrotem do sypialni, ale na próżno.

Czuję, że dłużej nie wytrzymam. Muszę skorzystać z toalety na dole.

W kuchni pali się światło. Kiedy wychodzę z toalety, dostrzegam Maggie, która siedzi przy stole z twarzą w dłoniach. Unosi głowę i mruga kilka razy, patrząc na mnie. Czuję zapach muffinek i słyszę tykanie minutnika.

– Pieczesz coś? – pytam.

O czwartej nad ranem?

Maggie pociera zaczerwienione oczy.

– Nie mogłam zasnąć. Pomyślałam, że przygotuję coś dla Kouchinskych.

Siadam na krześle obok niej. Chwyta moją dłoń i zaciska palce, jakby czekała nas przejażdżka kolejką górską.

– To wszystko przywołuje bolesne wspomnienia – dodaje.

Pamiętam, jak tamtej nocy krzyczała do Ricka, kiedy po powrocie do domu zapukał do drzwi pokoju gościnnego i odpowiedziała mu cisza. „Co to znaczy, że Lori zniknęła?”. Pamiętam, jak obydwójce w pośpiechu przygotowywali ulotkę ze zdjęciem Lori. Wciąż widzę stertę tych ulotek na kuchennym stole w ich domu. Nie zdążyli nawet ich wszystkich rozwiesić, zanim policja znalazła ciało.

– Czy ty w ogóle ją pamiętasz? – szepcze Maggie.

Wiem, że chodzi jej o Lori, nie o Ariel. Kiwam głową.

– Uwielbiała wcześniej wstawać – dodaje z uśmiechem. – Po szóstej nie mogła już spać. To było niesamowite.

Przez moją głowę przemyka cień wspomnienia. Lori w lśniących czarnych legginsach i limonkowej bluzie. Biała opaska na czole podtrzymuje opadającą grzywkę. Biegała codziennie rano, nawet kiedy padało. A gdy Maggie protestowała, że sama krąży po okolicy, chwaliła się, że od dawna uprawia jogging w Filadelfii, gdzie jest o wiele bardziej niebezpiecznie niż w Fayette.

I może właśnie dlatego morderca wybrał Lori, jeśli to faktycznie był „Potwór”, a nie ktoś, kogo znała. Może dlatego wybrał akurat te dziewczyny i porzucił ich ciała w widocznym miejscu, żeby pokazać, że dał im nauczkę. Wydawało ci się, że jesteś bezpieczna, ale tak bardzo się myliłaś.

Maggie puszcza moją dłoń. Pochyla się nad stołem i podpira głowę ręką.

– Moja siostra miała ciężki okres po śmierci męża. To dlatego Lori zaczęła przyjeżdżać do nas na wakacje. Alkohol... Nasz ojciec też miał z tym problem.

Nagle milknie, jakby dotarło do niej, że powiedziała zbyt wiele. Widzę, jak mało teraz brakuje, żeby przyznała, że ta butelka pod łóżkiem Callie to nie błahostka. Cyfrowy zegar nad piekarnikiem odlicza ostatnią minutę.

– Martwię się o moją córkę – ciągnie Maggie. – Mogło ci się wydawać, że było jej łatwo, ale ona ciężko znosi porażki. Kiedy wyjechałaś, płakała całymi dniami.

Wyobrażałam sobie, że pewnego dnia usłyszę coś takiego od Maggie. Zawsze się spodziewałam, że dzięki temu będzie mi łatwiej poradzić sobie z poczuciem odrzucenia, ale zamiast tego czuję niewytłumaczalne ukłucie tęsknoty za moją matką. Matka tak bardzo martwiła się o mnie i o Joslin, że miałam wrażenie, jakby wszystkie te zmartwienia z upływem lat wytrawiły jej ciało, pozbawiając je krągłości i miękkości, w które wtulałam się jako dziecko.

Zastanawiam się, czy Annette nadal się o mnie martwi, gdziekolwiek teraz jest, i jeśli ją znajdę, czy będzie w niej jeszcze coś z mojej matki.

Po rozmowie z Maggie wracam do łóżka, ale już nie udaje mi się zasnąć. Kiedy pora jest bardziej przyzwoita, schodzę na dół. Po drodze zauważam, że drzwi pokoju Callie są otwarte, ale w środku nikogo nie ma.

Nie ma jej również w kuchni, gdzie Maggie układa na talerzu wystudzone muffinki.

– Trochę łakoci na dzień dobry.

– Cześć – mówię, ziewając. – Gdzie jest Callie?

– We wtorki ma treningi. Przygotowuje się do zgrupowania. Wróci w południe.

Nie chcę czekać na powrót Callie. Zamierzam odwiedzić byłą żonę Joego Fabera i mam nadzieję złapać ją w drodze do pracy – o ile dawna pani Faber pracuje. Jeśli nie zdąży, będę musiała czekać, aż wróci do domu.

Maggie dopija resztkę kawy i odstawia kubek.

– Wezmę prysznic i zawiozę to do Kouchinskych, gdybyś miała ochotę mi potowarzyszyć.

Czuję jakąś wewnętrzną blokadę. Przypominam sobie, że przed nabożeństwem nie byłam nawet w stanie podejść do rodziny Ariel, i ogarnia mnie wstyd.

– Ale... chciałam zadzwonić do babci...

To nie kłamstwo, przynajmniej nie do końca. Od wczoraj rano babcia zostawiła mi dwie wiadomości na poczcie głosowej.

– Ach, to dobrze – mówi Maggie. – Zastanawiałam się, kiedy z nią porozmawiasz. Na pewno martwi się o ciebie.

Uśmiecham się i wracam na górę, starając się nie przejmować spostrzegawczością Maggie, która zauważyła, że nie rozmawiałam z babcią od tygodnia. Wolę nawet nie myśleć, co jeszcze nie uszło jej uwagi.

Gdy tylko wchodzi pod prysznic, zakradam się do garażu i biorę rower Callie. Prześladowuje mnie poczucie winy. Czuję się winna, bo nie dość, że tyle ukrywam przed Maggie, to jeszcze ją okłamuję. Czuję się winna, bo unikam babci.

Czasami myślę, że wyrzuty sumienia to jedyna rzecz, jaką jestem zdolna odczuwać.

Najpierw zauważam kościół. Przygnębiające zgliszcza, powybijane szyby w osmalonych oknach. Spalił się w dwa tysiące pierwszym, zwarcie instalacji elektrycznej. Trzeba być szczególną osobą, żeby mieszkać naprzeciwko takiej ruiny i nie narzekać, że jeszcze nikt jej nie wyburzył.

Dom naprzeciwko jest oddzielony od drogi siatkowym ogrodzeniem, które ciągnie się do końca posesji. Żeby zaparkować na podjeździe, trzeba wysiąść z samochodu i otworzyć bramę. Pikap z rejestracją z New Jersey stoi przed domem jednym bokiem na żwirze, drugim na trawniku.

Zaglądam do skrzynki na listy. Na szczycie ulotek leży katalog jakiejś hurtowni zaadresowany do Melissy Lawrence.

Nagle rozlega się szczekanie. Trzaskają siatkowe drzwi.

– Już ci mówiłam, zostawiaj gazetę przy furtce i spadaj – krzyczy jakaś kobieta stojąca na ganku.

W moją stronę pędzą galopem dwa potężne psy, kłapiąc pyskami, z których lecą bryzgi śliny. Zatrzymują się przy furtce. Zauważam stojące pod ścianą trzy puste stalowe miski. Dwa psy. Trzy miski.

Zastygam w bezruchu, ale nie z powodu psów, które doskakują do siatki. Ich właścicielka idzie w moją stronę, a żwir na ścieżce chrzęści pod jej ciężkimi buciorami.

Przy pewnej dozie kurtuazji można Melissę Lawrence nazwać kobietą, która nie da sobie w kaszę dmuchać. Nie jestem aż tak wytworna, więc przypuszczam, że mam do czynienia z osobą gotową przetrącić nos każdemu, kto krzywo na nią spojrzy.

– Głucha jesteś? – warczy na mnie.

Psy krążą wokół niej. Jeden staje na tylnych łapach, opierając przednie na jej piersi. Nie zachwiałwszy się nawet pod jego ciężarem, odpycha go, po czym podnosi z ziemi gruby płat niewyprawionej skóry wielkości mojej twarzy i rzuca go w głąb podwórza. Psy, przepychając się, ruszają za nim pędem.

Melissa mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. Zauważa, że nie mam przy sobie pliku gazet ani ulotek.

– Nie znam cię – oświadcza, opierając dłonie na biodrach.

– Szukam Joego Fabera.

Kobieta wbija we mnie złowrogie spojrzenie wylupiastych oczu.

– Ktoś go tu widział ostatnio?

– Nie, ale miałam nadzieję, że pani coś o nim wie.

Z jej gardła wydobywa się chrapliwy śmiech.

– Joe woli trzymać się ode mnie z daleka. O co ci chodzi?

– O jednego takiego chłopaka, mężczyznę właściwie. Ma na imię Danny i pracował kiedyś w jego firmie.

– Tak, kojarzę go. Kumplował się z synami Joego.

W głosie Melissy pojawia się surowy ton, ale wciąż nie tracę nadziei, że naprowadzi mnie na jakiś trop.

– Zna pani jego nazwisko?

– Nigdy nie miałam powodu, żeby go o to pytać. Przywozili tu swoje panienki i zamykali się z nimi w szopie.

– Czy jedna z nich wyglądała tak? – pytam, pokazując jej zdjęcie Lori, które wycięłam z numeru „Gazette”.

Twarz Melissy pochmurnieje.

– Myślisz, że nie wiem, co to za jedna? – mówi i jej ciałem wstrząsa mokry kaszel. W końcu łapie oddech i splota na ziemię. – Tak, widziałam ją.

– Tutaj? Lori tutaj była?

Kobieta kiwa głową.

– Raz czy dwa. Razem z tą chuderlawą małolată, z którą Danny kręcił. Jak jednej nocy zabalowali w szopie, to ta blondynka się wkurzyła i sobie poszła. Potem już jej tu nie widziałam.

– A ta druga – nie potrafię się zdobyć, aby wypowiedzieć imię mojej siostry – nie poszła z nią?

– Próbowала ją namówić, żeby została, ale panienka była roztrzęsiona. Pewnie Tommy i Mike się do niej przystawiali. Już ja ich znam.

– Gdzie oni teraz są? – pytam. – Synowie Joego?

Wyraz twarzy Melissy daje jasno do zrozumienia, że nadużywam jej gościnności.

– Joe wyekspediował ich do innego stanu. To samo powiedziałam policji i to wszystko, co wiem.

Policja. Przesłuchiwali Faberów po śmierci Lori? O ile mi wiadomo, Wyatt Stokes był jedynym podejrzanym, na którym detektywi skupili swoją uwagę. Melissa rusza z powrotem w stronę domu.

– Proszę! – wołam za nią. – Szukam mojej siostry. Dziewczyny Danny’ego.

Spodziewam się, że kobieta mnie zignoruje i pójdzie dalej, ale ona przystaje. A jej słowa okazują się jeszcze bardziej zaskakujące.

– Przez twoją siostrę są tylko kłopoty – mówi. – Jak przez nich wszystkich. Nie przychodź tu więcej i nie pytaj o nich.

Krzyczy na psy, które wchodzą za nią do domu. Kątem oka zauważam falującą firankę w oknie. Zapewne Melissa patrzy, jak odjeżdżam.

Kiedy wracam, Maggie nie ma w domu. Domyślam się, że ciągle jest

u Kouchinskych. Poinformowała mnie SMS-em, że klucz zostawiła mi w altanie nad drzwiami i że mam się z nim nie rozstawać, kiedy wejdę do środka. W domu panuje cisza, którą rozprasza jedynie szum klimatyzatora w salonie.

Nalewam sobie mrożonej herbaty i wypijam ją jednym haustem. Potem płuczę szklankę, wycieram i chowam z powrotem do szafki, żeby nie pozostawić żadnego śladu mojego pobytu w kuchni, chociaż Maggie powtarzała mi setki razy, że mogę czuć się jak u siebie.

Włączam komputer i czekając, aż obudzi się do życia, wyjmuję z kieszeni pomięte zdjęcie Lori i kładę je na biurku.

Nie poznałam nazwiska Danny'ego, za to trafiłam na ślad dwóch jego kumpli. Kiedy wpisuję w okno wyszukiwarki personalia braci Faberów, na monitorze pojawiają się ich zdjęcia. A ściśle mówiąc, fotografie z kartoteki policyjnej.

Thomas J. Faber i Michael E. Faber z Fayette w stanie Pensylwania zostali aresztowani dziewięć miesięcy przed śmiercią Lori Cawley. I odsiedzieli trzydzieści dni za posiadanie narkotyków. Link przy zdjęciach jest nieaktywny.

Wpisuję dane każdego z nich w połączeniu z Lori. Gdyby policja przeszukiwała rodzinę Faberów, jakiś internetowy tropiciel afer musiałby to zwęszyć. Powstałoby całe forum poświęcone wnikliwej analizie przeszłości Tommy'ego i Mike'a oraz ich ewentualnej roli w morderstwie. Ale na nic takiego nie natrafiam, nawet kiedy przeszukuję wątki archiwalne na forach. Zaglądam nawet na portale Cyber Sleuths i Crime Watchers, a nawet Justice for Stokes – stronę poświęconą dyskusjom na temat sprawy „Potwora” – a potem kończą mi się pomysły.

Dzień po śmierci Lori policja otrzymała cynk na temat pewnego mężczyzny, który mieszkał kilka przecznic od Greenwoodów. Kilka osób widziało, jak tamtego ranka jeździł tam i z powrotem wzdłuż ulicy, jak gdyby obserwował domy. Gliniarze przesłuchali go i oczyścili z podejrzeń, kiedy wyjaśnił im, że szukał kota, który mu się wymknął. Mimo to na forach nie brakowało komentarzy, że śledczy powinni byli prześwietlić go dokładniej. Ktoś ustalił jego nazwisko i okazało się, że facet był notowany za przestępstwo na tle seksualnym. Na pierwszym roku studiów został przyłapany na tylnym siedzeniu samochodu z nieletnią dziewczyną.

Domorośli detektywi twierdzili, że należało go uznać za podejrzanego. Znaleźli numer telefonu do firmy, w której pracował, i opublikowali go w sieci. Facet stracił pracę i ostatecznie wyprowadził się z Fayette.

Zatem jeżeli śledczy zbadali powiązania młodych Faberów z Lori Cawley, musieli to zrobić tak dyskretnie, że nikt się nie zorientował.

Kasuję historię przeglądania i wyłączam komputer. Dochodzę do wniosku, że powinnam wreszcie zachować się jak człowiek i zadzwonić do babci. Zresztą i tak muszę ją zapytać o kilka rzeczy.

Idę na górę, bo chłód klimatyzatora w salonie przyprawia mnie o gęsią skórę. Babcia odbiera po ostatnim sygnale, kiedy już ma się włączyć automatyczna sekretarka. Ciężko dyszy, jakby była na zewnątrz, na przykład w ogrodzie, i musiała biec do telefonu.

Czuję się paskudnie, bo odbieranie telefonu nigdy nie było jej mocną stroną i często oddzwaniała do ludzi dopiero po kilku dniach. Miałam taki okres w ósmej klasie, że ciągle się o nią bałam i robiłam z tego powodu wielki szum. Kiedy wracałam ze szkoły, a babci nie było w domu, wydzwaniałam do niej dziesiątki razy, chociaż jej komórka zawsze miała rozładowaną baterię albo leżała na dnie zagraconej szuflady w kuchennym kredensie. Chodziłam po osiedlu od drzwi do drzwi, pytając, czy ktoś ją widział, i sprawdzałam w wiadomościach, czy nie doszło do jakiegoś makabrycznego wypadku.

Raz zobaczyłam ją, jak przechadza się niespiesznie wzdłuż ulicy z uśmiechem na twarzy. Postanowiła wybrać się nad zatokę i właśnie stamtąd wracała, niosąc pełne kieszenie gładkich białych kamyków, chociaż przez te wszystkie lata, kiedy u niej mieszkałam, nigdy nie chodziła na spacer.

– Po jaką cholere masz ten pieprzony telefon komórkowy?! – wydarłam się na nią.

Kilka miesięcy później, gdy nie przestawałam się dąsać, babcia zaprowadziła mnie do psychologa dziecięcego, który rozpoznał u mnie lękowo-ambivalentny styl przywiązania i lekkie skłonności depresyjne. Przepisał mi pięć miligramów Lexapro.

– To tak mała dawka, że nawet teriera by nie ruszyło – podsłuchałam kiedyś, jak babcia szepcze do słuchawki, rozmawiając ze swoją przyjaciółką June z Atlanty.

Teraz jej ton jest gderliwy, ale wiem, że tak naprawdę nie jest na mnie zła.

– Miło z twojej strony, że się odezwałaś.

– Cześć – odpowiadam.

– Cicho tu bez ciebie – mówi i to ma być zabawne, bo zawsze siedzę cicho jak mysz pod miotłą.

– Co robiłaś?

– Och, nic takiego. Stałam się jedną z tych staruszek, które codziennie wypatrują listonosza. – Babcia zawiesza głos. – Zastanawiałam się, czy nie stęskniłaś się za domem.

– Stęskniłam się – mówię. – Mogę cię o coś spytać?

– Pewnie.

Siadam na łóżku i krzyżuję nogi.

– Masz jakiś kontakt z moją matką?

W słuchawce rozlega się ciężki oddech.

– Wiesz, że powiedziałabym ci, gdybym miała. Nettie i ja mamy ze sobą na

pieńku, ale nigdy bym cię od niej nie izolowała.

Kiwam głową, chociaż babcia mnie nie widzi, i wodzę palcem po deseni na narzucie.

– A moja siostra? Czy kiedykolwiek odezwała się do ciebie?

– Tesso, myślę, że pobyt w tym mieście ci nie służy. – W głosie babci słyszę ton przestrogi. – Wygląda na to, że przywołujesz pewne bolesne wspomnienia, które powinnaś zostawić daleko w tyle.

– Dziewięć lat – odpowiadam. – Mija dziewiąty rok i nie miałyśmy od nich żadnych wiadomości. Nie sądzisz, że to dziwne? Może mają kłopoty albo spotkało je coś złego?

– Nie wiem, co chcesz ode mnie usłyszeć.

Zaciskam palce na komórce i zbieram się na odwagę.

– Chcę, żebyś mi powiedziała, kto jest ojcem Joslin.

– Mówiłam ci. Nie chciał mieć z nią nic wspólnego.

– Ona do niego przyjechała. Joslin przyjechała zobaczyć się z Glennem przed jego śmiercią. Nie mogę jej znaleźć, ale może zdołała dotrzeć do swojego biologicznego ojca. On mógłby wiedzieć, gdzie jej szukać.

Babcia wzdycha ciężko, jakby chciała powiedzieć: „Jestem na to wszystko za stara”.

– Dziecinko, twoje serce jest we właściwym miejscu, ale może ci pęknąć, jeżeli będziesz ciągnąć to dalej.

Czuję ucisk w piersi. Babcia rzadko nazywa mnie dziecinką. W jej mniemaniu ta uporczywa niechęć do używania pieszczotliwych zdrobnień jest dowodem, że naprawdę mnie kocha. Taka już jest. „Dziecinka” nie jest oznaką miłości. To ostrzeżenie.

Ale to już na mnie nie działa.

– Nigdy cię o nic nie proszę – mówię, chociaż coś we mnie pęka, kiedy sięgam po ten argument. – Ale teraz proszę cię, na miłość boską, powiedz mi, kim jest ojciec Joslin.

– Zaczekaj.

Słyszę trzaśnięcie siatkowych drzwi na drugim końcu linii, a potem rozlega się szelest i przed oczyma staje mi obraz, który widziałam tysiące razy – babcia kołysze się w fotelu bujanym na ganku, odpychając się jedną nogą od podłogi, i otwiera paczkę papierosów.

– Annette miała dziewiętnaście lat – mówi. – Przyszła do mnie taka podekscytowana, jakby chciała się podzielić jakąś radosną wiadomością... Kiedy powiedziała, że jest w ciąży, ja... nie zareagowałam tak, jak się spodziewała. Powiedziałam, że dziecko zmieni jej życie i powinna dobrze się zastanowić, czy chce je urodzić.

Babcia wciąga powietrze i milknie na chwilę. Jestem pewna, że właśnie

zapala papierosa.

– Ten mężczyzna był starszy od niej. Miał wyjechać do pracy na polu naftowym w Luizjanie. Zapytałam twoją matkę, czy naprawdę tak chce żyć, przesiadywać całymi dniami z dzieckiem w jednopokojowej klitce, podczas gdy on będzie pracował po trzynaście godzin. Ale ona i tak wyjechała.

– Opowiadałaś mi o tym – wtrącam łagodnym tonem, bo czasem pamięć ją zawodzi. – Że to była wasza ostatnia rozmowa.

Babcia robi wydech i wyobrażam sobie kłęby dymu buchające z jej nozdrzy.

– Tak, wiem. Tylko że kilka miesięcy później zadzwoniła do mnie.

Zaskoczenie odbiera mi mowę. To nie jest wersja, którą znałam.

– O czym ty mówisz?

– Była rozhisteryzowana i chciała, żebym do niej przyjechała. Straciła dziecko.

Straciła. Znaczący, umarło. Więc to nie była Joslin.

– Powiedziałaś jej, żeby wróciła do domu – opowiada babcia. – Błagałam ją, a wiesz, Tesso, że to nie w moim stylu. Ale ona chciała ciągnąć to dalej z Alanem, chociaż jemu tak naprawdę nie w smak było to dziecko. Ona była zdruzgotana, a jemu ulżyło. Przypuszczam, że kiedy ponownie zaszła w ciążę, z twoją siostrą, sytuacja znacznie się pogorszyła. Od tej pory przestała ze mną rozmawiać, bo nie podobało się jej, co miałam do powiedzenia.

Moja matka straciła dziecko. Mogłam mieć liczniejsze rodzeństwo, ale może gdyby tamto dziecko przeżyło, Annette poczułaby się zaspokojona i nigdy nie przyszedłbym na świat. Zawsze miałam wrażenie, że ja i Joslin nie wystarczamy naszej matce, że nie dorastamy do jej wyobrażenia o macierzyństwie. Ale teraz, kiedy wiem o jej pierwszym dziecku, wydaje mi się, że nie miałyśmy żadnych szans, aby temu sprostać.

– Pamiętasz nazwisko Alana? – pytam.

– Och, Tesso, to było dwadzieścia pięć lat temu. Oczywiście nie pamiętam.

Gdyby wahała się choćby pół sekundy krócej, może byłabym w stanie jej uwierzyć.

Dziesięć po dwunastej słyszę trzaśnięcie drzwi frontowych. Schodzę na dół i widzę, jak Callie rzuca swoją torbę sportową na kanapę w salonie. Ma na sobie czarne obcisłe szorty i podkoszulek z godłem East Stroudsburg University. Zawsze nosi coś z emblematem uczelni, jakby ubrania miały przypominać, że jej pobyt w Fayette wkrótce się skończy.

Mnie też o tym przypominają. To wszystko kiedyś musi się skończyć. Nie mogę spędzić w Fayette całego lata i jeżeli wkrótce czegoś nie wyjaśnimy, wrócę na Florydę, zadając sobie jeszcze więcej pytań, niż kiedy tu przyjechałam.

– Cześć – mówi, odrywając od ust butelkę z wodą. – Gdzie moja mama?

– U Kouchińskich. Pojechała do nich dwie godziny temu.

– Jak ją znam, pewnie pomaga mamie Ari w sprzątaniu, a to oznacza, że Daryla prawdopodobnie nie ma w domu. Nigdy by na to nie pozwolił.

Kiedy wyobrażam sobie Maggie, która krząta się w kuchni, w pośpiechu zmywa brudne naczynia i przegląda zawartość lodówki, żeby zdążyć przed powrotem Daryla, do głowy przychodzi mi pewna myśl.

– Myślisz, że on wiedział o Ari? – pytam. – O tej stronie z ogłoszeniami?

Moja przyjaciółka kręci głową.

– Daryl miałby... To niedorzeczne. Ona była jego córką.

– Wiem, ale coś musiało sprawić, że po tylu latach „Potwór” zaczął znów mordować. Jeżeli się dowiedział, że jego własna córka jest jedną z tych dziewcząt...

Callie prycha pogardliwie.

– Daryl Kouchinsky „Potworem znad Rzeki Ohio”?

– Nie wiem – odpowiadam. Ogarnia mnie rozdrażnienie. – Ale nie mamy żadnych innych podejrzanych.

– A co z Dannym? Znasz jego nazwisko?

– Nie, ale poznałam byłą żonę Joego Fabera. Rozmawiałam z nią dziś rano. Wciąż tu mieszka, naprzeciwko spalonego kościoła.

Callie omal się nie krztusi.

– Ta szurnięta kobieta z rottweilerami?

– Tak, ona – mówię i siadam w fotelu Ricka. – Pamiętasz dwóch takich chłopaków, którzy mogli się zadawać z Jos i Lori? Tommy’ego i Mike’a Faberów, kumpli Danny’ego?

Callie kręci głową.

– Lori nie spotykała się z chłopakami, kiedy tu była.

Nie dlatego, że nie byli nią zainteresowani. Bo było wręcz przeciwnie. Ale ona miała swojego chłopaka, który na pierwszym roku mieszkał w tym samym akademiku co ona. Pochodził z Delaware i studiował inżynierię. Tamtego lata dzwoniła do niego co wieczór tuż przed snem i w kółko mówiła, że pod koniec lipca wybiera się w podróż samochodem, żeby się z nim zobaczyć.

– Była żona Fabera podobno widziała ją kiedyś w ich domu.

Opowiadam o tym, jak Lori wyszła wzburzona z balangi, a Joslin pozwoliła jej odejść. Kiedy widzę minę Callie, dociera do mnie, jak wielkiej zdrady dopuściła się moja siostra – wybrała Danny’ego i jego obleśnych koleżków, przez których Lori poczuła się nieswojo. Ale najbardziej zaniepokoiła ją wzmianka Melissy Lawrence o policji.

– Faberowie tak po prostu wyjechali i nikt nie widział w tym nic nadzwyczajnego?

– Byli tacy, którzy zapewnili im alibi – wyjaśniam. Niewykluczone, że należała do nich moja siostra. – Ale wcześniej obaj zaliczyli odsiadkę za narkotyki.

Możliwe, że Danny też wtedy został aresztowany. Myślę, że powinniśmy iść na posterunek policji i sprawdzić, czy w rejestrze publicznym jest coś na jego temat.

Callie marszczy czoło.

– Mówisz o posterunku w Fayette?

– Nie będziemy nic wspominać o morderstwach. Jak dla nich interesują nas tylko informacje, które mogą nam pomóc w odnalezieniu zaginionej.

– Czyli Joslin.

Komisariat południowej dzielnicy Fayette mieści się w pudełkowatym budynku o piaskowym kolorze z dwoma wejściami. Jedno służy do wprowadzania aresztowanych, a drugie należy do części biurowej. Każę Callie zaparkować przed tym drugim i zauważam, że kurczowo zaciska dłonie na kierownicy. Kiedy byliśmy tu ostatnio, rozdzielono nas i przez wiele godzin siedzieliśmy w zimnych pokojach, popijając sok jabłkowy, a detektywi słuchali naszych zeznań. Czuję ciarki na plecach.

– Tylko zapytamy o moją siostrę – odzywam się. – Nie musisz nic mówić.

– Dobra.

Jednak cierpki posmak w ustach nie daje o sobie zapomnieć. Gdyby istniało jakieś inne rozwiązanie, które pozwoliłoby nam uniknąć rozmowy z glinami, oczywiście bym z niego skorzystała.

Hol jest na tyle przestronny, że może spełniać swoje podstawowe zadanie – nie brakuje w nim miejsca dla interesantów, którzy przychodzą złożyć skargę na hałaśliwego sąsiada albo zgłosić kradzież radia samochodowego. Wnętrze jest całkowicie niegroźne, ma białe ściany, a podłogę pokrywa linoleum. Nad krzesłami w poczekalni wisi mapa hrabstwa Fayette, a w kącie stoi automat z napojami.

Daję Callie znak, żeby usiadła, i podchodzę do stanowiska recepcyjnego. Za biurkiem nie ma nikogo. Na blacie stoi plastikowy pojemnik z rozmiękłymi resztkami sałatki. Krótkofalówka na półce wydaje piskliwy sygnał, po którym rozlega się zniekształcony przez zakłócenia bełkot.

Nagle słyszę śmiech. Dwa męskie głosy. Zaglądam w głąb korytarza, który ciągnie się za biurkiem. Śmiech dochodzi zza uchylonych drzwi jednego z pokoi. Po chwili pojawia się młody mężczyzna. Podchodzi do biurka, niosąc kartonową teczkę na dokumenty, i śmieje się sam do siebie.

– W czym mogę pomóc?

– Chciałabym porozmawiać z kimś o zaginionej osobie.

– Chcesz zgłosić zaginięcie? – pyta i zauważam biały strzępek gumy do żucia na jego języku.

– Nie – odpowiadam po chwili wahania. – Szukam kogoś.

– Od kiedy?

– Hm... Od dziewięciu lat.

Mężczyzna przygląda mi się, mrugając i najwyraźniej nie wie, jak się

zachować. Z bliska widzę, jak bardzo jest młody. Szczękę ma upstrzoną czerwonymi krostkami. Jest starszy ode mnie najwyżej o parę lat. Tracę resztki nadziei, że znajdę tu kogoś, kto potraktuje mnie poważnie. Przecież on nawet na mnie nie patrzy. Jego wzrok wędruje gdzieś ponad moim ramieniem.

– Callie? – odzywa się i robi zdumioną minę.

Odwracam się. Moja przyjaciółka osuwa się tak nisko na krześle, że wygląda, jakby się rozpływała. Próbuje stać się niewidzialna.

– Cześć, Eli – mówi.

Ton jej głosu nie jest opryskliwy, ale nie odwzajemnia jego uśmiechu.

– Dawno się nie widzieliśmy – mówi Eli. – Co tu robisz?

– Ja tylko pomagam Tessie, która szuka swojej siostry.

Ostatnie słowa wypowiada powoli i z rozmysłem. Eli zerka w moją stronę.

– Aha. Ale ja tu jestem tylko od papierkowej roboty. Powiem któremuś z gliniarzy, żeby do was przyszedł.

Młodzieniec znika w głębi korytarza, a ja siadam obok mojej przyjaciółki, która przegląda stary numer „U.S. News & World Report”, chociaż tak naprawdę nie skupia wzroku na tekście. Odkłada gazetę i wyjmuję telefon. Nie jestem pewna, czy szum, który słyszę, dobiega z wnętrza mojej głowy, czy z automatu z napojami. Staram się zająć uwagę czytaniem ulotek rozłożonych w poczekalni. *Gwałt i agresja – kurs samoobrony. Czy twoje picie jest bezpieczne? Bezpieczeństwo – porady dla studentów.* Gdyby ułożyć je wszystkie obok siebie, powstałby scenariusz dreszczowca.

– Kim jest ten Eli? – pytam.

– To kumpel Ryana. – Callie nie odrywa oczu od komórki. – Skończył szkołę rok przed nami.

– No i w czym problem?

– Nie chcę, żeby się rozniosło, że tu byliśmy.

To znaczy nie chce, żeby to dotarło do Maggie.

Z korytarza dobiega odgłos rozmowy i obie spoglądamy w tamtą stronę. Funkcjonariusz w cywilu odprowadza kogoś do wyjścia.

– Ktoś tu na mnie czeka?

Tubalny męski głos. Widzę, jak Callie jeszcze niżej pochyla głowę nad wyświetlaczem. Unoszę wzrok i jej reakcja staje się zrozumiała. Przed nami stoi Charlie Volk, detektyw, który aresztował Wyatta Stokesa i powiedział naszym rodzicom, że mogłybyśmy pomóc wsadzić go do więzienia.

Rozdział siedemnasty

Charlie Volk wbija we mnie wzrok i daje ręką znak, żebym poszła za nim. Ma teraz siwe włosy. Jego przepocona koszula prawdopodobnie była kiedyś biała. Miękną mi kolana. Weź się w garść, Tesso, mówię do siebie w myślach.

Zmuszam się, żeby wstać, i zerkam na moją przyjaciółkę, która siedzi jak skamieniała. Nie mam co liczyć, że dotrzyma mi towarzystwa. Idę korytarzem za Volkiem. Policjant sapie, próbując jakoś sobie poradzić z nadbagażem dziesięciu kilogramów, które przybrał od czasu, gdy ostatnio go widziałam. Nie ogląda się w moją stronę i wtedy doznaję olśnienia – on nie wie, kim jestem.

Wpuszcza mnie do swojego biura.

– Siadaj, siadaj – mówi.

Krew pulsuje mi w uszach, kiedy siadam na krześle naprzeciwko biurka. Volk zgniata przetłuszczoną serwetkę i wrzuca ją do leżącej na blacie papierowej torby z Burger Kinga, którą odsuwa na bok.

Czytałam, że Charlie Volk został zmuszony do odejścia na emeryturę z powodu oddźwięku, jaki wywołał dokument *Prawdziwe oblicze Potwora*. Twórcy filmu przedstawili go jako upartego i nieudolnego glinę, który dawno się wypalił i nie potrafi się przyznać, że popełnił błąd w sprawie Stokesa. W gazetach było coś o pozwie – Charlie Volk bronił swojego stanowiska w sprawie „Potwora” i nie zamierzał ulegać tym, którzy kazali mu wziąć odprawę i się zamknąć. Było coś o ugodzie... i Volk został zesłany za biurko.

Do dupy.

– A więc zaginiona osoba. – Volk opada na fotel i skórzana tapicerka wydaje cichy syk pod jego ciężarem. Sięga po mysz komputerową, trącając łokciem zdjęcie w ramce, które przewraca się na blat. – Psiakrew.

Stawia je z powrotem, a ja wpatruję się w nie jak urzeczona. Zdjęcie przedstawia Volka, dwie dziewczyny i kobietę. Jedna z dziewcząt ma na sobie togę i biret. Na szarfię widnieje napis *Uniwersytet Stanu Wirginia*.

Przypominam sobie jego słowa: „Moja córka jest w wieku Lori Cawley. Wielu policjantów też ma córki. Ta sprawa ma dla nas wymiar osobisty”.

Nagle znów mam osiem lat i czuję na twarzy oddech Volka przesiąknięty zapachem kanapki z indykiem i musztardą. Po prostu mi powiedz, kochanie, co widziałas tamtego wieczoru. Nie ma złych odpowiedzi.

Tylko że ta odpowiedź była zła i wiedzieliśmy o tym. Nasze wersje musiały się pokrywać. Gdyby moje zeznania różniły się od zeznań Callie, człowiek, który skrzywdził Lori, pozostałby bezkarny.

A jego twarz, Tesso? Czy to był ktoś, kogo już widziałas? To ważne, żebyś nam powiedziała, czy go poznajesz.

Volk wiedział, że Callie mnie obudziła i powiedziała, że to ten człowiek z kąpieliska. Kiedy jeden z mundurowych chciał wezwać detektywa, żeby przesłuchał mnie na posterunku, Volk powiedział, że szkoda fatygi i zrobi to sam. Ten gnojek doskonale wiedział, co robi, wykorzystując mnie i Callie, żeby uzyskać nakaz aresztowania Stokesa. Ogarnia mnie takie obrzydzenie, że mogłabym zarzygać całe to jego biurko.

Zbyt długo milczę i Volk przygląda mi się, mrużąc oczy.

– Wyglądasz dziwnie znajomo.

– Nazywam się Tessa Lowell.

Gliniarz zdejmuje okulary i ociera spocony nos.

– Tessa Lowell. A niech mnie.

– Szukam mojej siostry – mówię. – Joslin.

Charlie Volk nie odrywa ode mnie wzroku.

– A to dopiero niespodzianka, zobaczyć, jak wyrosłaś. Tessa... ta mała Tessa

L.

Ciężko przełykam ślinę.

– A co z moją siostrą?

– Ach, racja. – Volk przesuwając myszkę i komputer ożywa. – Kiedy ostatni raz ją widziałaś?

– Uciekła, kiedy miała siedemnaście lat. Niedługo przedtem zerwała ze swoim chłopakiem – wyjaśniam i dodaję: – A on może być notowany. Danny jakiś tam.

Detektyw unosi okulary i wpatruje się w monitor.

– Mówisz o Danny'ku Densingu? Widzę tutaj, że przymknęliśmy go za posiadanie w dwa tysiące szóstym.

Danny Densing.

– Jak pan... Wyrzuciło go, kiedy wpisał pan dane mojej siostry?

– Przesłuchiwalismy go na zlecenie policji z Arnold w sprawie pewnego wypadku w ich mieście. Wygląda na to, że Joslin Lowell potwierdziła jego alibi.

Arnold. Dawnej ta nazwa nic by dla mnie nie znaczyła. Wiedziałam tylko, że jest to miejsce, w którym nikt nie chciałby znaleźć się w pojedynkę. Ale przedwczoraj w bibliotece widziałam artykuł z pierwszej strony „Gazette” o wytwórni amfy, która wybuchła tej samej nocy, kiedy zginęła Lori.

Moja siostra powiedziała policji, że Danny wtedy z nią był. Musiał ją namówić, żeby skłamała, bo w jakiś sposób był zamieszany w ten wybuch. I nawet nie zdając sobie z tego sprawy, zapewnił alibi Joslin.

– Chodzi o ten wybuch w wytwórni amfy – mówię. – Uważają, że Danny maczał w tym palce, tak?

Volk marszczy czoło.

– Nie mogę o tym rozmawiać. Śledztwo wciąż jest w toku. Dwaj inni

podejrzani uciekli z naszego stanu, ale nie mamy wystarczających dowodów, żeby ich tu ściągnąć.

Dałabym sobie rękę uciąć, że ci dwaj to Tommy i Mike Faberowie. A więc możliwe, że policja w ogóle nie podejrzewała ich o udział w morderstwie, a Melissa Lawrence myślała, że chodzi mi o ich powiązania z wybuchem. Czy Lori odkryła, że destylują amfetaminę i to było przyczyną wybuchu w tamtym domu? Czy musieli ją zabić, żeby pozbyć się niewygodnego świadka?

– Twoja siostra wpadła w złe towarzystwo – odzywa się Volk, a jego słowa są jak echo moich myśli. – Dlaczego nikt nie zgłosił jej zaginięcia?

Szum krwi pulsującej w mojej głowie nieco cichnie.

– Co?

Detektyw marszczy czoło i przesuwa palcem rolkę na myszce komputera.

– Gdyby ktoś zgłosił jej zaginięcie, miałbym to w rejestrze.

Wzbiera we mnie fala gniewu i czuję przyływ dzikiej agresji. Gdyby moja matka tu była, złapałabym ją za ramiona i potrząsała tak długo, dopóki by mi nie wyjaśniła, dlaczego nie zgłosiła zaginięcia mojej siostry, a swojej córki – chociaż powiedziała mi wtedy, że policja znajdzie Joslin i przyprowadzi ją z powrotem do domu.

Gdzie wy się obie podziewacie? To pytanie wzbiera we mnie jak gorycz i wiem, że muszę je wykrzyczeć, żeby poczuć się lepiej.

Gdzie jesteście? Gdzie się, do cholery, ukrywacie?

Nie zatrzymuję się, żeby zaczekać na Callie. Idę prosto w stronę wyjścia, mijając Elego, który niemrawo macha mi na pożegnanie zza biurka. Moja przyjaciółka dogania mnie na zewnątrz.

– Co się stało?

– Jedźmy stąd.

Wsiadam do samochodu, zapinam pas i siedzę wpatrzona tępo przed siebie. Callie przekręca kluczyk w stacyjce i włącza klimatyzację, ale nie rusza z miejsca.

– Co się stało? – powtarza.

– Mam jego nazwisko. Danny Densing.

– Wiesz, o co mi chodzi. Volk cię rozpoznał?

– Tak, ale nie powiedział nic o Stokesie – mówię i zaciskam pięści, żeby zapanować nad drżeniem rąk. – Nikt nie zgłosił zaginięcia mojej siostry.

Przez chwilę Callie milczy, jakby odjęło jej mowę.

– Czy nie myślałaś... – odzywa się w końcu. – Nie chciałabyś poszukać swojej matki?

Prędzej bym umarła, niż się przyznała, że próbowałam jej szukać, a jedyny trop, na jaki natrafiłam, pochodził od sześciolatniej dziewczynki z osiedla przyczep. Ukrywam twarz w dłoniach.

Callie dotyka czubkami palców mojego ramienia. Nie jestem przygotowana

na ten gest.

– Nie lubię, gdy ktoś mnie dotyka – wyrzucam z siebie jednym tchem.

– Przepraszam.

Cofa rękę jak oparzona i ścisną splecione dłonie między kolanami. Zamykam oczy.

– Najpierw musimy znaleźć Danny'ego – mówię.

Bo czy mamy inne wyjście? Moja matka ukrywa się przed „Potworem”.

Zresztą jaki mógł być z niej pożytek? Po skazaniu ojca rzadko wychodziła ze swojego pokoju i nawet nie zgłosiła zaginięcia Joslin. Wszystko, co poprzedzało tamtą noc, kiedy porzuciła mnie na stacji benzynowej, nasuwało jeden wniosek. Moja matka odeszła na długo przed tym, jak zniknęła na dobre z mojego życia.

– Joslin powiedziała glinom, że była z Dannym tamtej nocy, kiedy została zamordowana Lori – mówię. – A oni podejrzewają, że Danny i bracia Faberowie stoją za tym wybuchem w Arnold.

Callie zastanawia się przez chwilę.

– Więc co robiła twoja siostra, jeśli nie spędziła tej nocy z Dannym?

– Nie wiem, ale mam nadzieję, że Danny zna odpowiedź. Myślisz, że facet zamieszany w produkcję amfy, którego ściga policja, może figurować w książce telefonicznej?

Callie parska ironicznym śmiechem, po czym wrzuca biec i wyjeżdżamy z parkingu. Węzeł na moim gardle trochę się rozluźnia.

Danny Densing. Widzę oczyma wyobraźni, jak zapisuję sobie jego nazwisko długopisem na nadgarstku, chociaż teraz, kiedy je usłyszałam, już nigdy go nie zapomnę.

Wracamy okrężną drogą, żeby wstąpić do apteki, bo Callie musi zrealizować receptę. Kiedy stoi w kolejce, przechadzam się tam i z powrotem między regałami, chociaż nie chcę niczego kupować. Po prostu czuję się znużona bezruchem i nie mam ochoty tkwić w miejscu. Dla rozrywki próbuję zgadnąć, jakie lekarstwa zażywa moja przyjaciółka. Być może takie pigułki szczęścia, jakie kiedyś musiała łykać moja babcia.

Widzę, jak dziewczyna przy kasie kupuje puszkę tego świecącego w ciemności napoju izotonicznego, który podaje się dzieciom, kiedy rzygają jak koty. Przez chwilę myślę, że to ona, co oczywiście jest niemożliwe, bo Ariel przecież nie żyje. Ariel, która zawsze miała zaczerwienioną od przeziębienia twarz i beztrudnie wyciągała rękę na powitanie, chociaż chwilę wcześniej wycierała nos.

Stoję między regałami i obserwuję Katie Kouchinsky, gdy za moimi plecami rozlega się głos Callie.

– Co robisz?

Moja przyjaciółka nieruchomieje na widok Katie. Wydaje się, że żadna z nas nie zamierza jej zaczepiać, i dopiero kiedy Katie odbiera resztę i odwraca się, nasze

spojrzenia się spotykają.

– Cześć – odzywa się szeptem.

Jej głos zawsze najbardziej odróżniał ją od siostry. Ariel miała głos, który przyprawiał nauczycieli o dreszcze i najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z jego mocy, nawet kiedy mówiła o czymś krępującym, jak zakup sportowego biustonosza. Katie była cicha. W wieku siedmiu lat wciąż ssała kciuk, to właśnie wtedy widziałam ją po raz ostatni przed przeprowadzką do babci.

– Cześć – mówi łagodnym tonem Callie.

Katie sprawia wrażenie, jakby znalazła się w potrzasku. Nie rusza się, kiedy do niej podchodzimy.

– Tak ogromnie mi przykro – ciągnie moja przyjaciółka. – Zamierzałam powiedzieć ci to już wczoraj.

– To było trudne dla nas wszystkich. – Katie mówi to w sposób, który nie pozostawia wątpliwości, że nie uważa Callie za jedną z „nas”.

Callie wygląda na urażoną i wcale jej nie zazdroszczę. Będąc osobą z zewnątrz, najbardziej cenię sobie to, że nie muszę się zastanawiać nad swoją pozycją w towarzystwie.

– Muszę już iść – rzuca Katie pośpiesznie. – Miło było was spotkać.

– Czekaj. Powiedziałaś policji, że Ari była z tobą w dniu, w którym zaginęła?

Twąz Katie robi się blada jak ściana.

– Skąd...

– Nick twierdzi, że była z nim – odpowiada półgłosem moja przyjaciółka.

– Rozmawiałaś z Nickiem? Kiedy?

– Kłamiąc, nie pomożesz swojej siostrze.

Katie wzdyga się, gdy moja przyjaciółka robi krok w jej stronę. Wiem, że Callie nie chce być okrutna, ale nigdy nie bawiła się w sentymenty, jeśli czegoś chciała. Musisz być przyrodnią siostrą, mówiła, bo ja wyglądam jak Kopciuszek, a ty nie, Tesso.

Na rzęsach Katie połyskują łzy.

– Ja tylko robiłam, o co mnie prosiła. Nie masz pojęcia, co mój ojciec zrobi, kiedy się dowie, że w tej sprawie też skłamałam. Muszę już iść.

Callie kładzie dłoń na przedramieniu Katie.

– Wiemy o tym portalu w sieci – mówi szeptem. – I ty też o nim wiesz. Ari mogła powiedzieć ci coś, co może pomóc w ujęciu mordercy.

– Ale oni myślą, że to Nick. Byli dziś rano w jego domu i szukali narzędzia zbrodni.

Zastygam w bezruchu. Czegokolwiek szukali gliniarze w domu Nicka, nie była to broń.

– Czego się dowiedziałaś o okolicznościach jej śmierci?

– Niewiele. – Katie wyciera oczy. – Nie mogą o tym mówić ze względu na dobro śledztwa.

Narzędzie zbrodni. Katie myśli, że morderca zastrzelił albo zasztyletował jej siostrę, a więc policja nawet nie ujawniła, że Ariel została uduszona.

Otwieram usta, żeby się odezwać, ale Callie trąca mnie łokciem.

– Słyszałam coś na temat Ari – zwraca się do Katie. – Że przed śmiercią mogła spotkać się z jakimś facetem... Czy mówiła ci, że boi się jakiegoś mężczyzny, którego poznała w sieci?

Katie kręci głową.

– Zawsze tak starannie ich dobierała. Mówiła tylko, że są samotni i mili. Jeden nawet nie chciał iść z nią do łóżka.

– Czy opowiadała o nim coś więcej?

– Nie. A teraz muszę już naprawdę iść. – Katie owija uszy plastikowej torby wokół nadgarstka. – Nie powinnam rozmawiać o Ari z obcymi.

Przeciska się obok nas i znika za rozsuwanymi drzwiami. Na twarzy Callie maluje się determinacja, jak gdyby ten niedwuznaczny przytyk nie zrobił na niej wrażenia.

– Myślisz, że ten facet może być „Potworem”? – pyta.

– Żadna z ofiar nie została zgwałcona. Warto się nad tym zastanowić.

W milczeniu wychodzimy na zewnątrz, akurat kiedy Katie wsiada do pikapa, który czekał na nią przy krawężniku. Szyby w oknach są opuszczone i widać wyraźnie siedzącego za kierownicą Daryla Kouchinsky’ego.

Pan Kouchinsky spogląda na córkę, a potem na nas. Mięśnie na jego twarzy drgają, kiedy zaciska szczęki. Wrzuca bieg i odjeżdża, ale przedtem mówi coś, co sprawia, że z twarzy Katie odpływa krew.

Rozdział osiemnasty

To jedno spojrzenie Daryla Kouchinsky'ego podziałało na Callie. Jakby puścił w niej jakiś od dawna obluźowany sworzeń.

– Może nie myliłaś się co do niego. Katie powiedziała, że nie wolno jej rozmawiać o Ari – mówi drżącym głosem. – A jeżeli ona coś wie o swoim ojcu? Przecież mogła udawać, że nie ma pojęcia, kto to zrobił.

– Nie wiem. – Zapinam pas, chociaż moja przyjaciółka nie zamierza odjeżdżać z parkingu. – Może Daryl nie chce, żeby jego córka rozpowiadała rzeczy, które mogą trafić na pierwsze strony gazet. Media nie wspominają o tym, czym zajmowała się Ari.

– Wiesz, że mógł jej zrobić krzywdę, jeżeli się o tym dowiedział. – Callie przekręca kluczyk w stacyjce, a jej twarz tężeje. – On nie potrafi nad sobą panować. Pamiętasz tego psa?

Kiwam głową. Jako dziecko często się zastanawiałam, czy Daryl Kouchinsky zabił kiedyś człowieka. Niektórzy ludzie noszą swoją brutalność jak brzemień zawieszony na szyi. Jego przygarbione ramiona i wygięte plecy mówiły same za siebie.

Są ludzie, którzy po prostu lubią krzywdzić innych, ale są też i tacy, którym trzeba dać pretekst. Ktoś, kto jest zdolny zabić własną córkę, zalicza się do kategorii, w której istnienie wołałabym nie wierzyć.

– Katie wie więcej, niż nam powiedziała – ciągnie Callie. – Próbuje chronić swojego ojca.

– Albo samą siebie przed nim.

Przez resztę drogi nie rozmawiamy. Kiedy Callie parkuje przed domem, w jednym z okien rozchylają się zasłony. Maggie wie, że wróciłyśmy. I nie wygląda na zadowoloną.

– Pytałaś, czy możemy wziąć samochód?

Moja przyjaciółka waha się przez chwilę.

– Pomyślałam, że lepiej przeprosić po fakcie, niż pytać o pozwolenie.

– Jeśli twoja mama uzna, że sprowadzam cię na złą drogę, odeśle mnie z powrotem na Florydę.

– Och, daj spokój – mówi Callie, gasząc silnik. – W jej oczach jesteś bez skazy. Swoją drogą, jak ty to robisz? Musisz mi zdradzić ten sekret.

W jej głosie słychać nutę żalu. Nie zdaje sobie sprawy, że się myli. Wszyscy jesteśmy zdolni do wybaczenia i być może Maggie przewyższa pod tym względem przeciętnego człowieka.

Ale to, że trzymam przed nią w tajemnicy pewne rzeczy, jest niewybaczalne.

Callie i Maggie prowadzą w salonie ożywioną dyskusję, więc nie mogę

usiąść przy komputerze, żeby poszukać informacji na temat Danny'ego Densinga. Postanawiam przejrzeć resztę więziennych szpargałów mojego ojca i sprawdzić, czy zostawił mi jakieś wskazówki, które mogłyby pomóc w odnalezieniu matki albo siostry. Idę na górę i tak długo grzebię w worku z rysunkami, aż natrafiam na ten, który mnie interesuje.

Bear Creek, 1986.

Nie mogę się pochwalić zbyt obszerną wiedzą na temat historii mojej rodziny. Mój ojciec miał czworo rodzeństwa, z czego trójka była dziećmi jego ojczyma. Kiedy byłam mała, poznałam jego brata. Gościł u nas przez dwa dni, a potem zniknął z biżuterią mojej matki i słoikiem ćwierćdolarówek, które Joslin trzymała na komodzie. Rok później znaleziono jego ciało w melinie narkomanów w Filadelfii. Zapalenie płuc czy coś takiego.

Ojciec mojego ojca nie żyje. Matka mojego ojca, otyła kobieta w kwiecistej podomce, zmarła, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. To ona trzyma mnie na kolanach na jednej z niewielu ocalałych fotografii rodzinnych, która została zrobiona w jej domu w New Castle. Wkrótce potem moja matka pokłóciła się z nią i zabroniła ojcu zabierać mnie do babki. Babcia Lowell zmarła dwa lata później.

I to wszystko, co wiem o rodzinie mojego ojca. Mojej rodzinie.

A jednak to wystarczy, abym żyła w przeświadczeniu, że Lowellowie nie należeli do ludzi, którzy posiadali jakieś nieruchomości, bo gdyby było inaczej, mój ojciec z całą pewnością nie zachowałby takiej informacji wyłącznie dla siebie. Był typem faceta, który chwalił się śmieciarzowi, jaką wielką kupę zrobił rano. Mną też się chwalił tym przerażającym ludziom, którzy przychodzili do naszego domu.

To jest moja Tessa, mówił. Najmądrzejsza z nas wszystkich.

Ale jest całkiem możliwe, że przodkowie mojego ojca bardzo dawno temu mieli jakiś dom w Bear Creek. Mogli go sprzedać, zanim jeszcze moi rodzice się poznali.

W mojej piersi wzbiera napięcie, jakbym zamiast serca miała kawałek naprężonej gumy. Już nigdy nie będę miała szansy lepiej go poznać, a mogłam dowiedzieć się o nim tylu rzeczy, gdyby wszystko potoczyło się inaczej. Gdyby z nami został. Gdyby matka nie zrobiła wszystkiego, żeby wymazać go z naszej pamięci.

A teraz wygląda na to, że to właśnie on wskazuje mi jedyną drogę do niej.

Wciąż nie mogę skorzystać z komputera, więc dzwonię z komórki na informację, chociaż ta usługa kosztuje około trzech dolarów za minutę i babcia wyjdzie z siebie, kiedy zobaczy rachunek. Proszę o połączenie z wydziałem katastralnym w Bear Creek. Operatorka przekierowuje rozmowę i czekam. Kiedy w słuchawce dobiega końca druga piosenka Beatlesów w aranżacji fortepianowej, wreszcie ktoś odbiera.

– Hm... dzień dobry... – Zapominam języka w gębie, co często mi się zdarza, kiedy jestem zmuszona skorzystać z telefonu. – Chciałabym się dowiedzieć, czy w państwa ewidencji figuruje pewna nieruchomość. Domek rekreacyjny.

– Jak się nazywa właściciel? – pyta urzędniczka.

– Glenn Lowell.

Słyszę stukot klawiatury, a potem ciężkie westchnienie, jakby kobieta już zdążyła się znudzić.

– Nie mamy tu nikogo takiego.

– A kogokolwiek o takim nazwisku?

W słuchawce zapada cisza, a po chwili rozlega się kolejne westchnienie.

– Proszę posłuchać, coś pani powiem. Z tamtej okolicy mamy niewiele danych, a ludzie, którzy tam mieszkają... O adres proszę nie pytać, bo nie ma adresu.

– Nie rozumiem.

– Jest tu wiele opuszczonych domów, które powstały w czasach, kiedy Bear Creek było ośrodkiem narciarskim. Dzicy lokatorzy osiedlają się w nich albo budują nowe.

– Czy to dozwolone?

– Oczywiście nie, ale nie mamy środków, żeby kontrolować tysiące kilometrów kwadratowych lasu. Dopóki mieszkańcy nie sprawiają problemów, nie posyłamy tam nikogo.

Uchylenie się od podatków. Nielegalne osadnictwo. Wygląda to na proceder typowy dla Lowellów. Nareszcie coś konkretnego.

Tego wieczoru na kolację są tacos. Kiedy woń smażonego mięsa dociera na piętro, Callie staje w drzwiach mojego pokoju.

– Jest na nas wściekła? – pytam.

Moja przyjaciółka kręci głową.

– Nie. Myślę, że mamy spokój na jakiś czas. Przyznała mi rację, że wyjście z domu to najlepszy sposób, żeby poradzić sobie z tym, co spotkało Ari – mówi i wchodzi do środka. – W sieci nie znalazłam nic na temat Danny'ego Densinga, ale przypomniałam sobie o tym.

Callie kładzie na łóżku księgę pamiątkową liceum w Fayette. Jest otwarta na stronie ze zdjęciami abiturientów. U góry widnieje napis *Rocznik 2003*.

– Skąd to masz?

– Robiłam zdjęcia dla naszego rocznika. Opiekun dał mi zbiór starych wydań, które sięgają lat osiemdziesiątych.

Czuję nagły przypływ adrenaliny. Moja siostra może być na jednym z przypadkowych ujęć. Może kibicowała wraz z koleżankami na jakimś meczu, zanim rzuciła szkołę. Callie zdaje się czytać w moich myślach.

– W każdym razie spójrz – mówi, pokazując zdjęcie brunetki o szerokim uśmiechu. Anne Marie Jones. – Pamiętasz ją?

Tak naprawdę nie poznałam dobrze Anne Marie Jones i zdążyłam tylko się przekonać, że jest nudna jak jej imiona i nazwisko. Nie bywała w naszym domu, bo nigdy nie zapraszałyśmy do siebie nikogo. Zresztą nawet nie przyjaźniła się z moją siostrą. Razem pracowały w piekarni.

Jos uwielbiała tę pracę, chociaż musiała wstawać o wpół do piątej nad ranem. Stała za ladą, ważyła ciastka, pakowała je do pudełek i przewiązywała sznurkiem. Miała nadzieję, że szef pozwoli jej w końcu pomagać przy wypiekaniu i dekorowaniu tortów. Zawsze miała pewną rękę, jak rzeźbiarka. Kiedy bawiłyśmy się na podwórku, robiła mi kukielki z patyczków i liści, a elfom przyczepiała do pleców skrzydełka z kwiatowych płatków, owijając je źdźbłami trawy z taką wprawą, jakby to była nitka.

– Parę razy była w kinie z Lori i Joslin.

Tak, przypominam sobie. A Joslin nie była z tego zadowolona, bo Anne Marie sama się wprosiła. Moja siostra mówiła o niej, jakby przebywanie w jej towarzystwie było karą, ale Lori nigdy nie zmarnowała okazji na nawiązanie nowej znajomości.

– Wciąż tu mieszka?

Callie kiwa głową.

– Teraz to Anne Marie Hahn, jak ci właściciele Boathouse. Wyszła za ich syna czy kogoś takiego.

Rozsądek podpowiada mi, żeby nie robić sobie wielkich nadziei. Joslin nie zdradziła nikomu, dlaczego ani dokąd wyjeżdża, więc czemu miałyby rozmawiać o tym z jakąś namolną koleżanką, z którą pracowała w wakacje? Ale skoro Anne Marie weszła w bogatą rodzinę – w każdym razie bogatą jak na Fayette – prawdopodobnie uważała się za kogoś ważnego. A ważne osoby sporo wiedzą. A przynajmniej tak im się wydaje.

Anne Marie Hahn mieszka w jednopiętrowym domu i wygląda na to, że jej mąż nie szarpnął się dla niej na jedną z tych kiczowatych podmiejskich rezydencji, na co zapewne liczyła. Domyślam się tego, bo dowiedziawszy się, że Callie jest kuzynką Lori Cawley, Anne Marie zaprasza nas do środka i bez żenady zaznacza, że „dobrze się ustawiła”, kiedy uprzejmie chwalimy jej dom.

– Hm, zaraz wrócę – mówi, spoglądając wymownie w stronę przylegającego do holu salonu, w którym dwaj chłopcy wrzeszczą wniebogłosy. – Przedszkole jest otwarte tylko do czerwca, więc latem nie mam znikąd pomocy.

Callie wydaje pomruk oznaczający zrozumienie, a ja zachodzę w głowę, jakiej pomocy może potrzebować kobieta, która nie ma nic innego do roboty. Żeby zachować poważną minę, wbijam wzrok w ścianę. Jest pomalowana na jasny błękit i przyozdobiona czarnymi kalkomaniami, które zachęcają: „Żyj”, „Śmieję się”,

„Kochaj”. Na ramkach do fotografii widnieje wytłoczony napis „Rodzina”. Prawie jak gdyby Anne Marie próbowała samą siebie do czegoś przekonać.

Wyrzywa mi się ironiczne prychnięcie i Callie piorunuje mnie wzrokiem.

– Dla mnie jest w tym coś miłego – stwierdza.

W salonie Anne Marie włącza dzieciakom bajkę. Na DVD. Całe Fayette. Nikt tu nawet nie korzysta z Netflixa.

Obaj chłopcy mają jasne włosy i nie więcej niż pięć lat. Jeden z nich gapi się na nas, wykrzywiając usta w płaczącym grymasie na widok obcych. Drugi domaga się żelek i matka oznajmia mu ostrym tonem, że słodczyce dostanie po lunchu.

– Boże. – Anne Marie wraca do holu, a uśmiech na jej twarzy jest tak szeroki i sztuczny, że muszę odwrócić wzrok. – Ale wyrosłyście. Czyste szaleństwo.

Proponuje, abyśmy usiadły „na tyłach”. Sadza nas przy stoliku na patio i z powrotem znika w domu, by wrócić po chwili z kartonem lemoniady, kompletem szklanek i dwiema butelkami wody mineralnej.

Kładzie podbródek na splecionych dłoniach, opierając łokcie na blacie. Nie wiem, której z nas się przygląda, bo jej wylupiaste paciorkowate oczy spoglądają tępo przed siebie. Skoro powiedziała nam obu, że wyrosłyśmy, najwyraźniej wie, kim jestem, ale nie dała tego wprost do zrozumienia.

– No i co u was słyhać? – mówi i znów szczyrzy zęby, jakbyśmy były starymi przyjaciółkami, które wymieniają się ploteczkami.

Wodzę wzrokiem po zastawionym stoliku i robi mi się jej żal. Callie spogląda na mnie.

– Mój ojciec umarł – odzywam się.

Brzmi żałośnie. Twarz Anne Marie przybiera łagodny wyraz.

– Tak mi przykro. Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Słyszałam, że ludzie w żałobie nienawidzą tego pytania. To nic innego jak głupkowaty frazes. Ale ja okazuję się osobą, która zamierza potraktować je poważnie. Cóż, jest taka rzecz...

– Próbuję odnaleźć moją siostrę – mówię.

Anne Marie marszczy czoło.

– Nie miałam kontaktu z Joslin, odkąd wyjechała.

– Nikt nie miał z nią kontaktu – wtrąca Callie. – Dlatego szukamy Danny’ego.

– Danny’ego Densinga? – Anne Marie unosi brwi ze zdumienia i popija łyk lemoniady. – Ale kiedy Joslin znikła, przestała się z nim spotykać.

Oczywiście wiedziałam o tym. Wprawdzie moja siostra nie powiedziała nikomu, że zerwała z Dannym, ale widziałam to w jej oczach. W ciągu tych paru miesięcy poprzedzających jej zniknięcie Danny zaglądał do nas i pytał o nią, ale za każdym razem była jeszcze w piekarni. Kilka razy zdarzyło jej się wrócić do domu

grubo po dziesiątej wieczorem i ogłaszała wtedy, że jest śmiertelnie zmęczona i nie ma ochoty mówić, gdzie była. Czyżby unikała go ze strachu? Czy wiedziała, że był zamieszany w ten wybuch albo coś jeszcze gorszego?

– Wiesz, gdzie teraz mieszka Danny? – pytam.

– Och, nie. Już jakiś czas temu słyszałam, że pracował w jakimś salonie samochodowym.

Anne Marie częstuje lemoniadą Callie, która zapewnia, że nie chce jej się pić. Potem wręcza szklankę także mnie, ale gdy unoszę ją do ust, wpada do niej komar.

– Szczerze mówiąc, myślałam, że Joslin w końcu wróci. Napomykała, że chciałyby wynająć gdzieś mieszkanie, a ja jej na to: Jos, czy ty masz pojęcie, ile kosztuje życie na własny rachunek?

Zatem moja siostra zwierzyła się komuś ze swoich planów. Sięgam po szklankę, żeby zająć czymś ręce i przypominam sobie o komarze pływającym w lemoniadzie.

– Nie mogę uwierzyć, że tak po prostu znikła. – Anne Marie dotyka mojej dłoni, ale jej spojrzenie nadal pozostaje błędne. – Byłaś wtedy jeszcze dzieckiem.

Joslin też, przynajmniej z prawnego punktu widzenia.

– Tak, nie było lekko.

– Zwłaszcza po tym, co obie przeszłyście w sądzie.

Callie zmienia pozycję na krześle.

– Właściwie chciałam zamienić kilka słów o Lori – odzywa się. – Nie wiem, jak dobrze ją pamiętasz...

– Oczywiście, że ją pamiętam – przerywa jej Anne Marie. – Lori była wprost przeurocza.

Zauważam, jak jej oczy strzelają w moją stronę, posyłając mi niemal oskarżycielskie spojrzenie. Lori była przeurocza. Nie to co Joslin. Nasuwa mi się pytanie, czy ta kobieta wie o mojej siostrze coś, co postanowiła przemilczeć.

– Po prostu... staramy się ogarnąć to wszystko, co wydarzyło się tamtego lata – mówi Callie ogólnikowo.

Anne Marie szeroko otwiera oczy.

– Och, biedaczki. Boicie się, że on wyjdzie, tak? – mówi, pochylając się nad stolikiem, i dotyka naszych dłoni, jakbyśmy miały po osiem, a nie osiemnaście lat.

– Ten człowiek nigdy, przenigdy nie wyjdzie na wolność. Już nigdy nikogo nie skrzywdzi.

Callie posyła jej blady uśmiech.

– Och, wiemy o tym. Po prostu Lori była... Wciąż bardzo mi jej brakuje. Miło usłyszeć, że wspomina ją ktoś oprócz naszej rodziny.

Jak się okazuje, słuchanie własnego głosu jest ulubionym zajęciem Anne Marie. A Lori najwyraźniej stała się w jej mniemaniu niemalże świętą.

– Była starsza od nas, ale zachowywała się jak beztrojski dzieciak, wiecie?
– Uśmiecha się do siebie. – Kiedyś wyszedł nowy film Disney Pixar, a ona w środku nocy nabrała ochoty, żeby go obejrzeć, ale Jos i ja za bardzo się krępowaliśmy. No to walcie się, tak nam powiedziała i poszła oglądać sama.

Callie łowi każde jej słowo i wpatruje się w nią jak w obrazek. Czyli nie kłamała, że lubi słuchać, jak ludzie opowiadają o Lori. Wiem, jakie to uczucie, kiedy za kimś tęsknisz. Możesz o nim słuchać i ciągle ci mało. Nawet gdyby ktoś opowiadał na okrągło, nigdy ci się nie znudzi.

– Czy Lori i Joslin się kłóciły? – pyta Callie.

– Nie wyobrażam sobie, żeby Lori mogła z kimkolwiek się pokłócić.

– Żadnej, nawet drobnej sprzeczki? – wtrącam.

Anne Marie marszczy czoło.

– No cóż... – mówi po chwili milczenia. – Powiedziałam o tym detektywom, kiedy pytali, czy w tamtym czasie coś nie wytrąciło jej z równowagi...

– O czym im powiedziałaś?

Callie prostuje się na krześle. Kopię ją pod stołem, jakbym chciała jej powiedzieć: „Zamknij jadaczkę”.

– Lori przysłała do piekarni, kiedy Jos miała przerwę na lunch. Stały za budynkiem i słyszałam fragment ich rozmowy, kiedy poszłam wyrzucić śmieci.

A więc je podsłuchiwała. Dałabym sobie głowę za to uciąć.

– Nie wiedziałam, o czym rozmawiają, ale Lori była wzburzona, a Jos nie chciała jej słuchać – ciągnie Anne Marie. – Myślę, że chodziło o jakiegoś chłopaka.

– O Danny’ego? – pytam, ale ona kręci głową. – A może o Mike’a czy Tommy’ego?

– Nie, ale na pewno wspominały o jakimś Stevenie.

Spoglądam na moją przyjaciółkę, która wzrusza ramionami.

– Co to za Steven? – pytam.

– Nie mam pojęcia. W naszej szkole Jos i ja nie znałyśmy nikogo o tym imieniu, więc doszłam do wniosku, że to jakiś znajomy Lori.

Na pewno nie był to jej chłopak, ten miał na imię Chip. Pamiętam, bo kiedy powiedziała o tym mojej siostrze, Jos omal nie pękła ze śmiechu – chociaż Lori zapewniała, że to zdrobnienie od Christophera i jej chłopak wygląda jak Matt Damon w *Buntowniku z wyboru*.

– Jesteś pewna, że się kłóciły? – pyta Callie.

– Sama nie wiem. Może to było raczej jakby... nieporozumienie? – mówi Anne Marie. – Dzień później wydawało się, że wszystko między nimi jest w porządku, kiedy przyszły razem, żeby Jos mogła odebrać wypłatę.

Trzaskają siatkowe drzwi i na patio wybiega młodszy z chłopców – ten, który wcześniej tak podejrzliwie przyglądał się mnie i Callie. Wdrapuje się na kolana matki i szepcze jej coś na ucho.

– Co się dzieje, kruszynko? – pyta Anne Marie i dzieciak zalewa się łzami.

Callie chce zadać jeszcze jakieś pytanie, ale jej głos nika wśród rozpaczliwego zawodzenia.

– Bardzo was przepraszam, ale ktoś tu zrobił się marudny.

– Nic nie szkodzi – odpowiada Callie, przekrzykując płaczące dziecko.

– I tak już powinniśmy się zbierać.

Anne Marie odprowadza nas do furtki, trzymając na rękach synka, który obejmuje ją za szyję jak małpka i wrzeszczy jej prosto do ucha. Nasze pożegnanie nie trwa długo.

Kiedy odjeżdżamy, nie mogę oderwać oczu od Anne Marie Hahn i jej dziecka. Staram się nie zwracać uwagi na klucie w piersi, kiedy patrzę, jak wraca do swojego świata, który wypełniają życie, śmiech, miłość i rodzina.

Rozdział dziewiętnasty

– Jesteś pewna, że Steven to nie jeden z braci Faberów? – pyta Callie, gdy dojeżdżamy do głównej drogi.

Wzruszam ramionami.

– Była żona Joego wspomniała tylko o Tommym i Mike’u.

– Może to jakiś znajomy Lori z Filadelfii?

– W takim razie czemu kłóciła się o niego z Joslin? – pytam.

– Nawet nie wiemy, czy się kłóciły. Jak Anne Marie może być tego pewna po dziesięciu latach?

– Nie słyszałaś głosu Lori, kiedy rozmawiała przez telefon – odpowiadam. Z jakiegoś powodu ogarnia mnie po tej wizycie zrzędlawy nastrój. – Ona była wkurzona.

Moja przyjaciółka zaciska dłonie na kierownicy.

– Chciałam tylko powiedzieć, że to było bardzo dawno. Ledwie pamiętam, co robiłam tydzień temu, a ty jesteś taka pewna, że Lori kłóciła się z twoją siostrą tamtego wieczoru.

Odwracam głowę i spoglądam przez okno.

– Pewnych rzeczy się nie zapomina.

Choć tak bardzo bym chciała.

Kiedy wracamy do domu, Maggie podlewa krzewy hortensji, które rosną wokół ganku. Na nasz widok opuszcza wąż.

– Gdzie byliście?

– U Luigiego. – Callie rzuca nazwę włoskiej lodziarni przy drodze na kąpielisko.

Kiedy byliśmy małe, Greenwoodowie często nas tam zabierali. Pewnego razu, kiedy wstąpiliśmy tam, wracając z zawodów gimnastycznych, Callie wpadła w panikę i nie chciała wysiąść z samochodu, żeby nikt jej nie zobaczył w kostiumie i makijażu.

– Nic ci nie przywiozłyśmy, bo i tak by się roztopiło – dodaje dla lepszego efektu i znika we wnętrzu domu.

Zostaję na zewnątrz i pomagam Maggie w podlewaniu, żeby mogła dokończyć plewienie, zanim nastanie popołudniowy skwar. Później Maggie zaczyna przyrządzać obiad, a ja wymykam się do salonu, gdzie zauważam najnowszą wersję książki telefonicznej, która leży obok instrukcji obsługi komputera.

Dochodzę do wniosku, że przez najbliższych kilka godzin nikt nie będzie jej potrzebował, i zabieram ją na górę. Mam nadzieję, że za chwilę nie przyjdzie do mnie Maggie, żeby zapytać, na kiedy mam zamiar zarezerwować sobie bilet

powrotny na Florydę.

W pokoju gościnnym panuje zaduch, więc zostawiam otwarte drzwi. Wczoraj przy kolacji Rick mówił o przeniesieniu klimatyzatora z salonu do mojego pokoju, żebym nie musiała spać przy otwartym oknie. Zapewniałam go, że nie musi się fatygować, chociaż co noc mam wrażenie, jakbym gotowała się w piekielnym kotle. Włączam wentylator na najwyższe obroty i siadam naprzeciwko niego z książką telefoniczną.

Numery salonów samochodowych w samym hrabstwie Fayette zajmują aż trzy strony. Hrabstwo zajmuje ogromną powierzchnię, na której znajduje się około trzydziestu różnych miast i miasteczek. Gdyby Danny Densing był mądry, wyniósłby się do zupełnie innego hrabstwa. Ale Danny nie był mądry, kiedy go poznałam, a z doświadczenia wiem, że ludzie głupi z wiekiem stają się jeszcze głupszy. Jeśli do tej pory udawało mu się unikać odpowiedzialności za wybuch w Arnold, prawdopodobnie nabrał przekonania, że najgorsze już za nim. Nie zdziwiłabym się, gdyby nadal mieszkał w hrabstwie Fayette.

Dzwonię do pierwszego salonu, Chevroleta w Bronsville, i dowiaduję się, że nie pracuje tam nikt o imieniu Dan ani Danny. Gdy powtarzam swoje pytanie za piątym razem, ktoś każe mi czekać i przełącza rozmowę. Czuję, jak mój żołądek wywraca się na lewą stronę. W słuchawce rozlega się kliknięcie.

– Mówi Dani – odzywa się kobiecy głos.

Przerywam połączenie.

Leżę na plecach i wsłuchuję się w szum wentylatora. Czuję się jak pies zamknięty w rozgrzanym samochodzie. Ze spieczonego na słońcu nosa schodzi mi skóra i pewnie teraz będę miała dwa razy więcej piegów. Całe szczęście nie jestem próżna.

Wracam do listy salonów samochodowych. W ciągu niespełna dwóch godzin obdzwoniłam prawie wszystkie. Z dołu dobiega zapach duszonej cebuli, a po drugiej stronie korytarza rozlega się szum wody, kiedy Callie bierze prysznic. Telefon odbiera jakiś mężczyzna.

– Słucham, Bob z tej strony.

– Czy pracuje u was ktoś imieniem Danny?

– Jest tu dwóch takich.

Czuję, jakby ziemia usuwała mi się spod nóg. Zerkam na książkę telefoniczną, żeby zobaczyć, gdzie się dodzwoniłam. Smith's Nissan.

– Halo? – odzywa się Bob.

– Czy jeden z nich nazywa się Densing? – pytam. – Szukam Danny'ego Densinga.

Słyszę jakieś kliknięcie. Skurczybyk odłożył słuchawkę? Spoglądam z niedowierzaniem na wyświetlacz komórki i zauważam, że połączenie nadal trwa. Przykładam telefon z powrotem do ucha. Sygnał oczekiwania. A więc Bob mnie

przełączył. Po kilku kolejnych sygnałach odzywa się automatyczna sekretarka.

– Cześć, mówi Dan. Musiałem wyjść, ale jeśli zostawisz mi wiadomość i swój numer, oddzwonię do ciebie, kiedy tylko będę mógł.

Rozlega się sygnał. Krew w moich żyłach przestaje krążyć i nagle czuję chłód, który przenika mnie do szpiku kości. Muszę coś powiedzieć, zanim skończy się czas na nagranie. Recytuję swój numer telefonu i mówię, że jestem zainteresowana kupnem altimy. Przedstawiam się jako Kelly.

Rozłączam się, ale jeszcze długo nie mogę zapanować nad drżeniem rąk. Myślałam, że nie mogę być już pewna niczego, co ma jakikolwiek związek z tym miejscem, ale nie mam nawet cienia wątpliwości, że głos na automatycznej sekretarce należy do Danny’ego Densinga.

Podczas obiadu Maggie przygląda mi się uważnie, prawdopodobnie dlatego, że cały czas trzymam rękę w kieszeni, ściskając komórkę, na wypadek gdyby zadzwonił Danny. Rick zastępuje kogoś w pracy, więc jesteśmy tylko we trzy. Callie kończy jeść i oświadcza, że idzie do Sabriny.

– Prawie nic nie zjadłaś – protestuje Maggie, marszcząc czoło, ale Callie już wstaje i bierze leżące na blacie kuchennym kluczyki.

Ma rozprostowane włosy, a jej dekolt połyskuje od świeżej warstwy balsamu. Nie wybiera się do Sabriny. Jedzie spotkać się z Ryanem, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Wyobrażam ich sobie, jak leżą w jego łóżku. Zastanawiam się, jakie to uczucie pozwolić komuś tak się do siebie zbliżyć. Albo czy Callie sypia z Ryanem, żeby owinać go sobie wokół palca? Ale po chwili zacznę czuć się obrzydliwie i porzucam swoje rozważania.

– Wrócę za dwie godziny – oznajmia, a potem, jakby po chwili namysłu, całuje matkę w policzek.

Maggie zaskoczona unosi rękę do twarzy.

– Ale nie później! Jutro rano musimy stąd wyjechać najpóźniej o wpół do siódmej! – woła w stronę holu, a gdy za Callie zatrzasną się drzwi, odwraca się do mnie. – Dziewczęta, które trenowała Callie, mają jutro przegląd w Pittsburghu. Będzie nam bardzo miło, jeśli pojedziesz. Wiem, że to nie brzmi zbyt ekscytująco i zajmie cały dzień, ale możemy wstąpić gdzieś na lunch i trochę pozwiedzać.

Przesuwam po talerzu ziarna kukurydzy i fasoli, kiedy to do mnie dociera. Greenwoodowie wyjeżdżają na cały dzień.

– Właściwie to... – mówię, odkładając widelec. – Mam już plany na jutro. Umówiłam się z dawnym kolegą.

Maggie przechyla głowę.

– Z kim?

– Z Deckerem Lucasem.

Mam ochotę zapaść się pod ziemię. Nie tylko ją okłamuję, bo Decker i ja nie mamy żadnych planów – przynajmniej na razie – ale na domiar złego, widząc moje

zakłopotanie, Maggie prawdopodobnie myśli, że jesteśmy umówieni na randkę.

– Och, Decker to miły chłopiec.

Może mi się wydaje, ale jej uśmiech lekko się wykrzywia, gdy obie z powrotem skupiamy uwagę na swoich talerzach. Tak jakby mi nie wierzyła.

Po powrocie do pokoju sprawdzam, czy nie mam żadnych nieodebranych połączeń ani wiadomości głosowych, choć przecież to niemożliwe, żebym nie poczuła wibracji w kieszeni. Wkładam piżamę i kładę się do łóżka z rysunkiem ojca przedstawiającym domek w Bear Creek.

Jaka jest szansa, że Danny w ciągu ostatnich dziesięciu lat miał kontakt z Jos? Jeśli w ogóle oddzwoni i będzie chciał ze mną rozmawiać, kiedy się dowie, że nie jestem żadną Kelly zainteresowaną kupnem altimy.

Intuicja podpowiada mi, że Jos znalazła naszą matkę, ale nie szukała jej w Deer Creek. Bo przypuszczalnie wiedziała, że jej tam nie ma. Joslin jest starsza ode mnie, i to na tyle, żeby pamiętać ten leśny domek z rysunków ojca. Może nawet tam była, zanim jeszcze się urodziłam.

Miałabym jechać dwie i pół godziny samochodem do Bear Creek, bo mam przeczucie, że mogę tam znaleźć moją matkę? To zwariowany pomysł. Callie powiedziałyby, że szkoda na to czasu.

Odnajduję w komórce numer Deckera, którego na szczęście nie wykasowałam, i wysyłam mu wiadomość.

„Tu Tessa. Co jutro robisz?”

Po minucie dostaję odpowiedź: „Nic. A czemu pytasz?”.

Przygryzam wnętrze policzka, kiedy piszę: „Byłeś kiedyś w Bear Creek? Chciałbyś tam pojechać?”.

„Nie. No pewnie!!!”

Nie mogę powstrzymać uśmiechu, który rozlewa się na mojej twarzy. Chyba natrafiłam na kogoś równie szalonego jak ja.

Rozdział dwudziesty

Decker chce po mnie przyjechać do domu Greenwoodów, ale upieram się, żebyśmy się spotkali w Quik Mart. Nie chcę, żeby sobie pomyślał, że to randka albo coś takiego.

W zasadzie nigdy tak naprawdę nie byłam na randce, stąd cała ta niepewność, co jest randką, a co nie. Najbardziej zbliżyłam się do tego w siódmej klasie. Frank Tricario siedział w ławce za mną na lekcjach fizyki. Był ode mnie niższy o całe pięć centymetrów i wcierał żel we włosy, które nad czołem układały mu się w taki śmieszny ząbek. W walentynki podał mi złożoną kartkę z segregatora i wymamrotał:

– Ktoś mi powiedział, żebyś mi to dał.

Na kartce był szkic długopisem przedstawiający wszystkie dziewięć planet oraz wyjaśnienie, że narysował je, bo właśnie uczymy się o Układzie Słonecznym. A pod spodem dopisek „Szczęśliwych walentynek, Tesso!!!” i numer telefonu. Rozpoznałam pismo Franka. Wyrzuciłam kartkę do kosza, zanim jeszcze wsiadłam do autobusu, bo pomyślałam, że chyba umarła, gdyby babcia ją znalazła. Do końca roku starałam się unikać wzroku Franka, nawet kiedy przekazywałam mu jakieś materiały na lekcjach.

Nigdy nikomu o tym nie opowiedziałam, ale czasem wyobrażam sobie, że w mojej głowie dyskutuje dwoje psychiatrów – kobieta wygląda jak doktor Marano, do której zaprowadziła mnie babcia, kiedy byłam młodsza. Doktor Marano dowodzi, że wyrzuciłam kartkę, bo odczuwam lęk przed kontaktami społecznymi i nie jestem zdolna do nawiązywania głębokich relacji z ludźmi. Ten drugi psychiatra mówi, że Frank po prostu nie przypadł mi do gustu. Jego opinia bardziej mi się podoba.

Przed wyjściem dopompowuję opony w rowerze Callie. Tak na wszelki wypadek. Na stację benzynową docieram pierwsza, więc mam jeszcze chwilę, żeby kupić dwie paczki żelek i butelkę mrożonej herbaty. Kiedy Danny wjeżdża na parking przed sklepem, macham do niego, a on opuszcza szybę. Unoszę rękę, pokazując mu żelki, a jego twarz promienieje jak choinka na święta.

Otwieram drzwi i wsiadam do samochodu; tego samego, który przedwczoraj widziałam na podjeździe przed jego domem. Skórzaną tapicerkę foteli pokrywają liczne pęknięcia, a deska rozdzielcza jest wypłowiała od słońca.

– Co to za wóz? – pytam.

– Chevrolet monte carlo rocznik dziewięćdziesiąty drugi – mówi Decker.

– Należał do mojego ojca.

– Niezły.

Przesuwam palcem po szwie z boku fotela, zastanawiając się, czy uda nam

się dojechać do Bear Mountain samochodem, który jest starszy od nas. Cofając na parkingu, Decker wpada na krawężnik; podskakujemy na siedzeniach i omal nie uderzam głową w podsufitkę. Zamykam oczy i próbuję się rozluźnić, kiedy odgłos silnika z powrotem przybiera jednostajny ton.

– Według wskazówek, które sobie wydrukowałem, powinniśmy jechać międzystanową. – Decker drapie się po karku. – Tak sędzę.

Wskazuje na podłogę pod moimi nogami, gdzie leży stara torba z Taco Bell wypełniona śmieciami i złożona kartka. Rozkładam ją i przyglądam się trasie. Wygląda tak samo jak ta, którą wyszukałam dziś rano w sieci.

– Mam dla ciebie pieniądze na benzynę – mówię, kiedy kierujemy się w stronę autostrady.

Skorzystałam z bankomatu w sklepie. Stan mojego konta zmaleł do dwóch cyfr, co mnie martwi, ale liczę, że przy odrobinie szczęścia niedługo opuszczę Fayette i wrócę do pracy.

Decker lekceważąco macha ręką – tą, której nie zanurza właśnie w paczce żelek.

– Rany, te lubię najbardziej, ale jest problem, bo mama nie pozwala mi jeść niczego, co ma czerwony barwnik.

– A co jest złego w czerwonym barwniku?

– PKU – mówi i zawiesza głos, jakby ten skrót wszystko tłumaczył.

Wzruszam ramionami, a Decker zaczyna opowiadać, że kiedy był noworodkiem, zdiagnozowano u niego fenylketonurię, co oznacza, że musi przestrzegać ścisłej diety, w przeciwnym razie może dostać ataku padaczki albo doznać upośledzenia umysłowego.

– Tak czy owak, nikt już teraz nie stosuje czerwonego barwnika numer trzy, ale moja mama i tak jest przekonana, że nie pójdę na studia, bo na przyjęciu urodzinowym w przedszkolu jadłem M&M's-y.

Nie wiem, czy powinnam się roześmiać, ale Decker szczyrzy zęby w uśmiechu.

– A więc co takiego jest w tym Bear Creek? – pyta i chwyta zębami kolejną żelkę, która zwisa mu z ust jak długi papieros.

– Moja mama.

Postanawiam uczciwie go uprzedzić, że być może to wszystko jest jedną wielką stratą czasu.

– Przynajmniej tak myślę – dodaję. – Próbuję ją znaleźć, odkąd tu przyjechałam, i natrafiłam na ten rysunek. Przypuszczam, że moja rodzina ma tam dom.

Decker sprawia wrażenie oczarowanego i ani trochę nie przeszkadza mu to, że wybieramy się w sześciogodzinną podróż z powodu moich przeczuć i jakiegoś rysunku.

– Więc jesteśmy trochę jak detektywi albo coś w tym rodzaju?
– Tak – odpowiadam i uśmiecham się. Robi mi się miło. – Dokładnie tak.
– Ależ to jest urocze. Cholernie urocze.
– Naprawdę ci to nie przeszkadza? – pytam. – Pewnie masz sto tysięcy lepszych rzeczy do roboty.

– Nie – mówi Decker. – Nie dostałem tej pracy w sklepie rowerowym. Nie mam kwalifikacji.

Palcami nakreśla w powietrzu cudzysłów, wypowiadając ostatnie zdanie, i wybucham śmiechem, choć czuję narastający ucisk w żołądku.

Ale nawet Decker nie jest w stanie zabawić mnie rozmową przez całą blisko trzygodziną podróż. Po godzinie kończy mu się repertuar i włącza radio, które przycisza, kiedy odczytuję mu wskazówki z kartki. Żeby dostać się do Bear Creek, leżącego na zachód od masywu Allegheny, musimy jechać prosto na północ. Chciałam zobaczyć obraz satelitarny tamtych okolic, siedząc rano przy komputerze, ale okazało się, że nawet dla Google Earth to zbyt wiele.

Po dwóch godzinach jazdy zauważam, że punkty postojowe przy drodze wyglądają na bardziej przestarzałe. Wraz z rosnącą wysokością ciśnienie rozsada mi uszy, a radio zaczyna charczeć. Decker je wyłącza.

– Dawno nie widziałem żadnego zjazdu – mówi. – Gdzie my, do cholery, jesteśmy?

– Będę udawała, że nie słyszałam, jak przeklinasz.

Patrzę na ciemną niewyraźną mapę na dole kartki. Jakkolwiek nazywa się miejsce, w którym teraz jesteśmy, nie ma go na wydruku. Jeszcze raz przeglądam wskazówki.

– Powinniśmy zjechać w Wigwam Road.

– Jest. – Decker pokazuje znak widoczny kilkaset metrów przed nami. – To musi być to.

Zwalnia i skręca przy znaku. Na skrzyżowaniu nie ma świateł, a w zasięgu wzroku nie widać żadnego samochodu. Tylko ten samotny znak stopu. Niecały kilometr dalej kończy się asfalt i zjeżdżamy na szutrową drogę, która później zamienia się w zwykły gruntowy trakt. Mijamy opuszczoną stację benzynową z przestarzałymi dystrybutorami, co świadczy o tym, że jest nieczynna od co najmniej trzydziestu lat.

– Myślę, że kiedy dojedziemy do głównej drogi, powinniśmy skręcić w lewo – mówię, kiedy po piętnastu minutach jazdy nie widać żadnego skrzyżowania.

Ogarnia mnie niepokój na myśl, że się zgubiliśmy, a nasze komórki nie mają zasięgu.

– Możemy kogoś zapytać – proponuje beztrósco Decker, jakbyśmy byli w Pittsburghu, a nie na jakimś pieprzonym zadupiu.

Okazja nadarza się dopiero kilka kilometrów dalej. Przed drewnianym

domem siedzi na składanym krzeselku jakiś staruszek i obcina sobie paznokcie scyzorykiem. Decker zwalnia, ale przed budynkiem nie ma podjazdu, na którym moglibyśmy się zatrzymać; tylko trawa i goła ziemia. Wzrusza ramionami i parkuje na nierównym poboczu. Mężczyzna chowa scyzoryk do kieszeni, kiedy wysiadamy z samochodu.

– No to pewnie się zgubiliście.

Mówi z wyraźnym lokalnym akcentem.

– Próbujemy się dostać do Bear Creek – wyjaśnia Decker.

Staruszek prostuje się na krześle, jakby coś nagle wzbudziło jego zainteresowanie.

– A po jaką cholere? – pyta, omiatając badawczym wzrokiem każde z nas.

– Wpędziłeś ją w kłopoty, a teraz ukrywacie się przed jej starym?

Patrzy na mój workowaty podkoszulek. Pewnie myśli, że jestem w ciąży. Wyglądam materiał na brzuchu, żeby rozproszyć wszelkie wątpliwości.

– Szukamy kogoś – mówię, odganiając chmarę komarów, które krążą wokół mojej twarzy. Zauważam leżącą w trawie niedojedzoną gruszkę, na której roi się do czarnych robaków. – Jak tam dojechać?

– Z powrotem tą drogą, a na rozwidleniu główną.

– Dziękujemy – mówi Decker. – Naprawdę bardzo nam pan pomógł.

Zawracamy już w stronę samochodu, kiedy zatrzymuje nas wymowne chrząknięcie.

– Ale wiecie, co to za miejsce, nie? – odzywa się starzec i splota gęstą śliną, która ląduje tuż obok pozostałości gruszki.

– Ośrodek narciarski? – mówię.

Mężczyzna nachyla się do przodu, a z jego gardła wydobywa się szyderczy śmiech.

– Dam wam dobrą radę. Miejscowi niespecjalnie przepadają za gośćmi, którzy tam się kręcą i węszą.

– Bo mieszkają tam nielegalnie? – pytam.

– To akurat najmniejszy z problemów. Jeśli ktoś ukrywa się w Bear Creek, to znaczy, że już nie ma dokąd iść.

– Ojej. – Decker spogląda na mnie. – Znaczy, że przestępcy i te sprawy?

– Niektórzy – mówi staruszek, sięgając po scyzoryk, i znów zaczyna obcinać paznokcie. – Lepiej nie zadawajcie tam zbyt wielu pytań.

Kiedy wsiadamy do samochodu i odjeżdżamy, węzeł w moim żołądku zaciska się jeszcze mocniej. Oprócz pytań nie pozostało mi już nic.

Kierujemy się z powrotem na zachód.

– Jest.

Wskazuję rozwidlenie, które pojawia się tak szybko, że ogarnia mnie lekka panika. Musimy się zatrzymać, żeby zawrócić na głównej drodze, która jest tak

wąska, że zwieszające się nisko gałęzie drapią bok samochodu. Droga pnie się pod górę. Między drzewami zauważam tablicę z reklamą domków kempingowych. Wolne miejsca i płatność gotówką.

– I to wszystko? – pyta Decker, naciskając hamulec. W jego głosie słyszę nutę rozczarowania.

Odwracam się na fotelu, żeby mieć lepszy widok. Żwirowa dróżka niknie wśród drzew, a między pniami widać kilka domków. Na ganku najbliższego z nich stoi przy grillu jakaś kobieta. Jest odwrócona plecami, ale widzę, że trzyma ręce skrzyżowane na piersi.

Dostaję gęsiej skórki. Znam tę pozę. Znam aż nazbyt dobrze. Moja matka tak stała, czekając na mnie przy maszynie przed szkołą, kiedy kończyła sprzątanie na tyle wcześnie, żeby mnie odebrać po lekcjach.

Ściska mnie w żołądku, kiedy obraca się powoli i posyła nam nieprzyjazne spojrzenie. Oddycham z ulgą. To nie moja matka.

– Jedźmy dalej – mówię. – Spójrz przed siebie.

Decker odrywa wzrok od drogi. Przed nami w oddali wznosi się masyw góry, a jej rozdwojony wierzchołek przypomina garby wielbłąda.

– Jeszcze kawałek przed nami – dodaję. – Nie dotarliśmy nawet do podnóża tej góry.

Jadąc dalej drogą, mijamy nadgryzioną zębem czasu drewnianą tablicę, która informuje nas, że właśnie znaleźliśmy się na obszarze Bear Creek. Kolejna tablica reklamuje oddalony o szesnaście kilometrów ośrodek narciarski, który został zamknięty ćwierć wieku temu.

Przejeżdżając przez betonowy mostek, zauważamy dwóch mężczyzn, którzy stoją w dole na brzegu strumienia i łowią ryby. Kiedy unoszą głowy i gapią się na nas, osuwam się nisko w fotelu, unikając ich spojrzeń. Jestem pełna obaw, że pakujemy się w kabałę rodem z jakiegoś thrillera w stylu *Uwolnienia*, ale mój towarzysz jest tak podekscytowany, że aż podskakuje za kierownicą.

– To jest dopiero prawdziwy grajdoł zabity dechami – mówi, jakby czytał w moich myślach. – A to nas przyjezdni uważają za wieśniaków!

– Tak – odpowiadam. – Tylko nie mów tego głośno.

– Jasne. Rozumiem.

Kiedy zjeżdżamy z mostu, robi się stromo i samochód przechyla się gwałtownie do przodu. Decker sadowi się głębiej w fotelu i mocniej zaciska pas bezpieczeństwa, chociaż toczymy się w ślimaczym tempie. Mijamy drogowskaz, który kieruje nas w górę zbocza. Po obu stronach wąskiej żwirowej drogi stoją drewniane rudery i przyczepy mieszkalne.

Dwie kobiety siedzące na ganku przed sklepem wędkarskim wlepiają w nas ciekawskie spojrzenia. Trzymamy się głównej drogi, bo inaczej nie da się tędy przejechać. Mijamy knajpę, bar szybkiej obsługi mieszczący się w starej blaszanej

pryczepie i niewielki sklep spożywczy.

– Co za urocze miasteczko – odzywa się Decker. – Mają tu nawet stację benzynową.

Wskazuje głową w stronę drewnianej belki, na której widnieją wymalowane sprayem litery *Paliwo*.

– Stań przed tym sklepem – mówię.

Siedzące na ganku kobiety wciąż nie odrywają od nas wzroku i robi mi się nieswojo. Przypominam sobie tamtych dwóch mężczyzn, którzy łowili ryby w strumieniu przy mostku, i zastanawiam się, czy wszyscy tutaj chodzą parami. Nagle zaczynam jeszcze bardziej doceniać towarzystwo Deckera, który właśnie parkuje przed sklepem i wyłącza silnik. Wsiadam z samochodu, wzbijając tuman kurzu, kiedy moja stopa dotyka ziemi.

– Zabłądziliście?

Głos dobiega spod bocznej ściany budynku. Jakiś mężczyzna siedzi na otwartej pace pikapa i wprawnymi ruchami oprawia raki, które wyjmuje z kubelka.

– Nie, proszę pana – odzywa się Decker. Jest już za późno, bym go powstrzymała. – Przyjechaliśmy z wizytą do rodziny.

Facet zastyga, ściskając w dłoni podłużnego szarego stwora. Mój ojciec mówił, że nigdy by nie zjadł niczego, co żyło w strumieniach i rzekach Pensylwanii. Zbyt wiele zanieczyszczeń z elektrowni opalanych węglem.

– Rodziny – powtarza mrukiwie mężczyzna.

Ma siwiejącą brodę i nie nosi koszuli. Jest barczysty, jego ogorzałą skórę pokrywa mocna opalenizna, a na ramieniu lśni blizna, która wygląda jak brązowy myślnik.

– Ma na imię Annette – mówię, kiedy udaje mi się wydobyć z siebie głos.

– Ale może się przedstawiać inaczej. Ma jasną karnację, jest średniej budowy...

Nagle zawieszam głos, kiedy uświadamiam sobie, że tak naprawdę nie pamiętam, jak wygląda moja matka. Gdyby ktoś kazał mi ją narysować, powstałby ogólnikowy szkic pozbawiony szczegółów. Ogarnia mnie panika. Decker przygląda mi się z zaciekawieniem.

– Hm, ma piegi na ramionach – ciągnę. – Jasnobrązowe włosy. A na szyi taką jakby plamkę... Odbarwienie skóry.

Przez twarz brodacza przebiega lekki skurcz. Może coś sobie przypomniał.

– Nie znam nikogo takiego – odpowiada i znów pochyla się na kubelkiem.

Decker też to musiał zauważyć, to ledwie dostrzegalne drżenie, które sugeruje, że mężczyzna wie, o kim mówię, bo znów się odzywa.

– Myślę, że mógłby pan powiedzieć nam trochę więcej.

Mężczyzna znów nieruchomieje.

– Daję ci pięć sekund, harcerzyku, i już cię tu nie ma.

Serce zamiera mi w piersi. Decker podąża za moim spojrzeniem i jego wzrok

spoczywa na nożu do oprawiania raków, który facet ściska w dłoni. Chwytam go za rękaw podkoszulka i wciągam za sobą do sklepu.

– Ludzie nie są tu zbyt przyjaźni – mówi półgłosem, kiedy przestępujemy próg i nad naszymi głowami rozlega się dźwięk dzwonka.

W sklepie jest gorąco jak w piecu. Wentylator pod sufitem przynosi niewiele ulgi i tylko rozgarnia wilgotny zaduch. Kasa jest dogodnie usytuowana obok lodówki, na której wisi informacja wydrukowana blednącym atramentem na zwykłej kartce: „Dwie porcje lodów za 3 dolary”.

Dziewczyna siedząca za kasą nie zwraca na nas uwagi. Jej twarz wygląda młodo, ale ma zaniedbaną skórę, która prezentowałaby się całkiem nieźle u trzydziestolatki, ale już dosyć kiepsko u kogoś młodszego o dziesięć lat.

Decker wypił całą mrożoną herbatę podczas podróży, więc kierujemy się w stronę chłodziarki z napojami. Otwieram drzwi i wyjmuję butelkę wody mineralnej, a mój towarzysz sięga po colę.

– Pozwól, że tym razem ja będę rozmawiać – proponuję, kiedy zbliżamy się do lady.

– Jasne.

Kasjerka unosi głowę i spogląda na nas.

– Cześć – odzywa się Decker i w tej samej chwili uderzam go łokciem pod żebro.

– Cześć – odpowiada dziewczyna nieśmiało i kasuje nasze napoje.

– Mam nadzieję, że mogłabyś nam w czymś pomóc – mówię.

– O co chodzi?

– W lesie, tam na zboczu góry, mieszkają ludzie, prawda?

Dziewczyna krzyżuje ręce na piersi. Wygląda na spiętą.

– Nie przyjechałam tu nikogo aresztować – wyjaśniam, ścisząc głos.

– Próbuję tylko kogoś znaleźć.

Kasjerka drapie się po karku. Nerwowo zerka w stronę drzwi.

– Tak, całkiem sporo ich tam mieszka. Dwa miesiące temu przyjechał szeryf i wlepił kilka mandatów, ale oni zawsze wracają.

– Dużo jest tam domów? – pytam. – Gdybym pojechała się rozejrzeć...

– Zapukasz do kogoś, a on cię powita ze spluwą w rękę. – W głosie dziewczyny pojawia się nowy ostrzejszy ton, który daje mi do zrozumienia, że mimo wszystko jest starsza ode mnie. – Skoro trafiłaś w to miejsce, to znaczy, że szukasz kogoś, kto nie chce być odnaleziony.

– Nie chodzi o byle kogo – mówię. – Szukam mojej mamy.

Twą twarz dziewczyny nieco łagodnieje. Decker stoi obok mnie, trzymając ręce w kieszeniach szortów, i kołysze się na piętach w tył i w przód, jakby chciał siłą powstrzymać się od gadania.

– To jedyne miejsce w tej okolicy, gdzie można kupić coś do jedzenia?

– pytam.

– Następne jest ponad trzydzieści kilometrów na południe.

Opisuję Annette ze wszystkimi szczegółami, jakie zapamiętałam. Kasjerka wykonuje szybki, prawie niezauważalny ruch głową.

– Tak, czasami tu bywa.

Adrenalina zaczyna krążyć mi w żyłach. Moja matka tu jest.

– Kiedy była ostatnio?

– Chyba w zeszłym tygodniu.

Kręci mi się w głowie. W zeszłym tygodniu.

– Jeśli znów się zjawi, mogłabyś jej powiedzieć, że szuka jej córka?

Dziewczyna waha się przez chwilę i kiwa głową.

– Chyba powinnaś zostawić dla niej swój numer.

Podsuwa mi długopis i stary paragon. Na odwrocie gryzmolę numer swojej komórki, a po chwili namysłu dopisuję pod spodem *Tessa*.

– Dzięki – mówię, z trudem łapiąc oddech.

Kasjerka kiwa głową, a kiedy spogląda mi w oczy, nabieram przekonania, że mogę jej zaufać. Kiedy moja matka znów wstąpi do tego sklepu, na pewno się dowie, że tu byłam i jej szukałam.

Kiedy wychodzimy na zewnątrz, facet, który oprawiał raki, gapi się na nas. Rozmawia z drugim mężczyzną, który ma ogoloną głowę i czarne oczy o pustym spojrzeniu. Odwracam wzrok w drugą stronę.

– No i co teraz? – pyta Decker. – Sprawdźmy, czy twoja mama mieszka w tym lesie na górze? Mój samochód tam nie dojedzie, ale możemy spróbować na piechotę.

– Hm, sama nie wiem.

Spoglądam na niego wymownie, jakbym chciała powiedzieć: „Błagam, nie gadaj tak głośno”. Mam nadzieję, że do niego dotarło. Tamci dwaj ciągle nas obserwują i nie wyglądają na zadowolonych.

Nad drzewami na zboczu góry unosi się kręta smużka dymu i ulatuje w niebo. To może być dym z komina mojej matki. Decker spogląda w stronę szczytu, osłaniając dłonią oczy przed słońcem.

– Zostało jeszcze trochę czasu do zmroku – mówi. – Szkoda, że nie mamy lepszych butów, długich spodni ani latarki, ale...

– Decker... – przerywam mu, sycząc przez zaciśnięte zęby.

Obaj mężczyźni idą w naszą stronę. Ten drugi jest chudy jak tyka i nosi workowate dzinsy, które zsuwają mu się z wystających kości biodrowych. Dostrzegam swastykę wkomponowaną w deseń tatuażu, który pokrywa całe jego ramię. Jest o połowę mniejszy od brodacza, ale dziesięć razy bardziej przerażający. Czuję, jak Decker zastyga w bezruchu. Chudzielec zatrzymuje się tak blisko niego, że ich twarze dzielą centymetry.

– Hej, chłoptasiu – mówi. – Najwyższy czas, żebyś stąd spadał razem z tą swoją dupą.

Decker unosi ręce. Jego dłonie drżą.

– Nie chcemy żadnych kłopotów. Ona tu przyjechała, żeby zobaczyć się z matką.

Facet strzela knykциями. U nasady każdego z palców ma wytatuowaną jakąś literę, ale nie udaje mi się odczytać słów, jakie tworzą wszystkie razem.

– Gównu mnie obchodzi, co tu robicie. Nie jesteście tu mile widziani.

W końcu udaje mi się wydobyć z siebie głos.

– Chodźmy stąd.

Decker się nie opiera. Kiedy szybkim krokiem wracamy do samochodu, wygrzebuje kluczyki z kieszeni i otwiera drzwi.

– Wiesz co – odzywa się, gdy już siedzimy w środku. – Moglibyśmy okrążyć to miasteczko i poszukać innej drogi na górę.

Wpatruję się przez przednią szybę w zalesione zbocze Bear Mountain. Setki kilometrów kwadratowych nieznanego terenu. Musielibyśmy ukryć gdzieś samochód i resztę drogi pokonać na piechotę. Nie wiem, co jest gorsze – czy zginąć z rąk łysego chudzielca i brodacza, czy zabłądzić w górach i paść ofiarą żywiołów.

– Co robimy? – pyta Decker, nie doczekawszy się mojej reakcji.

Przesuwam palcem wzdłuż drzwi, żeby się upewnić, że są zablokowane.

– Spieprzamy stąd.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Decker zauważa, że w drodze powrotnej nie jestem w nastroju do rozmowy. Podsuwa mi otwartą paczkę żelek, ale kręcę głową i odwracam głowę do okna.

– Myślisz, że ten facet był rasistą?

– Tak – mówię. I sądząc po jego reakcji, idę o zakład, że figuruje w jakiejś bazie poszukiwanych przez FBI. – Przeze mnie omal nie zginęliśmy. Przepraszam, to był kiepski pomysł.

– Wcale nie – protestuje Decker. – Teraz już wiesz, że twoja matka na pewno tam mieszka, prawda?

Obracam się i napotykam jego spojrzenie. Uśmiecha się do mnie pokrzepiająco, a kiedy odwzajemniam jego uśmiech, z powrotem skupia wzrok na drodze.

Opieram głowę o szybę i obserwuję góry znikające za oknem. Podniecenie, które mnie ogarnęło, kiedy natrafiłam na ślad Annette, ustępuje miejsca poczuciu beznadziei. Nagle uświadamiam sobie, że moja matka nieprędko znów się zjawi w tym sklepie.

Musi coś jeść, przekonuję samą siebie, ale przypominam sobie mężczyzn, którzy łowili ryby w strumieniu. W lesie żyje sporo dzikiej zwierzyny i mogłaby się zaopatrywać w inny sposób. Ale w głębi duszy wiem, że to do niej niepodobne. Ledwie zdołała wyżywić mnie i moją siostrę, kiedy zabrakło ojca i jego dochodów.

Jos zawsze była podobna do ojca i wiedziała, co robić, żeby przetrwać. Matce i mnie tylko dzięki odrobinie szczęścia udawało się jakoś wiązać koniec z końcem.

Liczę się z faktem, że w Bear Creek nie ma zasięgu. Jakie jest prawdopodobieństwo, że moja matka w ogóle ma komórkę? Ale w sklepie jest telefon stacjonarny, z którego może skorzystać. Widziałam kable ciągnące się wzdłuż drogi.

No i pozostaje jeszcze jedno pytanie, na które nie chcę sobie odpowiadać – czy w ogóle do mnie zadzwoni, kiedy odbierze wiadomość?

Dwadzieścia minut po opuszczeniu Bear Creek, kiedy wjeżdżamy z powrotem na autostradę, radio znów zaczyna odbierać. W mojej kieszeni wibruje komórka. Jeden długi sygnał, który oznacza wiadomość głosową.

Podnoszę klapkę aparatu. Nie jestem wcale zaskoczona brakiem nieodebranego połączenia. Kiedy byliśmy poza zasięgiem, musiało zostać przekierowane bezpośrednio na pocztę głosową. Drżącymi palcami wprowadzam PIN.

– Cześć, Kelly. Mówi Dan z salonu Nissana. Oddzwoń do mnie, żebyśmy porozmawiali o tej altimie. Mamy dostawę w...

Wyciszam resztę wiadomości i czekam, aż wyświetli się numer zwrotny. Na szczęście byłam zawsze zbyt leniwa, żeby nagrać sobie tekst powitalny na pocztce głosowej. Dudni mi w uszach. Nie mogę zebrać myśli, kiedy z głośników dobiega piosenka Linkin' Park, którą Decker puszcza na cały regulator. I do tego wybija rytm dłonią na kierownicy.

Mogłabym przy nim oddzwonić do Danny'ego. Prawdę mówiąc, gdybym miała zaufać komuś w Fayette, to chyba właśnie Deckerowi. Ale nie mogę w jego obecności wypytywać Danny'ego o moją siostrę.

Gdyby ten chłopak wiedział, o co podejrzewam Joslin, gdyby poznał prawdziwy cel tej wyprawy, prawdopodobnie przestałby ją traktować jak beztróską przygodę.

Kierując się na południe, trafiamy na kilka korków. To najdłuższa podróż samochodem w moim życiu. A jeśli Danny skończy już pracę, kiedy wrócę do domu? Nie mogę się opędzić od natarcywej myśli, że będzie za późno, że zwierzy podstęp, zanim zdążę do niego oddzwonić. Może jeszcze raz odsłucha wiadomość, którą nagrałam, i z tonu mojego głosu wywnioskuje, że tak naprawdę nie jestem zainteresowana kupnem samochodu.

Kiedy dojeżdżamy do Fayette, jest po piątej. Decker wysadza mnie przed domem Greenwoodów. Na podjeździe nie ma minivana, zatem Maggie i Callie jeszcze nie wróciły z Pittsburgha.

– Musisz do mnie zadzwonić – mówi Decker i jego uszy robią się czerwone.
– To znaczy jeśli twoja mama się odezwie. Daj mi znać.

– Jasne, zadzwonię – zapewniam go, wysiadając z samochodu, a potem pochylam się nad otwartymi drzwiami. – Hej... dziękuję ci.

– Zawsze do usług. Przecież jesteśmy przyjaciółmi, pamiętasz?

Różnych rzeczy mogłabym się spodziewać, wracając do Fayette, ale nie tego, że z kimś się tutaj zaprzyjaźnię. Ale cieszę się, że byłam w błędzie.

Decker macha mi na pożegnanie i wyjeżdża tyłem na ulicę, przewracając zderzakiem kubek na śmieci. Kubek jest pusty, więc podnoszę go i zabieram do garażu.

Nie mam ochoty tracić czasu na wyjmowanie klucza ze skrytki, więc wchodzę przez furtkę na podwórko za domem i siadam na trawie, opierając się plecami o ogrodzenie. Jeszcze raz odsłuchuję wiadomość od Danny'ego, żeby się upewnić, czy dobrze zapisałam numer. Jestem pewna jeszcze bardziej niż wczoraj, że to ten człowiek, którego szukam. Odsłuchuję wiadomość po raz kolejny. Oczywiście gram na zwłokę.

Przestań się zachowywać jak skończona łajza, mówię sobie.

Wybieram numer. Ktoś podnosi słuchawkę po drugim sygnale.

– Dan, słucham.

Jego głos brzmi pogodnie, jest pełen zapału. Gotowy, żeby dokonać

transakcji. Z wrażenia zapiera mi dech. Facet, którego zapamiętałam, zawsze mamlął w ustach gumę do żucia albo prymkę.

– Danny? – pytam.

Opuszcza mnie cała pewność siebie. Mężczyzna po drugiej stronie milczy; pewnie minęło trochę czasu, odkąd ktoś zwracał się do niego w ten sposób.

– Kto mówi?

Chwytam kępę trawy, jakbym musiała czegoś się przytrzymać.

– Nazywam się Tessa Lowell. Pamiętasz mnie?

Tym razem pauza jest jeszcze dłuższa.

– Skąd masz mój numer? – pyta Danny.

Przyjazny ton jego głosu znika bez śladu. Zaciskam palce na komórce.

– Proszę, nie rozłączaj się – mówię, z trudem łapiąc oddech.

– Posłuchaj, nie wiem, o co ci chodzi, ale jestem naprawdę zajęty...

– Jestem w Fayette – wtrącam spiesznie. – Próbuję znaleźć Joslin.

Danny prychnął z irytacją.

– Nie mam pojęcia, co się z nią stało.

Co się z nią stało, tak to ujął. A nie, gdzie jest. Czuję skurcz w żołądku.

– Nie próbuję cię śledzić ani nic takiego – zapewniam go. – Ale wiem, że dała ci alibi na tamtą noc, kiedy wybuchł ten dom w Arnold. Muszę wiedzieć, czy naprawdę wtedy z tobą była.

Niemal słyszę, jak obracają się trybiki w jego głowie, kiedy się zastanawia, jak dużo wiem. Jestem zaskoczona, kiedy mi odpowiada, zamiast się rozłączyć.

– Nie, nie była ze mną. Kazałem jej tak powiedzieć, bo wpakowałem się w główną aferę, ale to było dziesięć lat temu. Teraz jestem czysty i nie miałem żadnych wieści od Jos, odkąd wyjechała.

– Wiesz, gdzie naprawdę wtedy była?

Nagle wzbiera we mnie nadzieja.

– Nie mam pojęcia. Kiedy zadzwoniłem do niej tamtego wieczoru i zapytałem, co robi, powiedziała mi, że właśnie idzie cię odebrać z domu swojej przyjaciółki.

Joslin szła do Greenwoodów? To się nie trzyma kupy. Nie musiała mnie odbierać w środku nocy, chyba że wydarzyło się coś naprawdę poważnego. Ale jeśli rzeczywiście po mnie szła, to nie dotarła do celu.

– Jesteś tam? – pyta Danny.

Przełykam ślinę w nadziei, że zdołam uspokoić kołatanie serca.

– Tylko że ona... ona mnie wtedy nie odebrała.

– Wiem. Myślę, że nie zdążyła. Jos to szczęściara. Gdyby tam była, mogłoby to spotkać ją.

Może faktycznie jest szczęściarą. A może Joslin przyszła do Greenwoodów. Ale nie po to, żeby mnie zabrać. Moskitierę mogła rozciąć dla zmyłki. Moja siostra

nie była głupia. Jeśli to ona zamordowała Lori i zależało jej, żeby to wyglądało na robotę „Potwora”, musiała pomyśleć również o upozorowaniu włamania.

– Słuchaj, młoda, życzę ci, żebyś ją znalazła, ale Jos i ja zerwaliśmy parę miesięcy przed jej zniknięciem – mówi Danny. – Jestem ostatnią osobą, której by powiedziała, dokąd się wybiera.

Nie, mylisz się. Nie znasz mojej matki. To ona jest ostatnią osobą, której Jos powiedziała o swoich planach.

– A po śmierci Lori... czy moja siostra się zmieniła? – pytam, wahając się, czy nie zasugerować Danny’emu, co mogło być przyczyną jakichś zmian. – Czy powiedziała albo zrobiła coś... dziwnego?

– Tak, to znaczy była tym przybita.

Przybita. Jakbyśmy rozmawiali o przegranej Eaglesów w rozgrywkach pucharowych. Jos była zdruzgotana śmiercią Lori – opuściła kilka dniówek w piekarni i nie była w stanie zwlec się z łóżka, żeby wyprawić mnie do szkoły. Nagle uświadamiam sobie, że tak naprawdę Danny w ogóle nie znał mojej siostry i rozmowa z nim to kolejny ślepy trop, za którym podążam.

– Opowiadała mi, że ciągle się kłóciła ze swoją matką – mówi. – Że gdyby nie ty, dawno by się stąd wyniosła.

Czuję pieczenie w oczach, ale nie mogę teraz dopuścić, żeby emocje wszystko zniweczyły.

– Wspominała o swoim biologicznym ojcu? – pytam. – Może chciała z nim zamieszkać?

W słuchawce rozlega się cichy syk, jakby Danny otwierał puszkę z jakimś napojem.

– W zasadzie głównie o to kłóciła się ze swoją, znaczy waszą, matką. Wypytywała ją o ojca, ale wasza matka nabierała wody w usta, bo nie chciała, żeby Jos się z nim spotkała.

Alan jakiś tam, za którym Annette wyjechała do Luizjany. Mężczyzna, który nie chciał ich pierwszego dziecka i zaczął nią pomiatać, kiedy urodziła się Jos.

– Nie wiesz, czy w końcu go znalazła?

– Nie mam pojęcia – odpowiada Danny. – Ale mam nadzieję, że tak. Zasługiwała na to, żeby poznać swoje korzenie.

Zastanawiam się, czy to dlatego matce tak zależało, żeby nie dopuścić do ich spotkania. Joslin mogłaby się przekonać, że Alan z Luizjany nigdy jej nie chciał. Może Annette po prostu chciała jej tego oszczędzić, ale moja siostra była zbyt uparta, żeby zdać sobie z tego sprawę.

– Dziękuję ci. Zadzwoń do mnie, jeśli przypomnisz sobie jeszcze coś ważnego, co mogłoby mi się przydać?

– Jasne. Trzymaj się, młoda – mówi Danny życzliwym tonem, a kiedy już chcę się rozłączyć, dodaje: – Powodzenia. Pozdrów ode mnie Jos, kiedy ją

znajdziesz.

Na wskaźniku zużycia baterii została już tylko jedna kreska, więc kiedy kończę rozmowę z Dannym, biegnę do pokoju gościnnego, żeby podłączyć telefon do ładowarki. Od tej pory muszę go mieć zawsze pod ręką, zawsze naładowany. Na wypadek gdyby zadzwoniła Annette.

Kładę się na łóżku i wlepiam wzrok w komórkę, która spoczywa na poduszce obok mnie.

Znalazłam Danny'ego. Teraz muszę zdecydować, czy mogę mu wierzyć.

Próbuję odtworzyć w myślach wydarzenia tamtego wieczoru. Danny jest w Arnold z braćmi Faberami i nagle wszystko trafia szlag, kiedy fabryczka amfy wylatuje w powietrze. Uświadamia sobie, że potrzebuje kogoś, kto będzie go krył, więc dzwoni do mojej siostry. Joslin mówi mu, że właśnie idzie po mnie do Greenwoodów. Przed chwilą pokłóciła się z Lori przez telefon, ale nie wspomina mu o tym.

A może wspomniała, tylko Danny zataił to przede mną. Mogła mu powiedzieć, że Lori wie o ich melinie w Arnold. Może Faberowie to usłyszeli i wpadli w panikę, obawiając się, że Lori ich pograży. Postanowili ją uciszyć.

Ale to mało prawdopodobne, aby po wybuchu zdążyli tak szybko dojechać do Fayette, zabić Lori i przewieźć ciało. Prawdopodobnie byli w takim stanie, że ktoś musiałby ich zobaczyć w pobliżu domu Greenwoodów, jeżeli faktycznie tam dotarli. Na mężczyznę z sąsiedztwa, który tamtego dnia kręcił się po okolicy, szukając swojego kota, zwróciło uwagę troje różnych świadków.

Wieczorem, kiedy doszło do morderstwa, nikt nie zauważył nikogo podejrzanego. Wniosek z tego taki, że najprawdopodobniej morderca działał w pojedynkę i nie rzucał się w oczy.

Z dołu dobiega szczełk otwieranych drzwi i odgłos rozmowy. Maggie i Callie. Zastygam w bezruchu, jakbym była intruzem. Czuję się nieswojo, przebywając w tym domu pod ich nieobecność.

Rozmawiają podniesionymi głosami, jakby się kłóciły. Przykładam ucho do drzwi, ale słyszę tylko, że Maggie próbuje uspokoić Callie. Wymykam się z pokoju i staję na szczycie schodów.

– Nie możesz tak po prostu tam wtargnąć...

– Wiem, że to on – mówi Callie histerycznym tonem. – To zrobił pan Kouchinsky. Ja to wiem.

Nie mogę się powstrzymać. Schodzę trzy stopnie w dół, żeby mnie zauważyły.

– Co takiego zrobił?

Obie podnoszą wzrok i patrzą na mnie. Maggie się waha.

– Katie Kouchinsky jest w szpitalu – wyjaśnia moja przyjaciółka. – Podobno musieli założyć jej szwy, tak mówiła ta dziewczyna, która jechała z nami na

eliminacje, jej koleżanka.

Pod oczami ma zacieki z rozmazanego tuszu do rzęs, a jej noga podryguje tak mocno, jakby miała się oderwać od reszty ciała.

– Ty niczego nie rozumiesz – zwraca się do matki. – Muszę się z nią zobaczyć...

– W takim razie później cię zawiozę – mówi Maggie. – Teraz muszę przygotować kolację.

– Muszę tam jechać w tej chwili. Mamo, proszę...

Maggie przerywa jej, wzdychając ciężko.

– Ale wyjdiesz, jeśli Daryl tam będzie, jasne? I niech Tessa cię zawiezie. Jesteś zbyt roztrzęsiona.

Spodziewam się, że Callie odburknie coś w rodzaju: „Nie ma mowy” i pobiegnie na górę, żeby zamknąć się w swoim pokoju, ale ona wyciąga rękę w moją stronę, podając mi kluczyki.

– To przeze mnie – mówi Callie. Siedzi głęboko w fotelu i opiera stopy na desce rozdzielczej. – Zobaczył, że Katie z nami rozmawia, i musiał się domyślić, na jaki temat.

Jedziemy autostradą do szpitala Świętego Franciszka. Nie jest to najbliższy szpital, ale zdaniem Callie pani Kouchinsky zawiozła Katie gdzieś dalej, żeby uniknąć rozgłosu.

– Gdzie jest teraz Daryl?

Nie odrywam wzroku od jezdni. Nigdy wcześniej nie jeździłam po tutejszych autostradach, więc jestem wyjątkowo czujna. Musiałam przyciągnąć fotel prawie do samej kierownicy – o tyle jestem niższa od mojej przyjaciółki.

– Nie mam pojęcia. – Callie zmienia pozycję i siedzi z kolanami podciągniętymi pod brodę. – Podobno Katie powiedziała, że spadła ze schodów. Nie chcą mieszać w to policji.

W mojej głowie kłębią się myśli i powraca wspomnienie tamtego psa, jak zawsze, kiedy na horyzoncie pojawia się ojciec Ariel.

– A jeżeli chciał w ten sposób zmusić ją do milczenia? – Callie wyrzuca słowa z prędkością karabinu maszynowego. – Ludzie mówili, że pobił ją tego dnia, kiedy znaleziono Ari, pamiętasz? Może tak naprawdę nie wściekł się o to, że Katie ją kryła, tylko domyślił się, że ona coś o nim wie. Coś, co mogłoby odsłonić jego prawdziwe oblicze...

– Spokojnie – przerywam jej. – To wszystko ma sens, ale co zamierzasz zrobić? Wpaść do tego szpitala i przesłuchać Katie? Oskarżyć jej ojca o zabicie Ariel? Ona się go boi jak cholera. Nawet jeśli cokolwiek wie, nie piśnie ani słowa.

Moja przyjaciółka marszczy czoło. Najwyraźniej tego aspektu jeszcze nie rozważała.

Parking przed izbą przyjęć jest pełny, więc muszę poszukać miejsca na

parkingu dla gości po drugiej stronie szpitala. Callie nawet nie czeka, aż wyłączy silnik, i wyskakuje z samochodu.

– Twoja mama ma rację – zagaduję do niej, kiedy idziemy w stronę wejścia.
– Jeśli Daryl tu jest, to się wynosimy.

Nie odpowiada. Strzela knykciami i wpatruje się prosto przed siebie. Chwytam ją pod ramię.

– Callie...

– Jezus, dobrze – mówi, wrywając rękę z mojego uścisku.

Drzwi rozsuwają się przed nami z cichym sykiem. Stajemy z boku, żeby przepuścić dwóch sanitariuszy pchających nosze, na których leży starszy mężczyzna. Ma zamknięte oczy i otwarte usta.

Nigdy nie byłam w szpitalu. Jako dziecko nie złamałam sobie żadnej kości, a jazda na rowerze była najbardziej niebezpiecznym zajęciem, na jakie pozwalała mi matka. A i tak skończyło się tylko na odrapanych łokciach i niewielkiej bliznie na kolanie.

Wyobrażałam sobie, że w izbie przyjęć będzie panował chaos – krew, okłady z lodu i pielęgniarki biegające tam i z powrotem z kartami pacjentów. Ale tutaj jest spokojnie i tylko na ekranie stojącego w kącie telewizora leci powtórka programu *Dr Phil*. Wszystkie krzesła w poczekalni są zajęte, ale nikt nie wygląda na ciężko chorego ani poszkodowanego. Callie podchodzi prosto do rejestracji i mówi, że przyszliśmy z wizytą do Katherine Kouchinsky. Pielęgniarka stuka w klawiaturę komputera.

– Wkrótce zostanie wypisana do domu.

– Muszę się z nią zobaczyć w tej chwili – nalega Callie i zaciska usta, robiąc upartą minę.

Kobieta za biurkiem ciężko wzdycha.

– Proszę się wpisać.

Obie wpisujemy swoje dane do książki wejść, tymczasem pielęgniarka drukuje nam identyfikatory dla odwiedzających, a potem naciska guzik zamka magnetycznego. Przechodzimy przez drzwi obok stanowiska recepcyjnego i naszym oczom ukazują się rzędy białych parawanów na metalowych stojakach. Niektóre zasłony są odciągnięte na bok i widać za nimi łóżka, na których leżą chorzy. Jakaś staruszka w szpitalnej koszuli zanosi się kaszlem i wypluwa flegmę do różowej miski. Pierwszy raz w życiu czuję się tak niezręcznie i żałuję, że nie zostałam w samochodzie. Callie mija wszystkich pacjentów i podchodzi do biurka na środku sali. Pyta o Katie Kouchinsky, a pielęgniarka pokazuje na zasłonięte parawanem łóżko obok wejścia do łazienki.

– Ale ona teraz się przebiera – woła, kiedy Callie rusza w tamtą stronę.

Moja przyjaciółka nie zwraca na nią uwagi i obchodzi parawan dookoła. Idę za nią i nagle staję twarzą w twarz z Ruth Kouchinsky.

– Och – wzdycha Ruth i cofa się o krok.

Na łóżku siedzi Katie i zakłada podkoszulek. Nieruchomieje i gapi się na nas, otwierając szeroko usta. Pod dolą wargą ma kilka szwów, a na podbródku dużego krwiaka. Noga owinięta bandażem w kostce spoczywa podparta na pośłaniu. Robi mi się słabo.

– Co tu robicie? – pyta Katie.

Gwałtownym ruchem naciąga podkoszulek do końca i krzywi się z bólu. Jej matka ściska w dłoni zasłonę.

– Chciałyśmy zobaczyć, jak się czujesz – mówi Callie. – Co ci się stało?

– Spadłam ze schodów. – Katie spuszcza głowę i wlepia wzrok w szpitalną opaskę identyfikacyjną, którą ma na nadgarstku. – Przepraszam, ale czy mogłybyście stąd wyjść?

Patrzy na matkę, szukając poparcia, ale Ruth Kouchinsky nic nie mówi. Jej małe, podobne do paciorków oczy lśnią od łez. Callie zwraca się do niej.

– Są ludzie, którzy mogą wam pomóc – mówi.

Głos jej się łamie, jakby powstrzymywała płacz. Pani Kouchinsky odwraca wzrok. Pielęgniarka, która siedziała za biurkiem, odsuwa zasłonę i wręcza jej podkładkę do pisania z przypiętymi klipsami dokumentami. Kiedy Ruth składa na nich podpisy, moja przyjaciółka pochyla się nad Katie.

– Jeżeli coś o nim wiesz, a on nie chce, żeby to się wydało, to będzie jeszcze gorzej – mówi i wskazuje głową na jej zabandażowaną kostkę. – Nie możesz milczeć. Jesteś to winna swojemu bratu i siostrze. Jesteś to winna Ari...

– Przestań – przerywa jej Katie, na tyle głośno, że jej matka i pielęgniarka spoglądają w jej stronę. – Ty o niczym nie masz pojęcia i Ari nigdy cię nie obchodziła, więc po prostu przestań.

Moja przyjaciółka wzdyga się zaskoczona jej reakcją. Katie nigdy nie zachowywała się w ten sposób.

– Proszę stąd wyjść – mówi pielęgniarka, wskazując na nas.

Callie wyciąga do Katie drżącą rękę.

– Nie zamierzasz nic z tym zrobić?

– Już wystarczy.

Pielęgniarka napiera, odganiając nas od łóżka. Callie przystaje i zagląda za parawan.

– Wezwę ochronę, jeśli będę musiała – ostrzega kobieta, unosząc rękę.

– Chodźmy stąd – szepczę.

– Ona... To zrobił jej ojciec – mówi Callie, a w jej oczach wzbierają łzy gniewu. – Musicie zawiadomić policję.

– Moja droga, nie możemy nikogo wezwać, jeśli one sobie tego nie życzą.

– Ona ma siedemnaście lat i... może być w niebezpieczeństwie – wtrącam. Obojętność tej kobiety wprawia mnie w irytację. – Czy w takiej sytuacji prawo nie

nakazuje wam zawiadomić policji?

Twarz pielęgniarki łagodnieje.

– Ta dziewczyna ma zwichniętą nogę i rozciętą twarz. Mogła rzeczywiście spaść ze schodów – tłumaczy spokojnie. – Nie chce wnosić skargi. Codziennie widzujemy tu takie rzeczy, a wasza koleżanka ma rację, że możecie tylko jej zaszkodzić, próbując się w to mieszać.

Callie otwiera szeroko usta. Pielęgniarka wyprowadza nas na zewnątrz i zostawia na chodniku. Obok przechodzi jakaś kobieta, pchając wózek inwalidzki, na którym siedzi mały chłopczyk z ręką na temblaku.

– Ta pielęgniarka ma rację – odzywam się po chwili. – Jeśli nie mylisz się co do pana Kouchinsky’ego i jeśli to on zabił Ari, a teraz czuje, że grunt pali mu się pod nogami, to nie wiadomo, do czego może być zdolny.

Kilka lat temu na Florydzie doszło do głośnej tragedii. Pewien makler miał iść do więzienia za defraudację, więc zastrzelił swoją żonę i trójkę dzieci, a potem podpalił dom i sam odebrał sobie życie. Czuję, jak przechodzą mnie ciarki.

– Jeśli nie mylę się co do niego... – Callie urywa w pół zdania. – Mogłyśmy go powstrzymać. Gdybyśmy wtedy zeznały, że nie widziałyśmy twarzy tego człowieka, policja nie przestałaby ścigać „Potwora”.

– To zbyt pochopny wniosek. Nie ma żadnych dowodów, że „Potworem” jest ojciec Ari.

– Czy to ważne, kto jest „Potworem”? – Słowa więzną jej w gardle. – On może gdzieś tu być... Morderca Lori wciąż jest na wolności, i to z naszej winy.

Nie mogę jej powiedzieć, żeby przestała się obwiniać o śmierć Ariel. Przekonałam się, że ludzie zachowują się tak cały czas, jeśli dokuczają im sumienie. Myślą, że gdyby coś zrobili inaczej, mogliby nie doprowadzić do reakcji łańcuchowej.

Kiedyś byłam przekonana, że to bezsensowne myślenie. Uważałam, że jeśli człowiek nie chce odegrać roli, którą przydzielił mu wszechświat, zjawi się ktoś inny i zrobi to za niego. Przekonywałam samą siebie, że gdybyśmy nie złożyły zeznań obciążających Stokesa, prokurator okręgowy znalazłby innych świadków.

Przekonywałam samą siebie, że Stokes mógł trafić do więzienia za inne morderstwa, nawet gdyby Lori Cawley nie zginęła tamtej nocy. Taki był plan wszechświata i odegranie roli „Potwora” przypadło w udziale Wyattowi Stokesowi.

Nie wiem, czy jeszcze w to wierzę. Nie wiem, czy kiedykolwiek w ogóle w to wierzyłam, czy tylko wmawiałam to sobie, żeby uwolnić się od poczucia winy. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że to właśnie Callie zasieje we mnie ziarno wątpliwości. Przecież to właśnie ona zawsze była święcie przekonana, że Lori zginęła z ręki Wyatta Stokesa, i nawet nie chciała słuchać, kiedy ktoś sugerował, że mogło być inaczej.

Marna to dla mnie pociecha. Czuję się, jakbym ciemną nocą dryfowała

w stronę pełnego morza unoszona falą odpływu, bo ktoś odciął cumy, które trzymały mnie w bezpiecznej przystani.

Wciągam haust powietrza i spoglądam na Callie.

– Musisz trzymać się z daleka od Kouchinskych – mówię. – Przynajmniej na razie.

– W porządku – odpowiada, choć wydaje się odrobinę zbyt rozkojarzona.
– Możesz mi dać kluczyki? Czuję się już na siłach, żeby prowadzić.

Ulegam jej bez protestów. Jestem zmęczona i nie mam ochoty znów jechać po ciemku autostradą. Kiedy rozsiadam się w fotelu pasażera, wkładam rękę do kieszeni i chwytam telefon w nadziei, że za chwilę poczuję wibracje. Ściskam go w dłoni przez całą drogę do domu. Nie wypuszczam podczas kolacji i jem jedną ręką, podczas gdy Callie okłamuje swoją matkę, mówiąc, że obrażenia Katie to tylko niegroźne zadrapania. Przed snem kładę komórkę na poduszce i zasypiam, wciąż czekając, aż odezwie się Annette.

Budzi mnie wibracja. To mój telefon, ale jestem tak nieprzytomna, że strącam go na podłogę. Sięgam po niego do szczeliny między łóżkiem a szafką nocną i marszczę czoło ze zdumienia, kiedy spoglądam na wyświetlacz. To Callie. Dzwoni do mnie z pokoju za ścianą? Spoglądam na zegar, który pokazuje pierwszą w nocy.

– Halo? – mówię grobowym tonem i ciężko przelękam ślinę.

– Hm, cześć Tesso – odzywa się jakiś męski głos. – Z tej strony Ryan.

Budzę się w jednej chwili. Siadam gwałtownie na łóżku.

– Gdzie jest Callie?

– Ze mną. Mamy pewien problem.

– O co chodzi? – pytam syczącym szeptem.

– Hm... Callie nie jest w stanie prowadzić, a nie wydobędzie się stąd bez samochodu... a teraz wrzeszczy na mnie.

Rzeczywiście, słyszę w tle krzyki Callie. Wtórjuje jej jakiś inny mężczyzna, który prawdopodobnie próbuje ją uspokoić.

– Gdzie jesteście? – pytam.

Ogarnia mnie panika, kiedy w mojej głowie przewijają się setki katastrofalnych scenariuszy i wyobrażam sobie, do czego to wszystko może doprowadzić.

– W jakimś motelu przy osiemdziesiątce. – Ryan wzdycha. – Jak on się nazywa? – pyta, oddalając aparat od ust.

– Doyle Motor Inn – odpowiada w tle stłumiony męski głos.

Rozpoznaję go.

– Callie jest pijana i siedzi w motelu z Nickiem Synderem?

– Wyjaśnię ci to, kiedy się spotkamy – mówi Ryan. – Jeżeli po ciebie przyjadę, odwieziesz ją do domu? O piątej muszę być w pracy i nie mogę zostawić

tutaj samochodu.

Spoglądam na zegar.

– Dobrze, ale musisz opowiedzieć mi o wszystkim, co się stało. I lepiej, żebyś był ze mną szczery.

Ryan czeka na mnie kilka domów od posesji Greenwoodów, bo silnik jego pikapa za bardzo hałasuje. Biegnę do niego, gdy tylko informuje mnie SMS-em, że już przyjechał. Mam na sobie szorty piżamowe, które są niewiele dłuższe od osławionych męskich bokserów, i nie zawracałam sobie głowy zakładaniem stanika. Ryan rusza natychmiast, nie czekając, aż zamknę za sobą drzwi.

– Co się, do cholery, stało? – pytam.

Ryan pociera dłonią podbródek. Jest wyraźnie poirytowany.

– Spotkaliśmy się koło dziesiątej, Callie i ja. Domyślałem się, że ona cały czas wiedziała, gdzie ukrywa się Nick. Nie jestem głupi – mówi, a potem wzdycha i jeszcze mocniej zaciska dłoń na kierownicy. – Dlatego wymyśliłem tę historię, że niby mój stryj wie, gdzie jest Nick i rano gliniarze go aresztują.

– Pojechała go ostrzec, tak?

Callie jest tak cholernie przewidywalna. Kiedyś wpędzi nas w kłopoty.

Gdy wjeżdżamy na autostradę, Ryan zamyka szybę w oknie, żeby hałas nie przeszkadzał nam w rozmowie.

– Zaprowadziła mnie do tego motelu.

– To nie pierwszy raz – odpowiadam. – Przedwczoraj była tam ze mną.

Widzę napięcie na twarzy Ryana i nagle dociera do mnie, jaką jestem idiotką. Jak mogłam tego nie zauważyć? To znaczy widziałam oznaki – Callie nazywa Ari kurwą, Callie rzuca wszystko i w środku nocy spieszy na pomoc Nickowi – ale tak naprawdę dopiero teraz poskładałam wszystko w jedną całość. To Nick był tym chłopakiem, który podobał się mojej przyjaciółce, ale wolał Ariel. To przez niego przestały się przyjaźnić.

– Przepraszam. Nie pomyślałam. Zapomniałam, że ty i Callie...

Zawieszam głos. Nie potrafię znaleźć odpowiedniego słowa, aby nazwać to, co ich łączy.

– Nic nie szkodzi. Nie jesteśmy... Ona może robić, co chce.

Mimo tego, co mówi, w jego głosie wyczuwam twardy ton. Chcę go wybadać, ale Ryan włącza radio. WFNC, ulubioną stację mojego ojca, na której leci klasyka rocka. Było na nią ustawione radio w jego samochodzie i to, które trzymał na ganku. Zanim nauczyłam się czytać, znałam już słowa *Stairway to Heaven*.

Kiedy byłam jeszcze mniejsza – miałam może trzy albo cztery lata – przekreśliłam tekst *Dirty Deeds Done Dirt Cheap*, piosenki AC/DC, którą WFNC puszczała przynajmniej dwa razy dziennie. Myślałam, że w trzeciej zwrotce wokalista śpiewa „do strzału” zamiast „do szału”, co mój ojciec uważał za

przekomiczne. Kiedy odwiedzali go kumple, wołał: „Tessy, zaśpiewaj *Dirty Deeds!*” i wszyscy tarzali się ze śmiechu, kiedy dochodziłam do tego momentu i śpiewałam „twoja stara doprowadza cię do strzału”. Wszyscy oprócz mojej matki i nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego jest taka wkurzona, kiedy udaje mi się wszystkich rozbawić.

Jakiś grunge’owy kawałek z lat dziewięćdziesiątych przywraca mnie do teraźniejszości. Najwyraźniej definicja klasycznego rocka uległa zmianie od czasów mojego dzieciństwa. Ten jeden jedyne raz jest mi żal, że coś nie pozostało takie samo.

Nick wpuszcza nas do swojego pokoju. Ma przekrwione oczy i czuć od niego trawkę.

– Ogarnij się, chłopie – odzywa się Ryan rozdrażnionym tonem. – Prosisz się, żeby cię złapali.

– Już mi to zwisa.

Nick jest podminowany po alkoholu. Widzę to, bo znam wiele osób, które tak się zachowują po pijanemu. Callie siedzi na dwuosobowym łóżku oparta plecami o wezłowie. Ma zamknięte oczy.

– Wracamy – mówię, potrząsając jej kolanem. – Zanim twoi rodzice się obudzą.

Callie wydaje głuchy pomruk i mam ochotę ją spoliczkować. Przez ten jej wybryk Maggie może odesłać mnie z powrotem na Florydę, a ona tak się naraża dla tego półgłówka, który popełnia same głupstwa i nawet nie jest szczególnie przystojny.

Chwytam ją oburącz za ramiona i potrząsam.

– Wstawaj!

Nie otwierając oczu, Callie przerzuca jedną nogę nad krawędzią łóżka i wtedy dostrzegam leżącą na podłodze pustą butelkę po rumie Captain Morgan. Ryan też ją zauważa.

– Pozwoliłeś jej to wypić do końca? – krzyczy na Nicka.

– Ja jej nie mówię, co ma robić – odpowiada Nick, kładąc nacisk na „ja”.

Oczywiście nie uchodzi to uwagi Ryana, który jeszcze bardziej kipi złością.

– Nie przeginaj – mruczy pod nosem.

Obydwoje musimy pomagać Callie utrzymać się w pionie mimo jej bełkotliwych zapewnień, że jest w stanie iść o własnych siłach.

– Zamknij się – syczę jej prosto do ucha. – Dosyć już nawywijałaś.

– Daj jej spokój. – Nick staje w jej obronie. – Teraz już tylko ona trzyma moją stronę.

Mam ochotę powiedzieć również jemu, żeby się zamknął, ale Ryan jest szybszy.

– W takim razie jestem przeciwko tobie, bo uważam, że powinieneś wrócić

do domu? – mówi z wypiekami na twarzy. – Miło z twojej strony.

– Chcesz, żebym poszedł siedzieć za coś, czego nie zrobiłem? – pyta Nick i wstaje z łóżka, kiedy Ryan, nie patrząc na niego, w milczeniu kręci głową. – Myślisz, że ja to zrobiłem? Tak właśnie myślisz?

Callie zaczyna pochlipywać. Odciągam ją od Ryana, który unosi głowę, odwzajemniając złowrogie spojrzenie Nicka.

– Sam już nie wiem, co myśleć. Ale zachowujesz się jak typowy przestępca.

Nick sprawia wrażenie, jakby zaraz miał rzucić się na niego z pięściami, więc wypycham Ryana i Callie z pokoju. Serce zamiera mi w piersi, kiedy Nick staje na progu i kładzie rękę na klamce.

– Ty wierzysz, że to nie ja – mówi, patrząc mi prosto w oczy. Ma ciężkie powieki i płacze mu się język, ale jego głos jest zdecydowany. – Widzę to. Musisz wejść na Connect i znaleźć tego faceta.

– Wspominała ci o nim? – pytam, a myśli w mojej głowie zaczynają pędzić z prędkością światła. – O tym kliencie, który nie chciał seksu?

Na twarzy Nicka pojawia się wyraz skupienia.

– Kapitan – mówi. – Taką miał ksywkę na tym portalu. Kapitan jakiś tam.

– Jesteś pewien?

– Tak. Ari go lubiła. Mówiła, że jest starszy i jego żona niedawno zmarła. Powiedziałem o nim gliniarzom, ale potraktowali mnie tak, jakbym to zmyślił.

– Tesso, musimy już iść – wtrąca Ryan.

Odwracam głowę w jego stronę i zauważam, że Callie zarzygała cały podest przed wejściem do pokoju.

– Musimy się dowiedzieć, kim jest ten „Kapitan” – mówi Nick. – Wejdz na Connect, dobra?

Otwieram usta, żeby coś odpowiedzieć, ale zatrząskuje mi drzwi przed nosem.

Mój żołądek wywraca się na lewą stronę, kiedy razem z Ryanem wsadzam Callie do samochodu. Dopiero kiedy siedzę za kierownicą, dociera do mnie, co powiedział Nick. Musimy znaleźć Kapitana. My. Nie wiem, od kiedy biorę w tym udział, ale wcale mi się to nie podoba.

Przez całą drogę do domu Callie jest nieprzytomna. Od czasu do czasu pochylam się nad nią, żeby sprawdzić, czy oddycha. Dobrze, że jadąc z Ryanem do motelu, zwracałam uwagę na każdy zakręt, bo moja przyjaciółka nie byłaby w stanie mnie pokierować.

Trącam ją, kiedy zatrzymujemy się na podjeździe. Budzi się z cichym jękiem.

– Ogarnij się – zwracam się do niej syczącym szeptem. – Dałaś dupy na całego.

– Dlaczego?

– Jeśli teraz wpadniemy, twoja mama odeśle mnie do domu.

– A nie chcesz tego? – pyta Callie bełkotliwym głosem. – Wrócić do swojego przyjemnego życia na Florydzie i znów zapomnieć, że kiedykolwiek istniałam?

Jestem w szoku. Czy moja przyjaciółka naprawdę tak myśli, czy przemawia przez nią captain morgan? Przecież to właśnie ona udawała, że przestałam istnieć, to ona żyła dalej, jak gdyby nic się nie stało, podczas gdy ja przez ostatnie dziesięć lat dzień w dzień myślałam o Wyattcie Stokesie. Callie szukała zapomnienia w alkoholu i szkolnych balangach, tymczasem ja codziennie wracałam prosto do domu i wchodziłam na fora internetowe. Z czasem ten rytuał stał się nałogiem. Szkoła, dom, praca, dom i żadnych istotnych znajomości w międzyczasie.

Dobrowolnie zamieniłam swoje życie w więzienie, bo więzienie było tym, na co zasłużyłam. Moja przyjaciółka aż do tej pory uchylała się przed swoim wyrokiem.

Nie mogę wydusić słowa przez ściśnięte gardło. Mam już dosyć Callie, dosyć tej zapadłej dziury. Jeśli będę musiała, wrócę do swojego więzienia na Florydzie, bo wszystko jest lepsze od tego, co się tutaj dzieje.

I oczywiście kiedy dochodzę do wniosku, że nie może mnie już spotkać nic gorszego, w salonie zapala się światło. W oknie staje Maggie, która patrzy wprost na nas.

Rozdział dwudziesty drugi

Maggie unika mojego wzroku. W milczeniu pomagamy Callie wejść na górę i kładziemy ją na łóżku. Maggie mówi coś do córki półgłosem, ale ona nie reaguje. Jej głowa bezwładnie przekręca się na bok, kiedy zapada w sen.

Dopiero teraz Maggie po raz pierwszy spogląda na mnie.

– Co się stało?

Na usta ciśnię mi się kłamstwo, że wybrałyśmy się do South Township Inn i sytuacja wymknęła się trochę spod kontroli. Ale nawet ja nie weszłabym do knajpy w tym, co mam teraz na sobie. Maggie tego nie łyknie. Poza tym jest osobą, która zawiadomiłaby policję o sprzedaży alkoholu nieletniej, gdybym jej powiedziała coś takiego.

– Musiałam ją odebrać – mówię powoli. – Od przyjaciela.

– Którego przyjaciela? – pyta Maggie ostrym tonem.

Kiedy patrzę na jej gniewną minę, Callie zalaną w trupa i pokój pełen trofeów sportowych, mam wrażenie, jakby wszystko wokół mnie kurczyło się i znikało.

Nie mogę zwalić wszystkiego na Ryana, a wiem, że będzie jeszcze gorzej, jeśli powiem jej prawdę.

– Prosiła mnie, żebym ci nie mówiła.

– Rany boskie, Tesso. – Maggie ukrywa twarz w dłoniach i pewnie zastanawia się, od kiedy zaczęłam słuchać Callie zamiast jej. – To nie jest rzecz, którą spodziewałam się usłyszeć od mojej córki.

Moje serce zamiera. Od jej córki, którą oczywiście nie jestem.

– Przykro mi.

– Porozmawiamy rano. Nie będę budziła Ricka – mówi i wychodzi, nie oglądając się na mnie.

Rano nie rozmawiamy. Kiedy wstaję, Maggie i Ricka nie ma w domu. W kuchni na blacie znajduję kartkę.

Pojechałam do Nany. Wrócę po południu. Lunch macie w lodówce.

Ani wzmianki o tym, w co Callie i ja się wpakowałyśmy. Ale intuicja podpowiada mi, że kiedy Maggie wróci do domu, utnie sobie z nami pogawędkę, podczas której padnie pytanie, jak długo zamierzam zostać w Fayette.

Mój czas się kończy, a wszystko, co udało mi się zdobyć, to zaledwie garść przypadkowych elementów i nawet nie wiem, czy pasują do tej samej układanki. Tyle razy oglądałam *Prawdziwe oblicze Potwora*, że właściwie mogłabym powtórzyć każde zdanie, jakie pada z ekranu, ale jedno z nich szczególnie utkwiło mi w pamięci. To słowa prywatnego detektywa, który zajął się sprawą Stokesa pro bono, wypowiedziane po ogłoszeniu wyroku.

„Zawsze uważałem, że jedna osoba mogłaby wszystko zmienić – osoba, która coś widziała albo o czymś wie i trzyma to w tajemnicy”.

Nalewam sobie szklankę soku pomarańczowego i zerkam na zegar wiszący nad zlewem. Jest kilka minut po ósmej. Idę na górę i pukam do drzwi pokoju Callie. Nie doczekawszy się odpowiedzi, naciskam klamkę.

Moja przyjaciółka śpi zwrócona twarzą do wejścia. Ma lekko rozchylone usta i chrapie. Jest duszno, bo w nocy nikt nie pomyślał o włączeniu klimatyzatora. Włączam go i wychodzę, zamykając za sobą drzwi.

Nikt do mnie nie dzwonił od czasu, gdy zostawiłam w Bear Creek swój numer telefonu dla Annette. Kładę komórkę obok siebie na łóżku i sięgam za wezglowie, gdzie schowałam rzeczy ojca.

Zastanawiam się, co bym mu powiedziała, gdybym zdażyła na czas. Co on powiedziałby mnie?

„Wybacz mi, kochanie”. To były ostatnie słowa, jakie od niego usłyszałam, zanim odszedł. Z gazet dowiedziałam się, że płakał na sali sądowej. Patrzył Manuelowi Gonzalowi prosto w oczy i mówił, jak bardzo żałuje, że uczynił go kaleką. Odgrywał rolę skruszonego skazańca i błagał o łaskę, ale na nic się to zdało. Dostał dożywocie.

Za to Stokes uśmiechał się szyderczo, kiedy przysięgli ogłosili, że został skazany na śmierć. Uchwyciła to kamera. Później filmowcy do tego nawiązali. Stokes zgasił papierosa i spojrzał w obiektyw, a jego ospowata twarz w świetle reflektorów była szara jak popiół.

– W zeszłym tygodniu stracili jednego faceta z mojego bloku – powiedział.
– Ryczał jak zarzynana krowa i potrzeba było trzech strażników i paralizatora, żeby go uspokoić. Ja nie zamierzam tak się zachowywać.

– To jak w takim razie? – zapytał go redaktor.

– Na pewno nie będę cytował świętego Mateusza rozdział szósty werset czternasty. Żadnych takich.

Jakiś czas temu zajrzałam do Ewangelii i sprawdziłam ten werset. Było tam coś o przebaczeniu. Przypominam sobie o Biblii w rzeczach ojca i zaglądam do worka. Znajduję ją i otwieram, siedząc wygodnie oparta plecami o wezglowie łóżka. Kiedy przeglądam Nowy Testament, spomiędzy kartek wypada kwadratowy skrawek papieru. Pewnie zakładka, myślę. Podnoszę go, żeby przyjrzeć się bliżej, i wtedy zauważam, że to kawałek koperty. W rogu nad znaczkiem różowieje wyblakły tusz. Przybliżam karteluszek do twarzy i wytyżam wzrok, próbując odczytać nazwę urzędu pocztowego.

E-A-S-T-O... Reszta została oderwana. Może Easton w Pensylwanii? Wydaje mi się, że miejscowość o takiej nazwie znajduje się w Lehigh Valley, niedaleko Allentown.

Czy to możliwe? Czy Joslin pisała do mojego ojca, kiedy siedział?

Na odwrocie koperty jest numer telefonu. Rozpoznaję pismo ojca. Żadnego nazwiska ani imienia, tylko numer. Sięgam po komórkę leżącą obok mnie w zwałach pościeli i po kolei wstukuję cyfry. Po drugim sygnale odbiera jakaś kobieta.

– Halo?

Nie znam tego głosu. W sercu czuję ukłucie zawodu. Pozwoliłam sobie na nikły promyk nadziei, że telefon odbierze Joslin albo moja matka.

– Kto dzwoni? – dopytuje kobieta. Sprawia wrażenie wycieńczonej i poirytowanej. – Kto tam?

Ogarnia mnie panika i rozłączam się. Ale jestem głupia, myślę. Nie byłoby w tym nic niestosownego, gdybym po prostu zapytała: „Przepraszam, z kim rozmawiam?”.

Schodzę na dół, próbując zebrać się na odwagę, by zadzwonić jeszcze raz. Ominęło mnie śniadanie i dochodzę do wniosku, że powinnam coś zjeść. Zwijam plasterki szynki z indyka, kiedy mój telefon zaczyna wibrować, ale numer na wyświetlaczu jest inny niż ten, który wybrałam parę minut temu. Nie rozpoznaję go, a numer kierunkowy też nic mi nie mówi.

Pulsowanie krwi rozsadza mi uszy. To może być ona. Chociaż nie jestem gotowa – nigdy nie będę gotowa – odbieram połączenie.

– Halo?

Znów kobiecy głos, ale nie ten sam, co poprzednio. Nie jest to również głos mojej matki.

– Kto mówi? – pytam.

Na linii słychać cichy trzask.

– Z tej strony agentka Morgan Doherty z Federalnego Biura Śledczego. Ale chciałabym wiedzieć, kim ty jesteś i dlaczego dzwonisz do rodziny zaginionego dziecka.

Jej słowa przyprawiają mnie o szok.

– Co? Nie miałam pojęcia, do kogo dzwonię. Przepraszam.

W słuchawce rozlega się ciężkie westchnienie.

– Tak myślałam. – Morgan Doherty mówi łagodniejszym tonem, ale w jej głosie wyczuwam znużenie. – Od lat nikt nie dzwonił na tę infolinię. Lepiej uważaj z takimi dowcipami.

Mam ochotę powiedzieć, że to nie był dowcip, ale jestem w stanie wykrztusić tylko:

– Przepraszam, nie wiedziałam.

– Nie ma sprawy – odpowiada agentka i znów wzdycha. – Tylko dla Stevensów to niepotrzebne rozczarowanie.

Kiedy się rozłącza, komórka omal nie wypada mi z ręki.

Stevensowie.

Rozdział dwudziesty trzeci

Zostawiam na blacie kuchennym niedojedzony lunch i biegnę do salonu. Komputer jest włączony – Rick przerwał grę w pokera. Zwijam na pasek jego kartę i otwieram nową, żeby wpisać w okno wyszukiwarki słowa *Stevens* i *zaginięcie*.

Wynik pojawia się natychmiast.

Macy Stevens z Tennessee przepadła bez śladu w 1991 roku, tuż przed swoimi drugimi urodzinami. Jej matka, Amanda Stevens, wybierała się z przyjaciółkami do klubu nocnego i miała ją zawieźć do swoich rodziców, ale nie zjawiała się u nich tamtego wieczoru.

Następnego dnia rano rodzice Amandy, Robin i Bernie Stevensowie, zgłosili zaginięcie córki i wnuczki. Policjanci znaleźli Amandę w mieszkaniu, które wynajmowała. Była rozhisteryzowana i twierdziła, że ktoś porwał jej dziecko.

I od tego wszystko się zaczęło. Policja odkryła, że zamiast poświęcić pół godziny na odwiezienie Macy do rodziców, Amanda zostawiła ją samą w domu i poszła do oddalonego o trzy kilometry klubu. Podobno tamtej nocy zaglądała do niej dwukrotnie i za każdym razem zastawała ją śpiącą spokojnie w łóżeczku. Dopiero kiedy wróciła nad ranem, odkryła, że dziewczynka zniknęła.

Badanie przy użyciu wariografu wykazało, że Amanda kłamie, ale nie było wystarczających dowodów, aby oskarżyć ją o coś więcej oprócz zaniedbania dziecka. FBI rozpoczęło zakrojone na szeroką skalę poszukiwania, które ciągnęły się miesiącami, jednak nie przyniosły żadnych efektów.

Kilka dni po zaginięciu widziano w Michigan mężczyznę z dziewczynką, której wygląd pasował do rysopisu Macy. Na stronie Wikipedii znajduje się jego portret pamięciowy. Oddycham z ulgą, kiedy okazuje się, że to nie mógł być mój ojciec. Mężczyzna był czarnoskóry, a zgłoszenie uznano za mało wiarygodne.

Amanda Stevens natychmiast stała się celem ataków. Prezenterka programu Legal News Network, Brenda Dean, jako pierwsza opublikowała zdjęcia, które dostała w anonimowym e-mailu od którejś ze znajomych Amandy. Amanda pali trawkę, wydmuchując dym prosto w obiektyw. Amanda spija tequilę z pępka swojej koleżanki. W owianym złą sławą wywiadzie telefonicznym Brenda Dean nie zostawiła na niej suchej nitki. Uczepiła się jej słów „Kochałam moją córkę”, interpretując użycie czasu przeszłego jako dowód na to, że Macy nie żyje.

Opinia publiczna nie obeszła się z Amandą łaskawie, ale nikt nie był dla niej tak brutalny jak Brenda Dean. Cztery lata po zaginięciu dziewczynki zrealizowała cykl programów *Gdzie jest mała Macy?*, który rozpętał taką nagonkę, że prokurator okręgowy zgodził się wszcząć śledztwo przeciwko Amandzie. Jednak śledztwo do niczego nie doprowadziło. Nawet jeżeli młoda kobieta wiedziała, co się stało z jej dzieckiem, nie puściła pary z ust.

Kilka lat później ktoś ujawnił fragmenty książki poświęconej tej sprawie, nad którą pracowała Dean. Dziennikarka zapowiadała sensacyjne odkrycie, które miało ostatecznie potwierdzić winę Amandy – dotarła do dokumentów, z których wynikało, że Amanda Stevens niespełna rok po zaginięciu córki wnioskuje do sądu stanowego o uznanie jej za zmarłą, żeby uzyskać pieniądze z polisy ubezpieczeniowej.

Po wyemitowaniu kolejnego programu Amanda weszła do wanny w domu rodziców i podcięła sobie żyły.

W 2006 roku jej rodzice pozwali stację LNN i Brendę Dean o nieumyślne spowodowanie śmierci, twierdząc, że ujawnione informacje naraziły ich córkę na powszechną wrogość, wskutek czego popełniła samobójstwo. Strony zawarły ugodę, a kwota odszkodowania, którą utajniono, sięgała podobno siedmiu cyfr.

Macy oficjalnie została uznana za zmarłą w 2008 roku. Rodzina Stevensów wyznaczyła 100 tysięcy dolarów nagrody za informacje, które pozwoliłyby na ustalenie tożsamości i aresztowanie mordercy dziewczynki. Ale jak dotąd większość ludzi żywi przekonanie, że tak naprawdę Macy zginęła z ręki swojej matki.

Najwyraźniej mój ojciec był innego zdania. Miał numer infolinii. Czy kiedykolwiek na niego zadzwonił? Znając mojego ojca, przypuszczalnie podejmował desperackie próby, żeby uzyskać nagrodę, chociaż siedząc w celi, nigdy nie byłby w stanie nacieszyć się takimi pieniędzmi.

Ale wygląda na to, że niewiele o nim wiem. Znałam go tylko osiem lat – całe moje życie do momentu, kiedy został skazany, ale to tylko niewielka częśćka jego życia. Nie miałam pojęcia o domku w Bear Creek. Nie miałam pojęcia, że stał się religijny.

Nie wiem, co robił, zanim poznał moją matkę. Nie wiem, gdzie mieszkał w 1991 roku, kiedy Macy Stevens została porwana i zamordowana. Niewykluczone, że w Tennessee.

W moim ciele narasta napięcie. Do głowy przychodzą mi koszmarne myśli.

Najpierw jedno morderstwo, potem drugie. Myślałam, że o to w tym wszystkim chodzi. Teraz mam wrażenie, jakbym wpadła do króliczej nory, gdzie nawet Lori i Ariel nie mają większego znaczenia, a na samym dnie czeka na mnie przerażająca koszmarna prawda o mojej rodzinie.

Pies sąsiadów zaczyna ujadać, a na podjeździe trzaskają drzwiczki samochodu. Domyślam się, że Maggie i Rick wrócili. Czyszczę po sobie historię wyszukiwania i otwieram z powrotem stronę, na której Rick kupował wirtualne żetony do kolejnej partii pokera.

Jestem w kuchni i właśnie chowam do lodówki talerz z wędlinami, kiedy obydwójce wchodzi do domu.

– Cześć, kochanie.

W głosie Maggie pobrzmiewa nerwowy ton. Ukradkiem zerka na męża i domyślam się, o co jej chodzi. Nie chce, żeby dowiedział się o naszym nocnym wybryku. A ponieważ Rick rzadko wychodzi z domu bez niej, oczywiście nie licząc pracy, będzie musiała wstrzymać się z naszą rozmową do poniedziałku.

Dzięki temu zyskuję trochę czasu. Ale prawdopodobnie i tak mi go zabraknie.

Dzwonię do zakładu karnego w Fayette i zostawiam dla Wandy wiadomość, że interesuje mnie rejestr rozmów telefonicznych, które przeprowadził mój ojciec. Potem pukam do drzwi Callie, a kiedy każe mi wejść, naciskam klamkę i zaglądam do jej pokoju. Siedzi na brzegu łóżka i rozczesuje mokre włosy. Nawet nie słyszałam, kiedy wstała i wzięła prysznic.

– Mam poważne kłopoty? – pyta grobowym tonem.

Wzruszam ramionami.

– Twoja mama nic nie mówiła.

– Psiakrew. To niedobrze.

Z korytarza dobiega wołanie Maggie:

– Callie! Ktoś do ciebie!

– Cholera jasna.

Callie przeciera kąciki oczu i zwija wilgotne włosy w kok. Na schodach słysząc kroki. Ktokolwiek przyszedł, Maggie kazała mu iść na górę.

W drzwiach stoi Ryan. Ma niepewną minę, jakby się wahał, czy przestąpić próg.

– Chciałem się upewnić, czy wszystko u ciebie w porządku.

– Nic mi nie jest.

Ryan drapie się po karku i unosząc zgiętą rękę, prezentuje wyrzeźbiony biceps w całej okazałości.

– Możemy porozmawiać?

– Możemy rozmawiać przy Tessie.

Callie odkłada szczotkę do włosów, jakby chciała dać do zrozumienia, że to jej ostatnie słowo.

– Jasne. – Ryan zerka w moją stronę. – Nie ma sprawy.

Siedzę na skraju łóżka naprzeciwko Callie, a Ryan rozsiada się w stojącym w kącie fotelu, który jest dla niego zdecydowanie za mały.

– Wiem, że jesteś na mnie wściekła, bo pojechałem za tobą – mówi.

Callie rzuca mu gniewne spojrzenie i domyślam się, że po raz pierwszy usłyszała od niego coś tak bardzo zbliżonego do przeprosin.

– Powiesz swojemu stryjowi, gdzie jest Nick, prawda?

– Naprawdę masz mnie za kogoś takiego? Przyjaźnię się z nim dłużej niż ty.

– W takim razie co mamy robić jako jego przyjaciele? – pyta Callie.

– Znaleźć „Kapitana” – odzywam się. Obydwoje odwracają głowy w moją

stronę. – Nick powiedział, że facet, o którym mówiła nam Katie, ten, któremu nie zależało na seksie, miał nick „Kapitan” albo coś w tym stylu. Wspomniał o nim gliniarzom, ale nie potraktowali go poważnie.

– Tego nigdy nie wiadomo – odpowiada Ryan. – Być może badają ten trop.

– A co nam szkodzi odwiedzić kilka parkingów i popytać? – odzywa się Callie. – Moglibyśmy zacząć od Buckstown. To w pobliżu Mason i chyba tam widziano po raz ostatni jedną z ofiar.

Ryan patrzy na nią oszołomiony.

– Więc tu w ogóle nie chodzi o Nicka, tak? Ty naprawdę myślisz, że to robota „Potwora”.

– Nie mam pojęcia. Ale jeśli tak, to gliniarze tego nie potwierdzą.

– Przecież nie możesz sama jedna szukać seryjnego mordercy.

– Racja – odpowiada Callie z uporem i zerka na mnie. – W takim razie możesz się do nas przyłączyć.

Ryan wzdycha ciężko. Z nim też nie mam ochoty jeździć w nocy tam i z powrotem po autostradzie. Chcę opowiedzieć Callie o tej dziwnej rozmowie telefonicznej z agentką FBI i możliwym powiązaniu mojego ojca z zaginięciem Macy Stevens. Ale moja przyjaciółka doszła do wniosku, że możemy zaufać Ryanowi i liczyć na jego pomoc. Dlatego teraz muszę milczeć, dopóki nie nabiorę podobnego przekonania.

Po czterdziestu pięciu minutach jazdy autostradą na południe docieramy do punktu obsługi podróżnych w Buckstown. Stąd jeszcze pół godziny na zachód i przekroczylibyśmy granicę stanu Ohio. Postanowiliśmy zacząć od tego miejsca, bo właśnie tutaj po raz ostatni widziano Rae Felice. Tu również Ari mogła natknąć się na „Potwora”.

Ryan zatrzymuje się na parkingu.

– Jeżeli pracują tu jakieś dziewczyny, prawdopodobnie strach je obleciał po tym, co spotkało Ari. Musimy uważać na każde słowo.

– Udawajmy, że kogoś szukamy – proponuję. – Na przykład siostry Callie. Uciekła z domu, od kilku tygodni nie daje znaku życia i podejrzewamy, że kręci się po jednym z tych parkingów.

Callie nic nie mówi. Nasze spojrzenia spotykają się w lusterku wstecznym i wiem, że myśli o Joslin. Moja siostra mogła trafić na taki parking, kiedy zniknęła, żeby zabrać się z jakimś kierowcą do innego stanu. Może popadła w narkomanię albo zaczęła się parać prostytutką. A może przytrafiło jej się coś jeszcze gorszego. Wszyscy przypuszczali, że spotkał ją właśnie taki los, bo do dziewczyn na gigancie nie uśmiecha się szczęście.

– Niezły pomysł – mówi Ryan. – Ale i tak mogą nabrać wody w usta.

– Przekonamy się. – Callie otwiera drzwi i wyskakuje z pikapa.

W punkcie obsługi podróżnych znajduje się sekcja gastronomiczna, a w niej

Burger King, Dunkin' Donuts i Subway. Z boku mieszczą się toalety i salonik prasowy, w którym można kupić przekąski i mapy Pensylwanii. Całe to miejsce wygląda zbyt nowocześnie i panuje w nim zbyt familijny klimat. Żadnych kierowców sikających na parkingu i pańienek w skórzanych miniówkach okupujących kiosk z papierosami. Wszystko różni się całkowicie od tego, co widywałam w takich miejscach, będąc dzieckiem.

Ryan też widzi, że nie mamy tu czego szukać.

– Powinniśmy przynajmniej kogoś zapytać.

Callie przystaje i wyciąga komórkę. Zerkam nad jej ramieniem i widzę, że wchodzi na czyjś profil na Facebooku. Emily Rymes.

W Dunkin' Donuts jest najkrótsza kolejka, więc stajemy na końcu i czekamy, aż w końcu starsza kobieta w wieku mojej babci pyta, w czym może nam pomóc.

– Szukamy pewnej dziewczyny – odzywa się Ryan i wskazuje głową na Callie, która pokazuje zdjęcie na wyświetlaczu smartfona. – To jej siostra. Uciekła z domu – wyjaśnia. – Martwimy się, że wpadła w kłopoty. Może kręci się tutaj... w złym towarzystwie.

– Trafiliście pod zły adres, moi drodzy – odpowiada ekspedientka. – Kilka lat temu zrobili tu porządek i nie mamy już takich gości. Wiecie, jak autostopowiczki – ciągnie, biorąc nasze milczenie za oznakę zmieszania, a potem dodaje, ścisząc głos: – I alfonsi.

– Dzięki – mówi Callie z tak przygnębioną miną, jakby rzeczywiście zaginęła jej siostra.

– Na twoim miejscu popytałabym w Midway Truck Center, ale nie jedźcie tam po zmroku i koniecznie weźcie go ze sobą – radzi kobieta, wskazując pulchnym palcem na Ryana.

Dziękujemy jej i odchodzimy na bok, żeby mogła obsłużyć klientów, którzy czekają za nami.

– Chwileczkę – mówię, gdy Callie i Ryan ruszają w stronę wyjścia. – Dołączę do was na zewnątrz.

Pięć minut później wychodzę z budynku z dużą porcją frytek i colą dietetyczną z Burger Kinga. Moja przyjaciółka przewraca oczami, kiedy wsiadam do samochodu.

– No co? – pytam. – Przynajmniej nie przyjechaliśmy tu na próżno.

A poza tym od rana miałam w ustach tylko kęs szynki z indyka. Podsuwam im pudełko i Ryan częstuje się garścią frytek, a Callie powstrzymuje odruch wymiotny i opuszcza szybę w oknie. Współczuję jej, ale to nie moja wina, że dręczy ją kac. Jeszcze bardziej robi mi się jej żal, kiedy GPS pokazuje, że czeka nas godzina jazdy na wschód. Nawet mnie robi się niedobrze, kiedy siedzę z tyłu pikapa. Przez całą drogę milczymy, obserwując niebo, które przybiera

bladoróżowy kolor.

Midway Truck Center wygląda jak ucieleśnienie koszmaru. Obok ciężarówki z oregońską rejestracją jakiś facet sika na krawężnik, nawet nie podnosząc wzroku, kiedy wjeżdżamy na parking. Wsiadamy z samochodu i ruszamy w stronę budynku, w którym mieści się sklep spożywczy i bar Dairy Queen. Czekamy przy wejściu do sklepu, podczas gdy Ryan podchodzi do lady i pokazuje sprzedawcy zdjęcie Emily.

– Powiedział, żebyśmy spytali w barze. Mówi, że tam przesiadują „zwinki”.

Callie marszczy czoło.

– Zwinki?

– Tak kierowcy ciężarówek nazywają prostytutki – wyjaśniam.

– Wolę nie pytać, skąd to wiesz – mruży Callie pod nosem, kiedy idziemy w stronę drzwi.

Określenie to pojawiała się zawsze, kiedy ludzie mówili o Kristal Davis. Zwinki zazwyczaj parały się prostytutką, żeby zarobić na narkotyki. Zanim policja połączyła ze sobą wszystkie morderstwa, wiele osób, które znały Kristal, snuło przypuszczenia, że zginęła, próbując okraść jakiegoś kierowcę.

Dostrzegam je w boksie przy toaletach – trzy kobiety. Z całą pewnością nie pochodzą z jednej rodziny, gdyż jedna wygląda na Latynoskę, druga ma czarną skórę, a trzecia jest biała. Na blacie stołu leżą przed nimi zmięte opakowania po hamburgerach.

Ta biała ma ospowatą twarz, a na przedramionach czerwone kropki. Typowe dla kogoś, kto szprycuje się heroiną. Mruży oczy, patrząc na nas znad kubka z colą, kiedy zbliżamy się do stolika. Trąca łokciem siedzącą obok koleżankę i ich śmiech nagle się urywa.

– Jakiś problem? – pyta ta czarna.

Na szyi ma wytatuowany ciernisty pęd róży, który oplata imię „Micah”.

Na Callie i Ryana nie mam co liczyć, więc zabieram głos, chociaż czuję się tak onieśmielona, że przychodzi mi to z niemałym trudem.

– Szukamy kogoś – mówię.

– No ale my nie znamy tego kogoś – odpowiada kobieta ze śladami po igle.

Zauważam, że brakuje jej jednego z przednich zębów. Jej koleżanka – ta, która wygląda na najmłodszą z całej trójki i do tej pory siedziała nieruchomo – zmienia pozycję na krześle, nie odrywając wzroku od sterczącej z kubka słomki.

– Możemy wam pokazać jej zdjęcie – proponuje Callie pokornym tonem.

Czarna odstawia colę na blat.

– Możecie się odpierdolić, bo wygląda mi na to, że wysługujecie się glinom.

– Posłuchajcie, nie chcemy żadnych kłopotów – odzywa się Ryan. Mówiąc to, tak bardzo przypomina gliniarza, że robi mi się za niego głupio. – Po prostu martwimy się, że nasza przyjaciółka zadaje się z facetem, który może zrobić jej

krzywdę.

– W takim razie nie wyjdzie jej na dobre, jeśli będziecie za nią węszyć – mówi ta biała mruklwym tonem. – Bądźcie tak grzeczni i wracajcie do domu przed dobranocką.

– Tak, żli ludzie niedługo się tu zjawią. – Micah unosi pogrubione kredką brwi i wybucha śmiechem.

Ospowata koleżanka przyłącza się do niej i obie rechocą, uderzając dłońmi o blat i trącając tę najmłodszą.

– Chodźmy stąd – mruczy Ryan.

Odwracamy się i ruszamy w stronę wyjścia. Kiedy dochodzimy do drzwi, ta biała woła za nami, pytając, czy nie mamy papierosa. Wychodzę na zewnątrz, zaciskając pięści. Nie jestem aż tak naiwna, aby sądzić, że należę do osób budzących respekt w takim szemranym towarzystwie, ale bez tych małomiasteczkowych Barbie i Kena u boku byłabym w stanie nakłonić te kobiety do rozmowy.

– Cóż, poszło całkiem nieźle – stwierdza Ryan z przekąsem, kiedy wychodzimy na parking.

Callie wygląda, jakby zajrzała śmierci w oczy.

– Trzeba było się nie wtrącać – mówię. – One zachowywały się tak, jakbyśmy się zmówili przeciwko nim.

Callie chrząka i spogląda wymownie ponad moim ramieniem. Odwracam głowę i widzę, że za moimi plecami stoi najmłodsza z kobiet, które siedziały przy stoliku.

– Tak reagują, kiedy są wystraszone. Shanice wpadła, kiedy próbowała kupić prochy od gliniarza w cywilu, a potem to morderstwo w Mason... – Dziewczyna zawiesza głos i krzyżuje ręce na piersi. – Jestem Pam.

W jej głosie słyhać lekkie wahanie, jakby to nie było jej prawdziwe imię. Wygląda na niewiele starszą od nas i jestem pewna, że ogłoszenie o jej zaginięciu wisi gdzieś na jakimś słupie.

– Pokażcie to zdjęcie – dodaje. – Może wam pomogę.

Callie wyciąga komórkę i pokazuje jej zdjęcie z profilu Emily. Pam kręci głową.

– Nie znam jej, ale to nie znaczy, że jej tu nie było. Przez to miejsce przewija się wiele dziewcząt.

– A ta, która została zamordowana? – pytam. – Widziałaś ją tu kiedyś?

– Ona nie była jedną z nas. Z tego, co słyszałam, korzystała z Connect. Czasami takie jak ona umawiają się tu z facetami, ale jej nigdy nie widziałam.

– Wielu kierowców wchodzi na tę stronę?

Pam wygląda na skrepowaną.

– Nie. Szukanie klientów przez internet nie jest zbyt mądre. My tak nie

robimy. Słyszałam różne straszne historie.

– A facet, który używa pseudonimu „Kapitan”? – wtrąca Ryan. – Nasza przyja... znaczy jej siostra poznała w sieci jakiegoś dziwnego gościa. Nie zależało mu na seksie.

W moim sercu rozbłyska promyk nadziei, kiedy widzę, że twarz Pam przybiera inny wyraz.

– Ostrzegamy się nawzajem – wyjaśnia dziewczyna. – Znaczy jest lista facetów, od których lepiej trzymać się z daleka. Ale nie powiecie o tym nikomu, dobra?

Callie i ja przytakujemy, ale Ryan stoi nieruchomo. Piorunuję go wzrokiem.

– Jasne – mówi.

Pam waha się przez chwilę.

– No więc kiedyś pracowałam w Penn Welcome Center przy osiemdziesiątce jedynce, zanim zamknęli ten punkt. Było ciężko, jeszcze gorzej niż tu. Przygarnęła mnie tam pewna kobieta. Nie powiem wam, jak się nazywała ani nic z tych rzeczy, bo mnie prosiła o dyskrecję. Ale tańczyła również w klubie ze striptizem po drugiej stronie autostrady. – Pam ścisza głos prawie do szeptu. – Pewnego wieczoru rozmawiałyśmy o klientach, których lepiej unikać, i opowiedziała mi, że przed czterema laty natknęła się na pewnego faceta, kiedy tańczyła. Zabrała go do swojego samochodu na parking i było tak, jak mówicie. Nie chciał nawet jej tknąć. W końcu gdy się wkurzyła i sama przeszła do akcji, uderzył ją w twarz. Chciała mu oddać, a wtedy zaczął ją dusić.

Czuję, jak Callie sztywnieje.

– Wreszcie straciła przytomność i w ogóle, a kiedy się ocknęła, auto stało w lesie, a facet szukał czegoś w bagażniku – ciągnie swoją opowieść Pam. – Ale ona zawsze nosiła przy sobie nóż do tapet. No i kiedy facet otworzył drzwi, chlasnęła go po twarzy. Miał jej kluczyki, więc musiała uciekać na piechotę i wzywać pomocy. Gonił ją przez chwilę, ale w końcu odpuścił i wyszła z tego cało. W każdym razie przypomniałam sobie o nim, kiedy wspomnieliście o „Kapitanie”, bo podobno nosił jakiś mundur. Tamta kobieta nie mówiła o tym nikomu przez lata, bo myślała, że to gliniarz, i bała się, że ją znajdzie i dokończy, co zaczął.

Z wysiłkiem przełykam ślinę, zwilżając zaschnięte gardło.

– Powiedziała ci, jak wyglądał?

Pam przewraca oczami.

– Jak oni wszyscy. Chyba po czterdziestce, średniego wzrostu, łysiejący. Ale poradziła mi, żebym zwracała uwagę na dwie rzeczy.

Cała nasza trójka nachyla się w stronę dziewczyny. Wszyscy zamieniamy się w słuch.

– Jego oczy. Powiedziała, że ma przyjazne spojrzenie.

Callie zerka na mnie i domyślam się, co jej chodzi po głowie. Jeżeli natrafiliśmy właśnie na trop „Kapitana”, nie jest on podobny ani trochę do Daryla Kouchinsky’ego.

– A ta druga rzecz? – odzywa się Ryan. – Na co jeszcze kazała ci zwracać uwagę?

– No wiesz, potraktowała go porządnie tym nożem. Powinien mieć bliznę.
– Pam spuszcza wzrok i patrzy na swoje paznokcie, obgryzione do żywego mięsa.
– Sama nie wiem. Myślałam o nim ostatnio, kiedy się dowiedziałam, że ktoś zamordował tę dziewczynę. Ale to chyba nie z nim uciekła wasza przyjaciółka.

Mam ochotę jej powiedzieć, że tak naprawdę nie szukamy zaginionej przyjaciółki, ale wyczuwam, że pod jej niewinną powierzchownością i współczującym spojrzeniem kryje się kobieta, która potrafi o sobie zadbać. Kobieta, której nie spodobałoby się, że ją okłamaliśmy, żeby coś od niej wyciągnąć.

Dziękujemy jej za pomoc i ruszamy w stronę pikapa. Nagle Callie przystaje, jakby o czymś zapomniała. Oglądam się i widzę, jak wyjmuje z portmonetki banknot dwudziestodolarowy i wręcza go Pam. Potem mówi coś do niej, a dziewczyna przytakuje.

– Co jej powiedziałaś? – pytam, kiedy znów do nas dołącza.

– Żeby na siebie uważała.

W zachowaniu mojej przyjaciółki coś się zmieniło, odkąd tu przyjechaliśmy, jakby opuściła ją odwaga. W milczeniu wsiada do samochodu i nie odzywa się przez całą drogę. Z tylnego siedzenia widzę jej twarz w bocznym lusterku. Ma szeroko otwarte oczy, jakby się bała, że teraz, kiedy nareszcie się przebudziła, znów zapadnie w sen.

Rozdział dwudziesty czwarty

Gdzieś w okolicy zjazdu numer czterdzieści przerywam milczenie.

– Moim zdaniem facet, którego opisała Pam, to „Kapitan”, i myślę, że właśnie on jest „Potworem znad Rzeki Ohio”.

Ryan nie odpowiada. Napotykam jego spojrzenie w lusterku wstecznym.

– Chyba nie sądzisz, że się mylę – dodaję. – Naraziłeś swojego stryja na kłopoty, mówiąc, jak zginęła Ari. Nie wydałeś Nicka i pojechałeś z nami. I tak samo jak ja uważasz, że wsadzili nie tego człowieka i prawdziwy „Potwór” wciąż pozostaje na wolności.

Ryan nadal milczy.

– A gdybyś jeszcze nie wiedział, to Callie i ja nie widziałyśmy Stokesa tamtego wieczoru na podwórku. Byłyśmy jeszcze dziećmi i policja nas zmanipulowała, żeby uzyskać obciążające zeznania.

Callie opiera głowę o szybę. Nie wiem, czy jest na mnie zła, że powiedziałam o tym Ryanowi. Może już wiedział. Tak czy inaczej, wyraz jego twarzy nie zdradza niczego. Niektórych ludzi nie sposób przejrzeć.

W końcu odzywa się po długiej i pełnej napięcia chwili.

– Jeśli Ari faktycznie jest ofiarą „Potwora”, nasuwa się pytanie, czemu facet znów zaczął zabijać. Czemu miałby ryzykować wpadkę po tylu latach? To nielogiczne.

– Wcześniej już próbował popełnić morderstwo. Gdyby koleżanka Pam mu nie uciekła, też by zginęła – odpowiadam. – Prawdopodobnie doszedł do wniosku, że musi przeczekać jakiś czas, na wypadek gdyby ta dziewczyna komuś o nim opowiedziała. Jest na tyle bystry, że przez wiele lat udawało mu się pozostawać w ukryciu. Najwyraźniej wie, jak działa policja. Może jest nawet...

– Nawet nie mów, że to mógłby być gliniarz – przerywa mi Ryan.

– A dlaczego? Facet, którego opisała Pam, w niczym nie przypomina twojego stryja.

– Tesso – odzywa się Callie piskliwym tonem. – Lepiej już przestań.

Przez chwilę znów jedziemy w milczeniu, które w końcu przerywa Ryan.

– Gliniarz czy nie, nikt nie uwierzy w zeznania prostytutki. Nick jako jedyny może potwierdzić, że ten „Kapitan” w ogóle istnieje, ale jego słowa i tak nie będą nic warte bez historii kontaktów z komórki Ari.

– Ten facet znów uderzy – mówię cicho. – Jeśli jest przekonany, że wszystko ujdzie mu na sucho, znów to zrobi.

– Mam pewien pomysł. Możemy go wywabić. – Głos mojej przyjaciółki brzmi tak pewnie, jakby cały czas rozważała taki plan.

– Nie ma mowy – oponuje Ryan. – Domyślam się, o czym mówisz, ale to

szaleństwo...

Powoli dociera do mnie, o co im chodzi.

– To mogłoby się udać – wtrącam i czuję mrowienie w czubkach palców u stóp. – Założymy fikcyjny profil na każdym z tych serwisów towarzyskich i zobaczymy, czy łyknie przynętę. Znamy jego gust. Samotne szczupłe dziewczyny o dużych oczach.

– To niebezpieczne i bez szans na powodzenie. – Ryan zaciska dłonie na kierownicy. – Teraz ten facet musi być szczególnie ostrożny. Skoro jest na tyle inteligentny, że przez dziesięć lat nie dał się złapać, na pewno zwietrzy taki podstęp.

– Musimy wypaść przed nim wiarygodnie – mówię. – Nie weźmie nas za gliny, bo nie jesteśmy glinami.

– A jeżeli się z nami skontaktuje, wyznaczy jakieś miejsce spotkania – dodaje Callie z entuzjazmem w głosie – zamiast się z nim spotkać, będziemy siedzieć w samochodzie i wszystko obserwować. Zobaczymy, jak wygląda, i zrobimy mu zdjęcie, które pokażemy glinom.

Kiedy jesteśmy tuż przed zjazdem do Fayette, moja przyjaciółka kładzie Ryanowi rękę na kolanie. Ten gest to pierwszy przejaw czułości wobec niego, jaki zauważyłam w jej zachowaniu.

– Gdybyś była na moim miejscu – mówi, nie patrząc w moją stronę – i gdybyś popełniła tak poważny błąd, że ktoś by na tym ucierpiał, czy nie zrobiłabyś wszystkiego, żeby to naprawić?

Wiem, że na swój sposób przyznaje się do błędu i godzi z wszystkimi jego konsekwencjami. Chce powiedzieć, że być może nigdy się nie dowiemy, co naprawdę spotkało Lori tamtej nocy, ale możemy naprawić przynajmniej część szkód, które wyrządziłyśmy, jeśli znajdziemy mordercę naszej przyjaciółki.

Czuję, jak wzbiera we mnie fala niepokoju. Czy jestem gotowa zrobić wszystko, żeby to naprawić?

Babcia zawsze powtarza, że każdy dostaje w końcu to, na co zasługuje. Ale czy to jest takie proste, że wystarczy znaleźć „Kapitana” i będzie po wszystkim? A jeśli naprawienie starych błędów to za mało, żeby zakończyć ten koszmar, który trwa od dziesięciu lat?

Ryan wysadza nas na końcu podjazdu przed domem Greenwoodów.

– Ale nie wygadaj się przed stryjem – mówi Callie, kiedy stoimy już na chodniku.

– Zdajesz sobie sprawę, że w końcu będziemy musieli komuś powiedzieć.

Moja przyjaciółka milczy z kamienną twarzą i Ryan prychnął, kręcąc głową.

– O co ci chodzi?

– Nie wiem, czemu tak się zachowujesz.

– Jak? – dopytuje Callie.

Rozmawiają półgłosem, jakby nie chcieli, żebym słuchała. Odchodzę na bok i mam ochotę zapaść się pod ziemię.

– Jakbyś nie potrzebowała pomocy, choć tak naprawdę domagasz się jej całą sobą.

A może jednak nie doceniałam Ryana Elwooda, myślę. Callie wykrzywia usta, ale nic nie mówi. Obie w milczeniu odprowadzamy wzrokiem tylne światła pikapa, które znikają w głębi ulicy.

– On ma rację – mówię. – Z tym, że musimy komuś powiedzieć. Mamy coraz mniej czasu, a ja nie mogę tu tkwić bez końca.

Nie doczekuję się odpowiedzi, bo nagle moja przyjaciółka wydaje okrzyk przerażenia. Zauważam jakąś postać przyczojoną za minivanem. Po chwili z ciemności wyłania się Daryl Kouchinsky i staje na środku podjazdu, zastępując nam drogę.

To wszystko dzieje się zbyt szybko, bym zdążyła zareagować. Callie krzyczy, a Daryl, klnąc, chwyta ją za gardło, po czym odrywa jedną ręką od ziemi i rzuca na maskę samochodu.

– Podobno wczoraj odwiedziłaś moją córkę – warczy. – Próbujesz jej mieszać w głowie, ty mała dziwko?

Callie próbuje pokręcić głową, ale nie może się ruszyć, bo palce Daryla zaciskają się na jej krtani.

Podbiegam do jednej z roślin doniczkowych, które stoją wzdłuż podjazdu. Jest ciężka, a rozłożyste liście kołyszą się na boki, kiedy dźwigam ją z ziemi i unoszę najwyżej, jak potrafię. Zachodzę Daryla od tyłu i roztrzaskuję doniczkę na jego głowie.

Kouchinsky przewraca się na plecy. Zastygam w bezruchu z przerażenia, bo wydaje mi się, że go zabiłam. Moja przyjaciółka, szlochając, osuwa się na ziemię. Daryl jest znów na nogach. Odwraca się do mnie i mruga oszołomiony. Robi krok w moją stronę, ale nieruchomieje, gdy po drugiej stronie ulicy rozlega się krzyk.

– Callie! Co tam się dzieje? – woła jakaś kobieta, stojąc na ganku z telefonem w ręku.

Daryl zerka na nią i ucieka do swojego samochodu, który stoi zaparkowany przed sąsiednim domem. Nawet go nie zauważyliśmy.

Sąsiadka z naprzeciwka biegnie do nas, ale ja jestem już na ganku domu Greenwoodów. Gwałtownym ruchem otwieram drzwi i wołam Maggie. Kiedy słyszę tupot na schodach, biegnę z powrotem w stronę ulicy. Callie siedzi oparta o minivana i trzymając się oburącz za szyję, łapczywie wciąga powietrze. Kobieta, która nas uratowała, rozmawia przez telefon.

– Tak, została napadnięta – mówi i dyktuje adres.

Siadam na ziemi obok mojej przyjaciółki. Cała dygocę i chyba zmoczyłam się ze strachu. Maggie i Rick wypadają zza samochodu i obydwójce gwałtownie

wciągają powietrze.

– Co się stało?! – krzyczy Maggie. – Co się, do cholery, stało?!

– Daryl... – odpowiada Callie chrapliwym głosem.

Rick uderza otwartą dłonią w dach samochodu.

– Idę po kluczyki – mówi, kierując się w stronę domu. – Pojadę za nim.

Maggie łapie go za rękaw i krzyczy, żeby tego nie robił, a sąsiadka z naprzeciwka uciska ich, bo wciąż rozmawia z dyspozytorką linii alarmowej.

– Nic mi nie jest – mówi Callie, gdy Maggie osuwa się przed nią na ziemię i obejmuje dłońmi jej twarz. – Tess... – dodaje, spoglądając na mnie.

– Co? – Maggie gwałtownie odwraca głowę w moją stronę.

Omiata mnie wzrokiem i zauważa brudne ręce, a potem leżącą na podjeździe roztrzaskaną doniczkę. Wydaje z siebie głośny szloch i przyciąga mnie do piersi. Tuli mnie tak mocno, że w mojej głowie materializuje się jedno słowo. „Bezpieczeństwo”.

Uwalniam się z jej uścisku, kiedy przy krawężniku zatrzymuje się ambulans, a zaraz po nim przyjeżdża radiowóz. Podjazd zalewają błyski niebieskiego i czerwonego światła. Z karetki wyskakują dwaj ratownicy, otwierają tylne drzwi i wyciągają nosze.

– Na litość boską, nic mi nie jest – protestuje Callie.

Maggie nie zwraca uwagi na jej słowa i każe sanitariuszom zabrać ją do ambulansu. Obok skrzynki pocztowej stoi Rick i podniesionym głosem rozmawia z policjantem, który wygląda tak młodo, że pewnie dopiero od niedawna sprzedają mu alkohol.

– Nazywa się Kouchinsky. Pokażę panu drogę do jego...

– To naprawdę nie jest konieczne – przerywa mu gliniarz i naciskając guzik krótkofalówki, mówi dyżurnemu, żeby przysłał drugi patrol. Potem odwraca się w moją stronę. – Byłaś przy tym? – pyta z wymierzonym we mnie długopisem.

Opowiadam o tym, co zaszło: że Daryl na nas czekał, że uderzyłam go w głowę doniczką i że odjechał, kiedy sąsiadka wyszła z domu. Potem policjant pyta, z jakiego powodu pan Kouchinsky mógł napaść Callie, waham się, zerkając ukradkiem na Ricka.

– Wczoraj odwiedziłyśmy w szpitalu jego córkę – wyjaśniam. – Ktoś ją pobił i właściwie to żadna tajemnica, że Callie podejrzewa jego.

Zaciśnięte wargi Ricka zamieniają się w wąską kreskę. Gliniarz zapisuje coś w notesie. Ambulans odjeżdża, zabierając do szpitala Callie i Maggie, a na jego miejscu parkuje drugi radiowóz. Rick każe mi poczekać w domu i mówi, że mnie zawoła, jeśli policjanci będą chcieli jeszcze ze mną rozmawiać.

Kolana uginają się pode mną, kiedy idę po schodach na górę. Wkładam piżamę i zamykam się w łazience. Pochylam się nad muszlą i wraz z cierpkimi wymiocinami wyrzucam z siebie napięcie spotęgowane przez adrenalinę. Potem

szczotkuję zęby i schodzę na dół. Czerwone i niebieskie błyski policyjnego koguta wypełniają salon.

Muszę z kimś porozmawiać o tym, co właśnie się stało – o wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatnich ośmiu godzin. Ale jeśli powiem babci, że spędziłam ten wieczór, gawędząc z dziewczkami na parkingu dla ciężarówek, a potem walnęłam faceta doniczką w łeb, mogłaby wsiąść w samolot, żeby mnie stąd zabrać.

Muszę wyjść z salonu, zanim moja głowa eksploduje od tych kolorowych błysków. Przemykam do bawialni, siadam przy biurku Ricka i zmuszam się do kilku głębokich oddechów. Uspokajam się na tyle, że moje ręce przestają się trząść. Trącam myszkę komputera i monitor ożywa. Kiedy Callie jest w szpitalu, mogę poszukać w sieci więcej informacji na temat Macy Stevens i spróbować zrozumieć to, co usłyszałam przez telefon.

Na najbardziej znanym ze zdjęć Macy trzyma pluszową żabę. Jasnobrązowe włosy ma spięte na czubku głowy w krótki kucyk. Przeglądam inne zdjęcia. Macy w śpioszkach z prezentem gwiazdkowym na kolanach. Macy w krzesełku do karmienia z buzią upačkaną jakąś pomarańczową mazią.

Jeden z portretów to symulacja graficzna, która daje wyobrażenie, jak Macy mogłaby wyglądać teraz, w wieku dwudziestu siedmiu lat. Ma poważną twarz, ale jej uroda robi wrażenie. Jest podobna do Amandy Stevens, która miała wielkie zielone oczy i mlecznobiałą skórę. Powiększam obraz i krew tężeje mi w żyłach.

Oglądając poprzednie zdjęcia, nie zwróciłam na to uwagi – na małą zaróżowioną ranę na podbródku dziewczynki. Ranę, która po kilku latach zamieni się w bliznę.

Tętno rozsadza mi głowę, gdy jeszcze bardziej powiększam fotografię. Czy blizna jest po tej samej stronie?

Nie.

Tak.

Powiększam symulację dorosłej twarzy Macy. Grafik źle odwzorował jej usta – nie miała tak wyrazistej górnej wargi jak Amanda Stevens. Ale patrząc na jej oczy i lekko spiczasty podbródek, nie miałam żadnych wątpliwości, że to ona.

Joslin.

A to sukinsyn.

Mój ojciec nie zabił Macy Stevens i nie ukrył jej ciała. Macy przez większość swojego życia mieszkała z nim w Fayette.

Rozdział dwudziesty piąty

Ktoś inny musi spojrzeć na to zdjęcie. Ktoś, kto mi powie, że jestem niespełna rozumu, jeżeli w ogóle dopuszczam taką myśl, że Macy Stevens to moja siostra.

Babcia nie odbiera telefonu stacjonarnego, chociaż dzwonię dwa razy. Zerkam na zegarek i ogarnia mnie panika. Dochodzi dziewiąta. Nigdy nie wychodziła tak późno.

Wybieram numer jej komórki i jestem zaskoczona, kiedy odbiera, jakby czekała na telefon ode mnie.

– Dwa razy dzwoniłam do domu – mówię.

– Wybrałam się na spacer – odpowiada babcia z irytacją, którą zawsze reaguje na moją przesadną troskliwość.

Tym razem oszczędzam jej typowego kazania zawierającego opowieść o pewnej kobiecie, która wybrała się po zmroku na samotny spacer i wylądowała w piwnicy jakiegoś pomyleńca przykuta łańcuchem do kotła centralnego ogrzewania.

Tym razem mówię:

– Musisz mi powiedzieć, kim jest ojciec Joslin.

Słyszę świszczący oddech babci i wyobrażam sobie, jak dusi ją gęste od wilgoci powietrze Florydy, coraz bardziej osłabiając jej serce.

– Przecież ci powiedziałam...

– Okłamałaś mnie – mówię i czuję, jak uwalnia się we mnie jakaś siła, która zamienia moje wnętrze w kłębowisko pulsujących życiem kabli. Jestem jak beczka prochu i tylko czekam na iskrę, którą może wykrzesać jedno niewłaściwe słowo. – Rzygać mi się chce od tych kłamstw.

– Kłamstw? – W głosie babci słyszę nutę gniewu. – Jedyłą osobą, która cię okłamała, jest twoja matka. Izolowała cię ode mnie, a drugiej mojej wnuczki nawet nie widziałam na oczy.

Bo nie jest twoją wnuczką, myślę, ale nie potrafię tego z siebie wydusić. Nie mogę tego powiedzieć, bo babcia pomyśli, że pobyt w Fayette doprowadził mnie na skraj załamania nerwowego.

Gdybym powiedziała głośno, co myślę – że Joslin została porwana w dzieciństwie – oznaczałoby to, że przestałam ją uważać za swoją siostrę. Nawet mimo tego, co zrobiła; mimo tego, że mnie okłamywała, a potem uciekła i nigdy po mnie nie wróciła, wciąż bym czuła, że ją zdradziłam.

Wyrzucam z siebie pierwszą rzecz, jaka przychodzi mi na myśl:

– No bo ja mam akt urodzenia, prawda?

– Co? Oczywiście, że masz. Był ci potrzebny, kiedy wyrabiałaś prawo jazdy.

Nie pamiętasz?

Pamiętam jak przez mgłę. Babcia zajęła się wszystkimi dokumentami, bo ja byłam tak zdenerwowana, że dwa razy oblałam egzamin. Ale oczywiście mam akt urodzenia. Przyszłam na świat 18 grudnia w śnieżny poranek. Nawet mój ojciec pamiętał ten śnieg, chociaż sam przyznał, że po dziewięćdziesiątym czwartym przeważnie był na rauszu.

Ale co z moją siostrą? Jeśli faktycznie została porwana jako mała dziewczynka, nie mogła mieć aktu urodzenia.

Czy Joslin to odkryła? Musiała na to wpaść i dlatego uciekła. Tylko dlaczego nie skontaktowała się z rodziną Stevensów? Cześć, jestem waszą zaginioną wnuczką. Wzruszające spotkanie po latach na antenie NBC i tego typu szopki. Ale powszechnie wiadomo, że Macy Stevens dawno zamieniła się w kupkę maleńkich kosteczek i dla wszystkich pozostała na zawsze uśmiechniętą dwulatką, która tuli pluszową zabę.

– Tesso, co się dzieje? O co ci chodzi?

Słyszę, że babcia jest poważnie zaniepokojona. Wciągam powietrze przez nos.

– Nic się nie dzieje – odpowiadam. – Ja tylko... Muszę udowodnić, że Glenn nie był ojcem Joslin. Na wypadek gdyby się zjawiała i wyciągnęła rękę po spadek.

Babcia przez chwilę rozważa w milczeniu moje słowa. Musiała wyczuć, że kłamię. Mój ojciec nie zostawił po sobie złamanego grosza.

– Tesso – mówi. – Jeśli kiedykolwiek coś przed tobą ukrywałam, to tylko dlatego, żeby oszczędzić ci niepotrzebnych cierpień.

– Proszę, podaj mi jego nazwisko.

W słuchawce rozlega się przeciągłe westchnienie.

– Alan Kirkpatrick. Nigdy za nim nie przepadałam. Wiesz, niektórzy ludzie nie mają w sobie nic dobrego, a ja od razu wiedziałam, że dziecko, które spłodził z Annette, będzie takie samo.

W tle słyszę zawodzenie syreny.

– Nigdy nie próbowałam szukać na siłę twojej siostry – dodaje babcia, a jej głos zaczyna lekko drżeć – bo bałam się tego, co mogłabym odnaleźć.

Ona o niczym nie wie. Czuję to. Czyli nie została wtajemniczona w ten pokrętny splot wydarzeń, który sprawił, że moi rodzice wychowywali uprowadzone dziecko jak rodzoną córkę.

Jestem wściekła na samą siebie, że nawet nie wzięłam takiej możliwości pod uwagę.

Rick wchodzi do domu. Mówi, że dzwoniła Maggie, że lekarz w izbie przyjęć od razu zajął się Callie, a policja wysłała już patrol do domu Daryla Kouchinsky'ego. Słucham jego relacji, od czasu do czasu kiwając głową, a gdy kończy i znika w bawialni, natychmiast wyciągam telefon i wybieram numer mojej

przyjaciółki.

Odzywa się poczta głosowa. Przerywam połączenie, nie pozostawiając wiadomości. Sama nie wiem, kiedy postanowiłam powiedzieć Callie o mojej siostrze i Macy Stevens. Czemu miałabym oczekiwać, że mi uwierzy? Wątpię, aby ktokolwiek potraktował mnie poważnie. No, może Decker. I może ta agentka, która myślała, że zadzwoniłam na infolinię dla hecy. Ale FBI ma obowiązek zbadać każdy trop, nawet tak niewiarygodny jak zgłoszenie nastolatki, która twierdzi, że jej siostra jest zaginioną ćwierć wieku temu Macy Stevens. Siostra, której nie widziałam od dziesięciu lat i nawet nie mam jej zdjęcia.

Idę na górę i zamykam się w pokoju gościnnym, z którego nie wychylam nosa, nawet kiedy po północy rozlega się na dole szcęk zamka w drzwiach frontowych, a potem kroki na schodach. Z korytarza dobiegają czyjeś szepty. Ktoś gasi i zapala światło. Ktoś korzysta z łazienki.

Drzwi mojego pokoju otwierają się z cichym skrzypnięciem. Zamykam oczy i dla lepszego efektu poruszam się bezładnie w pościeli. Potrafię udawać, że śpię, jak zawodowa aktorka. Kiedy ojciec zabierał mnie do Boathouse, w drodze powrotnej kładłam się na tylnym siedzeniu samochodu i leżałam bezwładnie, żeby brał mnie na ręce i zanosił do domu.

Maggie przysiadła na skraju łóżka. Nie włącza światła.

– Taka szkoda, że cię tu zabrakło – szepcze. – Przez te wszystkie lata... Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybyś przy niej była.

Nie wiem, czy zorientowała się, że nie śpię, czy jest wręcz odwrotnie i nie powiedziałaaby tego wszystkiego, gdyby wiedziała, że ją słyszę.

Po jej wyjściu nie zapadam w sen. Callie również nie śpi. Wyobrażam sobie, że rywalizujemy ze sobą, która z nas wytrzyma dłużej. Wsłuchuję się w dobiegające zza ściany odgłosy, jej kroki i szuranie krzesła, aż w końcu odpływam w niebyt.

Budzi mnie pukanie. Siadam na łóżku i patrzę, jak Callie wchodzi do mojego pokoju z laptopem pod pachą.

Ma rozpuszczone włosy, które lśnią niczym jedwabna przędza. Promienie słońca wydobywają z nich trzy różne odcienie. Moja przyjaciółka zawsze należała do tych dziewcząt, które są piękne już po przebudzeniu. Przy jej urodzie czerwone pręgi na szyi jeszcze bardziej rzucają się w oczy.

Zauważyła moje spojrzenie i dotyka palcami krtani.

– Aż tak źle? – pyta.

Jej głos brzmi chrapliwie, jakby ktoś skrobał gwoździem blaszaną puszkę. Mówiąc, wykrzywia twarz w bolesnym grymasie.

Podciągam kolana pod brodę.

– Czy ty...

– Nic mi nie jest. – Callie siada obok mnie na łóżku, a nie jak zwykle

w fotelu. – Doznałam naprawdę niegroźnego wstrząsu, więc moja matka oczywiście histeryzuje.

– Myślę, że tym razem nie powinnaś się jej dziwić. Daryl Kouchinsky próbował cię udusić.

Kącki ust Callie wędrują do góry, ale jej uśmiech znika szybciej, niż się pojawia.

– Przymknęli go za jazdę po pijanemu i zanim wyjdzie, muszę zdecydować, czy wnieść oskarżenie.

– Zdecydować?

Callie zmienia pozycję i siedzi teraz ze złączonymi podszewkami stóp.

– Widziałas, co zrobił Katie tylko za to, że ze mną rozmawiała. Mogłabym pogorszyć jej sytuację. Zażądam tylko sądowego zakazu zbliżania – mówi i unosi głowę, spoglądając mi w oczy. – Zresztą już go nie podejrzewam.

– Ja też.

Pam powiedziała, że „Kapitan” był średniego wzrostu. Nikt przy zdrowych zmysłach nie opisałby w ten sposób Daryla Kouchinsky’ego. To jeden z tych mężczyzn, którzy muszą się schylać, żeby przejść przez drzwi.

– Tak czy owak... – Callie otwiera laptopa i obraca go w moją stronę.
– Zrobiłam to dziś w nocy.

Widzę profil na portalu Connect: „Dwudziestodwuletnia Sasha ma przyjemność zaoferować swoje usługi panom z hrabstw Fayette i Westmoreland. Chętnie dojedzie dalej”.

Kiedy byłyśmy małe, Callie miała lalkę ze sklepu American Girl o takim imieniu. Sasha nie pochodziła z kolekcji lalek stylizowanych na różne epoki, sprzedawanych w komplecie z książeczką i różnymi akcesoriami, ale wszystko miała dobrane tak, żeby przypominać swoją właścicielkę. Miała nawet strój gimnastyczny i buty piłkarskie jak Callie.

– Ładne imię – mówię.

Moja przyjaciółka przewija stronę w dół i serce uderza mi mocniej, kiedy widzę zrobione przed lustrem selfie. Dziewczyna ma na sobie tylko skąpe figi, a długie blond włosy opadają jej na plecy. Rozpoznaję widoczną na zdjęciu obudowę komórki Callie – kontur dmuchawca na bładozielonym tle i kilka oderwanych nasion unoszonych przez niewidzialny powiew.

– Wycięłam twarz z kadru – mówi Callie. – Na innych profilach, które widziałam, żadna z dziewcząt nie pokazuje twarzy. Jest całe mnóstwo podobnych portali, tak naprawdę od groma, więc zamieściłam anons na wszystkich.

– Nie podoba mi się to – mówię, odwracając wzrok od monitora. – Myślę, że nie powinniśmy tego robić.

Moja przyjaciółka zamyka laptopa.

– Wiesz, że gdyby istniało inne rozwiązanie, nawet nie brałybyśmy tego pod

uwagę.

– No i co teraz?

– Czekamy. Zobaczmy, czy się zainteresuje.

Mówię Callie, że prawdopodobnie natrafiłam na ślad Joslin, więc daję mi kluczyki do minivana, kiedy jej rodzice gdzieś wychodzą. Chce jechać ze mną, ale przypominam jej, że powinna leżeć w łóżku i Maggie będzie wściekła, kiedy wróci i nie zastanie jej w domu.

Zaczynam od biblioteki. Siadam przy komputerze, wprowadzam numer karty Callie i na monitorze pojawia się zegar, który odlicza czas sesji internetowej. W okno wyszukiwarki wpisuję „akty urodzenia” i natrafiam na archiwum, w którym znajduje się ponad cztery i pół miliarda dokumentów. Dla sprawdzenia podaję imię swojej matki i jej nazwisko panięskie, Annette Mowdy. Miejsce urodzenia: Floryda.

Dwa trafienia. Musiałabym wykupić pełny dostęp, żeby zobaczyć skany metryk, ale to mi wystarcza.

Szukam Joslin Mowdy urodzonej w Pensylwanii.

Brak wyników.

Wpisuję Joslin Kirkpatrick, a gdy to też nie przynosi efektu, próbuję z Joslin Lowell, chociaż wiem, że moja siostra przyjęła nazwisko Glenna, dopiero kiedy miała kilka lat.

Brak wyników.

Wsuwam palec w dziurę na kolanie moich dżinsów. Musiało dojść do jakiejś pomyłki. Albo Annette skłamała, podając nieprawdziwe miejsce urodzenia mojej siostry. Oficjalna wersja wydarzeń była taka, że porzuciła jej ojca, przeprowadziła się do Pensylwanii, gdzie urodziła dziecko, a gdy Joslin miała dwa lata, poznała Glenna Lowella i rok później za niego wyszła.

Ale w całych Stanach Zjednoczonych nie ma aktu urodzenia Joslin Mowdy ani Joslin Kirkpatrick. Wyszukiwarka pyta mnie, czy chodziło mi o Justine Mowdy albo Jasona Kirkpatricka.

Zamykam bazę danych i oglądam się przez ramię przejęta paranoicznym strachem, że ktoś mnie zdemaskował i zostaną aresztowana za korzystanie z cudzej karty bibliotecznej. Ale ludzie dokoła są jak zombi o twarzach pozbawionych wyrazu i wpatrują się w monitory. Mam nadzieję, że nie wyglądam jak oni.

Próbuję znaleźć coś więcej na temat Macy Stevens i przeglądam album zdjęć, który przed pięciu laty opublikował magazyn „People”. Wygląda na to, że ludzie nadal są zaintrygowani jej losem. Macy Stevens urzekła Amerykę i opinia publiczna domaga się odpowiedzi z równie silną determinacją jak jej rodzina.

Wręcz nie mieści mi się w głowie, że ta sama osoba mogła tydzień temu wejść do zakładu karnego hrabstwa Fayette jako dwudziestosześcioletnia Brandy Butler.

Omiotam wzrokiem jeden z artykułów. Rzuca mi się w oczy akapit:

„Robin i Bernie Stevensowie są przekonani, że ich wnuczka żyje i została sprzedana do nielegalnej adopcji, o czym poinformowali Cynthię Chan w wywiadzie przeprowadzonym w 2004 roku. Organy ścigania zapewniają, że będą nadal badać wszystkie potencjalne ślady, jednak należy liczyć się z faktem, że przypadki handlu dziećmi zdarzają się w Stanach Zjednoczonych niezwykle rzadko”.

Cynthia Chan prowadziła program *This Evening* w NBC, zanim wygryzła ją Diane Sawyer albo ktoś inny. Babcia czasami ją oglądała. Chan była bezbarwną kobietą o starannie ufrizowanych włosach, która ze zrozumieniem kiwała głową, siedząc w skórzanym fotelu, kiedy jej goście płakali przed kamerami.

Znajduję na YouTube wywiad ze Stevensami i podłączam słuchawki do komputera. Nagranie trwa czterdzieści minut. Pomijam wstęp, który zawiera w głównej mierze zapewnienia rodziców Amandy o jej niewinności.

Amanda zaszła w ciążę, mając dziewiętnaście lat. Ojciec dziecka zginął w wypadku motocyklowym. Młoda matka nie miała lekkiego życia, ale kochała Macy i nigdy by jej nie skrzywdziła.

W dwudziestej minucie filmu Cynthia Chan pyta Stevensów, co ich zdaniem stało się z Macy.

– Uważam, że została sprzedana – oświadcza Robin Stevens z zaciętością kobiety, która wbiła sobie coś do głowy i nie zamierza ustąpić ani na krok, dopóki nie zyska absolutnej pewności, że była w błędzie.

Patrzę na nią oszołomiona. Tak bardzo przypomina mi Joslin. Wciąż mam w pamięci słowa ojca. „Uparty bachor. Ma to po matce”.

Na monitorze Robin Stevens ociera łzy chusteczką. Jest o połowę mniejsza od swojego męża, nawet kiedy obydwoje siedzą. Krótkie włosy ma zafarbowane na mahoniowy kolor.

– Macy była śliczną zdrową dziewczynką – mówi, poprawiając okulary w czarnych oprawkach. – Wiecie, ile płacą na czarnym rynku za zdrowe białe dziecko?

Obraz zamiera, ale nie czekam, aż film się zbuforuje. Kończę sesję. I tak dowiedziałam się już wszystkiego, czego potrzebowałam.

Wanda nie jest zaskoczona moim widokiem. Odkłada na blat plik kartek i wydaje tak głębokie westchnienie, jakby zrzucała z siebie jakiś ciężar.

– To znowu ja – mówię.

– Nie wiem, dziecko, czy dam radę ci pomóc.

Wanda sprawia wrażenie zakłopotanej i wiem, że musiała odebrać moją wiadomość, ale postanowiła nie odpisywać.

Opieram się o kontuar.

– To ważne. Znalazłam coś w rzeczach mojego ojca. Myślę, że posiadał

jakieś informacje na temat zaginionej dziewczynki.

Wanda obraca się na krześle.

– Bill! – woła. – Wychodzę teraz na lunch.

Wstaje, a ja ruszam w stronę bramki.

– Nie – rzuca mrukliwym tonem. – Zostań.

Przechodzi na drugą stronę i daje mi znak, żebym wyszła z nią na zewnątrz. Na dziedzińcu przy bocznej ścianie budynku znajduje się kącik dla personelu. Stoją tam dwa długie stoły piknikowe, a przy jednym z nich posilają się trzej strażnicy. Siadamy przy wolnym stole. Zauważam, że Wanda nie przyniosła sobie tacy z jedzeniem.

– Czy chodzi o Macy Stevens? – pyta.

Czuję, jak uchodzi ze mnie para.

– Znalazłam numer telefonu i zadzwoniłam pod niego – mówię. – A wtedy stało się coś naprawdę dziwnego. Oddzwoniła do mnie agentka FBI i powiedziała, że ten numer to specjalna linia poświęcona zaginionemu dziecku.

Spodziewałam się, że Wanda będzie zaskoczona i zacznie wypytywać mnie o szczegóły. Jednak ona tylko ciężko wzdycha.

– Twój ojciec próbował naciągnąć rodzinę tej dziewczynki – wyjaśnia.
– I nie był jedyny. Przez te lata co najmniej kilku więźniów przyznało się do zabójstwa małej Macy Stevens.

Patrzę na nią, mrugając ze zdumienia.

– Fałszywe samooskarżenie – ciągnie Wanda. – Odsiadują dożywocie i robią to z nudów. Twierdzą, że posiadają jakieś informacje w sprawie głośnych morderstw, wskazują miejsca, gdzie rzekomo ukryli zwłoki, i wodzą policję za nos, żeby znaleźć się w centrum zainteresowania. Takie rzeczy zdarzają się cały czas.

– To niepodobne do mojego ojca. On nawet nie został skazany za zabójstwo. A jeżeli faktycznie coś wiedział?

– Zadzwonił do Stevensów i powiedział, że wie, gdzie jest Macy – odpowiada strażniczka. – Ale zażądał, żeby z góry wypłacili mu nagrodę.

– I nie ujawnił nic więcej?

Wanda kręci głową.

No i proszę. Nigdy nie przypuszczałam, że właśnie to jedno może mnie dotknąć do żywego, a czuję pierwsze ukłucie, kiedy przekonuję się, że mój ojciec do samego końca był ostatnim gnojkiem.

Rozdział dwudziesty szósty

Kiedy skręcam w Main Street, w mojej kieszeni zaczyna dzwonić komórka. Nie mam najmniejszej ochoty na mandat za rozmowę przez telefon podczas jazdy, a żeby się zatrzymać przy chodniku, musiałabym wykonać ryzykowny manewr parkowania równoległego tyłem. A jeśli przez przypadek skasuję minivana, Maggie będzie miała pretekst, żeby odesłać mnie z powrotem na Florydę.

Telefon milknie, a mnie ogarnia panika. Jeśli to ona, a ja nie odebrałam, może już więcej nie zadzwonić. Moja matka...

Wciskam się w wolne miejsce na parkingu przed pocztą, gdy moja komórka znów się odzywa. Wyciągam ją z kieszeni. To Callie.

– Gdzie jesteś? – pyta. Ma jeszcze chrypkę, ale jej głos brzmi lepiej niż wczoraj. – Dzwoniłam do ciebie.

– Tak, zauważyłam.

Moje serce wciąż wali jak oszalałe. Jestem zła na moją przyjaciółkę, że to tylko ona, a nie Annette. Ale wtedy ona dodaje:

– Wracaj do domu. Chyba do mnie napisał.

Callie siedzi na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, a przed nią leży otwarty laptop.

– Nie chce się spotkać ani nic takiego – wyrzuca z siebie jednym tchem. – Ale jego nick...

Opadam na łóżko i odwracam do siebie laptopa.

Wiadomość od kpt818:

„Co taka miła dziewczyna robi w takim miejscu?”

Unoszę wzrok znad monitora i patrzę na moją przyjaciółkę.

– Kpt to niekoniecznie skrót od „kapitan”. To mogą być fikcyjne inicjały albo przypadkowy zlepek liter.

– Spójrz na jego zdjęcie.

Na zdjęciu profilowym widać mężczyznę w kapeluszu i okularach przeciwsłonecznych, który mierzy w obiektyw ze strzelby.

– To wygląda jak kadr z jakiegoś filmu.

– Z *Nieugiętego Luke'a* – mówi Callie. – A to jest Kapitan, czarny charakter z tego filmu.

– Widziałaś ten film?

Callie kręci głową.

– Wysłałam to e-mailem Ryanowi i rozpoznał tę postać. Mówiłam ci, że będzie z niego pożytek.

Pomijam tę uwagę milczeniem. Pulsowanie krwi rozsadza mi uszy. To może być on, myślę. To może być „Potwór”.

– Co zamierzasz mu odpisać? – pytam.

Callie zastanawia się przez chwilę, a potem uderza palcami w klawiaturę.

„Dlaczego sądzisz, że jestem miłą dziewczyną?”

„Kapitan” nie odpowiada. Ikonka w rogu ekranu oznacza, że się wylogował.

Moja przyjaciółka zasłania usta dłonią.

– Kurwa – syczy przez palce. – Co zrobiłam źle?

Wstaję z łóżka i zaczynam krążyć nerwowo po pokoju. Mam ochotę czymś rzucić, wychylić się przez okno i krzyknąć: kurwa, kurwa, kurwa!

Już miałyśmy tego sukinsyna. Miałyśmy go w garści i wymknął się nam.

Rankiem następnego dnia Callie twierdzi, że czuje się lepiej i chce jechać do Briarwood Outlets na zakupy, które planowała już od pewnego czasu. Jestem tak przygnębiona nieudaną próbą zwabienia „Kapitana”, że nawet się nie opieram, kiedy Maggie proponuje, żebym pojechała z nimi.

W Pottery Barn Callie kupuje granatowo-biały komplet pościeli do swojego pokoju. Przechodząc obok Old Navy, zauważamy w oknie wystawowym wywieszkę oferującą dwie pary szortów w cenie dwudziestu dolarów. Na jej widok twarz Maggie promienieje.

– Och, to by mi się przydało.

Callie przewraca oczami, ale Maggie ciągnie nas do środka i prowadzi do stołu, na którym leżą szorty we wszystkich kolorach, jakie można sobie wyobrazić.

– Potrzebuję tylko jedną parę – mówi i zaczyna szukać. Po chwili wciska mi do ręki szorty w moim rozmiarze. – Może przymierzysz? Szkoda byłoby nie skorzystać z tak dobrej oferty.

Wiem, że po prostu chce mi kupić krótkie spodenki, żebym nie odparzała sobie tyłka w džinsach, w których tu przyjechałam.

– Dzięki – mówię i wchodzę do przymierzalni.

Wkładam szorty i przeglądam się w lustrze. Mam blade nogi, ale spędzam na słońcu tyle czasu, że na nosie przybyły mi dwa kolejne piegi. Rozpuszczone włosy łagodnymi falami okalają moją twarz i już nie przypominają płataniny loków, z którymi musiałam użerać się co rano na Florydzie. Z zewnątrz sprawiaam wrażenie, jakby pobyt w Fayette mi służył.

Ktoś szarpie za klamkę i odskakuję w popłochu, chociaż jestem ubrana. Do kabiny wchodzi Callie. Dostrzegam podniecenie w jej oczach.

– Patrz – szepcze, podsuwając mi pod nos swojego smartfona.

Jest zalogowana na Connect i ma otwartą skrzynkę kontaktową.

„Masz jakieś plany na dzisiejszą noc, kochanie? – KPTN”.

– O ja pierdziele – mruczę pod nosem.

Rozlega się pukanie do drzwi, a potem głos Maggie.

– No i jak, pasują?

– Tak – mówię. – Raczej je wezmę.

Kiedy Maggie odchodzi, moja przyjaciółka zaczyna pisać odpowiedź. Chwytam ją za rękę.

– Co robisz? – syczę.

– Muszę odpisać. – Callie wyrywa dłoń z mojego uścisku. – Zacznie coś podejrzewać, jeśli teraz zniknę.

Mam wrażenie, że w kabinie przymierzalni nagle zaczyna brakować powietrza.

– Może poprosić, żeby coś o sobie opowiedział? – pytam. – Coś, po czym mogłybyśmy się zorientować, kim jest.

– Jeśli to „Potwór”, jest za sprytny na takie sztuczki. Wiesz, że musimy to zrobić.

Wciskam rozdygotane dłonie do kieszeni szortów i przyglądam się, jak Callie pisze.

„Kończę pracę o 22. Jakie plany masz na myśli?”

Rick kładzie się spać o wpół do jedenastej. Callie i ja oglądamy film w bawialni rozparte na przeciwległych krańcach sofy. Maggie krząta się w kuchni. O jedenastej staje w drzwiach, żeby życzyć nam dobrej nocy.

Właśnie zaczęłyśmy oglądać kolejny film.

– Pójdziemy spać, jak się skończy – mówi Callie i udaje ziewnięcie dla lepszego efektu.

– Dobrze.

Maggie całuje każdą z nas w czoło i wychodzi. Słyszę, jak trzy razy kręci gałką drzwi frontowych, żeby się upewnić, że są zamknięte, chociaż Daryl Kouchinsky tę noc spędza jeszcze w areszcie. Potem jej kroki dudnią na schodach, kiedy wchodzi na górę.

Przez dwadzieścia minut oglądamy *Szybkich i wściekłych*, aż w końcu telefon mojej przyjaciółki wibruje, informując o przyjściu wiadomości tekstowej.

– Ryan po nas przyjechał – mówi Callie.

Zostawiamy włączone światło i telewizor, bo Maggie i tak myśli, że przez najbliższe dwie godziny będziemy oglądać film. Do Westfield Plaza jedzie się dwadzieścia minut. Jeśli „Kapitan” zjawi się punktualnie i wszystko pójdzie zgodnie z planem, wrócimy do Fayette za godzinę.

Wspomniany plan jest, jak to określiła Callie, dziecinnie prosty. Czekamy w pikapie Ryana zaparkowanym w jakimś ciemnym miejscu, aż przyjedzie „Kapitan”. Spisujemy numer rejestracyjny jego samochodu, robimy mu zdjęcie i spieszymy stamtąd, zanim facet się zorientuje, że Sasha nie przyszła na spotkanie.

Przypomina to zabawę z fajerwerkami – wystarczy chwila nieuwagi i wszystko wybucha nam w rękach.

Ryan czeka ze zgaszonymi reflektorami dwa domy dalej. Gestem zaprasza

nas do środka. Chociaż w samochodzie jest ciemno, dostrzegam niepokój w jego oczach.

– Nie mogę uwierzyć, że to robimy – mówi i przekręca kluczyk w stacyjce.

Silnik nie chce zapalić i wszyscy jak na komendę wstrzymujemy oddech, ale za drugim razem zaskakuje i spod maski dobiega równomierny warkot. Siedząca przede mną Callie tak mocno zaciska dłoń na uchwycie drzwi, że bieleją jej knykcie.

Przyjeżdżamy do centrum handlowego piętnaście minut przed czasem. Wszystkie sklepy są już pozamykane i światło pali się tylko w obskurnej kręgielni na przeciwległym końcu parkingu.

– Tam jest najciemniej – mówię, pokazując plac przed kręgielnią.
– Zaczekajmy tam, żeby nas nie zauważył.

W bocznym lusterku widzę, jak Callie otwiera usta, żeby zaprotestować.

– Napisałam mu, że Sasha będzie na niego czekać przed Targetem.

– Tessa ma rację – wtrąca Ryan. – Powinniśmy trzymać się z daleka do ostatniej chwili.

– Żeby się zorientował, że coś tu nie gra i odjechał? – Callie marszczy czoło.

– Jedna z nas powinna ukryć się za kontenerem na śmieci obok sklepu, żeby zobaczyć jego rejestrację.

– I tak oto wylądujesz na śmietniku – mówi Ryan, a kiedy nie odpowiadam zaabsorbowana rozważaniem pomysłu Callie, odwraca się w fotelu i patrzy na mnie. – Co o tym myślisz?

– Ona ma rację – odpowiadam. – Facet może się zmyć, zanim zdążymy dojechać z drugiego końca parkingu, a wtedy niczego nie zobaczymy. Mogę się ukryć za tym kontenerem, a kiedy zapamiętam numer, okrążę sklep i pobiegnę do Best Buy. Stamtąd możecie mnie zgarnąć.

Ryan zaciska dłonie na kierownicy.

– Nikt nie wysiadzie z tego samochodu – oświadcza.

– I tak już dużo ryzykujemy. Nie możemy jeszcze zaryzykować, że się nam wymknie. – Na twarzy mojej przyjaciółki maluje się wyraz uporu. Ryan wzdycha ciężko i wrzuca bieg.

– Odczytasz ten numer i spadasz stamtąd – mówi do mnie.

Szkoda, bo chciałam posiedzieć tam dłużej – mam ochotę powiedzieć. Wiem, że nie zgodziłby się na to tak łatwo, gdyby na moim miejscu była Callie.

Został nam kwadrans do umówionego terminu. Ryan zatrzymuje się przed Targetem, żebym mogła wysiąść z samochodu, a potem odjeżdża w stronę kręgielni. Parking przed sklepem zalewa pomarańczowa poświata. Przemykając w cieniu, dopadam bocznej ściany budynku, gdzie stoi kontener.

Kucam obok mokrego worka ze śmieciami. Mój pęcherz się kurczy i przypominam sobie, że zawsze chciało mi się sikać, kiedy jako dziecko bawiłam

się w chowanego. Zastanawiam się, czy nie zrobić tego tutaj, ale do północy zostało dziesięć minut, a „Kapitan” może przyjechać przed czasem.

Wyciągam z kieszeni komórkę; mam jedną wiadomość od Callie. „Widać twoje nogi”.

Zmieniam pozycję i spoglądam na zegar na wyświetlaczu telefonu. Minęła dopiero minuta i byłabym gotowa przysiąc, że czas płynie teraz wolniej. Rozważam wszystkie katastrofalne scenariusze, jakie przychodzą mi do głowy. „Kapitan” nie jest tym samym człowiekiem, który zaatakował koleżankę Pam. „Kapitan” jest gliniarzem, ale dobrym gliniarzem, i zamierza aresztować Sashę.

23.56. Światło reflektorów omiata chodnik przed sklepem. Wyciągam szyję, żeby mieć lepszy widok. Srebrny subaru forester parkuje pod jedną z latarni, tą najbardziej oddaloną od wejścia do sklepu. Jakies piętnaście metrów ode mnie. Kapitan napisał do Sashy, że będzie czekał ze zgaszonymi światłami i pracującym silnikiem. Kierowca SUV-a robi dokładnie to samo.

Więc przyjechał wcześniej. A jakże! Mój oddech staje się płytki i nie mogę się poruszyć.

No, dalej, Tesso, mówię sobie w duchu. Wyciągam szyję jeszcze bardziej, ale z mojej kryjówki nie mogę dojrzeć tablic. Zaparkował zbyt daleko. Jest zbyt ciemno. Wtedy dostrzegam migający czerwony punkcik na ceglanej ścianie nad moją głową.

Powoli unoszę wzrok. Obiektyw kamery jest skierowany w stronę parkingu przed sklepem. Wcześniej nie zwróciłam na nią uwagi. To dlatego „Kapitan” zaparkował tak daleko – nie chciał, żeby monitoring uchwycił jego numer rejestracyjny. Ciarki przebiegają mi po plecach.

Piszę wiadomość do Callie: „Nic nie widzę. Zostańcie na miejscu”.

Gorączkowo szukam jakiegoś rozwiązania. Kilka metrów od samochodu „Kapitana” rośnie kępa drzew, a pod nią stoi rząd wózków sklepowych. Jeśli będę się poruszała dostatecznie szybko, uda mi się przemknąć za nimi niepostrzeżenie i zakraść na tyle blisko, żeby zobaczyć tablicę rejestracyjną. Muszę tylko trzymać się w cieniu.

Biorę głęboki oddech i wstaję. A potem ruszam biegiem.

Kucam za wózkami sklepowymi i w tym samym momencie światła subaru znów się zapalają. Robi się na tyle jasno, że widzę wyraźnie tylną tablicę. CRK-1841.

– Cholera jasna – mruczę pod nosem, kiedy dociera do mnie, że „Kapitan” zbiera się do odjazdu.

Szyba po stronie kierowcy zjeżdża na sam dół i z okna wychyla się ramię w rękawie dżinsowej koszuli. „Kapitan” wystawia głowę i rozgląda się po parkingu. Jego spojrzenie omiata również rząd wózków, ale nie zatrzymuje się na miejscu, w którym kucam. Przez szczelinę między metalowymi koszykami

dostrzegam jego twarz. Serce zamiera mi w piersi.

To on.

Wiem, kim jest „Potwór”.

Parking przed Targetem zalewa blask reflektorów. Pikap Ryana. „Kapitan” odwraca głowę i dostrzega nadjeżdżający samochód. Porusza ustami, jakby mamrotał coś do siebie, a potem dodaje gazu i odjeżdża z opuszczoną szybą.

Wybiegam z ukrycia i staję na parkingu. Ryan hamuje tuż przede mną. Przez przednią szybę widzę trupioblada twarz mojej przyjaciółki. Silnym szarpnięciem otwieram drzwi i gramolę się na tylne siedzenie.

– Widziałaś tablicę? – pyta Callie.

W tym samym momencie odzywa się Ryan.

– Podeszłaś zbyt blisko! – krzyczy na mnie, nie czekając na moją odpowiedź. – Mógł cię zobaczyć...

– Widziałam go – mówię. – Widziałam jego twarz i wiem, kto to jest.

W samochodzie zapada grobowa cisza.

– Ten facet pracuje w więzieniu – dodaję po chwili milczenia. – To jest pieprzony klawisz.

Rozdział dwudziesty siódmy

To on podał mi worek z rzeczami mojego ojca. Uśmiechnął się do mnie, a wtedy pomyślałam, że zachowuje się tak, jakby sam miał córkę. A potem wyszłam stamtąd i już więcej o nim nie myślałam.

– Kapitan to strażnik w *Nieugiętym Luke’u* – odzywa się Ryan półgłosem.
– Jasny szlag.

– Jak wyglądał? – pyta Callie.

– Tak jak opisała go Pam. Jest łyсы, ale nosi brodę. Średniej budowy ciała.

– A blizna?

Muszę zacisnąć rękę na uchwycie drzwi, żeby opanować drzenie.

– Nie zauważyłam, ale nie podeszłam aż tak blisko, a broda mogła ją zasłonić.

– Poproszę stryja, żeby sprawdził tę rejestrację – mówi Ryan. – Będziemy mieli jego nazwisko.

– Nie musisz. – Callie obraca się i pokazuje mi wyświetlacz swojego smartfona. Strona Zakładu Karnego Hrabstwa Fayette otwarta na zakładce *Nasz personel*. – Czy to on? – pyta, pokazując siwowłosego mężczyznę w granatowej kurtce mundurowej.

Kapitan Phillip Swain, komendant straży więziennej, jak głosi podpis pod zdjęciem.

Kręcę głową i przesuwam stronę w dół. Na jednym ze zdjęć widzę uśmiechniętą twarz. Przypominam sobie, jak Pam mówiła, że ma przyjazne spojrzenie.

Strażnik James „Jimmy” Wozniak.

Ten sukinsyn nie jest nawet kapitanem.

Jay Elwood nie ma dzwonka. Ryan puka do drzwi. W środku rozlega się szczerkanie. We wnętrzu zapala się światło i słychać głos mężczyzny, który ucisza psa. Potem w progu staje Jay i zdziwiony patrzy na bratanka.

– Co przeskrobałeś? – pyta.

Myśli, że przyjechaliśmy do niego, żeby wyciągnął nas z tarapatów. Nie wiem dlaczego, ale podnosi mnie to na duchu.

– Nic – odpowiada Ryan.

W tej samej chwili potężny biały owczarek przeciska się obok niego i wpycha nos między nogi Callie. Potem tak samo obwąchuje mnie. Detektyw Elwood łapie go za obrożę.

– Sammy, waruj. To niegrzeczne – mówi, a kiedy pies kładzie się u jego stóp, odsuwa się, żeby wpuścić nas do środka. – Mama wie, że tu jesteś? – zwraca się do Ryana.

Przestępuję próg i krzywię się, gdy w nozdrza uderza mnie woń psiej sierści i nieświeżego jedzenia z chińskiego baru. W głębi korytarza mieści się pralnia i na podłodze przed drzwiami walają się brudne skarpetki. Jay odpycha je nogą i prowadzi nas do kuchni.

– No dobra, co się stało? – pyta, krzyżując ręce na piersi.

Callie patrzy wyczekująco na Ryana.

– Czy w sprawie morderstwa Ari Kouchinsky podejrzewacie kogoś oprócz Nicka? – zaczyna chłopak.

Jego stryj wyjmuje z lodówki opróżnioną do połowy butelkę soku pomarańczowego i opada na jedno z krzeseł.

– Wiesz, że nie mogę ci tego powiedzieć.

Ryan spogląda mu w oczy i przez chwilę obaj mierzą się wzrokiem.

– Bo jeśli bierzecie pod uwagę kogoś innego, to może jest to Jimmy Wozniak?

Jay odchyła się na oparcie i patrzy sceptycznie na bratanka.

– Ten facet, który pracuje w więzieniu? – pyta, a Ryan kiwa głową. – Jest całkiem sympatyczny. Często eskortuje oskarżonych na rozprawę.

Ryan przysuwa sobie krzesło i siada.

– Uważamy, że ten człowiek umówił się na spotkanie z Ari. Nick opisał nam dziwnego klienta, którego znalazła na Connect, a jego wygląd odpowiada rysopisowi człowieka, który usiłował zabić prostytutkę w Ridgefield.

Detektyw prostuje się na krześle.

– Zaraz, chwileczkę. Skąd to wszystko wiecie?

Callie spuszcza wzrok i nie uchodzi to jego uwadze. Odstawia butelkę na stół z taką siłą, że nawet stojąc w drzwiach, czuję wstrząs.

– Rozmawialiście z prostytutkami? – pyta.

– Musisz nam uwierzyć – nalega Ryan. – Jimmy Wozniak szuka na Connect swoich ofiar.

– To on może być „Potworem znad Rzeki Ohio” – wtrącam. – Zamordował Ari w taki sam sposób jak tamte dziewczęta.

Ryan wzdryga się, gdy wypowiadam te słowa.

– Kto wam powiedział, w jaki sposób została zamordowana Ari? – Głos Jaya jest złowieszczo spokojny. – Czyżby Elliot Banks?

– Mówiłeś, że znasz szczegóły od swojego stryja – mówi Callie, wbijając wzrok w Ryana.

Chłopak ma minę jak zbity pies.

– Nie chciałem, żeby Eli miał kłopoty.

– Nie do wiary – mruczy detektyw, zaciskając w pięść opartą na stole dłoń.

– Macie przechlapane, dzieciaki. W taki sposób powstają przecieki do mediów.

– Nie powiedzieliśmy nikomu więcej – zapewnia Ryan pospiesznie, po czym

wskazuje na Callie i na mnie. – Nie sądzisz, że one mają prawo wiedzieć? Zeznawały przeciwko człowiekowi, którego policja uznała za „Potwora”. Nawet jeśli istnieje cień szansy, że były w błędzie, powinny to wiedzieć.

Jay Elwood przesuwa dłonią po twarzy.

– Wracaj do domu – mówi, spoglądając na bratanka.

Podbródek chłopaka zaczyna lekko drżeć.

– Musisz sprawdzić tego Wozniaka. Proszę...

– Wyciągnę jego kartotekę i zobaczę, czy nie ma tam czegoś podejrzanego

– obiecuje policjant i odprowadza nas do wyjścia.

Otwiera przed nami drzwi i gwizdże na Sammy’ego. Pies staje na tylnych łapach, przednie opierając na piersi Ryana.

– Nie mogę uwierzyć, że węszyliście za moimi plecami. Co ty sobie wyobrażałeś, Ryan?

Chłopak zalewa się rumieńcem i delikatnie odsuwa od siebie psa.

– Trzymajcie się z daleka od tego faceta – dodaje Jay. – Jeśli faktycznie ma coś na sumieniu, a wy wzbudzicie jego czujność...

Moje mięśnie sztywnieją, a Callie wygląda, jakby zaraz miała zemdleć. Jay Elwood kręci głową i zamyka drzwi.

Przez całą drogę do domu żadne z nas nie odzywa się ani słowem.

Callie idzie od razu spać. Leżę pod łóżkiem w pokoju gościnnym i nie mogę zasnąć. Tykanie zegara jest jak łomot, który rozsadza mi głowę. Wypełzam spod łóżka, zabieram ze sobą koc i schodzę na dół.

Kiedy komputer się uruchamia, oglądam telewizor z wyciszonym dźwiękiem i zastanawiam się, czy Jimmy Wozniak też nie może spać, bo nabiera podejrzeń, że Sasha naprawdę nie istnieje. Czy zdaje sobie sprawę, że ktoś wpadł na jego trop?

Otulam ramiona kocem, otwieram stronę przeglądarki i wpisuję w okienko „blizna Macy Stevens”.

Jednym z trafień jest wątek na forum Cyber Sleuths. Przeglądam kolejne wpisy. Podobno kiedy w trakcie przesłuchania Amandy padło pytanie o ten szczegół, kobieta powiedziała, że jej córka uderzyła się podbródkiem o kant szklanego stolika. Ale potem policja rozmawiała z jej koleżankami i kilka z nich przypomniało sobie, co Amanda mówiła na temat blizny. „Kiedy dorośnie, będzie miała nauczkę, żeby nie zachowywać się jak wrzód na tyłku”.

Po latach wszyscy zgadzali się z Brendą Dean, która twierdziła, że blizna nie była skutkiem przypadkowego urazu.

W mojej głowie rozbrzmiewają słowa Annette. Widzę ją, jak siedzi znieruchomiła przed telewizorem z głową wspartą na dłoni i chłonie okropieństwa z wieczornych wiadomości. Coś o kobiecie, która utopiła noworodka.

– W piekle jest specjalne miejsce dla ludzi, którzy krzywdzą własne dzieci – powiedziała.

Na piętrze skrzypi podłoga. Wyłączam komputer, kładę się na kanapie i okryta kocem udaję, że śpię. Słyszę kroki na schodach, a potem głos Callie.

– Co tu robisz?

– Nie mogłam spać.

Moja przyjaciółka siada na przeciwległym końcu kanapy i podwija nogi pod siebie.

– Ja też – mówi, a po chwili dodaje: – Wiedziałaś, że przy dwóch ofiarach znaleziono włókna jakiejś szarej tkaniny?

Kiwam głową. Sędzia nie zgodził się na włączenie ich do materiału dowodowego, ponieważ uznał, że nie mają rozstrzygającego charakteru. Jakiś domorosły detektyw napisał na portalu Cyber Sleuths, że tych śladów nie mógł zostawić Stokes. To były włókna poliestrowe, a w jego przyczepie nie znaleziono ubrań wykonanych z tego materiału. Sędzia stwierdził, że mogą one pochodzić od każdego, z kim ofiary miały styczność, a poza tym Stokes mógł pozbyć się ubrań, które miał na sobie, gdy mordował swoje ofiary.

– Mundury strażników więziennych są szare.

Wiem, czego Callie ode mnie oczekuje. Więc to mówię.

– Jutro rano musimy zawiadomić prokuratora okręgowego.

Moja przyjaciółka zamyka oczy. Jej twarz zalewają odcienie szarości i błękitu padające z ekranu telewizora.

– Moja mama nigdy mi tego nie wybaczy – mówi. – Nam obu.

Nie mogę jej powiedzieć tego, co chciałaby usłyszeć, że postępujemy słusznie i Maggie w końcu to zaakceptuje.

– Wiem.

– Myślisz, że kiedykolwiek się dowiemy, co ją spotkało?

Wiem, że mówi o Lori. Słyszę rezygnację w jej głosie. Obawia się, że Stokes wyjdzie na wolność, ale prawdziwy morderca nie zajmie jego miejsca.

– Nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Ale musimy wykonać pierwszy krok. Rozpocznie się nowe śledztwo, a to już będzie coś.

Callie ziewa, a potem wyłącza telewizor i kładzie się na boku, wyciągając nogi. Nasz stopy stykają się, kiedy robię to samo.

Żadna z nas nie śpi, ale trwamy w takiej pozycji, pod jednym kocem i na jednej kanapie, tak jak w czasach, gdy nie zdawałyśmy sobie sprawy, że potwory istnieją naprawdę.

Rozdział dwudziesty ósmy

Budzę się, gdy Callie potrząsa moim ramieniem. Leżę z kocem owiniętym wokół nóg. Zegar na dekodерze pokazuje siódmą.

– Zostawiłam mamie kartkę – mówi moja przyjaciółka. – Napisałam, że zjemy śniadanie na mieście i pójdziemy na kąpielisko.

Wciąż mam na sobie spodnie i podkoszulek, które nosiłam wczoraj. Callie wręcza mi szorty, które kupiliśmy na wyprzedazy. Wchodzę do łazienki, żeby się przebrać.

– A czy sąd jest w ogóle otwarty tak wcześnie? – pytam po powrocie do salonu.

– Od ósmej, ale chcę być pierwsza w kolejce.

Poza tym Callie chce wymknąć się z domu, zanim wstanie jej matka. Ja również nie potrafiłabym teraz spojrzeć Maggie w oczy.

Kiedy siedzimy już w samochodzie, korzystając ze smartfona, czytam biogram nowej pani prokurator. Przez piętnaście lat pracowała jako obrońca z urzędu, zanim została wybrana na stanowisko prokuratora okręgowego. To korzystne, bo skoro kiedyś stała po drugiej stronie, jest zdolna wczuć się w położenie Stokesa.

Jest również zwolenniczką kary śmierci. W Pensylwanii to nic nadzwyczajnego, ale też nie świadczy o niej najlepiej.

– Co jest? – Callie zerka na mnie.

– Właśnie sobie coś uświadomiłam. Jeśli dojdzie do nowego procesu i Stokes przegra, nie wznowią śledztwa w sprawie morderstw. Wtedy Wozniak pozostanie na wolności i będzie pracował w więzieniu, kiedy dojdzie do egzekucji Stokesa.

– Nawet nie mów.

Dłonie mojej przyjaciółki zaczynają lekko drżeć. Wiem, że próbuje się powstrzymać od nerwowego skubania włosów. Przez kolejne dwadzieścia minut, jakie zajmuje nam droga do sądu, kurczowo ściska kierownicę zbielełymi od wysiłku palcami.

Zauważamy dwa wozy transmisyjne lokalnych stacji telewizyjnych zaparkowane po przeciwnej stronie ulicy. Przed wejściem do sądu stoi opancerzona furgonetka służby więziennej.

W moim żołądku otwiera się bezdenne otchłań i ogarnia mnie nagły lęk. Wiem, że moja przyjaciółka czuje to samo. Coś musiało się wydarzyć.

Przy wjeździe na parking zatrzymuje nas strażnik.

– Były panie umówione? – pyta, zaglądając do wnętrza samochodu nad opuszczoną szybą.

Callie zerka w moją stronę.

– Nie – odpowiada.

– Dzisiaj nie ma wstępu do sądu.

– Dlaczego? Czy coś się stało?

– Odbywa się przesłuchanie więźnia. To sprawa dużego kalibru, więc jeśli nie mają panie przepustek, bardzo proszę zawrócić.

– Przesłuchanie?

Callie patrzy na mnie, jakbym coś o tym wiedziała. „Przesłuchanie więźnia. Sprawa dużego kalibru”. To niemożliwe. Sędzia jeszcze nie wyznaczył terminu pierwszego przesłuchania w postępowaniu odwoławczym Stokesa. Nie mogłyśmy aż tak się spóźnić.

Callie próbuje innej taktyki:

– Proszę pana, to krytyczna sytuacja. Naprawdę musimy porozmawiać z kimś z biura prokuratora okręgowego...

– Od krytycznych sytuacji jest policja – odpowiada strażnik i lekko uderza otwartą dłonią w dach samochodu, jakby chciał powiedzieć: „Wynocha stąd”.

Ze stojącej kilka metrów przed nami opancerzonej furgonetki dwaj klawisze wyprowadzają mężczyznę w pomarańczowym kombinezonie. Kajdanki na rękach i nogach ma połączone łańcuchem i jest Latynosem.

– To nie on – szepczę i ogarnia mnie fala ulgi.

Wiem, że moja przyjaciółka czuje to samo.

– Przepraszamy – zwraca się do strażnika.

– Nie ma sprawy. Proszę stanąć z boku i zawrócić, kiedy przejazd będzie wolny.

Zjeżdżamy na bok, żeby przepuścić kolejną furgonetkę z zakładu karnego, która pojawia się za nami, a potem blokuje nam wyjazd, kiedy strażnik zatrzymuje ją do kontroli. Moja przyjaciółka sięga po telefon.

– Do kogo dzwonisz? – pytam.

– Do Ryana. Ale nie odbiera.

Obok nas rozlega się łoskot zamykanych drzwi. Widzę, jak z karetki więziennej wysiada jakiś mężczyzna i otwiera tył samochodu, a potem stoi, pogwizdując, gdy strażnik zagląda do środka. Ogląda się przez ramię i zauważa nas na poboczu. Kiedy uśmiecha się do mnie, drętwieją mi czubki palców. To on.

Szybko odwracam wzrok i w tej samej chwili Callie opuszcza rękę z telefonem i zaczyna się rozglądać.

– Nic nie rób – odzywam się szeptem. – Nie patrz na niego.

Callie zastyga w bezruchu, a ja zerkam w stronę Jimmy’ego Wozniaka, który teraz przygląda się nam z większą uwagą. Kiwa głową, kiedy strażnik mówi coś do niego, a potem wraca za kierownicę i wjeżdża na parking.

– Wynośmy się stąd – mówię.

Moja przyjaciółka zbyt mocno naciska pedał gazu i wpada na krawężnik. Strażnik rusza w naszą stronę z poirytowaną miną.

– Rany boskie – jęczy Callie, ale udaje się jej zebrać w sobie i wykonać zwrot.

Macham do strażnika, unosząc dłoń w przeproszającym geście i odjeżdżamy.

– No i po wszystkim – mówię, wbijając paznokcie w uchwyt drzwi. – Nie mógł się zorientować...

– Zobaczył moją komórkę – odpowiada Callie jednym tchem. – Trzymałam ją przy uchu, a obudowa...

Nie musi kończyć. Bładozielona obudowa jej komórki jest widoczna na zdjęciu, które wykorzystaliśmy, żeby zwabić Wozniaka na parking zeszłej nocy. Ciężko przełykam ślinę.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz, będzie dobrze – zapewniam ją, powtarzając te słowa jak zaklęcie.

Callie już zaczyna skubać grzywkę.

– I co teraz zrobimy? Nie chcę czekać z tym do jutra.

– Możemy zadzwonić i zostawić wiadomość – mówię, próbując zachować spokój, jakby to mogło mi zagwarantować panowanie nad całą sytuacją. – Mamy jeszcze czas.

Callie wzdycha, ale otchłań w moim żołądku pogłębia się. Nie wiem, czy faktycznie mamy jeszcze czas, ale na razie muszę sprawić, aby moja przyjaciółka w to uwierzyła.

Po powrocie do domu Callie dzwoni do biura prokuratora okręgowego. Siedzi w fotelu i przewraca oczami za każdym razem, kiedy przełączają ją do kogoś innego.

– Naprawdę nie ma tam teraz nikogo, kto mógłby mnie wysłuchać?

Fala niepokoju, która wzbiera we mnie od porannej wyprawy do sądu, w końcu przerywa tamę.

– Ja z nimi porozmawiam.

Callie odchyła się na oparcie, kiedy próbuję wyrwać jej komórkę.

– Co ci odbiło, do cholery? – pyta z furią w oczach, zasłaniając mikrofon. – Odczep się ode mnie.

Opuszczam wzrok i uświadamiam sobie, że kurczowo zaciskam dłoń na jej nadgarstku. Cofam się i nagle nie mogę złapać tchu. Biegnę na górę i z trzaskiem zamykam za sobą drzwi pokoju gościnnego.

Może to atak paniki albo coś jeszcze gorszego. Może naprawdę mi odbiło. Kto nam uwierzy, kiedy oświadczymy, że Jimmy Wozniak jest „Potworem znad Rzeki Ohio”? Dziesięć lat temu wysłuchali nas tylko dlatego, że nasze zeznania były im potrzebne. Ale tak naprawdę nigdy nikogo nie interesowało, co mamy do powiedzenia.

Zamykam oczy i widzę Lori. Widzę małą Macy Stevens i mojego ojca, który dogorywa, plując krwią na więziennej pryczy.

Drzwi otwierają się gwałtownie i wydają okrzyk przerażenia. Moja przyjaciółka przygląda mi się zmieszana.

– Ale mnie wystraszyłaś – mówię, przyciskając dłoń do piersi.

– Przepraszam. – Callie podchodzi do łóżka i siada obok mnie. – Dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakbyś miała wyzionąć ducha.

– Nic mi nie jest – odpowiadam, ale słowa z trudem przechodzą mi przez gardło.

Moje serce kołacze jak oszalone, a pierś mam tak ściśniętą, że nie mogę oddychać. Leżę na boku i mrugam gorączkowo, żeby odgonić białe plamki, które wirują mi przed oczami.

– Puszczają ci nerwy – mówi Callie, pochylając się nade mną z zatroskaną miną. – Chcesz valium?

Kiwam głową i przyjaciółka wychodzi z pokoju. Zginam nogi i przyciągam kolana do piersi. Mijają kolejne minuty i moje tętno się uspokaja. Już nawet nie potrzebuję valium. Kolana lekko mi drżą, kiedy siadam na łóżku. Czekam, aż wróci Callie.

Patrzę na zegar ścienny i uświadamiam sobie, że mojej przyjaciółki nie ma już od prawie dziesięciu minut. Pewnie coś odwróciło jej uwagę, myślę. Wstaję z łóżka i schodzę na dół.

– Callie? – nawołuję.

Żadnej odpowiedzi. Zaglądam do salonu, potem do kuchni. Na blacie stoi szklanka wody i fiolka valium przepisana dla Margaret Greenwood. A obok leży komórka z jasnozieloną nakładką. Uchylam tylne drzwi i wyglądam na podwórze. Jeszcze raz wołam ją po imieniu. Nic, tylko psy sąsiadów wściekle ujadają.

Wpadam z powrotem do salonu i odsuwam zasłonę w oknie. Minivan wciąż stoi na podjeździe. Otwieram frontowe drzwi, staję na progu i wołam Callie. A potem Maggie, której nie widziałam od czasu, gdy wróciłyśmy z sądu.

Callie nigdzie się nie rusza bez komórki.

Śledził nas, przychodzi mi na myśl i mój żołądek wywraca się na lewą stronę.

Patrzę na blat kuchenny i wyobrażam sobie, jak „Potwór” wchodzi tylnymi drzwiami, każe mojej przyjaciółce odłożyć wszystko i iść za nim. Nie krzyczała, bo z pewnością był uzbrojony, ale psy za płotem musiały usłyszeć jego samochód.

Sięgam po komórkę i wybieram numer alarmowy, a potem mówię, że chcę zgłosić porwanie, i proszę, aby przysłali tu Jaya Elwooda.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Radiowóz z migającym kogutem i zawodzącą syreną zatrzymuje się przy krawężniku. Wsiada z niego dwoje mundurowych, którzy sprawdzają wnętrze domu. Kobieta, która przyjechała na miejscu pasażera, rozmawia z kimś przez radio.

– Gdzie jest detektyw Elwood? – pytam.

– To ty zgłosiłaś porwanie? – pyta drugi gliniarz.

Rozpoznaję go. Był tutaj tamtej nocy, kiedy Daryl Kouchinsky napadł Callie.

– Tak, i prosiłam, żeby tu przysłali Jaya Elwooda.

Funkcjonariusz unosi rękę.

– Uspokój się i opowiedz mi, co się stało.

Wiem, jak to wygląda. Żadnych śladów walki w kuchni, jak gdyby Callie po prostu wyszła. Ale nie mam czasu na tłumaczenie, dlaczego jestem pewna, że nigdy by tak nie postąpiła. Nie w tej chwili.

– Nie przyszła na górę, kiedy ją wołałam, więc wybiegłam przed dom i zobaczyłam, jak jakiś mężczyzna wciąga ją do samochodu – kłamię. – Miał broń.

– Tesso?

Obracam się i widzę Maggie, która stoi na końcu podjazdu ubrana w szorty i przepocony podkoszulek. Wyciąga z uszu słuchawki i patrzy na nas szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

– Co się dzieje? – woła do mnie. – Gdzie jest Callie.

– Wejdźmy do domu, proszę pani – odzywa się policjantka.

– Nie. Chcę wiedzieć, co tu się, do cholery, dzieje. – Maggie wchodzi na trawnik i rusza w moją stronę, ale gliniarz zastępuje jej drogę. – Tesso, co się stało?

Nie potrafię wydobyć z siebie słowa. W głębi ulicy słychać odgłos zbliżających się syren. Dwa kolejne radiowozy, a za nimi niebieski ford escape. Za kierownicą siedzi Jay Elwood.

Maggie krzyczy teraz na policjantkę. Wykorzystuję tę okazję i podbiegam do samochodu detektywa, który właśnie wsiada i rusza w moją stronę.

– Co się stało?

– Porwał ją – mówię. – Spotkałyśmy go dziś rano przed sądem i przyjechał tu za nami...

– Kto? – przerywa mi Jay i ścisza krótkofalówkę.

– Jimmy Wozniak. Był uzbrojony.

Znów kłamię, bo prawda nie zabrzmiałaby na tyle przekonująco, by nakłonić go do szybkiego działania.

– Jakim samochodem przyjechał?

Waham się i Jay przeszywa mnie wzrokiem, jakby wyczuł, że kłamię.

Zastanawiam się pospiesznie. Wozniak nie miał czasu, żeby przesiąść się do swojego subaru, jeżeli nas śledził.

– Białą furgonetką – mówię. – Z więzienia.

Jay gładzi dłonią podbródek. Jeden z mundurowych, który wcześniej zaczął mnie przesłuchiwać, podchodzi do nas z zakłopotaną miną.

– Ogłoś alarm i niech patrole w terenie szukają białej furgonetki – rozkazuje mu Elwood, a potem zwraca się do mnie. – A ty wsiadaj do mojego samochodu. Zawiozę cię do grafika policyjnego.

– Powiedziałaś panu, że to Jimmy Wozniak.

– Nie mogę opublikować jego zdjęcia, ale portret pamięciowy owszem. Wsiadaj do samochodu.

Oglądam się w stronę Maggie, która jedną ręką trzyma komórkę przy uchu, a drugą zasłania usta. Domyślam się, że błaga Ricka, żeby natychmiast wrócił do domu. Znów czuję, jak coś we mnie pęka.

Machinalnie kiwam głową i spełniam polecenie Jaya.

Detektyw jedną ręką trzyma kierownicę, a drugą unosi krótkofalówkę do ust i rozmawia z dyspozytorem na posterunku. Jedno z kół wpada w wybój i żołądek podjeżdża mi do gardła.

– Nie zdążymy jej uratować – mówię, a mój głos brzmi jak zdławiony pisk.

Jay wycisza radio.

– Najbliższe dwie godziny mają decydujące znaczenie, więc lepiej postaraj się pomóc, zamiast się ze mną kłócić.

Zaciskam szczęki i zgrzytam zębami, a potem powtarzam zmyśloną historię, w której uzbrojony Jimmy Wozniak wpycha Callie do więziennej furgonetki. Przerywa mi sygnał krótkofalówki.

– Mamy zgłoszenie o porzuconym samochodzie – dobiega z głośnika. – W lesie przy autostradzie.

Dwie krople deszczu rozpryskują się na przedniej szybie i detektyw włącza wycieraczki, ale widzę, że całą uwagę skupia na krótkofalówce.

– Wysłałam patrol drogowki, żeby to sprawdził... – melduje dyspozytor.

Wpatruję się w Jaya, który w końcu obraca wzrok w moją stronę.

– To jest miejsce, w którym porzucił ciała kilku swoich ofiar.

Jay ściska palcami grzbiet nosa i mamrocze coś półgłosem.

– Czekać na wsparcie – rzuca do krótkofalówki. – Jadę tam.

Kładzie na desce rozdzielczej niebieskiego koguta i wewnątrz forda wypełniają błyski wirującego światła. Zerka na mnie, żeby się upewnić, czy mam zapięty pas, i wciska pedał gazu. Mijamy posterunek policji i kierujemy się w stronę autostrady.

– Zostaniesz w samochodzie – mówi. – Bez względu na to, co tam znajdziemy, masz tu zostać. Jasne?

Jay myśli, że Callie już nie żyje. Wszystko dookoła rozmywa się przed moimi oczami. Zielone drzewa o brązowych pniach, niebieskie migotanie koguta i szara wstęga jezdni – wszystko to zlewa się w jedno, jak kolory na wirującej tarczy.

Nie tak miało się to wszystko potoczyć.

Dyspozytor podaje dokładne namiary na miejsce, w którym stoi porzucona furgonetka. Zerkam na prędkościomierz. Ponad sto czterdzieści kilometrów na godzinę. Z zakamarka pamięci, w którym przechowuję zbędne informacje, wygrzebuję stary wzór fizyczny. Energia kinetyczna rozpędzonego samochodu to połowa iloczynu jego masy i prędkości do kwadratu. Nie wiem, ile waży ten samochód, ale nie mam wątpliwości, że jego energia wystarczy, żeby zabić nas obydwój.

Prawdopodobnie byłaby to szybka i bezbolesna śmierć. Ale lepsze to, niż miałabym usłyszeć, jak policja tłumaczy Maggie, że wpuszczając mnie pod swój dach, doprowadziła do tragedii.

Po obu stronach autostrady ciągnie się las, a od najbliższego punktu obsługi podróży dzieli nas wiele kilometrów. Jay zwalnia, kiedy zbliżamy się do wyrwy w barierce. Wysiada z samochodu, blokuje drzwi i obserwuje przydrożną skarpe. Na dole stoi biała furgonetka.

Siada z powrotem za kierownicą i uruchamia silnik.

– Trzymaj się – mówi do mnie.

Silnik wyje na wysokich obrotach, a gałęzie drapią karoserię, kiedy Jay zjeżdża w dół zbocza. Zatrzymuje się obok subaru i z bronią gotową do strzału podbiega do tylnych drzwi. Z wyrazu jego twarzy wnioskuję, że w samochodzie nikogo nie ma.

Nagle powietrze rozdziera przeraźliwy krzyk. Jay unosi pistolet i obraca się w miejscu.

Zauważam ją pierwsza. Jimmy Wozniak trzyma moją przyjaciółkę przed sobą, zasłaniając się nią jak tarczą. Jedną rękę obejmuje ją wpół, a w drugiej trzyma pistolet, który przyciska do jej skroni.

– Wracaj do samochodu! – krzyczy do Jaya, na tyle głośno, że go słyszę.

– Nie mogę – odpowiada detektyw. – Ty jesteś Jimmy, zgadza się? Pogadajmy o tym wszystkim, Jimmy.

Pod moją przyjaciółką uginają się nogi i Wozniak gwałtownym szarpnięciem przywraca ją do pionu. Widzę, że Callie płacze.

– Ani myślę iść do więzienia. Wolę umrzeć, niż wegetować wśród tych bydła.

– Odłóż broń i pogadajmy o tym – woła Jay. – Nie wygłupiaj się, Jimmy. Masz żonę? Masz dzieci?

– Wiem, o co ci chodzi – odpowiada Wozniak. – Masz pojęcie, jaki los czeka

klawisza po tamtej stronie?

– Nie jest powiedziane, że będziesz siedział tutaj. Mogą przenieść cię tam, gdzie nikt nie wie, kim jesteś.

Twarz strażnika wykrzywia się w uśmiechu.

– Nie ma takiego miejsca na ziemi, gdzie nikt by się nie dowiedział, kim jestem.

Przyciska policzek do głowy Callie. Nawet gdyby Elwood był snajperem, nie zdołałby go trafić, nie robiąc jej krzywdy.

Wozniak wiedział, że to wszystko tak się skończy. Wiedział, że go zdemaskowałyśmy i po tylu latach bezkarności czeka go wpadka. Przyszedł w to miejsce, żeby umrzeć, i zabrał ze sobą zakładniczkę.

– Nie rób tego, Jimmy! – krzyczy Jay. – Pomyśl o swoich bliskich.

Callie szarpie się w uścisku „Potwora”. Porusza ustami, jakby coś mówiła, a on spogląda na nią. Jego palec zgina się na spuście.

Rozlega się huk wystrzału. Rzucam się na deskę rozdzielczą, krzycząc histerycznie.

Wozniak osuwa się na ziemię, a Callie robi parę kroków w tył i przywiera plecami do pnia drzewa. Jej włosy i twarz pokrywają bryzgi krwi i kawałki mózgu. Udaje mi się na tyle opanować drżenie, że wysiadam z samochodu. Widzę, jak Jay Elwood patrzy ze zdumieniem na pistolet, który wciąż trzyma w dłoniach.

– Mogłeś ją zabić! – krzyczę na niego.

Detektyw posyła mi oszołomione spojrzenie.

– Ale ja nie strzelałem.

– Zapytałam go... czy zabił Lori – mówi moja przyjaciółka.

Wciąż stoi oparta o drzewo. Spuszcza wzrok i patrzy na ciało „Potwora” leżące u jej stóp. Nie potrafię się zdobyć na to samo. I nie muszę o nic jej pytać. Nie zauważyłam, aby Wozniak poruszył ustami, zanim strzelił sobie w głowę.

Jeśli to on zamordował Lori Cawley, zabrał tę tajemnicę do grobu.

Rozdział trzydziesty

Zapada już zmrok, kiedy jeden z mundurowych zawozi mnie do szpitala. Nie pozwalają mi zobaczyć się z Callie, dopóki nie przesłuchają oddzielnie każdej z nas. Od pielęgniarki w recepcji dowiaduję się, że Maggie i Rick czuwają przy jej łóżku. Nikt jeszcze nie wysłuchał jej zeznań, ale policja ma wkrótce przysłać kogoś, kto porozmawia ze mną.

Siadam na krześle przed sklepikiem z upominkami. Jest mi zimno, a bateria w mojej komórce padła.

Nie jestem sama. Naprzeciwko mnie paraduje tam i z powrotem mała dziewczynka, rozpościerając ramiona i wykręcając tułów na boki. Kręci główką i wywija warkoczami, których końcówki uderzają o siebie. Zerka na mnie spod opadającej na oczy grzywki. Macham do niej, a wtedy umyka w podskokach i znika za drzwiami sklepu.

Dochodzę do wniosku, że jeśli przyjdzie do mnie Maggie, wszystko będzie dobrze. Ale jeżeli przyśle do mnie Ricka, będzie to oznaczać, że jest na mnie wściekła, bo naraziłam jej córkę na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Mała dziewczynka z warkoczykami wychodzi ze sklepu, trzymając za rękę kobietę, która rozmawia przez komórkę. Obserwuję innych ludzi wychodzących za nimi i próbuję ocenić powód, dla którego tu przyszli, od najmniej do najbardziej poważnego. Kobieta z balonikiem i pluszowym misiem. Mężczyzna z dwójką dzieci i grobową miną. Bardzo poważny.

Wszyscy idą w stronę windy. Patrzą za nimi, ale nigdzie nie widzę Maggie ani Ricka. Mija piętnaście minut. Powinnam poprosić recepcjonistkę, aby jeszcze raz zadzwoniła do pokoju Callie, ale nie potrafię się na to zdobyć.

Dwadzieścia minut. Przez rozsuwane drzwi wchodzi dwóch umundurowanych gliniarzy, ale mijają mnie, jakbym była niewidzialna.

Pół godziny. Obserwuję kobietę, która podchodzi do biurka recepcjonistki, obejmując tułów skrzyżowanymi rękami, jakby było jej zimno.

– Czy jest tu Tessa Lowell?

Wypręgam się na krześle. Jej głos... Odżywa we mnie wspomnienie tamtej nocy na stacji benzynowej.

Tesso, kochanie, wracaj do samochodu.

Dokąd idziesz, mamusiu?

Zrywam się na równe nogi. Wpatruję się w jej plecy.

– Mama?

Kobieta obraca się i szeroko otwiera oczy, a potem rusza biegiem w moją stronę. Nagle nieruchomieje, jakby zobaczyła ducha.

– Tessa? – odzywa się szeptem.

Bierze mnie w ramiona. Nawet gdybym chciała odwzajemnić jej uścisk, nie dałabym rady, tak mocno tuli mnie do siebie kościstymi rękami.

– Miażdżysz mnie – wyrzucam z siebie chrapliwym głosem.

Matka wypuszcza mnie z objęć. Z uśmiechem na twarzy gładzi moje zmierzwiene loki. Kiedy odkryłam, że Callie zniknęła, nie miałam nawet czasu myśleć o fryzurze.

– Ściąłaś włosy – mówi matka smętnym tonem.

Nie mogę uwierzyć, że to ona stoi przede mną.

– Jak mnie tu znalazłaś? Dostałaś moją wiadomość?

Annette kiwa głową.

– Dziś rano próbowałam dodzwonić się do ciebie przez kilka godzin – wyjaśnia. – Cały czas włączała się poczta głosowa, więc tu przyjechałam. Wstąpiłam do Greenwoodów, ale ich sąsiadka powiedziała, że wszyscy są w szpitalu. Tak bardzo się martwiłam...

Chwyta mnie za ręce, a potem unosi dłoń, żeby dotknąć mojej twarzy. Odwracam głowę.

– Popatrz na mnie – szepcze. – Nie do wiary, że to ty.

Nie przychodzi mi do głowy żadna odpowiedź. Chciałabym na nią spojrzeć. Chciałabym przytulić twarz do jej ramienia, żeby znów poczuć zapach starej skórzanej kurtki i olejku miętowego, którego używała, gdy dokuczał jej rozstrój żołądka. To moja matka, ale czuję się przy niej obco.

– Joslin też tu jest? – pytam.

Annette mruga zaskoczona.

– Czemu twoja siostra miałaby tu być?

– Przyjechała zobaczyć się z tatą – mówię. – Tuż przed jego śmiercią.

Twarz mojej matki posepnieje.

– Glenn nie żyje?

Nie mogę się powstrzymać. Chwytam ją mocno za rękę i wbijam paznokcie w skórę przedramienia.

– Gdzie, do cholery, się podziewałaś? Gdzie jest Jos?

– Nie urządzaj scen – syczy matka. – Porozmawiajmy w bufecie.

Mam ochotę powiedzieć, że nigdzie z nią nie pójdę, dopóki nie powie mi prawdy o ojcu, Joslin i Macy Stevens. Ale szpitalny bufet jest miejscem publicznym, a jeżeli Annette nienawidzi czegoś najbardziej na świecie, to właśnie przebywania w takich miejscach.

Zajmuję stolik i czekam, podczas gdy ona kupuje kawę dla siebie i gorącą czekoladę dla mnie. Stoi w kolejce, a ja nie mogę oderwać wzroku od jej pleców, jakbym się bała, że znów zniknie, jeśli tylko spuszczę ją z oczu. Płacąc przy kasie, ogląda się przez ramię, jakby chciała się upewnić, że wciąż tu jestem.

Chwyta styropianowe kubki i uśmiechając się, idzie w moją stronę.

Odwracam wzrok i udaję, że zaintrygował mnie siedzący obok mężczyzna w stroju chirurga, który polewa sobie burrito ostrym sosem. Zastanawiam się, jak lekarze mogą jeść w takich miejscach; jak ktoś, kto przed chwilą zszywał czyjąś skórę, może kroić sztukę mięsa na talerzu.

– Kupiłam ci czekoladę.

Annette stawia przede mną kubek, po czym siada i przygląda mi się wyczekująco, kiedy ściągam plastikowe wieczko, żeby wypuścić trochę pary.

– Dziękuję – mówię.

Moja matka robi zadowoloną minę, jakbym wyświadczyła jej przysługę. Opiera splecione dłonie na stoliku i patrzy, jak dmucham i siorbię gorący napój.

– Kiedy byłaś mała, wyjadałaś suchy granulaty łyżeczką i nie mogłam ci tego wyperswadować. Musiałam chować puszkę na półce nad lodówką.

A Joslin wspinała się na blat i zdejmowała ją dla mnie, myślę i parzę sobie język.

Matka patrzy na mnie znad kubka z kawą.

– Jak ona się miewa? Twoja babcia? – pyta. – Wiesz, że Maggie przywiozła mnie tutaj tamtej nocy.

– Tutaj? Do szpitala?

– Na oddział psychiatryczny – mówi, spuszczać wzrok. – Spędziłam tu tydzień. Byłam taka załamana tym, co stało się z twoim ojcem i twoją siostrą... Zawiodłam cię. Ale kiedy zaczęłam dochodzić do siebie, chciałam cię odzyskać, tylko że do tego czasu twoja babcia już zdążyła tu po ciebie przylecieć.

Nic nie mówię. Nie wiedziałam, że tamtej nocy Maggie wróciła po moją matkę. Dlaczego mi o tym nie powiedziała?

– Jak się czuje twoja babcia? – powtarza pytanie Annette.

– W porządku.

– Pewnie opowiadała ci o mnie różne rzeczy... Kłamstwa...

Ogarnia mnie gniew.

– Nie mów tak o niej – przerywam jej. – To ona się mną opiekowała przez ostatnie dziewięć lat.

Oczy Annette zaczynają się szklić.

– Czy w tym czasie powiedziała ci chociaż raz, że cię kocha? Bo mnie nigdy, przenigdy tego nie powiedziała. Ani razu...

– Powiedziałam ci, że nie chcę o niej z tobą rozmawiać.

Moja matka zdaje się kulić na krześle.

– Nawet gdyby było mnie stać na bilet na Florydę, nie byłabym mile widziana w jej domu. Nie pozwoliłaby mi się z tobą zobaczyć.

Uderzam dłonią w blat stolika.

– Nigdy do mnie nie zadzwoniłaś. Myślałam, że nie żyjesz.

– Bo w środku byłam martwa. Straciłam obie córki...

– Nie mów tak. Nie możesz udawać, że umarliśmy, kiedy siedzę tu przed tobą – mówię i nagle ogarnia mnie fala mdłości. Z wysiłkiem skupiam mętniejący wzrok, żeby spojrzeć matce w oczy. – Czy Joslin uciekła, bo dowiedziała się, kim naprawdę jest? Odkryła, że ty i ojciec ją porwaliście?

– O czym ty mówisz? – pyta Annette, a w jej głosie słyszę nerwowy ton.
– Tesso, dobrze się czujesz?

Mam wrażenie, jakby moja głowa stała się lekka jak piórko. Mroczki latają mi przed oczami.

– Nic mi nie jest – mówię, chociaż słowa więzną mi w gardle. – Chcę porozmawiać o Jos. I o Macy.

Annette chwyta mnie za rękę. Widzę jej twarz jak przez mgłę.

– O Macy? Kto to jest Macy?

Osuwam się na krzesło. Dzwoni mi w uszach.

– Ja chyba... chyba zaraz zemdleję.

– Przejdźmy do holu. Poszukam jakiegoś lekarza...

Odwracam głowę w stronę sąsiedniego stolika, przy którym mężczyzna w stroju chirurga jadł burrito, ale nikogo tam nie ma.

– Wszystko będzie dobrze. – Annette szepcze mi do ucha. – Musimy iść na oddział ratunkowy.

Wstaję, opierając się na jej ramieniu, i krew uderza mi do głowy. Wydaje mi się, że ludzie na mnie patrzą, kiedy słaniam się, stawiając kroki. Kierujemy się w stronę wejścia dla odwiedzających. Czuję na twarzy zimny podmuch, a potem ciężka wilgoć oblepia mi skórę. To nie jest droga na oddział ratunkowy. Jesteśmy na zewnątrz. Zginam się wpół i matka pomaga mi utrzymać się na nogach. Mówi, że jeszcze tylko kawałek...

Otwierają się przede mną drzwi jakiegoś samochodu, chyba pikapa, i gramolę się na tylne siedzenie. Z bardzo daleka dochodzi stłumiony krzyk protestu, ale moje ręce i nogi są takie wiotkie. Czuję na plecach dłoń Annette i słyszę jej głos:

– Nareszcie jesteśmy bezpieczne, Tesso. Co cię podkusiło, żeby to robić?

A potem wszystko zalewa czernią.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Szorstka wełniana tkanina drapie moją twarz. Czuję ledwie uchwytną woń przywodzącą na myśl krem różany, którym moja siostra co wieczór smarowała sobie dłonie. Unoszę powieki przekonana, że śnię o moim dawnym domu. Kiedy obraz przed moimi oczami nabiera ostrości, dostrzegam brązowy koc, pod którym leżę, a jego brzeg opada na podłogę z desek. W moim domu rodzinnym na podłodze leżała wykładzina.

Siadam gwałtownie i świat wiruje mi przed oczami. Dotykam koca i przyciskam go do twarzy, wdychając jego zapach, chociaż samo spojrzenie już wystarczyło. To jest... To był mój koc.

Wstaję z łóżka i małymi kroczkami podchodzę do jedynej w pokoju okna. Promienie słońca wpadają do środka, atakując moje oczy.

Słońce. Jest poranek. Beładna gonitwa myśli w mojej głowie zaczyna przybierać spójny kształt.

Jimmy Wozniak nie żyje. Strzelił sobie w głowę na moich oczach, obryzgując Callie kawałkami swojego mózgu.

Przypominam sobie długie godziny na posterunku policji. Potem wyczekiwanie w holu szpitala. Spotkanie z matką i gorącą czekoladę.

Szlag by trafił tę czekoladę...

Wzbiera we mnie wściekłość. Podchodzę do drzwi i szarpnię za gałkę. Zamknięte.

– Co mi zrobiłaś?! – krzyczę. Żadnej reakcji. Znów krzyczę. Walę w drzwi otwartą dłonią, wykrzykując słowa między uderzeniami: – Co! Mi! Zrobiłaś! Comizrobiłaś?!

Kiedy opuchniętą i czerwoną rękę przeszywa ból, rzucam się na łóżko i zaczynam wrzeszczeć. Ale wiem, że to nic nie da – wiedziałam to już w chwili, gdy wyjrzałam przez okno i zobaczyłam tylko niebo i drzewa.

Moja matka przywiozła mnie do Bear Mountain, gdzie już nikt nie będzie mnie szukał.

Kiedy znów się budzę, w nozdrza uderza mnie woń smażonej fasoli. Leżę nieruchomo, aż w końcu rozlega się zgrzyt klucza w zamku.

– Jesteś głodna? – pyta matka.

Nic nie odpowiadam. Annette siada na skraju łóżka. W rękawicy kuchennej trzyma szklaną miskę.

– Chciałam tylko, żebyś była spokojna. – mówi. – Teraz wszystko sobie wyjaśnimy.

Kiedy stawia przede mną miskę i wręcza mi widelec, uświadamiam sobie, jak wiele czasu minęło, odkąd ostatni raz coś jadłam.

– Co mi dodałaś do czekolady?

Odkładam widelec i piorunuję ją wzrokiem.

– Tesso...

– Nic nie zjem, dopóki nie powiesz, co ze mną zrobiłaś i dlaczego.

Moja matka otwiera usta, jakby chciała się odezwać, ale nic nie mówi. Na jej twarzy pojawia się wymuszony uśmiech.

– Może pójdziemy do kuchni i przyrządzę ci coś innego. Obiecuję, że niczego nie dodam. Możesz mi patrzeć na ręce.

Idę za nią do salonu. Wszystko jest zrobione z lichego drewna, jak gdyby dom zbudowały trzy małe świnki. Obok kominka, przed którym stoją fotele, znajduje się aneks kuchenny. Na drugim końcu pomieszczenia widzę dwoje drzwi. Jedne z nich na pewno prowadzą na zewnątrz.

– Zamknięte na klucz – uprzedza mnie matka. – A w promieniu kilku kilometrów ani żywego ducha.

Sadza mnie na sofie, skąd widzę dokładnie aneks kuchenny. Przyglądam się, jak otwiera puszkę fasoli i podgrzewa ją na opalonym drewnem piecyku. Patrząc na jej krzepkie ręce, domyślam się, że sama rąbie polana na opał. Zauważam kłódkę na jednej z szuflad. Mogę tylko przypuszczać, że w środku znajdują się wszystkie ostre narzędzia. Ogarnia mnie fala mdłości. Czyżby zaplanowała to wszystko, gdy tylko się dowiedziała, że wróciłam do Fayette?

Annette kładzie przede mną miskę fasoli na stoliku zrobionym z rozłupanego pnia. Nawet nie spoglądam na jedzenie.

– Jeżeli mi nie powiesz, kto zamordował Lori Cawley, będziesz winna mojej śmierci głodowej.

– Wyatt Stokes – odpowiada matka, unikając mojego spojrzenia.

– Nie, to nie. Czy to Joslin? Czy to moja siostra ją zabiła?

Annette odwraca wzrok w stronę okna. Niczemu nie zaprzecza, ale po co miałyby teraz chronić Joslin? Po co miałyby mnie okłamywać, skoro tkwię tu uwięziona i nikomu nie mogę powiedzieć prawdy?

Patrzę na jej ogorzałe, pokryte odciskami dłonie i wyobrażam sobie, jak zaciska je na szyi Lori.

„Odpieprz się ode mnie”.

Moja matka nie chroni Joslin. To nie ją chroniła przez cały ten czas.

– O mój Boże, Lori się dowiedziała – mówię. – Amanda Stevens popełniła samobójstwo wiosną tamtego roku, kiedy wyciekł fragment książki Brendy Dean. Media znów zaczęły pokazywać zdjęcie Macy i Lori wszystkiego się domyśliła. Musiałaś ją zabić, żeby cię nie wydała.

Matka odwraca gwałtownie głowę i wbija we mnie wzrok.

– Dosyć tego.

– To dlatego nie próbowałaś mnie odzyskać. Nie przyjechałaś po mnie ani

nie zawiadomiłaś policji, bo nie chciałaś, żeby wyszło na jaw, że jesteś szurniętą porywaczką dzieci...

Annette dopada mnie w mgnieniu oka i ucisza, wymierzając siarczysty policzek. Trafia zbyt nisko i jej dłoń ześlizguje się po mojej zuchwie. Oblizuję wargi, ale nie czuję smaku krwi. Matka wzdyga się i patrzy na mnie, jakby nie mogła uwierzyć w to, co właśnie zrobiła.

Nigdy nie uderzyła ani mnie, ani Joslin.

Rzucam się na nią, ale zasłania się przedramieniem. Chwyta mnie i siłą sadza na sofie. Próbuję się jej wyrwać, ale jest silniejsza.

Mój ojciec się mylił. To ja jestem słaba.

Annete chwyta moją twarz.

– Otwórz usta – rozkazuje.

Zaciskam szczęki, ale tak długo podważa mi zuchwę, wbijając palce pod brodą, aż moje oczy zaczynają łzawić. W końcu rozluźniam mięśnie i jestem wściekła na siebie, że pozwoliłam sobie na łzy. Annette wpycha mi do gardła jakąś pigułkę, a potem prowadzi do blatu kuchennego i zmusza mnie, żebym wypła szklanek wody. Trzyma mi dłoń na karku. Wyrwam się i chcę sobie włożyć dwa palce do gardła, ale chwyta mnie za rękę.

– Jeśli to wyrzygasz, będę musiała powtórzyć wszystko od początku – mówi łagodnym tonem.

Sadza mnie na sofie, po czym zajmuje miejsce na przeciwległym końcu i przygląda mi się uważnie. Odwzajemniam jej spojrzenie i po chwili widzę, że ma drugą parę oczu, a jej głowa rozszczepia się na dwoje. Zaciskam powieki, próbując zatrzymać kolejną falę mdłości. Nawet gdybym teraz zwymiotowała to, co we mnie wmusiła, byłoby już za późno. Czuję się gorzej niż po przebudzeniu. Cokolwiek zaaplikowała mi Annette, działa teraz na mnie ze zdwojoną mocą.

Nie minął jeszcze dzień, odkąd Annette uprowadziła mnie ze szpitala. Maggie będzie musiała czekać co najmniej czterdzieści osiem godzin, zanim policja przyjmie zawiadomienie o zaginięciu. Prawdopodobnie minie jeszcze więcej czasu, zanim ktokolwiek się zorientuje, że nie wyjechałam z moją matką dobrowolnie.

Dotykam kieszeni, gdzie zeszłego wieczoru miałam telefon. Annette musiała go zabrać, chociaż i tak nie miałabym z niego pożytku. Bateria wyczerpała się wiele godzin temu.

Unoszę się w tym dziwnym stanie zawieszenia między snem i jawą. Cofam się o dziewięć lat i znów siedzę w samochodzie mojej matki. Moje dziecięce stopy grzęzną w stosie papierków po fast foodach, kiedy wysiadam, żeby przebiec na drugą stronę autostrady.

Raz pozwoliła mi się wymknąć, ale teraz jej spojrzenie mówi, że już nigdy więcej do tego nie dopuści.

Rozdział trzydziesty drugi

Budzę się rozciągnięta na sofie. Chcę unieść rękę, żeby wytrzeć z kącika ust zaschniętą ślinę, i w myślach miotam przekleństwo. Nadgarstki mam skrępowane plastikową opaską. Próbuje ją przegryźć. Boli mnie szczęka, jakbym cały czas zaciskała zęby przez sen. A może to skutek uboczny działania tych tabletek.

Słyszę zgrzyt klucza w zamku i szybko opuszczam ręce. Otwierają się drzwi i do środka wchodzi Annette, niosąc narecze rozłupanych polan.

– Chce mi się pić – mówię chrapliwym głosem.

Moja matka kiwa głową i odkłada drewno.

– Nastawię wodę.

Obserwuję ją, jak ugina plecy, pochylając się nad piecem. Rzuca płonąca zapalną na stosik wysuszonych szczapek, a potem stawia garnek na fajerce.

– Trochę za gorąco na herbatę.

– To woda ze strumienia – mówi, oglądając się na mnie przez ramię.

– Muszę ją przegotować, żeby nadawała się do picia.

– Odurzyłaś mnie i porwałaś, a teraz się martwisz, żebym nie dostała zatrucia pokarmowego?

Matka podchodzi do mnie zdecydowanym krokiem i siada na drugim końcu sofy. Omiata wzrokiem moje skrępowane ręce.

– Jesteś moją córką i twoje miejsce jest przy mnie. Nie używaj tego słowa.

– Porwałaś?

Unoszę tułów i siadam, opierając się o podłokietnik. Na kostkach mam taką samą plastikową opaskę. Annette wpatruje się we mnie. Ma brązowe oczy, jak ojciec i ja. Nigdy nie wydało mi się dziwne, że Joslin jako jedyna w rodzinie ma zielone oczy.

– Tato nie wiedział, że ona nie jest twoją córką, prawda? – mówię.

– Powiedziałaś mu prawdę kilka lat temu, kiedy już siedział. A wiesz, co on wtedy zrobił? Próbował wyłudzić nagrodę od dziadków Macy Stevens.

Annette wstaje. Podchodzi do pieca i zagląda do garnka z wodą.

– Babcia powiedziała mi o twoim dziecku! – krzyczę histerycznym tonem, próbując rozpaczliwie zmusić ją do rozmowy. – O tym, które umarło.

Widzę, jak przez ciało Annette przechodzi dreszcz.

– To dlatego ukradłaś Jos? Bo Alan nie chciał mieć z tobą drugiego dziecka?

Moja matka w milczeniu otwiera kredens i wyjmuje grubą szklanę z Tomem i Jerrym – taką, w której kupuje się dżem, a potem można ją umyć i używać do picia.

– Twoja ulubiona – mówi z gorzkim uśmiechem.

– Odpowiedz mi! – krzyczę. – Dlaczego ją porwałaś?

Annette zamyka oczy i na chwilę odpływa w głąb siebie.

– Nigdy tak naprawdę nie zrozumiesz, czym jest strach, dopóki nie urodzisz dziecka, Tesso. Ale kiedy pokazywali w telewizji tę kobietę, która uświadomiła sobie, że jej córka zniknęła, to wiesz, co zobaczyłam w jej oczach? Ulgę, a nie strach. Ze mną Joslin była bezpieczniejsza.

– To nie jest jej imię! – krzyczę. – Ona ma na imię Macy!

Mój żołądek wywraca się na lewą stronę, kiedy Annette zagląda do pieca, jakby w ogóle mnie nie słyszała.

– Potrzeba więcej drewna – mówi. – Pójdę narąbać.

W jej głosie słyszę wyraźną przestrożę. Jakby chciała zaznaczyć, że ma siekiere, a mnie może nafaszerować prochami. Kiedy zamykają się za nią drzwi, zaciskam powieki. Nie mogę sobie pozwolić na płacz, bo znów poda mi pigułkę nasenną albo co gorsza będzie próbowała pocieszać.

W uchylonych drzwiczkach piecyka widzę anemiczne płomienie. W nocy padało i drewno musi być wilgotne. Omiatam wzrokiem aneks kuchenny. Drzwiczki niektórych szafek są spięte takimi samymi opaskami, jakie mam na rękach i nogach.

Kiedy na zewnątrz rozlegają się głucho uderzenia siekiery, powoli opuszczam nogi na podłogę, a potem ostrożnie wstaję. Chwieję się lekko, ale udaje mi się odzyskać równowagę. Podskakując na spętanych nogach, zbliżam się do kredensu. Jedna z szuflad jest otwarta, ale uchodzi ze mnie para, kiedy zaglądam do środka. Leżą tam plastikowe sztucce i serwetki z różnych barów szybkiej obsługi, posortowane i zapakowane.

Obracam wzrok w stronę piecyka i czuję nagły przyływ adrenaliny, kiedy widzę, co Annette zostawiła obok garnka.

Pudełko zapalek.

Z wysiłkiem wpycham je skrępowanymi rękami do przedniej kieszeni dżinsów. Obciążam podkoszulek najniżej, jak się da, i wracam na kanapę. Chwilę później w drzwiach staje Annette. Wraca z pustymi rękami.

– Drewno musi wyschnąć – mówi. – Pojadę do sklepu i kupię wodę w butelkach.

Podchodzi do mnie i podnosi do pionu.

– Co robisz? – pytam.

– Nie mogę cię tu zostawić. Przykro mi, Tesso.

Trzymając rękę na moim biodrze, prowadzi mnie do sypialni, sadza na łóżku i dźwiga moje skrępowane nogi, żebym się położyła. Czuję nagły ucisk w gardle, kiedy mój podkoszulek podjeżdża do góry. Wyciągam ręce, żeby go opuścić, ale jest za późno. Annette zauważa zgrubienie na moich spodniach i dotyka go z beznamiętną miną.

Wyciąga pudełko zapalek i chowa je do swojej kieszeni, a potem wychodzi

i zamyka za sobą drzwi. Krzyczę tak długo, aż opuszczają mnie siły i nie mogę już wydobyć z siebie głosu.

Budzę się z pełnym pęcherzem i czuję pulsowanie wewnątrz głowy. Unoszę ręce i odkrywam, że Annette przecięła moje więzy, kiedy spałam. Prawdopodobnie myślała, że w ten sposób okaże mi łaskawość. Opaska krępująca moje nogi też zniknęła.

Podchodzę do okna i mocuję się z zamkiem. Nie puszcza. Słyszę dobiegające z ciemności pohukiwanie sowy. Uderzam w szybę i płoszę kilka ptaków, które siedzą na gałęzi pobliskiego drzewa. Szkło jest grube i nie da się go rozbić gołymi rękami, a w pokoju nie ma nic oprócz łóżka.

– Muszę siku! – wołam, łomocąc pięścią w drzwi. Żadnej reakcji. – Muszę siku!

Mogłabym krzyczeć do woli. Mogłabym nawet kopać w drzwi, ale wtedy Annette prawdopodobnie wcisnęłaby mi w gardło kolejną pigułkę albo znów mnie skrępowała. Opuszczam spodnie i sikam na środku pokoju, a potem wracam do łóżka.

Rano moja matka odkrywa, co zrobiłam. W milczeniu wyciera kałużę moczu ścierką do naczyń, a potem chwyta mnie pod ramię i prowadzi do innej sypialni. Wpycha mnie do ciasnej łazienki, ale po drodze zauważam kilka ołówkowych szkiców wiszących na ścianie nad podwójnym łóżkiem.

– To rysunki ojca? – pytam.

– Twój ojciec zbudował ten dom. – Annette sadza mnie na sedesie i odkręca kurek nad wanną. – Mamy tu świeżą wodę ze źródła na szczycie góry.

Wpatruję się przez chwilę w strumień lecący z kranu.

– Dlaczego nie przyjechaliśmy tutaj, kiedy nas eksmitowali? – pytam.

– Mieszkał tu wtedy pewien człowiek – wyjaśnia Annette. – Od lat wynajmowaliśmy ten dom i przynosiło nam to kilkaset dolarów miesięcznie, ale tutaj trudno o porządnym ludzi. Kiedyś twój ojciec znalazł lokatora, który od razu mi się nie spodobał. Przestał płacić i nic nie dało się z tym zrobić. Kiedy raz przyjechałam po czynsz, wyszedł na ganek ze strzelbą. Nie miałam wyboru, jak tylko czekać, aż się wyniesie.

Wanna jest napełniona dopiero w jednej czwartej, kiedy moja matka wkłada palec do wody i każe mi wchodzić. Przyciskam ręce do piersi, ale ściąga mi podkoszulek przez głowę i opuszcza dżinsy. Staję w lodowatej wodzie, która sięga mi do kostek.

– Siadaj – rozkazuje, po czym bierze kubek z szafki pod umywalką i polewa mi głowę. – Na razie musimy się obejść bez szamponu.

Podciągam kolana pod brodę, trzęsąc się z zimna. Woda zalewa mi oczy.

– Tak się cieszę, że jesteś spokojna – mówi Annette, rozczesując palcami moje mokre włosy.

Tylko dlatego, że wyobrażam sobie, jak morduję cię we śnie.

Jem fasolę i marchewkę konserwową. Nie narzekam na gorzkawy smak, który zapewne pochodzi od tego białego proszku. Widziałam, jak Annette dosypuje go ukradkiem do garnka.

Ciągle chce mi się spać, z czego moja matka najwyraźniej jest zadowolona. Leżąc w łóżku, słyszę, jak rąbie drewno przed domem, a potem wraca spocona, myje się i przyrządza sobie na obiad warzywa z puszki.

Trzeciego dnia wieczorem przynosi mi miskę kukurydzy. Jestem zbyt słaba, żeby oderwać głowę od poduszki, więc karmi mnie plastikowym widelcem, za każdym razem wkładając do ust po kilka ziaren. Chowam je wszystkie pod policzkiem jak chomik.

– Potrafię sama – mówię.

Annette wykrzywia zaciśnięte usta w uśmiechu.

– Kiedy widziałam cię ostatnim razem, nie umiałaś jeszcze sama zapiąć suwaka w kurtce – mówi, wręczając mi widelec.

Bo jestem niedojdą, mam ochotę powiedzieć. Przez ciebie mam problemy z zamówieniem kanapki. Ale ty chciałaś, żebyśmy były takie niezaradne, żebyśmy nie umiały obejść się bez ciebie.

Tylko że Jos umiała. Nigdy nie potrzebowała pomocy, w przeciwieństwie do mnie. Byłam małym mazgajem, który o wszystko się złościł. Wystarczył zacięty suwak albo guma do żucia przyklejona do podeszwy i darłam się, wzywając pomocy.

Annette wychodzi, nie zauważywszy, że schowałam widelec w fałdach pościeli.

Rozdział trzydziesty trzeci

Gdy w szczelinie pod drzwiami gaśnie nikła poświata lampy naftowej, która pali się w salonie, wstaję z łóżka. Tej nocy tarcza księżycy jest widoczna tylko w połowie, więc muszę działać po omacku. Odnajduję śruby, na których trzyma się metalowa poprzeczka między nogami łóżka. Jedną z nich udaje mi się poruszyć palcami. W myślach błogosławię skłonność ojca do nędznej tandety, chociaż ten rupieć najprawdopodobniej wygrzebał z czyjegoś śmietnika.

Koniuszek widelca nie wchodzi w nacięcie śruby tak, jak się spodziewałam. Pieką mnie policzki, a na kark występują krople potu. Byłoby mi o wiele łatwiej, gdybym cokolwiek widziała. Przechyliłam widelec i płaska końcówka zapada się wreszcie w płytką metalową szczelinę. Wstrzymuję oddech i obracam. Jeśli nacisnę za mocno, plastik pęknie. Wyginam się i popycham śrubę od spodu, kręcąc delikatnie widelcem.

Zajmuje mi to kilka minut, ale śruba zaczyna się swobodnie obracać. Może w więzieniu całkiem nieźle dawałabym sobie radę. Jestem cała mokra od potu, kiedy śruba w końcu puszcza. Ale to dopiero pierwsza. Powtarzam całą operację od początku. Podkoszulek lepi mi się do pleców, a twarz płonie.

Kiedy wyciągam drugą śrubę, poprzeczka wypada. Wygląda na pustą w środku, ale mam nadzieję, że to w niczym nie przeszkadza. Próbuję ją wsunąć w szczelinę między parapetem a zamkiem, ale wciąż się ześlizguje. Przełykam gorycz porażki, uświadomiwszy sobie, że jest mi potrzebny prawdziwy łom.

Pieką mnie oczy. Tłumię szloch i napieram na metalową rurkę, aż w końcu udaje mi się ją wepchnąć, a potem ciągnę do siebie. Kiedy już się wydaje, że mięśnie moich rąk zaraz pękną od wysiłku, zamek puszcza. Wyskakuje z ramy, a na szybie pojawia się pęknięcie. Wciskam w nie pręt i popycham, dopóki okno nie ustępuje, pociągając za sobą siatkę moskitiery. Gramolę się na parapet. Drewniana rama drapie moje plecy, ale jestem tak podekscytowana, że prawie nie czuję bólu.

Jestem na zewnątrz. Wydostałam się z tego przeklętego domu.

Biegnę. A raczej się słaniam. Kamienie i gałazki wbijają się w moje stopy, ale nie zważam na to. Nie zatrzymuję się, chociaż jest ciemno i nic nie widzę. Nie potrafię nawet określić, czy idę w dół, czy w górę zbrocza.

Jestem tak bardzo zmęczona. Widzę pomarańczowe światło. Żarówka na ganku czyjegoś domu. Nie zatrzymuję się, przechodzę obok. Tutaj nikt mi nie pomoże, nawet gdyby miał zasięg komórki. Wolałabym raczej wrócić do mojej matki, niż zapukać do drzwi kogoś takiego jak tamten mężczyzna, którego spotkaliśmy z Deckerem przed sklepem w Bear Creek. Diabeł, którego znasz, jest zawsze lepszy od nieznanego.

Moje stopy ociekają krwią, a ciało nie może udźwignąć brzemienia szlochów. Idę już prawie od godziny, a przynajmniej tak przypuszczam, a wciąż nie widać miasteczka. Czekam na mnie jeszcze długa wędrówka w ciemności.

Znajduję zacienione miejsce między pniami drzew, gdzie nie dociera poświata księżyca, kładę się na boku i zasypiam.

Kiedy się budzę, promienie słońca przedzierają się przez kopułę liści. Do moich uszu od razu dociera szczekanie psa. I czyjeś głosy. Dwóch mężczyzn.

Kulę się niczym żółw. Jestem pewna, że to już koniec, dopóki spomiędzy drzew nie wyłania się człowiek. Ma na sobie piaskowy mundur i odznakę przypiętą do kieszeni bluzy. Owczarek niemiecki, którego trzyma na smyczy, zauważa mnie i zaczyna szczekać.

– Hej, Ed! – woła mężczyzna, nie przestając patrzeć mi w oczy. – Tutaj.
A więc ktoś mnie szukał, myślę.

Wyciąga do mnie rękę, a wśród drzew za jego plecami słychać trzeszczenie radia.

– Tessa?

Czuję pulsujący ból w poranionych stopach. Od spania na ziemi mam zdrętwiały kark, ale udaje mi się kiwnąć głową i wydusić z siebie jedno słowo:

– Pomocy.

Rozdział trzydziesty czwarty

Kiedy znów otwieram oczy, nie wiem, jaki jest dzień i dokąd zabrali mnie tamci dwaj, którzy znaleźli mnie w lesie. Jednak mam wrażenie, że spędziłam tu już trochę czasu.

Ściany są białe, a podłogę pokrywa wściekle żółta wykładzina. Leżę w śnieżnobiałej pościeli, a obok mojej ręki leży pilot. Naciskam czerwony guzik, obok którego widnieje napis „Alarm”.

Do pokoju wbiega mężczyzna w szpitalnym uniformie, a za nim szeryf, który znalazł mnie w górach. Zastanawiam się, czy przez cały czas czekali za drzwiami.

– Jak długo spałam? – pytam.

Mam zaschnięte gardło i pielęgniarz przystawia mi do ust papierowy kubek z wodą.

– Około dwudziestu godzin – mówi szeryf. – Lekarze odkryli w twoim organizmie trzydzieści miligramów ambienu. To trzykrotnie więcej niż normalna dawka.

Kiedy pielęgniarz pobiera mi krew z żyły na rękę, szeryf opowiada, że udało się namierzyć moją komórkę osiem kilometrów od Bear Creek. Annette próbowała ją włączyć, bo chciała napisać Callie wiadomość, że wszystko u mnie w porządku, i bateria przetrwała wystarczająco długo, by telefon połączył się z najbliższym przekaźnikiem.

– Jeden z twoich przyjaciół powiedział policjantom z Fayette, że mogłaś wybrać się w te okolice – mówi. – Dexter czy jakoś tak.

Notuję w pamięci, by kupić Deckerowi Lucasowi największą paczkę żelek, jaką uda mi się znaleźć.

Opowiada mi, że spałam, kiedy moja matka została aresztowana. Spałam również, kiedy Maggie przyjechała do szpitala w Allegheny Valley i tak długo krzyczała na lekarzy, aż pozwolili jej wejść i mnie zobaczyć.

– Dawno wyjechała? – pytam.

Pielęgniarz kręci głową, zakładając mi mankiet ciśnieniomierza.

– Nie wyjechała. Zeszła na dół, żeby coś zjeść.

Callie chciała przyjechać z matką, żeby zabrać mnie do domu z Linesville, najbardziej cywilizowanej miejscowości w pobliżu Bear Creek, gdzie leżałam w szpitalu, ale zostały jej jeszcze trzy dni do rozpoczęcia trwającej miesiąc terapii w ośrodku odwykowym dla młodzieży Healing Horizon. Po tym jak Jimmy Wozniak obryzgał ją własnym mózgiem, zamknęła się w swoim pokoju i wlała w siebie prawie litr wódki. Tej samej nocy Maggie i Rick zawieźli ją do ośrodka leczenia uzależnień. Kiedy czekam na wypisanie ze szpitala, moja przyjaciółka

dzwoni do mnie, żeby opowiedzieć o tym wszystkim.

– Wyszliśmy ze szpitala i zaczęliśmy cię szukać. Nie odbierałaś telefonu, więc mój tato zadzwonił na policję – mówi ściszym głosem. – Myśleliśmy, że jesteś wciąż na posterunku, ale recepcjonistka powiedziała nam, że siedziałaś w poczekalni. Przez pomyłkę zadzwoniła do innego pokoju i dlatego nikt po ciebie nie przyszedł.

Callie jeszcze bardziej ścisza głos, jakby się obawiała, że ktoś może ją usłyszeć.

– Policja nie potraktowała tego poważnie. Powiedzieli, że wkrótce powinnaś się zjawić. Gdybym wtedy nie była kompletnie rozpieprzona, pomogłabym cię szukać.

– Nie rób sobie wyrzutów – odpowiadam i próbuję zażartować. – Lekarze mówią, że taka trauma z czasem przechodzi.

Moja przyjaciółka wydaje westchnienie przypominające śmiech.

– Nie mogłaś być gorsza ode mnie i też musiałaś zostać porwana, co?

– Mimo wszystko prowadzisz – mówię. – Mnie nie grożono śmiercią.

Callie nie odpowiada i dociera do mnie, że powiedziałam coś niestosownego. Wystarczy jej, że do końca swoich dni będzie musiała żyć ze wspomnieniem lufy pistoletu przyciśniętej do skroni.

– Wiesz, co jest najgorsze? – szepcze. – Że Stokes nadal siedzi.

– Wiem.

Chyba wyobrażałyśmy sobie, że to będzie dużo prostsze – że znajdziemy prawdziwego „Potwora znad Rzeki Ohio”, że dowiemy się, kto zamordował Lori, a wtedy Wyatt Stokes wyjdzie na wolność. Jednak uchylene wyroku zajmie sporo czasu, chociaż pozwalają na to nowe dowody świadczące o winie Wozniaka, a morderczyni Lori siedzi w areszcie na posterunku w Bear Mountain. A wstępna ekspertyza potwierdziła, że materiał genetyczny znaleziony przy niektórych ofiarach pasuje do profilu Wozniaka.

To był ten nowy dowód, którym dysponowali obrońcy Stokesa – postęp w badaniach DNA pozwolił wykazać, że zabezpieczony częściowy profil mógł pochodzić od tysiąca innych mężczyzn.

Pani prokurator oświadczyła, że jest skłonna wziąć pod uwagę zwolnienie warunkowe, zatem Stokes może wyjść na wolność w zależności od decyzji sędziego. To też potrwa, ale przynajmniej nie zostanie stracony.

– Wiedziałaś o swojej matce... znaczy Annette? – pyta moja przyjaciółka.

– Zawsze sprawiała wrażenie, że tak bardzo was kocha.

– Nie. O niczym nie miałam pojęcia.

– No tak, oczywiście. Przepraszam, że w ogóle zapytałam. Nie rozłączaj się – mówi Callie. W tle słychać jakieś głosy i szelest, jakby zasłaniała dłonią słuchawkę. – Mój czas na rozmowę się skończył. Mogę jeszcze kiedyś do ciebie

zadzwoń?

Odruchowo kiwam głową. Uświadamiam sobie, że Callie chce do mnie zadzwoń i nie robi tego z przymusu.

– Tak, oczywiście.

Kończymy rozmowę i po raz ostatni rozglądam się po sali szpitalnej. Mam ściśnięte gardło i ciężko mi na sercu. Mój samolot odlatuje za piętnaście szóstą jutro rano. Wiedziałam, że ten moment w końcu nadejdzie. Że będę musiała opuścić Pensylwanię. Nie spodziewałam się jednak, że wracając na Florydę, zabiorę ze sobą więcej, niż tu przywiozłam.

Przez wiele godzin Annette uparcie zapewniała, że jestem jej córką i wyjechałam z nią do Bear Creek dobrowolnie, ale w końcu pękła i zaczęła mówić.

Dwadzieścia pięć lat temu Annette Mowdy zajechała na stację benzynową w Tennessee, gdzie mieszkała od roku. Młoda kobieta, która tankowała przy sąsiednim dystrybutorze, zostawiła w samochodzie dwuletnią córeczkę i poszła kupić papierosy. Kiedy wróciła, Annette powiedziała jej, że ma śliczne dziecko. Kobieta podziękowała i odjechała. Nazywała się Amanda Stevens.

Annette śledziła ją, żeby dowiedzieć się, gdzie mieszka. Jeszcze tej samej nocy wróciła w to miejsce i zauważyła, że samochodu Amandy nie ma na podjeździe. Przeszła na tył domu, gdzie usłyszała płacz dziecka dobiegający zza uchylonego okna. Znalazła zapasowy klucz pod wycieraczką, weszła do środka i porwała leżącą w łóżeczku Macy Stevens. Zdażyła dojechać z nią do Pensylwanii, zanim policja otrzymała zgłoszenie o zaginięciu dziewczynki. Była pewna, że nikt jej nie widział, i bez żadnych obaw przekroczyła granicę stanu. Kiedy zamieszkała w Fayette, podając się za matkę dwuletniej Joslin Mowdy, również nikt nie zwrócił na nią szczególnej uwagi.

Wkrótce potem poznała Glenna Lowella. Sześć lat później Annette oznajmiła swojemu mężowi i przyjacielom, że jest w ciąży i lekarz kazał jej leżeć w łóżku aż do porodu. W tym okresie całe dni spędzała na czacie dla przyszłych matek, gdzie poznała Taylor Lesley pochodzącą z Warren w Ohio. Taylor, która również była w czwartym miesiącu ciąży, wyznała jej, że pracuje w sklepie OshKosh oddalonym niecały kilometr od jej domu, a w wolnym czasie zajmuje się organizowaniem adopcji dla starych psów.

Tydzień przed rozwiązaniem Taylor Annette wybrała się do Warren. Czekala przed sklepem i kiedy zobaczyła ciężarną kobietę wychodzącą drzwiami dla personelu, pojechała w ślad za nią. W odludnym miejscu spowodowała stłuczkę i kiedy Taylor wysiadła, obezwładniła ją gazem łzawiącym i wepchnęła do swojego samochodu. Spalony samochód Taylor znaleziono pod wiaduktem tydzień po tym, jak rodzina zgłosiła jej zaginięcie.

W tym czasie Annette była już w Bear Creek, gdzie w domu na odludziu więziła Taylor, dopóki kobieta nie urodziła córeczki. Do Fayette wróciła tydzień

przed terminem rzekomego porodu, a swoim bliskim powiedziała, że była z wizytą u krewnych w Filadelfii. Przez dwa dni ukrywała dziecko w szopie i kiedy pewnego popołudnia dziewięcioletnia Joslin wróciła ze szkoły, zastała ją w salonie z noworodkiem na rękach. Annette powiedziała jej, że akuszerka była u niej wcześniej rano. Glenn Lowell w te pędy przyjechał z pracy. Dali dziewczynce na imię Tessa. Glenn nie miał pojęcia, że Annette upozorowała ciążę – dureń co noc wracał do domu pijany i przesiąknięty zapachem innych kobiet, które dawały mu to, czego nie mogła dać słabowita i przykuta do łóżka żona.

Musiałam się wyłączyć i przestałam słuchać, kiedy detektywi opowiadali, co Annette zrobiła z moją matką po tym, jak przyszłam na świat. Wiem tylko tyle, że kilka lat temu Taylor Lesley wraz ze swoim nienarodzonym dzieckiem została uznana za zmarłą, a jej mąż, z którym pozostawała w separacji, był jedynym podejrzanym w tej sprawie. W przeszłości znęcał się nad nią, za co trafił do aresztu, i nie miał alibi na tamten wieczór, kiedy zaginęła jego ciężarna żona.

Śledczy byli zaskoczeni, że ta niepozorna kobieta w toyocie camry była odpowiedzialna za dwa najgłośniejsze porwania w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Kiedy zapytali Annette, dlaczego zabiła Taylor, powiedziała im, że udawała przed wszystkimi ciążę i musiała skądś wytrzasnąć dziecko. Wskazała im również miejsce, w którym ukryła ciało, i faktycznie policjanci odkryli szczątki nieszczęsnej kobiety pogrzebane pod gankiem leśnego domu.

Dwa dni po moim uwolnieniu detektywi znaleźli w sypialni Jimmy'ego Wozniaka szkatułkę na biżuterię. W środku był medalion Rae Felice, zegarek Kristal Davis i złota bransoletka Marisy Perez. A także bransoletka Ariel Kouchinsky, w której Nick Synder rozpoznał pamiątkę po swojej zmarłej matce.

To wystarczyło, aby pani prokurator ogłosiła, że zamierza ponownie rozpatrzeć sprawę „Potwora znad Rzeki Ohio”. Dzień później Annette przyznała się do zabójstwa Lori Cawley w zamian za obietnicę, że prokuratura nie będzie żądać kary śmierci.

Lori próbowała przekonać Joslin do swojej teorii, wydrukowała zdjęcie Amandy Stevens i zaznaczyła na nim wszystkie cechy świadczące o ich podobieństwie. Przyrośnięte płatki uszu. Zielone oczy. Annette znalazła ten wydruk w naszym pokoju. Joslin nabrała wody w usta, ale nietrudno było się domyślić, że w jej otoczeniu tylko jedna osoba jest na tyle bystra, żeby odkryć coś takiego.

Annette twierdzi, że tamtego wieczoru chciała tylko porozmawiać z Lori. Ukryła samochód wśród drzew za domem Greenwoodów i włączyła światło w altanie, żeby wywabić Lori. Dziewczyna przyszła zgasić lampę i widząc ją, zagroziła, że zawiadomi policję.

Podobno to był tylko wypadek. Podobno Annette nie chciała jej zabić. Kiedy to się stało, wpadła w panikę i przypomniała sobie sprawę „Potwora znad Rzeki

Ohio”, którą znała z telewizji. Rozcięła moskitierę w oknie pokoju gościnnego, żeby detektywi myśleli, że Lori została porwana.

Ludzie mówią, że Annette Lowell resztę życia spędzi w więzieniu. Nazywają ją potworem.

Wiem, że to prawda. Ale nie wiem, jak mogłabym winić ją za to, że mnie porwała, skoro wciąż jej nie wybaczyłam, że mnie porzuciła.

Rozdział trzydziesty piąty

Teraz, kiedy zobaczyłam piekło z bliska, Atlanta nie wydaje się taka zła. Ale tym razem lecę do Orlando bez przesiadki.

FBI przysłało agenta, który ma mnie odebrać z lotniska i zawieźć do domu. Nie mogę przebywać sam na sam z babcią, dopóki nie zostanie oczyszczona z wszelkich podejrzeń o współudział w porwaniu. Test DNA potwierdził, że jestem córką Taylor Lesley. Kiedy unosiłam się dziewięć kilometrów nad ziemią, odbyła się konferencja prasowa.

Przed domem babci nie ma furgonetek z lokalnych stacji telewizyjnych. Nie ma tłumu facetów w przepoconych marynarkach, z których każdy czyha, żeby podetknąć mi pod nos mikrofon. Tylko czarny SUV na podjeździe z rejestracją z Wirginii.

– Kto to? – pytam agenta.

Facet jest zwalisty, ale ma łagodną naturę. To przypuszczalnie jeden z tych, których przydzielają do papierkowej roboty albo wysyłają po gości na lotnisko.

– Ktoś od nas – wyjaśnia.

Odblokowuje drzwi i wysiadam z samochodu.

Babcia wita mnie na progu. Nie jest zrobiona, jak by to sama określiła. Kiedy nie ma tuszu na rzęsach, jeszcze wyraźniej widać jej przekrwione oczy. Robi krok przed siebie i tuli mnie do piersi.

Spoglądam nad jej ramieniem i dostrzegam jakąś jasnowłosą kobietę, która stoi w korytarzu. Czeka, aż się przywitamy, a potem podchodzi do mnie.

– Miło cię poznać, Tesso – mówi. – Jestem Morgan Doherty. To ze mną rozmawiałaś przez telefon.

Ogarnia mnie strach.

– To pani prowadzi sprawę Macy Stevens.

Agentka Doherty kiwa głową, a w jej oczach dostrzegam błysk.

Z kuchni wychodzi Joslin. Ma zaczerwienione oczy i czubek nosa. Ugniata w dłoni papierową chusteczkę i uśmiecha się do mnie.

Biegnę do swojego pokoju i zatrząskuję za sobą drzwi.

Kiedy się tu przeprowadziłam, babcia zabrała mnie do Disney Worldu. Jeszcze nie wyrosłam z obsesji na punkcie Kopciuszka. Dwa lata wcześniej byli tu Greenwoodowie i Callie pokazała mi swój albumik na autografy. Wtedy to postanowiłam, że koniecznie muszę spotkać się z Kopciuszkiem. Oczywiście wiedziałam, że to nie jest prawdziwy Kopciuszek, tak jak Święty Mikołaj w centrum handlowym nie jest prawdziwym świętym, ale musiałam ją zobaczyć na własne oczy.

Kiedy byłam wkurzona na matkę i Joslin jednocześnie, zamykałam się

w szafie i wyobrażałam sobie, że jestem Kopciuszkiem. Że jestem osieroconą księżniczką, a mój rodzony ojciec zmarł, pozostawiając mnie na łasce złej macochy i przyrodniej siostry. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że faktycznie może tak być.

Ale gdy wreszcie zauważyłam Kopciuszka w Disney Worldzie, babcia zapytała, czy chcę pamiątkowe zdjęcie. I wtedy mnie zamurowało. Nie byłam w stanie zrobić kroku, jakby moje małe nóżki wrosły w ziemię. Kobieta w stroju Kopciuszka prawdopodobnie wzięła mnie za jedną z tych nieśmiałych dziewczynek i posłała mi uśmiech. Wtedy zaczęłam błagać babcię, żebyśmy wracały do domu.

Nigdy nie przypuszczałam, że ponowne spotkanie z moją siostrą będzie właśnie tak wyglądać. Ale też nigdy nie podejrzewałam, że Joslin tak naprawdę nie jest moją siostrą.

Nikt po mnie nie przychodzi, kiedy zamykam się w pokoju. Prawdopodobnie doszli do wniosku, że dostałam ataku hysterii po tym wszystkim, co przeżyłam.

Przykładam policzek do poduszki i wdycham jej zapach. Dociera do mnie z całą jasnością, jak wiele mogę stracić. Nie mogę pozwolić, żeby mnie stąd zabrali.

Chwilę później rozlega się pukanie. Do pokoju wchodzi babcia i siada na brzegu łóżka.

– Pewnie się zastanawiasz, jaką byłam matką, że wychowałam kogoś takiego – odzywa się, przyglądając narzutę.

Nic nie odpowiadam.

– Wciąż analizuję wszystko, co robiłam, i próbuję znaleźć powód. Ale nie potrafię.

Babcia ociera oczy i przychodzi mi na myśl, że jeśli zacznę płakać, sama też nie zdołam powstrzymać łez.

– Karmiłam ją, ubierałam, wychodziłam po nią na przystanek – ciągnie.
– Robiłam wszystko, co należy, żeby dziecko było zadbane.

Zauważam, że nie jesteśmy same. W drzwiach stoi Joslin wsparta ręką o framugę. Ma na sobie zwiewną żółtą sukienkę. Jej delikatna uroda od razu rzuca się w oczy. Ale jeśli przyjrzeć się uważniej, można dostrzec kolczyk w łuku brwiowym i bruzdy na czole, zbyt głębokie na jej wiek.

– Właściwie nie znałam Annette – dodaje babcia. – Nigdy nie pytałam, co lubi albo czego chce. Nie miałam głowy do takich rzeczy, kiedy zmarł jej ojciec. Robiłam to, co konieczne, żeby przetrwać, i odwracałam oczy od wszystkiego, co sprawiało, że warto walczyć o przetrwanie. Widzę w tobie tyle własnych cech – mówi, poklepując moje stopy. – I czasami nie mogę tego znieść.

Potem wstaje i mija się w drzwiach z Joslin, która wchodzi do pokoju. Mierzymy się wzrokiem, jakbyśmy prowadziły pojedynek na spojrzenia.

– Wiem, że mogłaś mnie znienawidzić – odzywa się w końcu moja siostra.

– Ale daj mi dziesięć minut. Tylko tyle.

Siadam na łóżku, żeby zrobić jej miejsce.

Jos nie wiedziała, że Annette i Lori pokłóciły się przez telefon tamtego wieczoru. Jej uwagę całkowicie zaprzął Danny, który zadzwonił do niej spanikowany, mówiąc, że potrzebuje pomocy. Okłamała policjantów, którzy go szukali, i nie był to pierwszy raz. Ale po raz pierwszy jej chłopak był tak głupi, żeby wysadzić coś w powietrze.

Joslin nie wierzyła w niesamowitą teorię swojej przyjaciółki. Zarzucała jej, że dała się ponieść szaleństwu rozpętanemu przez media wokół Macy Stevens, i pokłóciły się o to kilka dni przed śmiercią Lori.

Dopiero potem zaczęła żałować, że nie chciała jej słuchać. Przeszukała pokój Annette i znalazła akt urodzenia wystawiony na Joslin Mowdy. Jako ojciec figurował Alan Kirkpatrick.

Przez kilka miesięcy oszczędzała na bilet do Nowego Orleanu. Pewnej nocy wymknęła się z domu i autobusem dojechała do Filadelfii, gdzie wsiadła do pociągu. Znalazłszy się w Luizjanie, autostopem dotarła pod adres, który uzyskała, wykupując za dziesięć dolarów dostęp do ewidencji ludności.

Alan, łykowaty facet roztaczający woń patroszonych ryb, był zszokowany jej widokiem. Jos wystarczyło jedno spojrzenie, aby nabrać pewności, że to nie jej ojciec. Alan powiedział jej, że Annette zaszła w ciążę, kiedy byli ze sobą. A więc to była prawda. Ale kilka miesięcy po poronieniu wyprowadziła się. Bez przerwy się kłócili, bo Annette chciała mieć dzieci, a on nie.

Joslin zadzwoniła do szpitala w Pensylwanii, w którym według metryki przyszła na świat. Okazało się, że nie mają tam w rejestrze ani jej, ani Annette Mowdy. Jej akt urodzenia został sfałszowany.

Wróciła do Fayette, żeby powiedzieć matce, co odkryła. Przyszła do naszego domu w środku nocy i zdała sobie sprawę, że prawda zemściła się na niej. Annette sięgnęła po jedyny atut, jaki jej pozostał. Zasłoniła się mną. Zagroziła, że mnie zabije, jeśli Joslin piśnie choćby słowo o Macy Stevens.

Kiedy Joslin skończyła osiemnaście lat, wróciła po mnie, ale wtedy byłam już na Florydzie. Wreszcie wpadła na trop babci i zadzwoniła do niej, kiedy byłam w szkole. Oznajmiła, że chce mnie zabrać i zamieszkać ze mną. Babcia odparła jej spokojnie, że nazajutrz mam lekcje na basenie. Byłam tym tak podekscytowana, że chciałam spać w kostiumie kąpielowym. A w najbliższy weekend wybieraliśmy się do Disney Worldu. Moja siostra rozłączyła się i nie zadzwoniła nigdy więcej.

Pięć lat temu Joslin wróciła do Fayette, żeby odwiedzić ojca w więzieniu i powiedzieć mu o Macy Stevens. Uwierzyła mu, kiedy zapewnił, że nie miał o niczym pojęcia. Wymogła na nim obietnicę, że nikomu o tym nie powie. Zamierzała podzielić się z policją swoimi podejrzeniami, ale czekała, aż będę bezpieczna pod jej opieką.

Wtedy to nasz ojciec zadzwonił do dziadków Macy i próbował wyłudzić od nich nagrodę. Joslin dowiedziała się o tym, dopiero kiedy napisała do nich e-mail, w którym wyznała, że prawdopodobnie jest ich wnuczką. Stevensowie zorientowali się, że nosi to samo nazwisko co Glenn i odpowiedzieli jej, żeby więcej ich nie nagabywała.

Jos była wściekła, kiedy tak ją potraktowali. Znow zaczęła wątpić, czy Lori miała rację co do jej pochodzenia. Dlatego osiedliła się w Allentown. Kupiła sobie nową tożsamość i jako Brandy Butler zapisała się do szkoły pielęgniarstwa.

Zaszła w ciążę ze swoim chłopakiem i cztery lata temu urodziła córeczkę. Wtedy zdała sobie sprawę, że musi się troszczyć już nie tylko o siebie. Była gotowa zrobić wszystko, co w jej mocy, żeby zapewnić bezpieczeństwo swojemu dziecku, nawet gdyby Annette miała pozostać bezkarna. Obawiała się, że jeśli ujawni prawdę, nikt nie potraktuje jej poważnie, a Annette będzie się mściła na niej i jej dziecku.

– Byłam taka głupia – mówi, a po jej policzku cieknie łza. – Uwierzyłam jej, kiedy powiedziała, że to mnie nikt nie uwierzy. Że moja rodzona matka tak naprawdę mnie nie chciała, a moja prawdziwa rodzina nigdy mnie nie zaakceptuje.

– Skąd się dowiedziałas, że ojciec umiera?

– Ustawiłam alert Google na jego nazwisko, a lokalna stacja dowiedziała się o jego chorobie. Jesteś zbyt młoda, żeby to pamiętać, ale jego sprawa była dosyć głośna w swoim czasie. Bądź co bądź został skazany na dożywocie za serię napadów z bronią w rękę. – Joslin sięga do torebki. Wyjmuje z niej zdjęcie i kładzie je przede mną. – Chciał ci to dać. Obiecałam, że je wezmę i przechowam do czasu, gdy znow się zobaczymy.

Widzę to zdjęcie po raz pierwszy. Joslin przyciska do piersi swoją lalkę i pochyla się nad różowym bobasem o bezwłosej główce, który leży na plecach opatulony w becik. To muszę być ja. Na drugim planie ojciec siedzi w fotelu i się śmieje.

– Wyobrażałam sobie wtedy, że jesteś moim dzieckiem – mówi Jos i uśmiecha się szeroko. – A ona tak naprawdę nie pozwalała mi nigdy brać cię na ręce. Więc ojciec pewnego wieczoru przyniósł mi tę lalkę.

Coś ściska mnie w sercu. Ojciec właśnie tak potrafił zaskoczyć.

– Tak bardzo cię kochał – mówi Jos. – Byłaś jego oczkiem w głowie.

– Ale wszystko to kłamstwo – szepczę. – Nawet nie jesteśmy rodzonymi siostrami.

Joslin ujmuję moją twarz w dłonie.

– Przestań. Jesteś moją siostrą. Rozumiesz?

Zamykam oczy i nachylam się do niej, dotykając czołem jej czoła. Rozumiem. Chociaż w nią zwątpiłam, chociaż podejrzewałam ją o najgorszą zbrodnię, chociaż wmawiałam sobie, że już jej nie Kocham, ale tak, rozumiem.

Poświęciła tak wiele, żeby mnie chronić. Nigdy nie zapomnę tego, co od niej usłyszałam; jej opowieści o tych wszystkich latach, które spędziłyśmy osobno. Nie żartowałam, mówiąc Callie, że pewnych rzeczy nie da się wymazać z pamięci, choćbyśmy nie wiadomo jak bardzo się starali. Ale po raz pierwszy od niepamiętnych czasów chce mi się pamiętać.

Epilog

Tydzień przed rozpoczęciem zajęć w Tampie poznaję córeczkę Joslin, Alexę. Idziemy w trójkę do Disney Worldu i moja siostrzenica koniecznie chce trzymać mnie za rękę, gdy czekamy w kolejkach po bilety. Nagle milknie i jej małe pucołowate policzki robią się czerwone z wrażenia, kiedy zauważa księżniczkę w błękitnej sukni ze złocistymi warkoczami do pasa. Ustawiamy się w ogonku do niej, a dziewczynka nuci melodię z jakiegoś filmu i kuli się między moimi nogami, ilekroć księżniczka pojawia się w zasięgu naszego wzroku.

– Muszę słuchać tej piosenki dwadzieścia razy dziennie – mówi Joslin półgłosem, przewracając oczami. – To jak tortura dla matki.

Wzdrygam się, słysząc to słowo, niezupełnie jeszcze gotowa, by kojarzyć z nim moją siostrę. Nie teraz, kiedy tak długo czekałam, żeby ją odzyskać. Ale Joslin wygląda tak, jak ją zapamiętałam, kiedy znów zafarbowała włosy na brązowo. Obydwie nosimy okulary przeciwsłoneczne i czapeczki baseballowe, żeby nikt nas nie rozpoznał.

Media nie miały dla nas litości – cztery razy dziennikarze urządzali na nas zasadzki, dwa razy musiałyśmy zmieniać numery telefonów, a raz jakaś wariatka chodziła za mną między regałami w Walmarcie – ale Joslin twierdzi, że jeszcze nigdy nie czuła się taka wolna. Tylko pomyśl, mówiła. Teraz możemy wyrobić sobie paszporty. Zobaczyć kawał świata.

Powstaje już książka o naszej matce. Kiedy sprawa nabrała rozgłosu, „New York Post” opublikował jej zdjęcie z kartoteki policyjnej z komentarzem „Nie ma jak u mamy”. Brenda Dean ogłosiła, że podpisała dwumilionowy kontrakt na książkę o morderstwach „Potwora” i porwaniach Annette Lowell, która będzie nosiła tytuł *Skradzione życie*.

Nie zgodziłam się, kiedy zaproponowała mi wywiad. Wkrótce zacznę studia w Tampie i nie chcę zwracać na siebie uwagi. Zresztą mojego życia nikt nie ukradł. Zawsze należało do mnie. Muszę tylko zdecydować, co dalej z nim robić.

Znaleźli ją, kiedy zaczęli rozbierać domek w lesie. W trakcie pierwszego przeszukania nie zauważyli wjazdu do piwnicy, bo Annette zamaskowała go liśćmi.

Dziewczynka była zadbana i wyglądała na sześć albo siedem lat. Siedziała na kanapie, a na podłodze wały się puste opakowania po słodyczach i kikuty zdartych kredek. Jej rysunki przedstawiały ją samą i kobietę o brązowych włosach, która trzymała ją za rękę i zrywała z nią kwiatki.

Powiedziała detektywom tylko jedno:

– Mama kazała mi tu siedzieć i nie wychodzić, dopóki nie wróci.

Podziękowania

Nie spodziewałam się, że wystarczy mi odwagi do napisania tej historii. Nic by z tego nie wyszło, gdyby Suzie Townsend nie powiedziała „Zrób to!”. Dziękuję ci, Suzie, że zawsze trafiasz w samo sedno.

Ta książka nie powstałaby bez wielkiego kredytu zaufania ze strony Kristy Marino. Dziękuję ci, że pomogłaś mi stworzyć tę historię od podstaw i darzyłaś ją tak silnym uczuciem jak ja. Czuję się największą szczęściarą wśród pisarzy, mogąc współpracować z tobą i całym zespołem RHC B.

Dziękuję również wszystkim z New Leaf Literary and Media, Margaret Riley, Larry'emy Salzowi i Lucindzie Moorhead. Dziękuję Kathy Bradey i Lindsey Culli, które nieustrudzenie czytały wszystkie moje szkice. Dziękuję mojej rodzinie za bezgraniczne wsparcie i cierpliwość.

